

Pain

EMMA BECKER



BUKOWY LAS

Chciałam podstępem przedostać się do jego świata uzbrojona w niezawodny pretekst – literaturę, która niczym urokliwy koń trojański kryła w swym zdradzieckim wnętrzu moją wersję Lolity, nieco przejrzałej może, ale pełnej najlepszych chęci. Chęć wiedzy, dowiedzenia się o nim wszystkiego, swędziała mnie jak ugryzienie komara; dwa, trzy podchwytliwe pytania skierowane do Philippe’a pozwoliły mi odkryć, że kiedy byłam mała, spotkałam tego sławetnego C.S. kilka razy na korytarzu kliniki, gdy szedł do swoich pacjentów. I po torturach pamięci, żeby wydobyć z niej jakieś wspomnienie, nagle znalazłam się na urodzinach mojego wuja sprzed dwóch lat; przez cały wieczór pałętałam się wśród starych i go nie zauważyłam, nie zauważyłam człowieka, którego sprzedano mi jako maniaka, który czytał te same książki co ja, tylko jakieś dwadzieścia pięć lat wcześniej. Dwadzieścia pięć lat – to przepaść. Dwadzieścia pięć lat pieszczona ciał różnych kobiet, omijania prokreacyjnego celu stosunku, podczas gdy ja, niewiniątka, uczepiona byłam jeszcze matczynej piersi. (...) Dwudziestoletnie dziewczyny mają głowy pełne nieprawdopodobnych scenariuszy, równie romantycznych, co niekonsekwentnych – była sobie studentka i chirurg, ona nie umiała nic, on znał się na wszystkim, a pośrodku tego wszystkiego wuj, nieświadomy rozgrywającego się dramatu (...).

Najgorszymi tyranami są ci, którzy wiedzą, jak dać się kochać.

Spinoza

Z najstarszym synem Pana minęłam się w metrze linii numer 1, na Charles-de-Gaulle-Étoile. Było to w porze, kiedy kończą się lekcje i do wszystkich wagonów napływają hordy hałaśliwych licealistów. Musiałam wstać, żeby kolejna grupa mogła się wcisnąć do przepełnionego już wagonu, gdy poczułam, że okrutnie twardy łokieć wbija mi się w plecy. Oderwałam wzrok od książki, aby dokonać tradycyjnej wymiany beznamiętnych przeprosin bez wyłączania iPodów. Byłam jak zwykle średnio przekonana do sensu przeproszenia. Za co? Że istnieję? Że mam plecy?

Nie mogę powiedzieć, że sam jego głos, ledwie zresztą słyszalny, coś odblokował. Z jakiegoś jednak powodu spojrzałam na niego i w ćwierć sekundy wiedziałam już, bez szansy na pomyłkę, że to jego syn. Żadna magia; skandaliczne podobieństwo między modelem i jego awatarem, tak wielkie, że uderzyło mnie z mocą czaru. Trzeba mi było całej determinacji świata, by odwrócić wzrok od jego wielkich oczu o ciężkich powiekach, ukrywających odziedziczoną po Panu niewyobrażalną zmysłowość, z której bez wątpienia nie zdawał sobie sprawy. W głowie zacięła mi się płyta: to on to on to on to on to on. Kiedy poczułam, że to pełznące po nim uległe spojrzenie może mu się wydać dziwne, udałam, że wracam do mojego André Bretona – bez cienia nadziei, że dam radę się skupić na lekturze.

Nigdy nie sądziłam, że tak okrutnie bolesna okaże się świadomość jego obecności obok mnie, tego delikatnego młodzieńczego zapachu, którego nie tłumiły nawet nieco zbyt mocne perfumy. Nie zauważyłam, że zbliża się moja stacja – myślę, że mogłam iść za nim wszędzie.

Charles. Pierworodny. W ten wtorkowy rano, w błękitnym pokoju hotelowym w Piętnastce, zaskoczyłam Pana, wymieniając imiona wszystkich jego chłopców: Charles, Samuel, Adam, Louis i Sacha. Wszystkich pięciu, pochodzących z życia, które mogłam sobie tylko wyobrazić. O najstarszym wiedziałam rzeczy, których pewnie nawet on sam nie pamiętał – o kłótni przy kolacji na temat jakiegoś historycznego czynu zbrojnego, kiedy Charles, uparty jak każdy nastolatek, w przypiływie złości walnął pięścią w stół, za co o mało nie dostał od ojca po pysku. O popołudniu, kiedy wrócił z liceum kompletnie naćpany, a jego czarne gęste włosy wydzielały zdradziecki zapach trawki. Pan kochał go

szaleńczo – nie trzeba było być mistrzem świata, żeby to dostrzec. Pan kochał go taką miłością, przy której przelotna czułość, jaką mi czasem okazywał, była do bólu żalсна.

Pociąg skręcił gwałtownie i Charles znowu wpadł na mnie całym ciałem, obcym, a tak dziwnie znajomym.

– Przepraszam – powiedział, tym razem z lekko zawstydzonym uśmiechem, w którym pokazały się i dołeczki jego ojca, i te same śnieżnobiałe zęby drapieżnika.

Miałam przed sobą Pana, który patrzył na mnie po raz pierwszy od pół roku. Pana, jakbym go widziała przez szkło powiększające, pokazujące i tłumaczące wszystko: jego dzieci, żonę, wszystko, co zbudował, wszystko, dla czego kiedyś się zapracowywał, i dla czego harował nadal, wszystkie te kajdany u nóg, sukcesy i granice jego królestwa. I mogłam się litować, nawet rozczulać nad sobą, ale Charles nadal nie mógł odsunąć się ode mnie, przeproszał więc po raz kolejny z uśmiechem (a ja w każdym uśmiechu widziałam Pana, który leży pode mną, tuż po tym, jak się kochaliśmy), i całą energię nagle odebrały mi wysiłki, by nie krzyknąć: „Przestań, zabierz te usta, które znam na pamięć, weź z mojej ręki te niecierpliwe palce twojego ojca, którymi drapał mi biodra w trakcie orgazmu, odwróć tę głowę; nie chcę – nie mogę – patrzeć w te szare oczy, które nie są twoimi oczami, nie masz w twarzy nic własnego, nawet ten długi nos to prezent od twojej matki, może to zresztą jedyna rzecz, która czyni z ciebie odrębną jednostkę, zrodzoną z miłości Pana do innej kobiety, więc przestań, proszę. Przestań”. Gryzłam się w policzki, żeby nie wrzeszczeć, nie otworzyć ust i nie powiedzieć mu, dlaczego, jakim prawem, w imię czego ta młoda kobieta w metrze wbija w niego wzrok, bo natarczywość, z jaką on mi się przyglądał, zawierała w sobie kilka pytań.

Kim jestem? Mam na imię Ellie (to imię nic dla ciebie nie znaczy, nie ma nawet płci, a przecież był czas, kiedy dla niego było wszystkim – piciem, jedzeniem, snem i wszystkim pomiędzy). Jestem prawie w twoim wieku – mam tylko dwa lata więcej, a to się nie liczy, bo nie zmieniłam się tak bardzo od czasu, kiedy nosiłam zeszyty do matmy w starym, obszarpanym eastpacku, i patrzę tak na ciebie, bo bardzo mi przypominasz swojego ojca, mój Boże, przypominasz mi go tak bardzo, że to już nie jest podobieństwo – to coś więcej. W twoich ciemnych oczach jest ta sama podświadoma tęsknota, która mnie porażała, ten kobietożerczy głód, który mnie fascynował; i tu, w tym tłumie, zobaczyłam te same oczy, jakie miał pod maską chirurga, kiedy widziałam go, jak operował w klinice. Oczywiście, Charles, że to nie powinno mi wystarczać, ale spójrz na mnie:

ręce wiszą mi bezładnie, zamknęłam wreszcie książkę, dyskretnie spoglądam spod grzywki, i prawie zapominam, że ty jesteś tylko jego pierwszą, udaną, o trzydzieści lat młodszą kopią.

Trzydzieści lat – mnie i twojego ojca dzieli prawie taka sama przepaść, a przecież byłam jego kochanką, i kochałam go z totalnym zaślepieniem, z żarem, który rozniecał moje uwielbienie i wdzięczność. Płonęłam jak draska i dziś nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że któregoś dnia mogłabym cię spotkać na imprezie u wspólnych znajomych, wypalić z tobą skręta i zobaczyć, jak twoje oczy zasnuwają się mgłą, tak jak mgliły się jego oczy, dowiedzieć się, co cię śmieszy, a na koniec histerycznie jęknąć, tracąc dech w twoich łakomych słodkich ustach, tak dobrze mi znanych. Całkiem zwyczajnie i normalnie mogłabym być twoją dziewczyną, przychodzić po ciebie co wieczór pod szkołę – to by się przecież mogło zdarzyć. Jestem dla ciebie tylko troszkę za stara, akurat dość, by ci pokazać wszystko i pozostawić w tobie ślad na zawsze, ale z perspektywy moich dwudziestu lat czuję się teraz, jakbym była o dwie dekady starsza. Nie uznałbyś za nazbyt logiczne ani wiarygodne, gdybym ci powiedziała, że słyszałam o tobie tak wiele od twojego ojca, iż w moich oczach stałeś się właściwie bezpłciowym dzieckiem. Gdybym cię teraz pocałowała, co mi się często śniło, na co mam straszliwą chęć, byłby to gest olbrzymiej rozpacz. Jesteś synem mężczyzny, którego nie potrafię zapomnieć, a twoje pocałunki bez wątpienia wywołałyby ten sam skutek, co metadon, przepisany jako ostateczność uzależnionym od heroiny – gdybyś wiedział, jak bardzo szukałam tych Prawie, tych Nie Całkiem, tych Tak Ale Jednak Nie. Wyobraź sobie, czym jesteś dla dziewczyny, która zapychała się niedoskonałymi kopiami twojego ojca. Mam cię tutaj, naprzeciwko, w odległości kilku centymetrów, schwytanego na chwilę, cichego, spokojnego jak wszystkie nastolatki, których oczy nie zaznały jeszcze brudu i mocy pożądania, których oczy szukają jeszcze po omacku – i przypominam sobie jego oczy. Jasne, że nie może mi to wystarczyć.

Cześć Charles, mam na imię Ellie, nie rozmawiałeś ze mną nigdy i z pewnością już nigdy mnie nie spotkasz, ale potrafię wymienić imiona wszystkich członków twojej rodziny, i chociaż cię nie znam, to ponieważ widziałam twojego ojca, którego jesteś niesamowicie wierną kopią, ponieważ tak mocno trzymałam go w ramionach, to nie znając cię, znam cię tak dobrze... Głupi żart, nie? Albo scena z filmu Truffaut. Dziewczyna wsiada do tego samego metra, co syn jej kochanka. Rozpoznaje go; zna jego twarz z tych wszystkich rodzinnych fotografii, które tyle razy oglądała. To mógł być ktokolwiek inny, ale to jestem ja. To do mnie twój

ociec przychodził we wtorek rano, kiedy wy wszyscy szliście do szkoły; głaskał was po waszych kochanych główkach, ale myślał już o mojej głowie. Ja, totalna przeciętność w jeansach Bensimona, z włosami związanymi w zwyczajny kucyk. Ta głowa. Te ręce, które potnieją na kieszonkowym wydaniu książki, w gęstym powietrzu paryskiego metra, ale które jeszcze kilka miesięcy temu, tak, Charles, zaledwie pół roku temu, wbijały się paznokciami w patrycjuszowską skórę innych władczych dłoni – tych, które czułeś za plecami, kiedy po raz pierwszy jechałeś na rowerze alejkami Ogrodu Luksemburskiego. Nie masz o tym zielonego pojęcia i patrzysz na mnie tak, jak patrzysz na wszystkie dziewczyny, a przecież niewątpliwie jestem osobą, którą gardziłbyś najbardziej na świecie, gdybyś wiedział, że chciałabym wślizgnąć ci się do kieszeni i spędzić wieczór przy waszym stole, blisko niego, choćby nawet zupełnie nic się nie działo. Żeby tylko zrozumieć. Żeby tylko go zobaczyć. Na moment przyłączyć się do tych świętych chwil, do których ty sam nie przywiązujesz najmniejszej wagi, do waszych rozmów podczas posiłków, do zapachu pocałunków, którymi was obdarza, kiedy idziecie spać, do rzeczy bez znaczenia, jak pierwsze słowa, które rzuca, wracając wieczorem do domu. Te ulotne momenty, ramy waszego codziennego życia, to dla mnie tajemnica, bajka, luksus, na jaki nigdy nie będę mogła sobie pozwolić – bo ani całe złoto świata, ani żadne sztuczki nie dadzą mi nawet tych pięciu minut przy stole z wami wszystkimi. Pięć minut waszego wygodnego i spokojnego życia, codziennej kolacji, ty stawiasz się ojcu, a on, wciągnięty w dyskusję aż przestaje jeść, twoja piękna matka wygląda na znudzoną męskimi kłótniami, twoi czterej młodszy bracia wahają się, po której stronie stanąć – a ja, w kąciku, pozeram was wzrokiem jak najlepszy film świata, nieprzyzwoicie opychając się wizjami i zapachami, i te duchy przywołam później, gdy będę sama. Myślę o tym jak onanizujący się nastolatek, nieustannie przygnieciony poczuciem winy.

Na stacji Châtelet rzucił w moją stronę ostatnie spojrzenie spod długich czarnych rzęs i odwrócił się, a potem ruszył do wyjścia. Obserwowałam jego smukłą postać tak długo, aż wmieszła się w tłum anonimowych ludzi, ledwie widoczna, kierująca się w stronę linii numer 4, by później wynurzyć się na wyspie Saint-Louis. Drzwi, numer, klucz, żeby wejść do dużego rodzinnego apartamentu, gdzie matka właśnie wypytuje Adama o to, jak minął mu dzień w szóstej klasie. Pan wróci około dziewiątej wieczorem, już po kolacji. Ale dzieci będą walczyć o jego uwagę na tysiące sposobów, natkną się na niego, kiedy będą szły myć zęby, przyjdą do niego, żeby po raz ostatni po ojcowsku na nie spojrzeć, na

dobranoc. A Charles zaśnie, nie zachowując o mnie żadnego wspomnienia, choć mnie wagon metra, od chwili, gdy z niego wysiadł, wydał się przeraźliwie pusty.

Płacz. Krzycz. Śmieję się. Gwiżdż. Wracaj do swojej książki.

Broda zaczęła mi się trząść jak małej dziewczynce, która dostała po łapach. Postawiłam kołnierz, wysoko, pod sam nos, i aż do stacji Nation w rytm opatrnościowej *Barkaroli* Offenbacha szlochałam żałośnie, wtulona w płaszcz i zasmarkana po uszy. Wydawało mi się, że to najlepsze, co mogę zrobić.

Księga I

Boże, jaka ty byłaś śliczna wczoraj wieczorem przy telefonie!

Sacha Guitry, *Elles et toi*

Kwiecień

Lolita Nabokova. Oto książka, która poprowadziła mnie do zguby. Kiedy to teraz analizuję, nie znajduję żadnego innego winowajcy w mojej bibliotece. Przegryzłam się przez Sade'a, przez Serpieriego i Manarę, przez Mandiargues'a, przez Pauline Réage, ale to nie przez nich nabawiłam się tej rozwiązłości, która rzuciła mnie w ramiona Pana. Teraz widzę to wyraźnie. Trzeba było mnie trzymać z dala od tej starej, pożółkłej książki, która, ot tak, leżała sobie w salonie. Dowiedziałam się z niej, że istnieje specyficzny gatunek mężczyzn, typ znudzonych światowców, którzy zwracają wzrok i siwiejące skronie w kierunku młodych dziewcząt. Zrozumiałam, jak rodzi się pożądanie ciała, które nie jest już ciałem dziecka, ale jeszcze nie jest ciałem kobiety. Pojęłam, jaki jest ich krzyż, jaką muszą mieć siłę, by nieść go bez końca po drogach usłanych nimfetkami. Nauczyłam się odczytywać z ich imponujących brwi odpowiedzialnych mężczyzn silną skłonność do rozpusty, uwielbienie dla tego bóstwa o sterczących piersiach, o rozwianych włosach, które nazwali Lolitą.

Lolita. Wymagająca ponad wszelką miarę, absorbująca i zazdrosna, zaangażowana w niekończącą się (i z góry wygraną) walkę z wszelkimi samicami rodzaju ludzkiego, nad którymi króluje z wysokości metra czterdziestu swoją jedną skarpetką, swoimi długimi smukłymi kończynami. To ciekawe, że realna nimfetka narodziła się dokładnie w wieku, w jakim Nabokov swoją uśmiercił (czy też raczej wysłał do liceum, co uznał za gorsze niż śmierć): lat piętnaście. Mężczyźni, o jakich mowa, zazwyczaj idą przez życie pewną i prostą drogą, w ultrapoważnych butach i garniturach, ale padają na kolana przed tymi Kochaniatkami z przyczyn, które nie muszą być złe, choć dla przeciętnego człowieka są odrażające. Z powodu gładkiej skóry. Z powodu pośladków i piersi, które mają w pogardzie prawa Newtona. Z powodu zabójczej niewinności. Z powodu naiwnie bezwstydnich palców i wzruszająco małych dłoni, którym udaje się, Bóg wie jakim cudem, zawierać w sobie pozorny niepokój, którym manipulują z dziecięcą jeszcze bezczelnością – wyobraźcie sobie przy tym, że nie miały w dłoniach nic większego niż migdałowe magnum (widać łakomstwo w tym, jak biorą je do ust). Z powodu tych spojrzeń jak harpuny, rzuconych beładnie i bezinteresownie. Z powodu postanowienia, by w kontakcie

z mężczyznami wychwytywać ich rozkochany wzrok na ulicy, podczas rodzinnych obiadów, przy ojcowskiej piersi, wszędzie, bo ciekawość pozbawia je wszelkiego wstydu, a co za tym idzie wszelkiej grzeczności. Tak, wiem wszystko o fascynacji mężczyzn tym stworzeniami – ale za czym gonią nimfetki? Co je odpycha od długowłosych młodzików, a ciągnie do pościeli i wyperfumowanych ramion demonicznych kopii ich ojców? Nabokov nigdy nie wspominał, co mogło się dzieć w głowie małej Lo, kiedy usiadła na kolanach Humberta Humberta tamtego letniego poranka. Ani dlaczego podskakiwała mu na kolanach, z majtkami na wierzchu, i świergotała bez ustanku, gryząc jabłko, a jej karygodny adorator starał się dyskretnie pohamować niemal nastoletnie emocje. Zabrakło mi tej równoległej narracji, możliwości dowiedzenia się, co by się stało, gdyby do głosu dopuszczono Lolitę. Nie szukając usprawiedliwień – które zresztą wydają mi się zbędne – sądzę, że ja sama po raz pierwszy wskoczyłam do łóżka czterdziestoletniego mężczyzny z przyczyn epistemologicznych. Nie liczę tu niemal przypadkowego incydentu z pewnym przedsiębiorcą, gdy miałam piętnaście lat, bo są mężczyźni, i są czterdziestolatkowie. Tym, którzy uważają, że to niewielka różnica, okrutnie brakuje finezji – mogłoby się wydawać, że nimfetki osiągają ultrawysoki poziom analizy, którą to umiejętność bezspornie później tracą, ale żadna z tych, które znałam, nigdy nie pomyliła owych dwóch typów. Nimfetki i czterdziestoletni mężczyźni, jakimś cudownym zrządzeniem losu, stają się dla siebie bóstwami.

Ten mężczyzna – jakże on się nazywał? – choć nie zostawił mnie rano martwej z rozkoszy, miał dość wycucia, by nie zrazić mnie do innych jemu podobnych. Posunę się dalej, twierdząc, że to jego obojętność i jego całkowity brak namiętności skłoniły mnie do dalszych poszukiwań. Może byłam zbyt wymagająca; może za bardzo przywiązana do dokładnej realizacji moich dziewczęcych wizji – mnie, uległej jarzmu, rękom i słowom profesora w idealnym wieku, ciekawego i biegłego w dowolnych działaniach, na jakie pozwoliłoby mu moje ciało. Nie chciałam mieć nic do gadania – i prawdę mówiąc, nie wypowiedzieliśmy ani słowa aż do czwartej, kiedy zmęczyło mnie już żalosne widmo jego fiuta, tak odległe od wspañałych podniet, które wypełniały moją wyobraźnię. I zaspokajając go silną dłonią, zdałam sobie sprawę, że dzięki Bogu, lista tych, którzy mogliby złożyć mi właściwe hołdy, była dłuższa niż list do Świętego Mikołaja; uśmiechnęłam się szeroko, gdy wytrysnął, myśląc już, ilu samców, choć nie byli mi zapisani, z pewnością, podświadomie na mnie czekało. Następnego dnia, kiedy wykończona brakiem snu dreptałam

w kierunku metra, zdałam sobie sprawę, że nie dowiedziałam się niczego więcej ponad to, co już wiedziałam, kiedy przychodziłam tam poprzedniego dnia. Bo zawsze byłam świadoma, że starsi mężczyźni mogą mieć problem ze wzrodem. To nie miało nic wspólnego z psychologiczną ekscytacją, jakiej się spodziewałam, ze słowami, o których marzyłam, i nie zauważyłam w tym ciele demonicznych oznak tej niedojrzałej jeszcze dorosłości, bardziej niedojrzałej, niż gdyby miał dwadzieścia lat. Tchórzowsko nie odbierałam telefonu, gdy wyświetlał się jego numer, i po kilku tygodniach ciszy pełnej poczucia winy, a potem złości, dostałam lapidarną wiadomość: „Zmęczyło mnie bieganie za tobą, Ellie. Nie bawimy się w Lolitę – zresztą jesteś już za stara na tę zabawę, a i ja nie mam ochoty być Humbertem Humbertem”.

Nie rościłam sobie praw do tego tytułu, zanim mi go odmówiono.

Nie znałam Pana. Nie życzyłam mu niczego złego – ani niczego dobrego; miałam go w nosie. Słyszałam o nim tysiące razy w czasie obiadów z moim wujem Philippem – siłą rzeczy, bo zanim jeszcze zostali przyjaciółmi, byli kolegami, a jego imię dosłownie zajeżdżało mi szpitalem.

Nie znałam Pana.

Szczerze mówiąc, to wszystko zaczęła moja matka. Było to w lutym tego roku; nie narzucając się nikomu, szłam na górę z mojego pokoju w suterenie, pod pachą miałam swoją biblię (*Mechanika kobiet* Louisa Calaferte’a), w nadziei, że znajdę jakieś zbawienne zajęcie na czas strajku studenckiego. Trudno wyczuć, co miała na myśli mama, gdy wymieniła imię tego chirurga, mówiąc, że jej zdaniem to jedyna osoba oprócz mnie, której mogłyby się podobać takie literackie świństwa. „To maniak” – powiedziała. Początkowo wykazałam tylko uczciwą obojętność, zresztą kolega Philippe’a, maniak czy nie, to był świat całkiem niedostępny dla dziewczyny takiej jak ja. Słabo sobie wyobrażałam, że wpadnę do kliniki z notatkami pod pachą, żeby pogadać o erotyzmie z facetem, który ma czterdzieści pięć lat.

Czterdzieści pięć lat.

Czterdzieści. Pięć. Lat.

Trzeba było kilku miesięcy tej chorej nudy, żeby narodził mi się nieśmiały pomysł spotkania z tym człowiekiem. Powtarzałam sobie jego nazwisko jakby dla zabawy i zaskoczyło mnie, że z czasem zaczęło robić na mnie całkiem inne, wyjątkowo sprośne, wrażenie. Wpisałam jego imię i nazwisko w wyszukiwarkę na Facebooku i gapiłam się na jedyny wynik, jaki wyskakiwał – przekonana, że muszę znaleźć dobry pretekst, by dodać

go do znajomych. Chciałam podstępem przedostać się do jego świata uzbrojona w niezawodny pretekst – literaturę, która niczym urokliwy koń trojański kryła w swym zdradzieckim wnętrzu moją wersję Lolity, nieco przejrzałej może, ale pełnej najlepszych chęci. Chęć wiedzy, dowiedzenia się o nim wszystkiego, swędziała mnie jak ugryzienie komara; dwa, trzy podchwytliwe pytania skierowane do Philippe’a pozwoliły mi odkryć, że kiedy byłam mała, spotkałam tego sławetnego C.S. kilka razy na korytarzu kliniki, gdy szedł do swoich pacjentów. I po torturach pamięci, żeby wydobyć z niej jakieś wspomnienie, nagle znalazłam się na urodzinach mojego wuja sprzed dwóch lat; przez cały wieczór pałętałam się wśród starych i go nie zauważyłam, nie zauważyłam człowieka, którego sprzedano mi jako maniaka, który czytał te same książki co ja, tylko jakieś dwadzieścia pięć lat wcześniej. Dwadzieścia pięć lat – to przepaść. Dwadzieścia pięć lat pieszczona ciał różnych kobiet, omijania prokreacyjnego celu stosunku, podczas gdy ja, niewiniątka, uczepiona byłam jeszcze matczynej piersi. Czy powinnam też wspomnieć o związku, jaki łączył Pana z moją rodziną, związku cienkim, ale mocnym jak nylonowa nić, i tak samo ostrym? Dwudziestoletnie dziewczyny mają głowy pełne nieprawdopodobnych scenariuszy, równie romantycznych, co niekonsekwentnych – była sobie studentka i chirurg, ona nie umiała nic, on znał się na wszystkim, a pośrodku tego wszystkiego wuj, nieświadomy rozgrywającego się dramatu (a gdyby się dowiedział, ta erotyczna historia bez wątpienia zmieniłaby się w racine’owski dramat!).

A więc, nie bardzo wiedząc jakim cudem, wpakowałam się w to wszystko w marcu tego samego roku. Nie starałam się nawet wyobrazić sobie twarzy Pana z jednego prostego powodu – zaczął być częścią składową moich seksualnych wizji. Taka jest prawda. To, że był chirurgiem, że miał te same skłonności co ja, że na dodatek był żonaty i że był ojcem rodziny oczywiście wystarczająco wyróżniało go z tłumu, ponieważ wszystkie te cechy umieszczały go w świecie równoległym, świecie Ludzi Dorosłych (tych prawdziwych; bo to przesada przyznawać ten status osobnikom w moim wieku). Część składowa to właściwie nie jest dobre pojęcie; powiedzmy sobie szczerze, że już sama myśl o Panu podniecała mnie ponad wszelką miarę i nie trzeba było go fizycznie do nikogo upodabniać (niechby tylko nie był obrzydliwy). A teraz, kiedy piszę te słowa, słyszę niemal jego oburzenie, tę teatralną manierę w jego głosie: „W sumie wzięłabyś jakiegokolwiek oblechę”. A ja odpowiedziałabym, że pewnie tak. Ale Pan może być spokojny: ciąg dalszy naszej historii dość dobrze pokazuje, że pułapka była dopracowana

w każdym calu.

Któregoś dnia poczułam się zmęczona tym krążeniem wokół niego, choć on nie miał o tym bladego pojęcia; był kwiecień. Rozdygotany kwiecień. Pylily kasztany, a ja zdychałam z nudów. Strajk trwał, nie spotykałam się z nikim – zbliżała się wiosna, wszyscy moi przyjaciele musieli chodzić na jakieś zajęcia, a ja spędzałam całe dni, leżąc na tarasie, na słońcu, konając z chęci widywania się z ludźmi, spotkania mężczyzn, poczucia – bo ja wiem – jakiejś gorączki, ekstazy, namiętności, czegokolwiek, co by nie było tym nieustającym, morderczym letargiem. Ta sprawa tak długo chodziła mi po głowie, aż zrozumiałam coś dziwnego: ja po prostu czekałam, przyczajona w cieniu, na właściwy moment, żeby objawić się Panu.

Dobry wieczór,

nie sędzę, żeby pan wiedział, kim jestem, i założyłabym się o stówkę w tej sprawie, choć był pan tak miły i dodał mnie do znajomych – mój wuj to Philippe Cantrel, który jeszcze niedawno prowadził praktykę w klinice. Dowiedziałam się od niego, że jest pan wielbicielem Bataille'a i Calaferte'a – i przyznam, że jestem żywo zainteresowana ludźmi, którzy przeczytali i polubili *Mechanikę kobiet*, czuję się mniej samotna!...

Do rzeczy więc, mam na imię Ellie, mam dwadzieścia lat, studiuje literaturę i pisuję do erotycznego czasopisma literackiego. Dowie się pan tego, przeglądając mój profil na Facebooku – ale uważam za właściwe przedstawić się choć trochę.

Nie wątpię, że jest pan człowiekiem zajęтым, niemniej jednak gdyby miał pan kiedyś czas wyjaśnić mi w paru zdaniach, co się panu podobało u Calaferte'a, byłabym bardzo szczęśliwa. Sama zajmuję się obecnie redagowaniem *Mechaniki mężczyzn*, i każda opinia jest dla mnie bardzo cenna.

Życzę panu miłego wieczoru

Ellie

Przypominam sobie, że w tamtym czasie objawił się u mnie cień egoistycznego lęku o zasady, jakich Pan – o czym miałam się przekonać później – i tak nie przestrzegał. Wyobraziłam sobie, jak Philippe, dowiedziawszy się o moich podstępnych manewrach od swego zaszokowanego kolegi, pieni się przez telefon: „Co ci przyszło do głowy, żeby podrywać faceta w tym wieku? Poczekaj, powiem o tym twojej matce, zobaczysz, co na to powie!”.

A ja, blednąc i czerwieniąc się, pocąc się jak ostatni łajdak, który czuje, że pętla zaciska mu się na szyi: „Jak to? Podrywać? Chciałam tylko porozmawiać o literaturze erotycznej!”.

Wy tłumacz, Ellie. Wy tłumacz temu facetowi, który ci zmieniał pieluchy, a potem krzywym okiem patrzył na twoich pierwszych kawalerów, gdzie biegnie ta cienka granica pomiędzy dyskusją o *Historii O* a bezwstydnym flirtowaniem z jakimś mężczyzną. Philippe przejrzałby te wykręty. Odpowiedziałby ostrym tonem, który cię zawsze przerażał: „Bierzesz mnie za debila? Myślisz, że facet umie zobaczyć różnicę między literaturą erotyczną a możliwością pobzykania?”.

Bo rzeczywiście, skoro różnica między tymi dwiema rzeczami jest tak subtelna, to może po prostu jej nie ma: nie byłam aż tak głupia, żeby sądzić, że sama miłość do literatury zmotywuje Pana, by mi odpowiedział. Chciałam zobaczyć. Porównać jego skrupuły z moimi własnymi. Sprawdzić możliwości swoich dwudziestu lat, dowiedzieć się, czy więzi małżeńskie i dzieci cokolwiek znaczą. I, w ramach totalnego braku zasad, miałam straszliwą ochotę wysyłać uwodzicielskie notki z zapewnieniem o swojej najwyższej dyskrecji, aby tylko zgodził się pokazać mi, czym jest prawdziwy mężczyzna, taki, który potrafi wypełnić sobą i ciało, i głowę.

Pan

Ellie,

ja też jestem zaskoczony na wieść, że ktoś, kto ma dwadzieścia lat, może interesować się takimi autorami. Nie pamiętam zresztą, bym opowiadał Philippe'owi o tych moich zainteresowaniach kulturalnych. Szalenie lubię literaturę erotyczną. Mam całkiem niezłą kolekcję dzieł André Pieyre de Mandiargues'a. To, oprócz pracy, moja prawdziwa pasja.

Możemy się spotkać i porozmawiać o tym, kiedy tylko zechcesz.

Do jakiego czasopisma pisujesz?

(Wolę, żebyśmy mówili sobie na ty).

Do zobaczenia.

Początkowo nie mówiłam o tym nikomu. Zachować tajemnicę to jak nosić niespodziankę w kieszeni i powstrzymać się od mówienia o niej głośno. A potem, tego samego wieczoru, kiedy Pan mi odpowiedział, przyszła do mnie na noc Babette. Do końca życia będę pamiętać jej uważnie zmarszczone brwi, gdy czytała te dwa pierwsze mejle, skrupulatnie analizując każde słowo – a ja, wisząc jej nad ramieniem, przedstawiałam swoje wrażenia, swoje wątpliwości.

– Nie, no serio, Babette. Serio. Sądzisz, że on ma to na myśli?

– Jasne.

Uzyskawszy bardziej potwierdzenie niż zapewnienie, argumentowałam jeszcze:

– Zauważ, że ja mu tylko zasugerowałam mejlową rozmowę. To on zaproponował, żebyśmy się zobaczyli.

– To znaczy, że jest walnięty – dodała Babette tonem detektywa.

– Walnięty? Może bez przesady? Ale gdyby chciał tylko porozmawiać o literaturze, napisałby „jestem zaskoczony” albo „rzadko spotyka się ludzi, którzy czytają Mandiargues’a”.

– Sądzę, że on ma to na myśli.

– Co mam zrobić?

– Nie mam pojęcia. A co chcesz zrobić?

Byłyśmy w moim pokoju w Nogent. Zapaliłam fajkę i odpowiedziałam:

– Tak ogólnie? Chcę się z nim spotkać, porozmawiać.

– Porozmawiać z nim?

Babette uniosła brwi z powątpiewaniem.

– Rozumiem, jakie zalety ma literatura erotyczna, ale trudno będzie o serdeczny układ z mężczyzną, jeśli zaczniesz z nim na ten temat gadać.

– Pytałaś, czego chcę... ogólnie.

– Przede wszystkim chcesz wiedzieć, co w nim siedzi.

– Jest żonaty, ma pięcioro dzieci, ma czterdzieści sześć lat, był kolegą mojego wuja. Jeśli sytuacja zrobi się naprawdę dwuznaczna, to będzie znaczyło, że facet ma jaja.

– Albo że jest zбочeńcem.

Patrząc w skupieniu na klawiaturę komputera, odpowiedziałam Babette, która od niechcienia przeglądała jedno z kiepskich wydań Bataille’a:

– A co to jest zboczenie? Moim zdaniem to zdolność do znajdowania przyjemności wszędzie tam, gdzie się kryje. Nie znam wielu mężczyzn, którzy szukają jej w książkach. Zwłaszcza w takich książkach, na takim poziomie. Warto zaryzykować. Przynajmniej tak mi się zdaje.

Ellie

Dobry wieczór,

jeśli woli pan, żebyśmy mówili sobie po imieniu, będę się starała – jednak nie wiem, czy to z powodu mojego wychowania, czy z kokieterii – przyznam, że żywię pewną sympatię dla archaicznego uroku zwracania się *per* pan: wie pan, stosowania tej gustownej formy trzeciej osoby.

Niedawno napisałam tekst do literackiego pisma erotycznego, stworzonego przez mojego przyjaciela, pod nazwą „Rozpusta”. Do tej pory wyszły trzy numery. Rozchodzi się ono dość dyskretnie, jest więc duże prawdopodobieństwo, że nigdy pan o nim nie słyszał.

Byłoby mi bardzo miło spotkać się z panem jakoś w tygodniu, jeśli pańska praca na to pozwoli; jeśli chodzi o mnie, mam mnóstwo czasu, bo mój wydział od dawna strajkuje i na razie nie zamierza przestać.

Spodziewam się, że nie siedzi pan stale na Facebooku, więc daję panu mój numer telefonu, tak będzie prościej: 06 68...

Do zobaczenia, mam nadzieję wkrótce,

Ellie

**(następnym razem przejdziemy na ty, obiecuję)
(albo i nie)**

Pan

Ja też lubię formę trzeciej osoby, zwłaszcza z wyboru, i rzeczywiście, dodaje to kontaktom oficjalności... co zresztą także mi się podoba... Ty jest odruchem, Pan – wyborem.

Postaram się znaleźć „Rozpustę”... i poczytać panią, zanim panią zobaczę... Żeby mieć jakieś pojęcie o pani... wrażliwości.

Mój numer 06 34..., a mój e-mail ***.**

Zadzwoń do pani wkrótce.

Do zobaczenia.

– Nie chcesz chyba iść do łóżka z tym facetem?!

Alice po lekturze listów rzucała przerażone spojrzenia – a ja zupełnie się nie spodziewałam tego przerażenia. A może jednak, może trochę. Może i miałam kiedyś podobne skrupuły – ale nie bardzo pamiętam kiedy.

– No coś ty! – odważyłam się zawołać, patrząc na białka jej wywróconych oczu, z pewnością siebie, którą łatwo można było zachwiać.

– No, nie zakładałabym się.

– Ale on ma to na myśli, nie?

Być może Alice odczytała nadzieję z mojego spłoszonego spojrzenia. Bo natychmiast wydała długie dziewicze westchnienie:

– Ty masz to na myśli.

– Ale on też! I zapewniam cię, że nie zamierzam się z nim przespać tylko dlatego, że on ma na to ochotę.

– Jeśli nie masz takiego zamiaru, to po co robisz takie czytelne aluzje?

– Nie robię żadnych aluzji. Nawet najmniejszych. Ja tylko piszę o literaturze erotycznej, dobra, może to jest tendencyjne, ale gość czyta te same książki co ja. To, że mu opowiadam o swoich gustach, nie ma nic w wspólnego z propozycją, żebyśmy się poszli pieprzyć.

– Jasne, bo ty nie możesz interesować się sportem ani zwierzątkami.

Zamilkłyśmy, siedząc po turecku na moim łóżku. Tak bywa, gdy moją siostrę oburza moje zachowanie. Patrzyłyśmy pod nogi, z fajkami w dłoniach, a muzyka, która grała gdzieś z tyłu, tworzyła zgrabne tło. Nigdy nie obawiałam się, że definitywnie stracę siostrę – przekonać ją do czegoś jest tak samo łatwo jak mnie, i ma takie poczucie humoru, że wystarczyłoby znaleźć w tej historii z chirurgiem cokolwiek zabawnego, by się to udało. Kłopot polegał na tym, że przynajmniej na razie nie widziałam nic śmiesznego w tej sytuacji. Łatwość złowienia tego człowieka wydawała mi się zabawna, ale nie wykluczałam hipotezy, że jestem jedyną osobą, którą to bawi. Nagle odezwała się:

– Tak czy owak, dobrze wiem, że to zrobisz. Nie ma sensu zaprzeczać.

– To mnie nie pytaj.

I znowu zapadła kłopotliwa cisza. Alice niewątpliwie mnie nienawidziła, ale pociągała za wszystkie sznurki siostrzanej miłości, żeby mnie mimo wszystko ochronić; jeśli zaś chodzi o mnie, idealną egoistkę,

szukałam tylko dość dobrego kłamstwa albo argumentu nie do odparcia. Mogłam jej przysiąc, że nie tknę tego faceta, ale ta historia, chcąc nie chcąc, właśnie zaczynała się rozwijać, a ja nie umiałam nigdy powstrzymać się od tego, żeby opowiadać jej najdrobniejsze szczegóły. To silniejsze ode mnie. Więc, po tym rozbiegu, jak przed skokiem na bungee, rzuciłam:

– On mnie interesuje. OK? To złe, niemoralne i nikt o tym nie powinien wiedzieć, ale prawda jest taka, że on mnie intryguje. Nie wiem jeszcze, czy pójdę z nim do łóżka, ale jest całkiem możliwe, że to zrobię, jeśli trafi się okazja. Więc, proszę bardzo, opieprz mnie.

Alice, ze swoją klasyczną miną pod tytułem Poddaję Się, Ale Strasznie Mnie To Wkurza, mruknęła:

– Jeśli Philippe się o tym dowie...

– A niby jakim cudem Philippe miałby się o tym dowiedzieć? A poza tym chciałabym zauważyć, że to on zaproponował, żebyśmy się spotkali. I to on mnie podrywa.

Ellie

Dobry wieczór,

w załączniku przesyłam moje dzieło. W ten miły sposób chcę oszczędzić panu szukania „Rozpusty” w nieskończoność, zwłaszcza że mój tekst znajduje się w pierwszym numerze – dziś to już zresztą z pewnością biały kruk, ale przyniosę go panu, jeśli pan zechce. Chcę tylko podkreślić, że to mój pierwszy tekst, raczej naiwny – ale to jedyny komentarz, na jaki sobie pozwolę, bo żywe są we mnie jeszcze emocje z dnia, w którym po raz pierwszy trzymałam to pismo w dłoniach. Duma totalna. Moja rodzina udawała, że nigdy nie słyszała o „Rozpuście”, a ja widziałam, że jeden egzemplarz jakimś cudem jednak przemieszczał się z pokoju do pokoju. Mój wuj nie rozumiał, że narratorem był mężczyzna i długo musiałam walczyć, żeby przestał uważać mnie za lesbijkę...

Jeśli zaś chodzi o mówienie *per* pan, chciałabym, by pan wiedział, że absolutnie nie miałam zamiaru powstrzymać pana przed zwracaniem się do mnie *per* ty. Proszę mówić tak, jak pan ma ochotę, może pan nawet zmienić zdanie w trakcie naszej znajomości. Stworzyłam zresztą erotyczną teorię dotyczącą sposobu wysławiania się (która bawi być może tylko mnie) i z przyjemnością szczegółowo ją panu przedstawię, kiedy będzie pan miał na to ochotę.

Pozostaję zatem do pańskiej całkowitej dyspozycji.

Pan

Dziękuję, że tak miło pozwoliła mi pani uniknąć poszukiwań... Ale chciałbym jednak dostać egzemplarz... z dedykacją.

Jestem zdumiony... Pani ma dwadzieścia lat?... Cóż pani czytała, cóż przeżyła? Chciałbym wiedzieć, jakim cudem to wszystko przyszło pani do głowy. To nie jest takie naiwne... w każdym razie nie zawsze... Bardzo szybko przechodzi pani od „muszelki” do „cipki”...

Intryguje mnie pani. A pani wuj nie zrozumiał, że Lucie to pani?... Może na szczęście...

Proszę mi opowiedzieć o swojej erotycznej teorii wysławiania. George Steiner, w niedawnym tekście zatytułowanym, o ile pamiętam, *Książki, których nie napisałem*, stworzył rozdział na ten temat. Mówi w nim raczej o zmianach zabarwienia erotyzmu w zależności od języka.

„Całkowita dyspozycja” to dużo, ale bardzo mi się to podoba. Podoba mi się też „w trakcie znajomości”.

Do zobaczenia

PS Nie mogę oprzeć się pokusie przesłania pani tego wiersza Baudelaire’a, jego tytuł to Klejnoty.

**Nagą była najdroższa. Mejrządy powolna
Zachowała klejnotów jeno błyskawice
Wiedząc, jak barw muzyka upoić mię zdolna
Przypominając dumne Maurów niewolnice.**

**Gdy w tańcu pobrzęk ciśnie – szyderczy, stalowy –
Ten tłum połyskujący od blach i kamieni,
Coś mię porywa! Nurt krwi w serce bije nowy,
Kiedy dźwięk ze światłością się brata i mieni.**

**Iskrząc się więc leżała, rozświetlając łożę,
I ze stosu poduszek uśmiechem wabiła
Miłość moją głęboką, pieściwą jak morze,
Co je wybrzeża ciągnie tajemnicza siła.**

**Wzrok jak w poskromionego utkwivszy tygrysa,
Rozmarzona, leniwe odmieniała pozy –
A pełność róży, zлана z świeżością irysa,
Nowym czarem zdołała te metamorfozy;**

**Jej ramiona, jej nogi – biodra w upojeniu
Własnej chwały – i fala łabędziego łona
Płynęły przed oczami jak w jasnowidzeniu;
I jej brzuch, i jej piersi – mej winnicy grona –**

**Szły ku mnie, pieśczośliwsze od Aniołów Złego,
Aby zamącić spokój w starganym sumieniu
I duszę mą ze szczytu zwlec kryształowego,
Gdzie, spragniona pokoju, legła w ukojeniu.**

**Zdawało się chwilami, że kaprys zuchwały
Biodra Antiopy z torsem powiązał efeba,
Tak się bujnie jej lędźwie w kibić przelewały
– Na smagłym ciele szkarłat lśnił zachodu nieba! –**

**Że lampa cicho zgasła w wyczerpaniu sennym,
Tylko kominek izbę oświecił ognistą;
Ile razy westchnieniem wybuchał płomiennym,
Krwią nasycił tę skórę jak ambra złocistą¹**

¹ Charles Baudelaire, *Kwiaty zła*, przeł. Bohdan Wydzga, Warszawa 1958.

Ellie

Kwiaty zła, no, mój panie! Świetny strzał! Dlatego właśnie lubię czytać: dla takich cudów.

Jeśli chodzi o moją teorię dotyczącą zwracania się *per pan*, słowo „teoria” jest może zbyt mocne. Powiedzmy raczej, estetyka zwracania się *per pan*, którą rozwinęłam w trakcie dorastania. W wieku, gdy zaczęłam interesować się mężczyznami, zauważyłam, że w używaniu trzeciej osoby jest coś niezwykle, zachwycająco wdzięcznego, rodzaj napięcia, które powoduje, że stosunki są nie tyle oficjalne, jak *pan to ujął*, ile raczej dwuznaczne. I zachowywanie przez jakiś czas tej zbędnej w sumie grzeczności powoduje przy przejściu na *ty* zauważalną zmianę. Ponadto paradoks związany ze stosowaniem trzeciej osoby jest smakowity. Użycie formy „*pan*” w pewnych kontekstach jest nadzwyczaj nieprzyzwoite. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno, jestem dziś trochę zmęczona...

Pytania, które zadaje mi *pan* w pierwszym mejlu, są kłopotliwe. Cóż takiego widziałam, coż przeżyłam... i mało, i wiele zarazem. Dość, jak sądzę, żeby napisać to, co *pan* mógł przeczytać. Zbyt mało, żeby od pierwszych linijek używać słowa „*cipka*” – choć dziś, gdy mam dwadzieścia lat, a nie osiemnaście, jak w chwili pisania tego tekstu, myślę, że nieco lepiej posługuję się piórem. Przynajmniej mam nadzieję. Szkoda byłoby tak kochać słowa i nie umieć ich używać...

Co przeżyłam... skoro o to pan pyta, to uważam, że nie trzeba znać wielu mężczyzn, żeby o nich pisać. Calaferte miał blisko sześćdziesiąt lat, kiedy napisał *Mechanikę kobiet*, i nawet jeśli nie wydaje mi się, by spędził wiele czasu we własnym łóżku, zauważyłam w jego interpretacjach wiele niezręczności, które sprawiają, że jego dogłębna znajomość kobiet wydaje się nierówna. Przypominam sobie na przykład fragment, w którym każe powiedzieć kobiecie coś w rodzaju: „Gdybyś nie przyszedł, wzięłabym pierwszego lepszego. Po prostu chuja”. Otóż w moim wieku i z moim doświadczeniem (ilekolwiek byłoby ono warte), jestem głęboko przekonana, że kobieta nigdy nie będzie chciała tylko i wyłącznie chuja. Myślę, że jest w kobiecym pożądaniu, niezwykle złożonym i nieprzewidywalnym, rodzaj instynktu życia, z powodu którego wszystkie poszukujemy w stosunkach z mężczyzną związku, czułości, nawet i wtedy, gdy powoduje nami tylko zewnętrzna i zwierzęca potrzeba pieprzenia. Chcę przez to powiedzieć, że nie zdarzyło mi się, żebym chciała tylko kawałka mężczyzny – nawet tego konkretnego kawałka. I wiele kobiet, jakie znam, nie może wyobrazić sobie chuja bez torsu, pleców, rąk, zapachu i oddechu oraz słów mężczyzny, do którego należy.

A więc pisać o mężczyznach, gdy ma się dwadzieścia lat... Jest z pewnością wiele błędów w tym, co piszę, lecz nie sądzę, by wiedza była podstawą tego przedsięwzięcia. Nie chodzi tu o znajomość mężczyzny – tak czy owak nigdy nie będzie pełna. Liczy się intencja; miłość do mężczyzn, chęć zanurzenia się w świecie dużych dłoni i donośnych głosów. Chęć poznania. Na razie wydaje mi się to niezłym powołaniem.

Co czytałam? Wiele różnych rzeczy. Tekst, który pan przeczytał, został napisany, jak sądzę, pod wielkim wpływem Calaferte'a, który dla mnie był objawieniem. Jego książkę znalazłam w piwnicy kilka miesięcy wcześniej i pomyślałam, bym była narratorem jako mężczyzna, bardzo mi się spodobał. Bo w tym czasie, proszę pana, spotykałam się już od roku z pewnym chłopakiem, z chłopakiem, dla którego pisałam bez ustanku, ale który sam niestety nie był w stanie spłodzić dla mnie ani linijki. Więc kiedy „Rozpusta” zaproponowała mi tę publikację, sprawiłam sobie przyjemność i odwróciłam role... Trafnie więc pan odgadł, mam kilka wspólnych cech z Lucie, a ta scena rzeczywiście miała miejsce... Ciekawa jestem, co pana naprowadziło na ten trop.

Czytałam też dwie, trzy książki Sade'a, ale nie jestem jego wielką fanką, a po lekturze *Filozofii w buduarze* i *Stu dwudziestu dni Sodomy* mam wrażenie, że czytałam już wszystko. Strasznie to denerwuje jednego z moich przyjaciół, który jest zagorzałym wielbicielem Sade'a (ale ten facet nienawidzi Queeny i Beatlesów, więc czyż można mu ufać?)...

Oczywiście Bataille. Bardzo podobał mi się *Martwy*, którego Régine Deforges przeraźliwie marnie adaptowała. *Moja matka* bardzo mną wstrząsnęła, ale pozostaje jeszcze sporo ciemnych stron: styl literacki Bataille'a ma wiele cierni.

Wkurza mnie natomiast, że tak okropnie dużo gadam i ciągle mam jeszcze mnóstwo do powiedzenia. Na dodatek nie wiem prawie niczego o panu. Szkoda. Przydałaby się może jakaś kawa. Albo lampka wina. Mam do pana dużo pytań. Przyznaję, że fascynują mnie mężczyźni, którzy czytają. Zwłaszcza ten rodzaj literatury. Zainteresowanie erotyką mówi bardzo wiele. Ale tę dyskusję zostawmy sobie na później – niech pan sobie wyobrazi, że nie ma mi pan nic do powiedzenia. A może jestem nudna?

Jak już wspominałam, jestem do dyspozycji właściwie bez przerwy.

Ma pan mój telefon.

Ellie

(Myślę, że nie jestem nudna. Mogę nawet być zabawna, jak sądzę).

Pan

Przyznaję z pewnym wstydem, że czekałem na pani e-mail z niecierpliwością prawie... gorączkową. I dobrze, że zczekałem...

Uważam jednak, pomimo pani cudownej, zachwycającej i młodzieńczej wrażliwości, że czas i doświadczenie pozwalają powiększyć erotyczny wszechświat. Ja odkryłem erotykę w literaturze, gdy miałem dziesięć lat, czytając Pierre'a Louÿsa, który wówczas wydawał mi się szczytem perwersji. Potem czytałem dużo innych rzeczy, a niektóre z moich lektur opisywały wrażenia, ekscytacje, emocje, których nie pojmowałem, a które zrozumiałem dopiero dużo później. Sądzę, i wiem o tym, że są takie chwile, kiedy kobieta, często zresztą silnie podniecona, może zapragnąć jakiegokolwiek członka... słyszałem o tym... przeżyłem to... powiedziano mi to, chociaż być może w tamtej chwili rzeczywiście w myślach pojawiły się też plecy, zapach i inne rzeczy, o których pani tak ładnie pisze. Ale są takie chwile, kiedy wszystko się wywraca do góry nogami i nagle także ów przedmiot pożądania może się zadziwiająco zamienić: na kogokolwiek, na obojętnie jakiego chuja, i to o tym właśnie opowiada Calaferte.

Sade określił zasady, na których oparli się wszyscy pozostali, a jego pisarstwo nie jest nadmiernie zmysłowe, co dziś zresztą wydaje się zaskakujące. Ale to, o czym mówi, to fundament. Ponieważ mówi o rozdźwięku, jaki wywołuje erotyzm, huśtawce emocji, bliskości pełnej przemocy.

Jest też Bataille, którego pani zna. Dla teorii trzeba przeczytać *Historię erotyzmu*. *Historia oka* jest wybitna... *Madame Edwarda* także.

Wiedziałem, że pani i Lucie to jedno, bo długo i z zaskoczeniem oglądałem pani zdjęcia na Facebooku. Badałem pani uśmiech, pani oczy, pani skórę.

Proszę, niech pani do mnie szybko napisze.

PS I proszę nie pokazywać moich e-maili wujkowi.

Uderzam cię członkiem w policzek

Koniec muska ci ucho

Liż moje jądra powoli

Twój język jest delikatny jak woda

Twój język jest brutalny jak w rzeźni

Jest czerwony jak krwisty udziec

Jego czubek jest śpiewającą kukułką

Mój członek płacze śliną

Twoja pupa jest moją boginią

Otwiera się jak twoje usta

Uwielbiam ją jak niebiosą

Czczę ją jak ogień

Piję z twojego pęknięcia

Rozkładam twoje nagie nogi

Otwieram je jak książkę

Z której czytam co mnie zabija

Babette zapalała skręconą fajkę, kiedy wydałam okrzyk.

– Co? Co? – krzyknęła, rzucając się do mnie.

– Dostałam właśnie ohydny wiersz – mruknęłam z półuśmiechem, czytając pierwsze strofy z obrzydzeniem pomieszanym z rozbawieniem. – Wiersz o biciu członkiem.

Pospiesznie zabrałam się za odpisywanie. Babette, powtórzywszy z tysiąc razy „jądra” i „członek”, powiedziała:

– Chyba widzisz, że ten facet już jest w twoim łóżku.

Powiedziałabym wręcz, że się w nim tarza.

Ellie

**Mój drogi, może być pan pewien, że nikt o niczym nie wie,
a zwłaszcza mój uroczy wujaszek...**

Ostatni czterowersz śliczny... Kiedy się zobaczymy?

Pan

Chciałbym bardzo, ale czy nie powinniśmy trochę poczekać?

Ellie

Poczekać? A po co czekać? Píše pan jakieś nowe wiersze?

Pan

**Jest coś magicznego w tym, że rozmawiamy o takich rzeczach, nie
znając się... ale nie będę się długo opierał.**

PODOBA MI SIĘ PANI IMIĘ: ELLIE. ELLIE. ELLIE, ELLIE.

ZROBIŁ PAN Z TEGO NIEZŁĄ MANTRĘ. W SUMIE MNIE TO NIE DZIWI: ZAWSZE WIEDZIAŁAM, ŻE MAM IMIĘ Z ALKOWY.

ZABAWNE, W SMS-ACH BRZMI PANI INACZEJ.

INACZEJ? MOŻE WOLI PAN, ŻEBYM BYŁA MNIEJ BEZCZELNA?

BEZCZELNA? ZABAWNE... NIE, OBIE WERSJE MI SIĘ PODOBAJĄ.

A JEDNAK WAHA SIĘ PAN, CZY SIĘ ZE MNĄ SPOTKAĆ.

NIE, MARZĘ O TYM... ALE LUBIĘ TEŻ NASZE ROZMOWY...

TAK, TO LITERACKIE NAPIĘCIE JEST BARDZO MIŁE. ROBI SIĘ CIEPŁO W ŚRODKU.

WIDZI PANI? ROZKOSZNA... CUDOWNA... WTOREK RANO? ŚWIETNY POMYSŁ, WTOREK RANO!

GDZIE MOGLIBYŚMY SIĘ SPOTKAĆ?

Może Pan popełnił błąd, że okazał się tak miękki. Może Babette nie powinna była tak szybko wychodzić. Kiedy zostałam sama, mogłam już przestać udawać moralistkę.

**MAM POMYSŁ, ALE OBAWIAM SIĘ, ŻE WYJDĘ NA
BEZWSTYDNICĘ.**

**NIC NIE JEST NIEPRYZYWOITE... JA ZRESZTĄ BARDZO
LUBIĘ NIEPRYZYWOITOŚĆ... GDZIE?**

**ZAZWYCZAJ PISUJĘ W HOTELU, BO W DOMU WSZYSTKO
MNIE ROZPRASZA. WIĘC ZAPRASZAM PANA PO PROSTU DO
MOJEGO BIURA. CZĘSTO BYWAM W PIĘTNASTCE, PRZY RUE
DES VOLONTAIRES.**

**CHWYTAM... INTRYGUJE MNIE PANI... A WIĘC RUE DES
VOLONTAIRES. TERAZ ŻEGNAM. PROSZĘ DO MNIE JESZCZE
NAPISAĆ...**

NAPISZĘ.

MOŻE ZATEM MOJE MARZENIA...

OBOWIĄZKOWY RAPORT JUTRO, PANIE DOKTORZE.

Ellie

Najdroższy,

oto spóźniona odpowiedź na jeden punkt pańskiego mejla, który mnie zaniepokoił.

Postanowił pan zatem przeciwstawiać moim dziewczęcym wrażeniom swoje męskie doświadczenia... niech tak będzie... Więc kobieta może chcieć tylko chuja. Z niecierpliwością czekam na tę chwilę, kiedy będę mogła przyznać panu rację, ale bardzo wątpię, żebym kiedykolwiek powiedziała: „Wzięłabym pierwszego lepszego. Po prostu chuja”.

Może to mi się już zresztą zdarzyło, jeżeliby się zastanowić. Ale musiałam być w stanie bliskim obłądu.

Mój Boże, a co wobec tego z poezją? Boli mnie, gdy myślę, że kobieta może się okazać takim zwierzęciem, żeby pożądać tylko tej jednej, choćby i fundamentalnej, części męczyzny.

Rzecz jasna, sprytnie pomijam te wszystkie noce, kiedy potwornie wygłodzona przewracałam się w łóżku z boku na bok, cierpiąc niemalże chrystusowe męki. Ale może ma pan rację... może chciałam wówczas tylko tego... tym bardziej że spędziłam wieczór z przyjaciółką, która opowiadała mi o podobnych doświadczeniach. Historyjka bardzo w stylu *Piotrusia Pana*, gdy się ją opowiada, ale jestem pewna, że pan będzie umiał ją docenić. A więc, rzecz dzieje się nocami. Mówię „nocami”, bo takich nocy jest wiele. Zapadła ciemność, godzina późna, a Mała w błękitnym dzieciennym pokoju na pierwszym piętrze kręci się w wilgotnej pościeli, nie mogąc znaleźć spokoju, dosłownie umęczona gwałtowną potrzebą pieprzenia – potrzebą, która jest jedynym przejawem zmiany dziewczynki w kobietę. Zauważyłam, że samozaspokojenie nie ma wtedy sensu, bo to, co wydaje się skracaniem męki, w rzeczywistości staje się jeszcze jednym bodźcem; gdy tylko kończy się orgazm, myśli wracają. I wiele razy leżąc tak w łóżku, czekałam, że ktoś, ktokolwiek, otworzy drzwi do mojego pokoju i całkiem, totalnie mnie zaspokoi. Ktokolwiek. Syn sąsiadów, który spędza życie na bezskutecznym podglądaniu mnie przez okno, facet, który przychodzi naprawić podgrzewacz wody, albo choćby włamywacz. Po prostu męskie ciało. Ciało mężczyzny, ręce mężczyzny, władcze wymagania mężczyzny i trudny do opisania, cudowny i absolutnie skandaliczny zapach mężczyzny. Czekałam na to tak samo, jak wtedy, gdy byłam mała, czekałam, że przyjdzie po mnie Piotruś Pan. Historia z Piotrusiem Panem jest zresztą dość zabawna. Niedawno napisałam do pewnego chłopaka: „Wiesz, że Bóg wynalazł koszule nocne, żeby dziewczynki mogły nie wkładać majtek pod spód? Myślę, że to dlatego Piotruś Pan odwiedzał Wendy. Ta mała suka na pewno spała z tyłkiem na wierzchu”.

Czytał pan tę powieść J.M. Barrie’ego? Uważam, że to najpiękniejsza i najsmutniejsza na świecie opowieść o śmierci dzieci i dziecięcym rozbudzeniu erotycznym. Bo jestem pewna, że ona nie miała nic pod nocną koszulką... no i ten Kapitan Hak!

Chcę przez to powiedzieć, że wywołujące koszmarną bezsenność pragnienie młodych dziewcząt jest, moim zdaniem, wzruszające. Takie paradoksalne i beznadziejne, nie sądzi pan? Znam niewiele dziewcząt w moim wieku, którym udało się doświadczyć prawdziwego orgazmu w ramionach mężczyzny, a „prawdziwym” orgazmem nazywam to, co po prostu wiąże się z penetracją.

Nie wiem, z czego to wynika. Z faktu, że w wieku dwudziestu lat nasze ciało jest jeszcze niezbadanym kontynentem? Z faktu, że chłopcy w naszym wieku nie mają jeszcze wystarczającego bagażu doświadczeń, żeby nas całkowicie zrozumieć?

Tak czy owak, rozkosz łatwo dostępna zależy od nas samych. A tymczasem, kiedy nachodzi nas ta niemalże histeryczna potrzeba seksu, kompletną stratą czasu jest samodzielne załatwianie sprawy. Bo to nie ta część ciała krzyczy. To jest pragnienie, które wychodzi z głębi brzucha i wymaga kontaktu z brzuchem mężczyzny, po prostu z czysto zwierzęcego instynktu, dlatego że sprawy tak się mają, dlatego że fizjologicznie jesteśmy sprzężone z mężczyzną, z którym się pieprzymy. I nieważne, czy będzie z tego orgazm. Więc w tym sensie może ma pan rację. „Po prostu chuj”.

Poczucie takiego poniżenia jest zresztą trudne i niemal upokarzające. Poczucie, że jesteś tak bardzo gotowa płaszczyć się, błagać.

Zmieniając temat – nie zareagowałam od razu, kiedy powiedział pan coś w stylu, że nie przypomina pan sobie rozmów z moim wujem o swoim zainteresowaniu Mandiargues'em i Calaferte'em.

I rzeczywiście, rozmawiał pan o tym z moją matką, podczas weekendu chyba na Jersey. Prawda jest taka, że jakieś pół roku temu moja matka zobaczyła mnie z Calaferte'em pod pachą i powiedziała: „Nie rozumiem, dlaczego ty znowu to czytasz!”. Na co ja odpowiedziałam, że to jest chyba jedna z najpiękniejszych książek na świecie. A ona na to: „Zabawne, dogadałabyś się z jednym kolegą Philippe'a. Chirurg, który pracuje z nim w klinice, uwielbia literaturę erotyczną”.

Ot i cała historia. Stąd się wzięła ta nasza wymiana korespondencji. Oczywiście nikt nie musi o tym wiedzieć. Ale pan wie to tak samo, jeśli nie lepiej ode mnie.

Jest 3.30.

Jeszcze raz proszę mi wybaczyć ewentualne niezręczności czy błędy ortograficzne, ale o tej godzinie już się nie całkiem kontroluję...

Ellie

Pan

Kiedy czytam pani listy, aż mnie podrzuca... czasami mam wrażenie, że jest pani cudownym wytworem mojej podświadomości i moich wspomnień zarazem... *Piotruś Pan*... moje pierwsze świadome, erotyczne emocje...

WCZORAJ NAJPIERW ŁAKOMIE POŻARŁEM WSZYSTKIE TEKSTY Z PANI BLOGA... RÓWNOCZEŚNIE OGLĄDAJĄC WSZYSTKIE PANI ZDJĘCIA NA FACEBOOKU... MUSZĘ PRYZNAĆ, ŻE NIE POZOSTAŁO TO BEZ WPŁYWU NA TREŚĆ MOICH SNÓW. CZEKAM NIECIERPLIWIE, AŻ SIĘ PANI OBUDZI... JEDNOCZEŚNIE Z PRZYJEMNOŚCIĄ WYOBRAŻAM SOBIE, JAK PANI ŚPI, SAMA, ZMYSŁOWA, NIE WIEM, W JAKIM STROJU, A SAMA MYŚL O TYM WYWOŁUJE U MNIE KARYGODNE I CUDOWNE DRESZCZE...

BUDZĘ SIĘ POWOLUTKU. MÓJ POKÓJ ZALEWA CZERWONAWĘ ŚWIATŁO. ZMYSŁOWA... NIEZŁYCH SŁÓW PAN UŻYWA. JESTEM ZMYSŁOWA, LEDWIE PRZEBUDZONA, I CZEKAM NA FACETA, KTÓRY MA NAPRAWIĆ PODGRZEWACZ WODY.

NO I WŁAŚNIE POŻAŁOWAŁEM, ŻE PRZEZ CZTERNAŚCIE LAT UCZYŁEM SIĘ CHIRURGII, A DZIŚ WYSTARCZYŁOBY, ŻEBYM SKOŃCZYŁ ZAWODÓWKĘ...

O NIE, A CO Z POEZJĄ? NIE ZNAM NICZEGO PIĘKNIEJSZEGO NIŻ PAŃSKI ZAWÓD. A PONADTO CHIRURG BARDZO MI PASUJE. WIDZI PAN, WŁAŚNIE SKRĘCIŁAM SOBIE RĘKĘ. DOBRZE BYŁOBY, ŻEBY PAN PRZYSZEDŁ DO MNIE Z WIZYTĄ. ŻEBY MNIE WYLECZYĆ, RZECZ JASNA.

**RZECZ JASNA... ŻEBY PANIĄ WYLECZYĆ... JEST PANI
SAMA?**

**MÓJ OJCIEC PRACUJE W SWOIM POKOJU... DLACZEGO
PAN PYTA, CHCIAŁBY PAN WPAŚĆ?**

**...TRUDNO SIĘ OPRZEĆ... SZCZERZE MÓWIĄC, TRUDNO MI
ZEBRAĆ MYŚLI... DO WTORKU JESZCZE TAK DALEKO...**

OCZEKIWANIE JEST JAK KĄSANIE W BRZUCH.

**ROZKOSZNE... BADANIE PRZEZ KĄSANIE... PANI CIAŁO
DRŻY Z NIECIERPLIWOŚCI... A JA, KONSULTUJĄC W TYCH
NIEWYGODNYCH OKOLICZNOŚCIACH, MODLĘ SIĘ
WŁAŚNIE, ŻEBY CAŁA POCZEKALNIA NIE ZAUWAŻYŁA
NIESTOSOWNEGO PODNIECENIA, LEDWIE
PRZYSŁONIĘTEGO ZWYKŁYMI CIEMNYMI SPODNIAMI.**

**HEJ, SPOKOJNIE! BO JESZCZE CHWILA, A POŁAMIĘ SOBIE
TĘ RĘKĘ W KAWAŁECZKI!**

**SZKODA BY BYŁO. PANI RĄCZKA POŁAMANA
W KAWALECZKI NIE MOGŁABY W MOIM GABINECIE
PORADZIĆ SOBIE Z OKOWAMI MOJEGO PASKA... PANI
UWODZICIELSKIE JASNE OCZY GŁĘBOKO ZANURZONE
W MOICH...**

**MÓJ DROGI, JESTEM NA SPOTKANIU
Z ZAPRZYJAŻNIONYMI DZIENNIKARZAMI. PROSZĘ
PRZESTAĆ, BO SIĘ CZERWIENIĘ.**

Prawda jest taka, że siedzę sobie we własnym łóżku i jak zaskoczona podrywaczka nie mogę znaleźć wystarczająco sprośnej odpowiedzi; nie mogę nawet wyobrazić sobie, jak patrzę mu w oczy, rozpinając spodnie od garnituru.

**LUBIĘ, JAK SIĘ PANI CZERWIENI... PANI MNIE TEŻ...
BARDZO... PORUSZYŁA... CZY TO ŹŁE? CZY TO WSZYSTKO
JEST ZŁE? A NAWET JEŚLI, TO CO TO ZMIENIA? MOGĘ DO
PANI ZADZWONIĆ?**

Ten mężczyzna na drugim końcu Paryża, na drugim końcu linii telefonicznej, lata świetlne ode mnie, daje dowód niedzisiejszej wrażliwości, gdy tylko zauważa, że spłoszyły mnie zbyt śmiałe słowa dojrzałego samca. Teraz, kiedy czuję, jak mu się oddaję słowami i liścikami, które wibrując, wpadają do jego komórki pana chirurga, on chce usłyszeć mój głos. Dosłownie drętwieję na myśl o lekturze zuchwałych komplementów, na jakie on sobie pozwala, o moim ciele czy moich ustach – których nigdy nie widział. Nie wyobrażam sobie jego głosu; nie wyobrażam sobie jego gardłowego śmiechu, którym doceni zalety mojego umysłu albo dla własnej przyjemności wywoła mój gwałtowny rumieniec. Sądzę, że głos musi mieć diabelski, bez względu na to, czy jest niski i głęboki, czy jasny i wyrazisty. A ponieważ nie umiem zbyt długo czekać, czekam na ten telefon Pana z poczuciem winy, jak smarkuła, która podrywa facetów na internetowym forum.

Później, po południu, skoro i tak nie miałam nic mądrzejszego do

roboty, poszłam na avenue Daumesnil do salonu kosmetycznego dla starszych pań; a przynajmniej tak mi się zdaje, bo kosmetyczka była bardzo zakłopotana, kiedy powiedziałam, że chciałabym zrobić depilację hollywoodzką. I nagle moja leżąca obok komórka zaczęła głucho wibrować. Numer prywatny. Numer prywatny. Numer prywatny.

Odebrałam dopiero po dłuższej chwili, kiedy już nie miałam na sobie najmniejszego włoska.

– Ellie?

Wiedziałam, że to on. To mógł być ktokolwiek inny, ale ten głos już miał imię. Znieruchomiałam w słońcu, w wayfarerach na nosie.

– Dzień dobry panu.

Czy mówiłam już, jak pięknie tego dnia pachniało powietrze? Zachodzące słońce malowało fasady wszystkich domów na pomarańczowo. Stojąc jak wryta na środku rue Dugommier, gryzłam palce, wsłuchując się z onieśmieleniem w tembr tego głosu, w głębię tego śmiechu. Wokół mnie ludzie chodzili w tym powolnym rytmie, który pojawia się tylko latem – nieświadomi intrygi, która zawiązywała się tu, na ich oczach. Mimo bólu skóry podrażnionej depilacją, poczułam dziwne mrowienie pod sukienką i ze strachu, że Pan może to jakiś cudem zauważyć, prowadziłam z nim nader naiwną konwersację. Odpowiadał powoli, grzecznie, wręcz życzliwie, ale w gruncie rzeczy to było nawet gorsze niż rozmowa o seksie. Ten człowiek wiedział. Ten człowiek we mnie czytał. Może z galanterii bawił się, udając, że wierzy w mój numer spłoszonej studentki. Czy kiedyś się zorientował, jak bardzo byłam spłoszoną studentką? Jak bardzo nią zawsze byłam?

Tylko spontanicznym, niepowstrzymanym odruchem da się wytłumaczyć mój nagły okrzyk:

– Jaki pan ma głos!

Wybuchnął śmiechem, który rozbawił i mnie, ale zaraz potem z zażenowania zaplątałam się w niezręczne tłumaczenia.

– Nie żeby pan był stary! Tylko ten pański głos jest taki młody, w porównaniu z... znaczy, chyba spodziewałam się...

– Głosu starego zgreda! – zakończył Pan ze śmiechem.

– Ależ nie, niższego głosu!

Miałam całkiem mokre plecy pod jedwabnym okryciem.

JUŻ MI BRAKUJE PANI GŁOSU...

**KIEDY MÓWIŁAM, ŻE MA PAN MŁODY GŁOS, TO BYŁ
KOMPLEMENT. MA PAN BARDZO PIĘKNY GŁOS,
JEDNOCZEŚNIE JASNY I NISKI. MŁODY, BO PAN JEST TEŻ
MŁODY. OCZYWIŚCIE NIE TAK JAK JA, BO JA JESTEM
NIEMOWLAKIEM, ZWŁASZCZA TERAZ, PO WIZYCIE
U SPECJALISTKI OD DEPILACJI.**

**MMMMM, UWIELBIAM TO... USTA DRŻĄ MI Z POŻĄDANIA,
ŻEBY PRZYTULIĆ SIĘ TAM...**

**PROSZĘ PRZESTAĆ WYSYLAĆ MI TAKIE WIADOMOŚCI!
O MAŁO NIE POŁKNEŁAM PAPIEROSA!**

JAKIE WIADOMOŚCI MAM PRZESTAĆ WYSYLAĆ?

TE O MOJEJ GOLIŹNIE.

**NIE MOGĘ PRZESTAĆ SOBIE WYOBRAŻAĆ TEGO
WZGÓRKA, CIĄGLE ZACZERWIENIONEGO PO NIEDAWNYM
ZABIEGU.**

**DIABEŁ Z PANA. ZDAŻYŁAM POWIEDZIEĆ, ŻE JESTEM
PRAWIE NAGA I WYDEPILOWANA, A PAN TO NATYCHMIAST
WYKORZYSTUJE W SWOICH ESEMESACH. MAM TYLKO
NADZIEJĘ, ŻE W BEZPOŚREDNIM KONTAKCIE
WYKORZYSTA PAN TO TAK SAMO ŚWIETNIE.**

**WYKORZYSTAM... BEZ GRANIC... DOWIE SIĘ PANI, KIEDY
POCZUJE, JAK TWARDY BĘDĘ PRZY PANI... WYPRĘŻONY...
NA PANI NIEMOWLĘCEJ SKÓRZE...**

JAK SKANDALICZNIE PAN PACHNIE?

HABIT ROUGE GUERLAINA. PLUS MÓJ WŁASNY ZAPACH.

CZY PAN MÓWI? NO, W TRAKCIE. JEST PAN GADUŁĄ?

MÓWIĘ, SŁUCHAM.

CUDOWNIE.

(Kiedy miałam pięć lat, odpowiednikiem porannej erekcji była czekoladka z kalendarza adwentowego, która grzecznie czekała, aż się ją wyjmie. Piętnaście lat później do zawału doprowadzają mnie esemesy od Pana).

**WŁAŚNIE JESTEM W HOLANDII... MYŚLI PEŁNE MAM
JASNYCH WŁOSÓW, FILUTERNYCH UŚMIECHÓW,
NASTOLETNIEGO SEKSU... PRZEŚLADUJESZ MNIE,
PANIENKO... LICZĘ GODZINY... NIE ZROBIĘ HAŁASU...
ROZBIORĘ SIĘ... MÓJ JĘZYK PRZYKLEI SIĘ DO PANI
UŚPIONEGO BRZUCHA... MOJE WŚCIBSKIE RĘCE NAPADNĄ
NA PANIĄ... MÓJ SEKS BĘDZIE PANI GORĄCZKOWO
SZUKAŁ... PANI BĘDZIE UDAWAŁA, ŻE ŚPI... ALE KIEDY MÓJ
JĘZYK ZACZNIE BADAĆ PANI SŁODKIE ZAKAMARKI... GDY
ZNAJDĘ KILKA ROZKOSZNYCH JASNYCH KROPLI, KTÓRE
PERLĄ SIĘ MIĘDZY PANI UDAMI... POCZUJĘ, ŻE PANI
ODDECH PRZYSPIESZA... ŻE PANI RĘCE MNĄ
PRZEŚCIERADŁO... UGRYŻĘ PANIĄ W KARK, ŻEBY PRAWIE
WYWOŁAĆ OKRZYK, KTÓRY ZABRZMI JEDNAK DOPIERO
WTEDY, GDY MÓJ BARDZO TWARDY CZŁONEK ZATONIE
W PANI CUDOWNEJ MAŁEJ CIPCE... PODCZAS GDY MOJE
PALCE BĘDĄ SZPERAŁY W PANI DRŻĄCYM TYLECZKU...
MÓJ CZŁONEK POSUWA SIĘ DALEJ... A PANI WYRZUCA
Z SIEBIE BARDZO BRZYDKIE SŁOWA... PANI BŁAGANIA SĄ
ZBYT NIEPRYZWOITE, ŻEBY JE OPISAĆ, A JA ULEGAM IM
WSZYSTKIM... PANI POWSTRZYMUJE SIĘ PRZED
ORGAZMEM I TO JEST JAK TORTURA... ALE NADZIEJA NA
JESZCZE SILNIEJSZĄ EKSPLOZJĘ DAJE PANI SIŁĘ... JĘCZY
PANI BEZWSTYDNIENIE... WBITA NA PAL... POBUDZONA...
SPOCONA Z PODNIECENIA... Z NIEPRZYTOMNYMI
OCZAMI... A PANI RÓŻOWY JĘZYCZEK WYSTAJE ODROBINĘ
Z NA WPÓŁ OTWARTYCH UST...**

**DOSTAŁA PANI DZIŚ W NOCY MOJE SMS-Y? BYŁEM ZBYT
OSTRY?**

**ALEŻ SKĄD, ANI TROCHE! OSTRY, TAK, ALE I ROZKOSZNY.
PRACUJĘ, NIE MOGĘ TERAZ ODPISYWAĆ. PROSZĘ
CHWILECZKĘ POCZEKAĆ.**

**TRUDNO MI CZEKAĆ, PANIENKO... PANI MNIE
ZACZAROWAŁA... MOGĘ DO PANI ZADZWONIĆ?**

**JADĘ SAMOCHODEM Z OJCEM. ABSOLUTNIE NIE
POWINNAM SIĘ TERAZ CZERWIENIĆ!**

**MUSZĘ WYWOŁAĆ U PANI RUMIENŃCE, MAM
NIEPRAWDOPODOBNE MYŚLI!**

**PROSZĘ MI OPOWIEDZIEĆ, JAK PANI BĘDZIE WYGLĄDAŁA,
KIEDY WEJDĘ DO POKOJU... NIECH MI PANI OPOWIE
O SWOICH PIERSIACH... WYSZEDŁEM NA POWIETRZE,
ŻEBY MOJE JEANSY WYGLĄDAŁY MNIEJ... EWIDENTNIE.**

**MOJE PIERSI SĄ MAŁE. OKRĄGLE. SZYBKO I MOCNO
TWARDNIEJĄ, ALE NATURA ŹLE TO WYMYŚLIŁA!
PONIEWAŻ SĄ MAŁE, MEŹCZYŹNI CZĘSTO ICH NIE
ZAUWAŻAJĄ, KU MOJEJ ROZPACZY. BO MAŁE PIERSI SĄ
BARDZO WRAŻLIWE.**

**NIE ZAPOMNĘ O PANI PIERSIACH. BĘDĘ JE WIELBIŁ,
CAŁOWAŁ, PIEŚCIŁ, GNIÓTŁ, LIZAŁ... A MOŻE POZWOLI MI
PANI NA NIE WYSTRZELIĆ.**

UHM, TO DOŚĆ ZABAWNE... NA PIERSI. TAK JAK NA TWARZ.

ZAKRZTUSIŁEM SIĘ KUSKUSEM...

**OTO CO SIĘ DZIEJE, KIEDY JESTEŚMY ZBYT BEZCZELNI.
I PAN MI TERAZ POWIE, ŻE TO MOJA WINA.**

OPOWIEDZ MI O SWOICH POŚLADKACH.

**MAM TAK WYGIĘTE PLECY, ŻE ROBIĄ WRAŻENIE ZA
DUŻYCH, ALE JA UWAŻAM, ŻE SĄ ŚWIETNE. TO JEST MOJA
ULUBIONA CZĘŚĆ CIAŁA. MOŻE SĄ I DUŻE, ALE ZA TO
JĘDRNE I OKRĄGLE.**

**CHCIAŁBYM, ŻEBY PANI ROZCHYLIŁA POŚLADKI... NA
CZWORAKACH... MÓJ JEZYK POWOLI WKRADNIE SIĘ DO
MAŁEGO WEJŚCIA... KTÓRE OTWORZY SIĘ, DRŻĄC...
ZWILŻONE ŚLINĄ... WCIĄGNIE MNIE JAK CUDOWNY
SSAK... W STRONĘ MROCZNYCH OTCHŁANI PANI
POŻĄDANIA...**

– Co byś mi doradzała po otrzymaniu takiej wiadomości?

Wyciągnęłam komórkę w kierunku Alice, która paliła przy oknie w łazience.

– To OBLEŚNE! – wrzasnęła, o mało nie upuszczając telefonu do umywalki. – Wstrętne jak cholera.

– Co mam zrobić? Co mam odpowiedzieć? – spytałam spod prysznicą, nie umiejąc znaleźć właściwej odpowiedzi na tak pieprzny kawałek.

– Że właśnie myjesz swój cudowny ssak?

MOGĘ DO PANI ZADZWONIĆ?

KĄPIĘ SIĘ.

**CHCIAŁBYM TAM BYĆ... POŁOŻYĆ PANIĄ NA ZIMNEJ
PODŁODZE ŁAZIENKI, TWARZĄ DO KAFELKÓW... I WEJŚĆ
W PANIĄ...**

**TERAZ JESTEM NAPRAWDĘ MOKRA. CIEKAWA JESTEM
WSZYSTKIEGO, CO MOGLIBYŚMY ZROBIĆ RAZEM.
MOŻLIWOŚCI JEST TAK WIELE. CHYBA ŻE WCZEŚNIEJ PAN
UMRZE, ZADŁAWIONY KUSKUSEM.**

**NIE MA MOWY... CAŁE MOJE CIAŁO DRŻY Z NAPIĘCIA
I CZEKA TYLKO NA TO... MOJA DUSZA TAKŻE...**

Ellie

Mówiłam już, ale się powtórzę: dzień był koszmarne długi. Od ósmej do ósmej (dwanaście godzin później) byłam na nogach, pakując doniczki z konwaliami i cudem nie kalecząc palców za każdym razem, kiedy przychodziły pańskie wiadomości. Bilans tego pierwszomajowego piątku – bołą mnie nogi i, kiedy wkładam piżamę (a moje kumpelki gadają w sąsiednim pokoju), nie mogę na siebie patrzeć w lustrze. Nie wiem, jak pan to zrobił, ale mam wrażenie, że przejął pan kontrolę nad moimi oczami, a każde spojrzenie, jakie rzucam na swoje ciało, pali. Proszę mi mnie oddać.

Nieustannie prześladowuje mnie myśl, że już pana kiedyś widziałam – wracam do tego, tak mnie to dręczy. Prawdopodobnie ponad rok temu siedział pan pochylony nad rozciętym brzuchem, a ja patrzyłam na pana. Musiał pan zdawać sobie z tego sprawę, a nawet czuć to moje spojrzenie na sobie, ale ani pan, ani ja niczego się jeszcze nie spodziewaliśmy. Nieznośnie erotyczna sytuacja, prawda? Miał pan bez wątplenia te same oczy, te same usta, te same ręce, to samo ciało, ten sam głos – ja stałam obok pana, nierozpoznawalna w fartuchu, który pasował do mnie tak samo, jak stringi do Goldy Meir... Nie istnieliśmy jeszcze dla siebie, byłam dla pana tylko jakąś siostrzenicą doktora Cantrela i zrobiłam na panu tak wielkie wrażenie, że wcale pan sobie tego nie przypomina... jakiś dzieciak.

Wynik zawodów: mniej więcej za dwa dni będzie pan już głęboko we mnie.

Pojęcie dobra i zła: to, co robimy, z całą pewnością jest złe. Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł nas bronić z ręką na sercu. A najgorsza jest myśl, że to takie cudowne właśnie dlatego, że jest złe. (Ale, żeby zamknąć ten rozdział, chcę jednak powiedzieć, że w kategoriach Sade'a jesteśmy harcerzykami. Małymi śpiewakami z kościelnego chóru. Dziećmi przystępującymi do pierwszej komunii).

I jeśli jest coś, co mnie nieziemsko wkurza, to myśl, że mój były chłopak przez lata nazywał mnie zбочoną. Może żartem, choć nie sądzę. Myślę, że był absolutnie przekonany, że jestem najgorszą suką świata. I się nie mylił. Drętwieję, gdy sobie przypomnę, co z nim robiłam. Zmuszałam go, żeby mówił mi paskudne rzeczy, i ja w podnieceniu, ku swojemu zaskoczeniu, mówiłam rzeczy, których nawet nie mogę tu napisać.

A więc wkurza mnie, że mogłam być tak zła, tak zdemoralizowana, a teraz mam oczy jak spodki, gdy czytam pańskie esemesy.

Wkracza pan na moje podwórko.

Zazwyczaj to ja rzucam niewinne słówka, a na koniec coś w rodzaju... bo ja wiem... „Może mi pan wysyłać dowolne wiadomości, może mi pan obiecać, co pan chce, a we wtorek będzie pan moim niewolnikiem, wciśniętym we mnie, a ja będę tak ciepła i parząca, roztopiona wokół pana, zaciśnięta jak rączka małej dziewczynki na pańskim członku, że będzie pan musiał walczyć, żeby wytrwać dłużej niż dwie minuty”.

Albo na przykład: „Może przez telefon wychodzę na głupiutką i zawstydzoną, ale wiem już, że zacznę spijać pańskie słowa z całkiem innym oddaniem, gdy będę z panem złączona”. Bardziej *soft*.

Mogę też być bardziej *hard*. Powiedzmy: „Gdyby to nie była najbardziej zbrodnicza myśl świata, pewnie powiedziałabym panu, że chciałabym wślizgnąć się pod stół, przy którym pan siedzi, i ssać panu tak, żeby wytrzymał pan jak najdłużej”.

Zacytować Calaferte’a, czemu nie: „Myśl o tym. Tylko o tym. Z całej siły. Moja cipka i twój kutas”.

Powiedzieć panu, że mam ochotę być jednocześnie kurwą i dziewczyneczką, że może pan mieć mnie taką, jaką pan zechce.

Powiedzieć też, że wtorek jest i daleko, i blisko. I że na dwa dni przedtem jestem już w takim stanie, że boję się sobie wyobrazić tę noc poniedziałkową. Nie mam nawet ochoty niczego dotykać; uwielbiam to poczucie, które tkwi we mnie jakby od tysiąca lat, że cała jestem z ognia.

Niech pan posłucha Velvet Underground. Z przyjemnością wyjaśnię panu, dlaczego uważam, że ta muzyka jest genialna. Chociaż podejrzewam, że ją pan zna. Zwłaszcza jeden kawałek jest pełen seksualnego i chorobliwego zarazem napięcia: *Heroin*. Mój ulubiony. I jeszcze *Venus in Furs* (który pieści mi uszy za każdym razem, kiedy go słucham na iPodzie), *I'm Waiting for The Man* i *After Hours*.

To tylko jeden kieliszek, ale nieźle sobie radzę, prawda? Biegnę do dziewczyn, które zaraz zaczną się zastanawiać, z kim rozmawiam.

Jakie to szczęście, że Bóg, w swojej wielkiej dobroci, stworzył komórki. Zwariowałabym bez nich i bez pańskich esemesów, które wywołują kołatanie mojego serduszka

falszywej dziwki

prawdziwej cnotki

(Proszę połączyć właściwe elementy. Ćwiczenie na czwartym poziomie trudności).

GODZINY BĘDĄ MI SIĘ JESZCZE DŁUŻYŁY... BUDZĘ SIĘ Z UMYSŁEM OGARNIĘTYM WYOBRAŻENIAMI O PANI... MIESZANKA ZDJĘĆ PRZEGLĄDANYCH ŁAKOMIE NA PANI PROFILU I SMS-ÓW, KTÓRE PANI DO MNIE NAPISAŁA... TO TAK, JAKBY NIERUCHOMA POSTAĆ ZE ZDJĘĆ NAGLE ZACZEŁA SIĘ PORUSZAĆ... UŚMIECHAĆ... POWOLI ROZBIERAĆ... MÓJ CZŁONEK JEST DZIŚ BARDZO TWARDY... JĘZYKIEM ZWILŻYŁEM WNETRZE DŁONI, PIESZCZĘ SIĘ PRAWIE OD NIECHCENIA... PANI OCZY WIDZIANE POPRZEZ MOJE, POSMAK PANI CIPKI WYMYŚLONY NA MOIM PODNIEBIENIU... OBRAZ PANI TYLECZKA WYWOŁUJE KONWULSJE MOJEJ RĘKI I WIEM, ŻE ROZKOSZ MOŻE PRZYJŚĆ SZYBKO... ALE SIĘ POWSTRZYMUJĘ... CHCĘ WE WTOREK EKSPLODOWAĆ W PANI SŁODKIM WNETRZU... ZALAĆ PANI CIEMNĄ, WILGOTNĄ, ZAKAZANĄ TAJEMNICĘ... NAPEŁNIĆ PANI GARDŁO DŁUGIMI CIEPŁYMI STRUMIENIAMI WRZĄCEJ SPERMY...

Pokój, do którego zwabiłam Pana tego pierwszego majowego poranka znajdował się – i, jak sądzę, nadal się znajduje – w Piętnastce, dzielnicy, w której wcześniej bywałam rzadko, i w której nie byłam od tamtej pory. Okno wychodziło na rue des Volontaires, na kilka zniszczonych domów i mały szpital, otulony kokonem zieleni, która zdawała się całkiem z księżycyca.

„Dotarłam; jest tu nawet klinika na wypadek, gdybym zemdląła w pańskich ramionach” – napisałam do Pana.

Był poniedziałkowy wieczór i drżałam jak listek, siedząc na balkonie i paląc fajkę za fajką. Pokój za moimi plecami wyglądał już koszmarnie: usłany rozrzuconymi ciuchami, z prześcieradłami poplamionymi świeżymi jeżynami i przejrzałym mango. Osiemnasta trzydzieści. Babette spędzała wieczór z Simonem, Inès była w Deauville, Juliette i Mathilde poszły do kina – krótko mówiąc, byłam sama, i miało tak pozostać aż do dziesiątej rano następnego dnia. Nie było szansy, żeby przyjazna dusza pottrzymała mnie za rękę w tym męczącym, niekończącym się oczekiwaniu. Od czasu do czasu Pan wrzucał pojedyncze esemesy, dzięki którym, jakimś cudem, godziny stawały się i nieco krótsze, i straszliwie długie: to był jedyny kontakt, jaki miałam z resztą rodzaju ludzkiego – ale za to jaki. Przy każdym wibrowaniu komórki niemal wypadałam przez okno. I po przeczytaniu każdej wiadomości przez jedną, dwie sekundy wahałam się, czy nie zabrać wszystkich rzeczy i nie zwać jak złodziejka, nie uprzedzając Pana, że o świcie miejsce zbrodni okaże się tchórzliwie opuszczone. Tyle rzeczy skłaniało mnie ku takiemu rozwiązaniu: myśl o moim wuju, o mojej siostrze, która widziała, jak wychodzę z domu z torbami wiktuałów, ale przede wszystkim straszliwy lęk przed znalezieniem się twarzą w twarz z tym mężczyzną, który od pięciu dni wyobrażał mnie sobie z pewnością jako najbardziej wyzwoloną gówniarę, jaką kiedykolwiek miał w objęciach (podczas gdy ja, na moim wielkim łożu z kutego żelaza, kombinowałam, jak uniknąć niektórych pozycji, które ukazałyby Panu efekty mojej wåtpliwej depilacji czy też cellulit na lewym pośladku, pozostałość niedawnych lat tłustych). Konałam ze strachu. Przez dwie sekundy ostrego wahania cieniutki głosik ze środka zadręczał mnie komentarzami: „A jaką skórę ma facet w tym wieku? Jeszcze elastyczną i jędrną czy może miękką i trochę zmiętą jak ręce starych ludzi? A co będzie, jeśli on mi się zupełnie nie spodoba? Jeśli jest

stary, łysy i ma gruby brzuch? I spocone czoło? Jeśli mu brakuje zębów? Co zrobię, jeśli się okaże – co jest przecież bardzo prawdopodobne – że wygląda obrzydliwie? A jego kutas? Ha? Co zrobić, żeby mu jeszcze stanął w tym wieku? I czy mu jeszcze w ogóle porządnie staje?”.

Wiadomość otrzymana w trakcie mojego wewnętrznego monologu: „Strasznie chcę się już znaleźć obok pani”.

Tak jakby wszystko to było tylko długim snem na jawie, zachowałam niewiele wspomnień z tamtego wieczoru, kiedy moi przyjaciele z „Rozpusty” jednak litościwie przyszli, żeby dotrzymać mi towarzystwa. Mam ten skórzany notes, w którym Benjamin naszkicował moją twarz w stylu Francisa Bacona: z rozgniecioną truskawką, która wysychając, nabrała wyblakłej barwy zaschniętej krwi. Mam też zdjęcie zrobione przez Kenę, na którym palę fajkę, wsparta o wezłowie łóżka, ze wzrokiem zawieszonym w powietrzu. To jedyny mój istniejący portret z tamtych czasów, na którym widać, że głowę mam pełną tego mężczyzny – przejmujące świadectwo tej historii. Wydaje mi się, że dwa miesiące później twarz zmieniła mi się definitywnie. Może nie w kształcie, mimo że schudłam, ale w spojrzeniu. Takiego spojrzenia nie miałam już nigdy. Takiej totalnej nieobecności.

Potem, głęboką nocą, godzinami myłam włosy – a przynajmniej zdawało mi się, że to tak długo trwało, choć w sumie pewnie ledwie z kwadrans stałam pod ciepłą wodą, w stanie jakby między alkoholowym zamroczeniem a niekończącymi się, bezładnymi marzeniami. Lustra były tak rozmieszczone, że moje nagie odbicie spod prysznicza odbijało się aż w pokoju. I ten szczegół, który zafascynował nas któregoś wieczoru z fotograficznego punktu widzenia, teraz mnie bardzo zaniepokoił. Przypominam sobie, jak trzeźwo pomyślałam, że teraz wszystko dzieje się między pokojem a mną. Nieważne, pod jakim kątem patrzyłam, ten dziwny pokój z ciężkimi draperiami cały wibrował czekaniem na Pana. Lustra, w których się odbijałam, szukały nieznanej sylwetki. Łóżko zdawało się przytupywać niecierpliwie, a meble, te wielobarwne meble, które tyle już przeszły, zastanawiały się, do czego posłużą, kiedy on się pojawi.

Skąpo przykryta zbyt małym ręcznikiem oparłam się o framugę okna, żeby wypalić kolejnego papierosa. Trudno mi było uznać, że Paryż czy Piętnastka są dziś normalne: powietrze było ciężkie od niewyczuwalnego napięcia – jakbym czekała na szatana lub mesjasza. Albo na koniec świata.

Komórka zawibrowała – ostatnia wiadomość od Pana, który chyba

czuł to napięcie: „Kładę się spać. Następne słowa wyszepeczę Ci do ucha”.

Głęboka prawda tych słów mnie poraziła. Rzuciłam niedopalek na maskę samochodu zaparkowanego pod moim oknem. Zestresowana na amen podałam Panu numer mojego pokoju, piętro; mógł zjawić się, kiedy chciał – a ja miałam mokre włosy, rozmazaną tapetę na twarzy, nieogolone nogi. To zresztą było coś więcej niż tylko strach, że mu się nie spodobam. Przerazała mnie pamięć: mogłam odtworzyć całą jego twarz, począwszy od ust, które pamiętałam (ale dlaczego, skąd?). Tchórzliwie starałam się uniknąć wysiłku, dzięki któremu mogłabym uzupełnić ten roboczy portret widma, tworzony w myślach od wielu dni. Ducha, który mnie prześladował, otaczała mgła; nie miał nosa, oczu, prawdziwych rysów twarzy – miał tylko te usta. Te usta.

Mój Boże, jak cudnie jest wspominać ten wieczór kilka miesięcy później, kiedy na wpół zalana piszę w metrze, z czystej miłości do ołówka i kartki papieru. Pamiętam wszystkie swoje gesty. Mogłabym nakręcić film z tej nocy i nie zapomniałabym żadnego szczegółu. Jak zasypiałam, oglądając reportaż na Arte o młodych białoruskich muzykach rockowych, zdumiona swoim skrajnym brakiem zainteresowania tymi ludźmi i ich problemami. Jak nastawiłam budzik na szóstą rano, zanim jeszcze zgasiałam światło i telewizor, i jak zostałam całkiem sama w błękitnym blasku pustych ulic.

Miły zapach hotelowej pościeli, która jest zazwyczaj trochę za szorstka i nigdy nie dość ciepła – ale to była taka niewygoda, jakiej właśnie potrzebowałam. Nie chciałam spać tej nocy zbyt dobrze.

Kiedy się obudziłam (skoczyłam na równe nogi po pierwszym dzwonku), pokój był zalany czerwonym światłem; piękną, odrobinę zbyt świetlistą czerwienią. Promienny początek tygodnia. Przez zasłony przebijało się jeszcze niepewne światło ślicznego dnia. Jednolite niebieskie niebo. Czekałam jak na egzamin, ze skurczami strachu, a gdzieś w głębi, w środku, drżała mała napięta struna pożądania, której nieustającą wibrację wyczuwałam w środku tego zamieszania. Zwinięta jak płód pod olbrzymią białą kołdrą patrzyłam, jak mijały godziny, jak wschodziło słońce, umęczona bezsennością, prawie chorobliwym letargiem przerywanym dziwacznymi snami, które pachniały gorączką i niespokojnymi porankami – ot, prawie choroba. Całą sobą nasłuchiwałam dźwięków na schodach. Drżałam niczym w febrze, zamknięta w tym małym, ciasnym pokoju, królewskim błękicie od podłogi po sufit. Jedyne zajęciem, które dało się pogodzić z pozycją leżącą, było liczenie kwiatków na tapecie, klasyfikacja i analiza stadium ich rozkwitu.

Bardzo rozwinięte różowe tulipany, trzygłowe jaskry, które gubiły już płatki. W ciemnym drewnie kredensu stojącego koło okna – lilia królewska z długimi rozłożystymi liśćmi.

Ewentualność, że Pan mi się nie spodoba, przemknęła mi przez głowę, ale ani przez sekundę nie wywołała realnej obawy. Myślę, że to było coś innego; jakiś rodzaj pewności, że on i ja otarliśmy się, choćby tylko za pośrednictwem telefonu, o coś znacznie poważniejszego niż wtorkowy poranek w paryskim hotelu, o coś zbudowanego na bardziej subtelnym przyciąganiu niż pociąg fizyczny. To nie była miłość czy inne równie szlachetne uczucie, ale raczej, jak mi się zdaje, niebezpieczne przyciąganie, równie intelektualne, co niemoralne. Jeszcze mogłam uciec i nie zastanawiać się, czy podnieca mnie tabu pójścia do łóżka z Panem, czy podoba mi się mieć dwadzieścia lat i czekać nago, w samych tylko pończochach, wyostrażających jeszcze moją nagość, na byłego kolegę mojego wuja, czterdziestosześcioletniego, żonatego, ojca pięciorga dzieci. Mężczyznę nieco starszego od mojego własnego ojca. Ale totalna niemoralność tego spotkania przykuwała mnie do tego miejsca jak łańcuchy i kula u nogi. Rzadko zdarzała mi się tak ostra psychologiczna podnieta: melanz rollercoastera, ustnej matury i pierwszego razu. Leżąc pod kołdrą w łagodnym półcieniu, patrzyłam na pulsowanie serca na napiętej skórze brzucha, tak jakby moje główne funkcje życiowe koncentrowały się właśnie w tej ultrawrażliwej okolicy. Godziny mijały mozolnie. I pomijając pożądanie, pomijając wszelki seksualny kontekst, czekałam na Pana jak na wyzwolenie, jak na nadzieję na swobodny, bezbolesny oddech.

Wypróbowywałam właśnie alternatywną technikę oddychania, udając, że śpię przykryta poduszkami, kiedy Pan pchnął uchyloną skrzypiącą furtkę. Spokojne kroki mężczyzny, stłumione przez wykładzinę. Serce, które biło mi tak szybko przy każdym jego kroku na schodach, stanęło prawie i znów nieśpiesznie ruszyło, dostosowując się do nastroju oczekiwania. Poczulałam jego natrętną obecność z dotkliwą ostrością: gęste, wełniste powietrze przesunęło się jak słodka chmura; dźwięk zamka, który ustąpił pod naciskiem klamki (już prawie nikogo nie oczekujemy, to, co ma się zdarzyć, nastąpi za kilka sekund i nie zależy od nas), niedyskretny szelest płaszcza odkładanego na krzesło, ale przede wszystkim jego ciche kroki, które bardziej odgadywałam, niż słyszałam. Długo zresztą starałam się, zza zasłony włosów, lekko uchylonymi oczami odnaleźć Pana w przestrzeni. Mógł być wszędzie, a jedyne wskazówki, jakie otrzymywałam, to były krótkie przebłyski purpurowego cienia na

niebieskich ścianach.

Szukałam go nadal gorączkowo, gdy wątpliwości ostatecznie się rozwiały; materac po mojej prawej stronie ugiął się pod jego ciężarem – och, jak bardzo wieloznaczny był ten ciężar.

Zabawne, jak dalece dokładnie można wywnioskować, w jakim stanie jest mężczyzna, tylko po tym, jak siada obok ciebie na łóżku. U niektórych całkowity bezruch zdradza tępe, paraliżujące pożądanie. Innym trzeba niewiele czasu, zanim wezmą się do pieszczot – ten dziecięcy brak cierpliwości. A u Pana – kilka gorących sekund, zanim poczułam jego wzrok na moich na wpół odsłoniętych plecach, zanim odgadłam rękę powolnie uniesioną w powietrze i lądującą na moim karku – wszystko było absolutnie płynne. Słyszałam jego mistrzowsko spokojny oddech. Pozornie znakomite opanowanie sytuacji. Szelest materiału jego garnituru, brzęk zegarka na jego przegubie, kolekcja mało znaczących wrażeń, składających się na portret mężczyzny nader cywilizowanego, który dwa piętra niżej minął recepcjonistę. Nawet palce błądzące po mojej szyi robiły wrażenie szykownych i eleganckich. Przez wiele minut dotykały mojego kręgosłupa pieszczotą do tej pory niespotkaną, która wzbudzała we mnie ogłuszający zachwyty.

Cały Paryż wstrzymał oddech.

Każda najmniejsza cząstka mojego mózgu, której nie zagarnęły po drodze szczupłe palce przemykające po moich łopatkach, działała na maksymalnych obrotach; usiłowałam odszukać coś znajomego, szczegół, który umieściłby te palce w jakiejś chronologii, przypisałby im jakieś wspomnienia, emocje. Chciałam wiedzieć, skąd we mnie ta pewność, że te ręce były jego rękami, a nie rękami nieznajomego, który przez przypadek wszedł do mojego pokoju; dlaczego te pieszczoty nie były całkiem nieznajome.

Kiedy duża dłoń o drżących palcach otworzyła się, żeby objąć mój pośladek, przeciągnęłam się jak kot, świetnie udając nagłe przebudzenie dziecka, które bardzo głęboko spało. Pan zrozumiał wówczas moją grę i wyszeptał coś, co zagłuszył mi szelest pościeli – ale rozpoznałam głos, głęboki i chrapliwy, jak wszystkie męskie głosy, które doprowadzają do oblędu.

Dziesiąta wybiła na odległej wieży kościelnej, kiedy Pan leżąc, przylegając wręcz do krzywizny moich pleców, obrysowywał czubkami palców moje ciało – a ja prowadziłam powolny proces poznawczy. Łagodny dotyk świeżo ogolonego policzka na łopatce, niema eksplozja pocałunku złożonego tymi ustami, jak błysk we mgle. Pan nic nie mówił.

Oddychał tylko, łagodząc swoim regularnym oddechem moje rytualne zdumione westchnienia. Zdawało się, że nie wie, jaką torturą może okazać się dotyk klamry od paska rozgrzanej od jego twardego członka ukrytego pod materiałem garnituru, do jakich szaleństw to skłania. Przeraziła mnie myśl, że muszę się odwrócić i go zobaczyć – z powodu pożądania, płynącego wprost z mózgu, szczególnego, niedającego się wytłumaczyć melanzu przyciągania i odpychania. Cierpliwość Pana przekraczała granice mojej wytrzymałości – nie widział mojej twarzy, i to nie stanowiło problemu, wręcz przeciwnie – ale podobnie jak ja wyszukiwał piękno i zmysłowość tam, gdzie się kryły, nie starając się ogarniać całości. Ja czułam tylko, że te ręce są delikatne, że ta skóra ładnie pachnie, a ponieważ uroda kryje się w tak drobniutkich szczegółach, byłam przekonana, że Pan, jako całość, mnie nie rozczaruje.

Początkowo myślałam, że będę bawić się z nim jak z którymkolwiek z moich trzydziestoletnich kochanków, trzymać go na wodzy i doprowadzać do szału, umyślnie ocierając się pośladkami o jego naprężony członek; ale on patrzył na mnie wzrokiem, w którym idealnie łączyło się czyste pożądanie i rozczenie dorosłego człowieka tą moją teatralną lubieżnością – i poczułam się całkiem rozbrojona. Zrozumiałam wówczas, że choćby Pan udawał, że oddaje mi władzę, to zawsze będzie to tylko złudzenie: nawet bez słowa, nawet odwrócony do mnie plecami, ten człowiek zniewalał mnie swoim wzrokiem.

Nagle palce oszalały, szukając fałd i zagłębień, biegając wszędzie tam, gdzie pojawiła się wilgoć, wywołana ciepłem pokoju czy może niecierpliwością. Opuściwszy moją cielesną powłokę, widziałam, że miotałam się jak mały króliczek, żeby umknąć przed tym badaniem, ale Pan ujarzmił mnie jedną ręką i nagle znalazłam się naga – z rozłożonymi nogami, wypiętymi pośladkami, brzuchem na wierzchu – a moje zaciekle próby uwolnienia się z jego uścisku przypominały tylko ruchy spętanego zwierzęcia. Światło dnia, choć stłumione przez zasłony, było tak jasne, że w tej pozycji nie miałam już dla niego żadnych tajemnic. Z odległości, w jakiej się znajdował, Pan nie mógł nie dostrzec, jak bardzo byłam rozgrzana i wilgotna.

Pokój pachniał starym wywoskowanym drewnem i kurzem, ale nie był to, jak to czasem bywa, zapach agresywny i duszący. Staroświecki i dziwnie znajomy zapach mieszczańskiego domostwa, którego nie dało się zagłuszyć pastą do podłogi. Ręka Pana znalazła się blisko moich ust, ale zapach tego pokoju był jedynym, jaki do mnie docierał, chociaż łąpałam każdy łyk powietrza, z oburzeniem sapiąc „nie, nie” w rękaw jego

marynarki.

Temperatura moich policzków wzrosła niesamowicie, gdy poczułam nagle, że Pan spogląda mi między nogi – tym nieuchwytnym spojrzeniem, jakim obdarzają mężczyźni tę okolicę kobiecego ciała – i moment napięcia, w którym za jego wzrokiem powędrowały palce, wydawał mi się po prostu bez końca. Sądzę, że było to spojrzenie miłosne, ponieważ na jego twarzy widziałam tylko to, kiedy każdego wtorkowego ranka rozpościerał mi uda; ale tę miłość, onieśmielająco nową, żarliwą i dziką, trzeba było oswoić, bo wcześniej istniała dla mnie jedynie w wierszach Apollinaire’a albo w barwach Courbета. To był właśnie ten moment, kiedy zaczęłam sobie mówić, że Pan może mi się podobać bez względu na swoją fizyczność, choćby tylko dla tej miłości, płonącej pożądaniem i pełnej religijnego uwielbienia; miłości, która wydawała mi się bajkowa. A która bajkowa nie była.

Wreszcie mnie dotknął – i ku mojemu zaskoczeniu i zakłopotaniu to właśnie w tym momencie zorientowałam się, że ten mężczyzna mi się podoba. Chciałam, żeby wiedział, jak jestem owinięta wokół jego kciuka, twarda pod jego palcem wskazującym, nabrzmiała we wnętrzu jego dłoni, dotykana jak lalka albo cenny obraz, z precyzją i intuicją, których nie powstrzymuje oczarowanie. Ta pewna męska dłoń w moich włosach i koronkach.

W jednej chwili Pan był nagi – z trudem piszę te i kolejne słowa, bo przechodzi przeze mnie dreszcz na samo wspomnienie ciepła jego ciała przy moim gorącym ciele, na paraliżujące wspomnienie jego członka wtulonego w moje pośladki. Nie miałam pojęcia, jakich mocy użył, żeby rozebrać się tak szybko, prawie bezszelestnie. Zajęło mu to zaledwie kilka sekund i nigdy nie pojęłam, czy to barbarzyńskie tempo powinno mi schlebiać, czy może mnie urazić – bowiem dojrzywałam w rękach mężczyzn, z którymi nawzajem i powoli wykradaliśmy sobie kolejne części garderoby. Właściwie nie miałam czasu, by się nad tym zastanowić; nagle olbrzymi cień Pana pojawił się za moimi plecami. Poczułam jego napięcie, jakby szykował się do skoku w przepaść, i nagle pokój rozpadł się jak domek z kart. Kiedy mnie brał, otworzyłam oczy i zobaczyłam tylko jego ręce po obu stronach moich bioder, długie i szczupłe ręce, oślepiający błysk obrączki – i te ręce wtargnęły wtedy do mojego świata, żeby już nigdy z niego nie wyjść.

Jeśli jest coś, czego nie wybaczyłam Panu nigdy – oprócz wielu innych rzeczy – to, że wziął mnie tego pierwszego ranka bez żadnego zabezpieczenia, zbyt szybko, bym mogła się sprzeciwić, i że w ten sposób

wywołał nieporozumienie, które miało mnie później doprowadzić do zguby: poczucie, że jego zdaniem zasługiwałam na takie ryzyko (zagrożenie dotyczyło też żony Pana, która z pewnością nie ucieszyłaby się, gdyby nagle odkryła prezent w postaci rzeźączki). Skłamałabym, mówiąc, że ta kłopotliwa nagość niepokoiła mnie dłużej niż kilka sekund, bo Pan wchodził we mnie centymetr po centymetrze, powoli, ale bardzo mocno, aż dotarł na dno mojego brzucha z mokrym, ssącym plaśnięciem, i to mnie kompletnie wytrąciło z równowagi, bo brzmiało jak dźwięk z pornosa. Modliłam się głupio, żeby tego nie usłyszał, ale wokół była taka cisza, że nic nie mogło mu umknąć, a w każdym razie nic, co miało związek z moją pupą czy tym rozgrzanym punktem złączenia naszych dwóch ciał.

Dwa miesiące później jest straszny upał i siedzę przy biurku w tym samym stroju, który nosiłam tamtego wtorku; piszę znudzona i nagle robi mi się strasznie głupio, że pamiętam tylko Penetrację – to słowo ma szczególnie perwersyjny wydźwięk z powodu cudownego wyuzdania Pana (i nawet nie potrzebuje dużej litery, żeby brzmieć jak requiem). Nie pamiętam niczego z tego naszego pierwszego razu, z wyjątkiem samego początku i końca, bo zbyt byłam zachwycona tym, jak bardzo wszedł we mnie ten mężczyzna, jak zanurzył się we mnie jego twardy członek. Wczułam się w to tak bardzo, że nie zachowałam żadnych wspomnień o rozkoszy czy jej braku – wystarczyło to jednak, żebym, kiedy już padłam obok niego, ledwie dysząc, chciała jeszcze, jeszcze, jeszcze spotkać się z tym mężczyzną. Pan cały płonął od niesamowitych seksualnych możliwości, pozwolił mi odkryć nieznane światy, które dostrzegłam na tyle, by chcieć szeroko otworzyć do nich wrota. Zachowałam obrazy jak w błysku flesza: siedzę na nim i z każdą sekundą bardziej tracę nadzieję, że uda mi się zawładnąć jego światem. Czołgam się, węsząc, wzdłuż jego brzucha – płaskiego brzucha, który nigdy nie zaznał żadnej diety, o gładkiej i zwartej skórze szczupłego mężczyzny, na której lata zostawiły ślady prawie niewidoczne gołym okiem, zauważalne tylko w styku z policzkiem lub palcami.

Wiem, że objęłam Pana spojrzeniem, zanim wzięłam go do ust – to znaczy spojrzałam na jego ciało, zafascynowana jak zwykle bezwstydną męską erekcją, tą męską dumą ze spektakularnej nagości. Pan miał rozłożone nogi, tak że mogłam się między nimi schować, a spod firanki rzęs dostrzegałam brunatny jedwab, z którego jego członek wyłaniał się jak wielki wykrzyknik. Jego smak zmieszany z moim w proporcjach równie tajemnych i diabolicznych, co receptura coca-coli.

Nie śmiałam popisywać się moją wiedzą w tej dziedzinie; co gorsza nagle poczułam, że ta wiedza wyparowała. I choć chęć zrobienia na Panu wrażenia moimi umiejętnościami i moją miłością do męskiego ciała była kusząca, nie mogłam zdecydować się, by mu dowieść, że mimo swych dwudziestu lat jestem tak samo zdeprawowana jak on.

I znowu flesz, którego ostrość mnie dręczy: zaledwie po kilku sekundach wycofał się z moich ust i gwałtownie przewrócił mnie na brzuch, tak szybko, że gdy krzyknęłam, gryząc go w rękę, po gardle spływała mi jeszcze mieszanina śliny i spermy, której nie udało mu się powstrzymać. Wydawało mi się, że Pan coś mówił, i choć nie rozumiałam ani jednego słowa, prawie piałam z podniecenia, mój Boże, prawie tarzałam się w tym sprośnym głosie, tym głosie, który jeszcze nie miał twarzy! Z przykrością zorientowałam się jednak, że w rzeczywistości Pan nic nie mówił, całkowicie pogrążony w kontemplacji, skupiony na moim rwącym się oddechu. To, co początkowo wzięłam za sprośności, było tylko odgłosem jego członka wchodzącego i wychodzącego z mojej głębi, dźwiękiem jego brzucha uderzającego o moje pośladki. Musiałam odwrócić głowę, żeby pozbyć się wszelkich wątpliwości: pupa drgała mi od każdego ruchu jego bioder, ale Pan blokował wszelkie próby sprzeciwu rozpostartymi rękami i paznokciami wbitymi w moje ciało. Jednak, nawet pomimo marnego punktu widzenia, dostrzegłam, jak jego chuj wyslizgiwał się ze mnie prawie do końca, a dźwięk, jaki wydawał, uderzając w spód mojej cipki, równie dobrze mógł mieć kształt i kolor. Czułam się zakłopotana, a jednocześnie tak straszliwie podniecona, że zaczęłam krzyczeć jeszcze głośniejsze, przede wszystkim, żeby maksymalnie zagłuszyć te dźwięki; ale to, co wydobyło się z mojego gardła, nie miało nic z planowanego wyrafinowania, było raczej dokładnym echem ruchów Pana, echem ich siły i głębi, ich zachwyconym wibrowaniem. Wrzaskami suki.

Pan nagle odsunął się ode mnie, a ja zostałam rozwartą, zaróżowioną i pokonana, cała w drgawkach, a on patrzył na mnie, a potem odwrócił mnie znowu na brzuch; i zanim zdążyłam zacisnąć powieki, po raz pierwszy naprawdę dokładnie zobaczyłam, jak wygląda ten mężczyzna, który pieścił wzrokiem moje ciało, trzymając kutasa w dłoni.

Poznałam smak spermy Pana, zanim poznałam jego twarz, zanim otworzyłam oczy i go zobaczyłam, zanim zobaczyłam go naprawdę. Czując silną woń jego spermy, uchyliłam powoli powieki, i nagle się zjawiał. Jego duże szare oczy miały ciężkie, seksowne, wschodnie spojrzenie, jak oczy jego najstarszego syna (oglądałam jego zdjęcia kilka

dni wcześniej), a jego okrągłe i słodkie usta zdradzały skłonność do miłości i rozkoszy. Jego nos, który wślizgiwał mi się pomiędzy uda i przemykał po szyi, znajdował się idealnie pośrodku. Pan był jednym wielkim zaproszeniem do tego, bym przeciągała się jak kotka pod jego spojrzeniem. A może to tylko ten triumfalny hołd, spływający po moich policzkach aż do akweduktu ust, zaburzał moją percepcję?

Kim pan był, mój Panie? Kim pan był naprawdę? Co miał pan w sobie takiego, że zmienił pan ten zwykły wtorkowy poranek w to, czym stał się w mojej głowie? Mogłabym się założyć, że gdybym była na pańskim miejscu, nie odważyłabym się otworzyć drzwi do tego pokoju, a w każdym razie nie z tą pańską pewnością siebie, z tą miną, że się panu należę, że chciał pan mnie mieć przez całe życie. Przypatrywałam się, dosłownie, jak Pan przeobrażał się przy moim łóżku, jak zaczynał zdobywać mój świat. Pozwoliłam zapanować nad sobą bez cienia protestu: ten pokój był już zawsze tylko dla nas.

Czy pamięta pan, jak upłynęło dwadzieścia minut po tym, jak skończyliśmy się kochać? Leżałam przytulona do pańskiej piersi i usiłowałam dyskretnie wytrzeć pańską spermę w kołdrę, a pan, sądząc, że chcę się odsunąć, zatrzymał mnie ręką: „Zostań!”.

Takie jakby przymusowe pieszczoty. Wydaje mi się, że polubiłam je dużo później, kiedy pana już obok mnie nie było, żeby mnie zmuszać do czułości. Smutne, prawda?

Długo milczeliśmy. Bałam się znów spojrzeć panu w oczy. Odzyskiwałam siły. Wsłuchiwałam się w niezwykłą gęstość tej ciszy. Ale w końcu to ja pierwsza się odezwałam.

– A więc jednak pan przyszedł.

Nie dlatego, że nie wiedziałam co powiedzieć; raczej zdumiało mnie to, że miał pan odwagę wyjść wcześniej z domu, przebiec tymi dziwnymi uliczkami między Dzielnicą Łacińską i Convention, wiedząc znakomicie, co pan zobaczy, kiedy wbiegnie na drugie piętro tego maleńkiego hoteliku. Że ryzyko, po czterech dniach nakręcania się esemesami, ostatecznie okazało się dla pana – i dla mnie – zbyt kuszące, żeby odpuścić.

Nie potrafię już przytoczyć wszelkich subtelności dialogu, który wówczas prowadziliśmy. I bardzo żałuję; wiele bym dała, by móc bez końca na nowo oglądać film z tego pierwszego ranka! Słuchałam dźwięku pańskiego głosu, który brzmiał jak muzyka. Idealny głos, stworzony dla tych kochanków bez twarzy, którzy kochali się ze mną przez długie minuty w wieczory, kiedy nie mogłam zasnąć. A potem nagle pan wbił mnie w ziemię po raz pierwszy.

– Wyobrażałaś sobie, że to tak właśnie będzie?

– Jak?

– Że będę właśnie taki. Że będzie tak słodko.

Tak słodko, mój Panie. Cóż za precyzja sformułowania.

– Że wejdę po cichu do twojego pokoju, że będę cię pieścił, że poczekam, aż się obudzisz? Równie dobrze mogłem wpaść tu jak burza, rzucić się na ciebie i cię zgwałcić. Podrzec ci pończochy i zmusić do sodomii.

Zmusić do sodomii?! Mój Panie! A cóż to za pomysł? Nie mam stuprocentowej pewności, ale uszy raczej mi zwiędły. Przeszył mnie krótki dreszcz obrzydzenia, myślę, że „pieprzenie w tyłek” zabrzmiałoby lepiej w pańskich ustach (później mieliśmy tego dowody, gdy mruczał mi pan to nad głową któregoś z naszych wtorkowych poranków). Wszystko, ale nie „sodomia”. Pewnego dnia, mój Panie, zostanę członkiem Akademii Francuskiej i wykreślę to słowo ze słownika, nawet jeśli to będzie jedyna rzecz, jakiej dokonam.

Czy przypomina pan sobie, że później, kiedy z żalem wypuścił mnie pan z objęć, założyłam ściągane w pasie spodnium? Zapaliłam papierosa i w nieskończoność, oparta łokciami o żelazne obramowanie łóżka, eksponowałam się przed panem jak mała dziwka, nieustannie głaszcząc sobie sutki. Pański wzrok z błyskiem inteligentnej akceptacji otulał mnie jak koc. Równocześnie mogłam przeglądać się w wielkim lustrze, które było przede mną, i z fajką w zębach przyjmowałam różne pozy, rozmawiając z panem o książkach, uczelni, przyjaciółach, z którymi spędziłam poprzedni wieczór. Prawdziwy balet rozchylanych ud, czarownych piruetów na czubkach palców, akrobacji przy metalowym oparciu i forteli, żeby „podnieść z podłogi spinki do włosów” (pokazać panu pupę). Uśmiechał się pan z rozczuleniem seksualnym i ojcowskim zarazem, co doskonale współgrało z sytuacją; było idealnie bezczelnym ukoronowaniem mojej młodości i pańskiej dojrzałości. Pan rozłożony jak król w hotelowym łóżku, a wokół kręciła się jego postnastoletnia półnaga Messalina, jeszcze rozwarta od jego hołdów.

To był poranek, jaki bywa tylko w maju; słońce wspinało się powoli po niebie, ale czas się jakby zatrzymał, znieruchomiał.

Od czasu do czasu przerywał pan rozmowę, żeby nagle i całkiem serio zawołać:

– Jaka ty jesteś piękna!

A ja czułam, że błyszczę w tym świetle.

(Zapyta mnie pan później, jak mogłam tak zaangażować się w tę historię, tak zwariować na pańskim punkcie. Zaskakiwała pana ta moja adoracja pomieszana z podejrzliwością, nie mógł pan odgadnąć, dlaczego

tradycyjne role tak gwałtownie się odwróciły. Nie wiem, nie wiem, ale mam wrażenie, że wiele winy ponoszą pańskie komplementy i ta miłość w pańskich pięknych ciemnych oczach).

Wreszcie znów położyłam się obok pana, wcisnęłam się między pańskie kolana a ramiona, a pan otulił dłonią moją prawą pierś.

– Twój cycuszek będzie się czuł strasznie samotny, kiedy wyjdę – przepowiedział pan.

Prawda jest taka, że trzeba było jeszcze tygodnia, żeby zaczęło mi brakować tych pieszczot. I wszystkiego innego. Ta moralność zdeformowana uwielbieniem rozpusty, którą łatwo było odczytać, przyciągała jak wszystko, co toksyczne. I ponieważ moje ręce zbliżały się do pańskich bioder, nie dotykając ich prawie, i nie śmiałam pożerać pana wzrokiem, przygarniał mnie pan do siebie, muskał mnie po włosach, tak jakby chciał mi powiedzieć, że nie mam się czego obawiać. Tak jakby nie było nic paradoksalnego w tym, że wytrysnął mi pan na twarz, a potem mnie pogłaskał. Kiedy leżałam koło pana bez ruchu przez długie minuty, miałam wrażenie, że się gotuję. Nie rozumiał pan tego; moje nieustające spacerowanie od okna do łóżka i z powrotem irytowały pana coraz bardziej, wraz z upływem czasu i z pańską wzrastającą gotowością do następnego podejścia. Musiał pan wiedzieć, jak wielkie robił pan na mnie wrażenie. Poprzedniego dnia wysłałam całkiem szczerego esemesa: „Trochę się jednak boję”.

A zły wilk, czyli pan, odpowiedział: „Nie bój się, jestem najmilszy na świecie”.

Ale świetnie pan wiedział, drogi Panie, że to nie była prawda. Wiedział pan, że pańska delikatność, pańska czułość nie miały nic wspólnego z dobroduszością. Po prostu brał pan rozbieg, żeby wykonać dobry skok. Widziałam to w pańskich oczach, gdy podczas rozmowy zorganizowaliśmy konkurs, kto nie wytrzyma ciężaru spojrzenia i spuści oczy. Konkurs, który przegrałam z kretelem.

Pozwolił mi pan od siebie uciec, bawiło to pana. Nic nie tracisz, czekając, mówiły pańskie piękne brwi; przyparty do muru moim spokojem, wyjął pan z torby lekarskiej małe lazururowe pudełko z wykwintnego kartonu, a z niego bardzo stare wydanie mojego ukochanego Mandiargues'a. Nie ma pan, mój Panie, pojęcia, co wówczas przeżywałam: po prostu Gwiazdka. Zgoda, zbliżyła nas miłość do literatury erotycznej, ale żeby otrzymać tak śliczne potwierdzenie... stał się pan dla mnie Mikołajem w maju. Ledwie śmiałam dotknąć pożąłkłych stron, piszczałam jak dziecko w Disneylandzie, z wybałuszonymi oczami.

A potem, po dłuższej chwili, oddałam panu ten tomik z odrobiną smutku, bo otarłam się o pański świat cennych, wspaniale wydanych książek.

A pan – mnie, która niszczyłam sobie ręczki w kwaciarni za czterysta euro na miesiąc, mnie, która spałam otoczona kieszonkowymi wydaniem książek dla studentów – powiedział:

– Nie, zatrzymaj ją. Jest twoja.

I mogłam sobie protestować, wrzeszczeć jak wariatka, wymachując histerycznie książką. Pan przycisnął mi ją do piersi z takim uśmiechem, że musiałam ją przyjąć, spuściwszy oczy, już oburzona na samą myśl, że miałabym wcisnąć do torby taką książkę, między laptopa a kosmetyczkę, i *Anglik* mieszkałby w fatalnym towarzystwie niedokręconej tubki pasty do zębów.

(Wie pan, co zrobiłam po powrocie do domu, kiedy zamknęłam się przed rodzicami w swoim różowym pokoju w suterenie? Oddarłam kawałek kartki i między cudne stronice Mandiargues'a wsunęłam nabazgraną długopisem notkę: „Prezent od C. S., 5.05.09”. Jak mała dziwka, która robi listę prezentów od swoich kochanków).

Przez chwilę mogłam się czuć jak kurtyzana, a potem prawie pękałam z dumy; nawet Zola nie wymyślił czegoś równie pikantnego, jak kurtyzana wynagradzana białymi krukami.

Kiedy wziął mnie pan znowu, w pozycji embrionu, byłam skoncentrowana na zapachu przejrzałego mango, który wypełniał cały pokój, czułam, że spływa na mnie jak oliwa, że jego upojne nuty terpentyny i alkoholu mieszały się z Guerlainem na pańskich palcach (pańskimi słodkimi perfumami, które odurzają i mężczyzn, i kobiety). Ledwie śmiałam otwierać oczy; patrzenie z całą pewnością odbierałoby wiele magii temu okrutnemu poczuciu sytości i głodu, temu wrazeniu, że wzywam pana, łkając bezgłośnie, za każdym razem, kiedy wychodzi pan ze mnie. Wiedział pan, że nasze ciała porozumieją się tak świetnie? Ja przeczuwałam to dość słabo: nie znając pana, byłoby rzecz jasna wspaniale wyobrazić sobie taką osmozę. I to nie rozkosz mnie tak odurzała, ale raczej płynność, z jaką się pieprzyliśmy, ta komunia harmonijnych ruchów z hipnotyzującą namiętnością, perfekcyjne sprzężenie naszych oddechów. Ja, Ellie, lat dwadzieścia, starająca się pozbyć dziecięcej krągłości, i pan, drogi Panie, czterdzieści sześć lat pieśczoć i namiętnych ust, razem w łóżku, w ukryciu, w porze, kiedy wszyscy ludzie, jakich znamy, szli do pracy. Wytrysnął pan we mnie z ostatnim krzykiem, a ja ścisnęłam pana wszystkimi mięśniami jak prasa.

– Na szczęście mam spiralę – uśmiechnęłam się po wszystkim, gdy

podskakiwałam, siedząc na tobie. – Na szczęście się zabezpieczam. A ty nawet nie zapytałeś, czy możesz skończyć we mnie bez ryzyka.

– Sądziłem, że się zabezpieczasz – odpowiedziałeś, podszczypując czubki moich piersi.

– Nie możesz wiedzieć, czy jestem zdrowa. A jeśli sypiam na prawo i lewo bez gumki?

– Przecież tego nie robisz – powiedziałaś bez dalszych komentarzy.

Zatkało mnie. Nie wiedziałam, co powiedzieć wobec takiej szczeniackiej bez troski, więc postanowiłam przyjąć taką samą postawę jak ty: wyrzucić z głowy Andreę, ryzyko, twoją żonę. Uznałam, że przecież jesteś żonaty i że teoretycznie, bardzo teoretycznie, nie mogłeś sobie pozwolić na przywleczenie do domu choroby wenerycznej. Moje pierwsze *faux pas*.

– Przyjdź popatrzeć, jak operuję – poprosiłeś kilka minut później, gryząc mnie w szyję.

To byłoby olbrzymie ryzyko odwiedzać cię w klinice w uroczej części Marais, gdzie pracował mój wuj i gdzie całe hordy pielęgniarek mogły rozpoznać we mnie dziewczyneczkę w lakierkach, która biegła po korytarzach podczas dyżurów doktora Cantrela. Trzeba byłoby wymyślić temat jakiejś rozprawy naukowej do napisania, żeby uzasadnić moją obecność, okłamać ze dwadzieścia osób i nie mieć żadnych skrupułów, żeby wprowadzić na aseptyczny blok operacyjny seksualne napięcie i niemoralność naszej historii. Do końca utrzymać się w rolach dziwki i jej kochanka chirurga na wrogim terytorium.

– Z przyjemnością – odpowiedziałam.

A potem sobie poszedłeś. W połowie fascynującej rozmowy, którą przerwał twój pieprzony telefon. Rzuciłam się na łóżko w stertę poduszek i jaśków, wydając pisk, który ujął mi z dziesięć lat:

– Nie! Zostań jeszcze trochę!

A przecież równocześnie, zadziwiająco, chciałam zostać sama i poskładać wspomnienia jak płatki kwiatów w zielniku. Przy tobie nie mogłam myśleć o niczym: zbierałam tylko obrazy ciebie, fragmenty zdań i twój niski głos, pełen zaspokojonego, choć nieustannie rozbudzonego pożądania. Może wiedziałam już, że będzie mi brakowało ciężaru powietrza wokół ciebie.

– Nie mogę, kochanie. Muszę iść do pracy. Ale wierz mi...

Nowe dyskretne spojrzenie, pełne niedowierzania.

– ...Nie mam na to najmniejszej ochoty.

Faktem jest, że wolałabym usłyszeć jakieś inne, nie tak stereotypowe

wymówki, które podkreślały tylko nasz brak stałości, nawiasy, które zamykały naszą historię. Czy kiedykolwiek zabrakło nam scenariusza? Przypomnij sobie, jak uciekałeś, spojrzawszy na mnie przeciągle w połowie drogi na schody, a ja stałam z gołym biustem na korytarzu, przy drzwiach, jeszcze rozpalona seksem. Wyglądałeś, jakbyś schodził ze sceny. Kiedy zostałam sama w tym pokoju, zdumiona twoją nagłą dywersją, byłam jak aktorka po spektaklu, która pakuje przybory do makijażu, składa ubrania, znużona i szczęśliwa. Paliłam, siedząc na łóżku przy otwartym oknie i konałam z głodu. Fizycznie czułam się jak po pierwszym razie, z tym samym znużeniem, którego nie da się porównać z niczym; miałam nieopanowaną chęć, żeby napchać się kluchami, frytkami, orzeszkami, *panaché*² i kremem Mont-Blanc, żeby znowu poczuć się normalnie.

Ale kiedy dotarłam do domu i rzuciłam torby na łóżko, nie chciało mi się nawet iść do kuchni. Przykryłam się kołdrą, zamknęłam oczy, usiłując nabrać sił, żeby postawić garnek na gazie – i obudziłam się o siedemnastej w świetnej formie. Kiedy moja siostra zobaczyła, jak moczę w zimnym mleku pół paczki prince'ów (i moje fioletowe sińce pod oczami, ze zmęczenia i niezmytego makijażu), zmarszczyła brwi.

– Masz jakiś problem? – rzuciłam tonem może trochę agresywnym.

Siedziała przy stole obok mnie i bardzo wyraźnie widziałam, jak ruszała nozdrzami, łapiąc powietrze – i szukając dowodów.

– Nie mam – odpowiedziała, nie patrząc na mnie, i wiedziałam już, że wie.

Widzisz, nie powiedziałam ani słowa. Wszystko mówiło za mnie.

² Piwo z lemoniadą (przyp. red.).

Ellie

Piszę do ciebie z wielkiego zimnego łóżka w swoim pokoiku u rodziców (szkoda, że nie możesz tu przyjść – zbyt to niebezpieczne – bo naprzeciw łóżka przykleiłam do ściany olbrzymie lustro, i obrazy, jakie mogłyby w nim powstać, są niezwykle smakowite).

Chciałam podsumować ten poranek, ale wydaje mi się, że wszystko, co mogłabym powiedzieć, tylko osłabiłoby to, co myślę. Nie mam najmniejszej ochoty odbierać barw temu rankowi, miotając beznadziejnymi przymiotnikami najwyższego stopnia. Zresztą wszystko było maksymalne.

Kiedy ci powiedziałam, że jestem zajęta, to oznaczało, że właśnie gadałam o dupie z moim byłym kochankiem na Facebooku i że rozłączyłam się szybko, żeby nie robić za obłudnicę. Dziś nie mam najmniejszej ochoty, żeby się przed nim wdzięczyć.

Po zastanowieniu stwierdzam, że lepiej nie wspominać wujowi o mojej środowej wizycie na bloku. Po pierwsze, jest w Anglii i trudno go złapać, po drugie, powiedziałby mi z pewnością, że nie mogę przychodzić popatrzeć sobie na operację, teraz, kiedy on już pracuje gdzie indziej. I byłoby niezręcznie naciskać, mówiąc, że „są inne sposoby, by się tam dostać, na przykład może twój kolega...”. Za dużo o tym ostatnio gadaliśmy i nie wygląda to wiarygodnie. Jak sądzisz? Zresztą zdziwiłabym się, gdyby anestezjolożki czy pielęgniarki dzwoniły do mojego wuja, żeby mu powiedzieć, że byłam na bloku. A poza tym wolno mi robić, co mi się podoba. A dla Philippe’a mam ciągle cztery lata, truskawkowego lizaka w buzi i całymi dniami w Ogrodzie Luksemburskim skaczę sobie z balonikiem napelnionym helem – on nic nie zrozumie.

Skłamałam, bardzo źle spałam poprzedniej nocy, nieustannie się budziłam i patrzyłam, która jest godzina. Wstałam jakoś o szóstej, żeby wziąć prysznic, i usnęłam znowu dopiero o wpół do dziesiątej. Ze strachu miałam skurcze w dolnej partii pleców, za każdym razem, kiedy zamykałam oczy. I wyobraź sobie, że mi się śniłeś. Nawet zdawało mi się, że to rzeczywistość, że położyłeś się koło mnie na łóżku i czułam twoje udo między nogami; podniecona byłam jak diabli. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że jestem sama, a słońce dopiero wstaje – i serce waliło mi aż do chwili, kiedy przyszedłeś. Powiesz mi, że później też. Ale było mi lepiej, byłam tam, gdzie chciałam być od pięciu dni.

Położę się na maleńką drzemkę, zanim zrobię sobie kolację (a taką mam na to ochotę, jak wbijać sobie wykałaczkę pod paznokcie), i później napiszę do ciebie coś więcej...

Ellie

PS Wykąpałam się i znalazłam twój włos. Zgadnij gdzie. To łatwe.

Na szczęście moja matka jeszcze śpi. Nie wiem, jak bym wytłumaczyła ten swój strój w środę rano, podczas strajków studenckich. Punktualnie o ósmej rano. Podświadomie ubrałam się jak idealny wzorzec kokoty. Ludzie wokół mnie może tego nie widzą, ale ja to czuję. Wystarczy spojrzeć, jak cierpią moje łydki na tych obcasach, które zakładałam tylko na wieczorne wyjścia. A ta spódnica wygląda jak specjalnie zaprojektowana, żeby można ją było szybko zadrzeć do góry.

Łapię taksówkę, która wydaje mi się królewskim środkiem transportu do dobrej dzielnicy Marais. A zresztą już jestem spóźniona. Od jakichś dwudziestu minut. Aż do Dworca Lyońskiego patrzę to na zegarek, to na komputer, to na komórkę, która jeszcze nie dzwoni. Boję się. Nie jestem nawet odpowiednią kochanką. Mam dwadzieścia lat, nic nie robię, głównie śpię – wszędzie powinnam być na czas przed Panem.

I nagle, nie wiem czemu, wszystko się zmienia. Widzę kościół Świętego Pawła, jego lśniący w ciepłym słońcu poranka dach, tych wszystkich dupków w garniturach, którzy idą zamknąć się w swoich dwumetrowych biurowych pokoikach, a ja mam na sobie szeroką spódnice i obcasy i idę zobaczyć się z tym mężczyzną w lekarskim fartuchu, który wziął mnie lata temu (a może dwadzieścia cztery godziny temu), i parskam radosnym śmiechem w nos zagrożeniu, jakie stanowią pielęgniarki i wszyscy ci lekarze, którzy bywali na kolacjach u mojego wuja, kiedy miałam pięć lat i kitkę na czubku głowy. Muszę z kimś pogadać. Muszę do kogoś zadzwonić, bo zacznę wrzeszczeć ze szczęścia i z tremy, bo eksploduję. Muszę zadzwonić do Babette. Jest za dziesięć dziewięta, więc mnie zabije, ale trudno.

Babette musiała położyć się późno i dużo wypalić ze swoim chłopakiem. Odzywa się głosem właścicielki domu gry.

– Masz coś ważnego? Bo jak nie, to zasnę w trakcie rozmowy.

– Nie zasypiaj, muszę się z tobą podzielić chwilą łajdackiej radości – dygoczę, oparta łokciem o okno, przed którym przelewa się tłum na rue de Rivoli.

Babette prycha. Jak ją znam, właśnie siada po turecku i zapala lucky strike'a. Lubię Babette. Inès bez skrupułów odłożyłaby słuchawkę.

– Zgadnij, gdzie jestem?

– Nie mam pojęcia. Gdzieś, gdzie jesteście łajdacko szczęśliwa.

– Jestem w taksówce, w pobliżu kościoła Świętego Pawła i będę

oglądała operację Pana w klinice.

Przez pół sekundy Babette nie wydała najmniejszego dźwięku. Jestem skonsternowana.

– I... nie wiem... chciałam powiedzieć komuś, kto zrozumie, że zalewa mnie fala dzikiej radości. Ale właśnie odpływa, bo ty się nie odzywasz.

– Zauważ, że dopiero się budzę. Albo raczej, że dla ciebie wynurzam się ze snu na kilka sekund. Więc jedziesz spotkać się z Panem?

– Właśnie.

– Ale widziałaś się z nim wczoraj! – teraz ona wrzeszczy. – Może byś dała spokój!

– Obiecałam mu, że przyjdę na blok popatrzeć, jak operuje.

– I tłumaczysz się, jakbyś zaspokajała jego kaprys.

– Coś w tym jest... – przyznaję, jednocześnie zawstydzona i dumna, że stałam się kaprysem.

Kaprysy są bardzo niedoceniane, bo płoną jak słomiany ogień, bo dowodzą braku dojrzałości. Ale zbyt szybko zapominamy, jakiego dają kopa do życia, jak wielki zryw do tego, co wydaje nam się piękniejsze lub lepsze. Bo czymże innym mogłabym być w wieku dwudziestu lat? Wolę spłonąć z Panem jak pochodnia, niż być dla niego tylko ciałem, które istnieje wyłącznie w ciepłe hotelowego pokoju. I nie ma sprawy, mogę wstać o wpół do ósmej rano podczas strajku i wpasować się w plan dnia Pana, tylko dlatego, że on chce zobaczyć w moich oczach ten podziw i pożądanie. Ale Babette widzi to inaczej.

– Osłabiasz mnie, koleżanko. Frunęłam jak mewa po bezchmurnym niebie, a ty od początku rozmowy usiłujesz mnie ściągnąć na ziemię.

– Absolutnie nie. Ale dobrze wiesz, że idziecie donikąd. Więc bierzesz, co się da, póki czas.

– Musiałaś mi to powiedzieć?

W ostatniej chwili każę kierowcy skręcić w rue du Roi-de-Sicile (zbliżamy się, jestem na skraju zapaści), a Babette wybucha dźwięcznym śmiechem i przypominam sobie, jak bardzo ją lubię.

– Po prostu nie chcę cię potem zbierać do kupki. Ale idź, poszalej sobie, niech cię Pan poszczypie w tyłek pod tą koszmarną niebieską piżamą.

– Dajesz mi swoje błogosławieństwo?... Proszę tu skręcić w prawo.

– Pełne błogosławieństwo. Będę ci współczuć, kiedy przyjdiesz z zapłakanymi oczami, ale my jesteśmy jak koniki polne: zero przewidywania przyszłości. Albo wprost przeciwnie, totalne

przewidywanie. Jednak mamy to w nosie. Dwie sekundy przyjemności za dwa tygodnie nieszczęścia, nieważne, weźmiemy i to.

– OK, muszę kończyć. Po pierwsze dlatego, że jestem pod kliniką, po drugie dlatego, że zaczynasz mi psuć perspektywę.

– Jasne, spadaj. Idź się nawalić swoim szczęściem pijanego zająca.

Rechoczę szczerze, ale już wiem, że to ostatnie zdanie Babette będzie mnie uwierało przez cały ranek, choć oczywiście nie wyciągnie mnie z bagna, do którego wpycha mnie Pan ze swoimi wymaganiami chirurga-dziecka. Wsiadam z taksówki na drżących nogach, i oto jestem tu, przed kliniką. Przypomnij sobie Ellie – gdy miałaś dziesięć lat, wszystko byś dała, żeby nie musieć tu przychodzić, a dziesięć lat później zapłaciłaś trzydzieści euro, by znaleźć się tu jak najszybciej.

Przed laty chowałam się w zaułkach korytarzy, żeby uniknąć obchodu: dwudziestu minut głaskania przez pacjentów rozczulonych widokiem małych blondyneczek uwieszonych u fartucha doktora Cantrela, w salach śmierdzących eterem i bólem, a czasami, gratisowo, konieczności obejrzenia olbrzymich, podeszłych krwią szwów na kolanach starych marud. Moja siostra Louise nie była w stanie zjeść kawałka czekolady ofiarowanego przez pielęgniarkę, bo zdawało jej się, że musi mieć smak olbrzymich strupów, jakie chwilę wcześniej widziała na piszczelach algierskiego robotnika. Siedziałyśmy godzinami – tak przynajmniej nam się wydawało – w poczekalni, a Alice onieśmielali inni doktorzy, więc chowała się za nogi Philippe’a. Mimo mojego straszliwego obrzydzenia do ran i ciężkiego zapachu lekarstw, fascynowały mnie słowa, a zwłaszcza spojrzenia, jakie wszyscy ci ludzie rzucali w jego kierunku, tego głębokiego szacunku i wdzięczności – mógł więc być wielkim chirurgiem i jednocześnie biegać za bandą dzieciaków po alejkach Ogrodu Luksemburskiego albo trzymać nas za wysmarowane popcornem łapki, żeby przejść przez rue de Rennes. Wiele lat później musiał mnie przyprowadzić na blok, bym zdała sobie sprawę, że mam doktora w rodzinie. I to także wtedy po raz pierwszy spotkałam Pana – a przynajmniej parę szarych anonimowych oczu, którymi wówczas był.

Drugie wspomnienie prawdziwego, nieco późniejszego spotkania. Wspominanie go *a posteriori* wydaje mi się snem – albo sceną z bardzo dobrego filmu erotycznego. Impreza z okazji urodzin mojego wuja; zbliżałam się do osiemnastych urodzin i nie poświęciliśmy sobie nawet cienia uwagi.

To jednak dziwna sprawa – mężczyźni, których kochamy, istnieją przecież gdzieś, zanim nasze spojrzenie i nasze postrzeganie zmienią się

tak, by wprowadzić ich do naszego świata.

Wolałabym, żeby już wówczas wiedział, że ta mała blondyneczka, licealistka siedząca przy stole obok niego, pewnego dnia owinie go swoimi nogami. Podobałoby mi się to nieznośne napięcie. Chciałabym szepnąć mu do ucha podczas jakiejś bardzo oficjalnej rozmowy: „Zostanę pańską kochanką” i odejść, tak jak przyszłam, w szkolnym mundurku, a on niechby się starał odgadnąć pod T-shirtem kształt moich piersi, a pod ubraniem – kształt całego ciała, które będzie pieścił dwa lata później. Prześlizgnąć się jak wąż między stołami i krzesłami, pozostawiając za sobą ślad oddechu i ruch powietrza przesuniętego moimi rękami. Chciałabym już wówczas, tylko po to, by bezkarnie móc przyjrzeć się jego ciału, odezwać się do niego, rozśmieszyć go, wyobrazić sobie siebie przytuloną do niego nago. Widzę ten wieczór: łąziłabym z kąta w kąt, bojąc się wykonać jakiś ruch, a potem, w mniej zatłoczonej części domu Pan i ja zaczęlibyśmy rozmowę o literaturze. On siedziałby w fotelu, ja, po turecku, na łóżku w drugim końcu pokoju. Drzwi byłyby otwarte, nie zgodziłby się na podteksty, na żadną karygodną aluzję, a jednak tych kilka ulotnych minut w oddaleniu od innych gości zaznaczyłoby się paleniem w zagłębieniu łędźwi. Pan dobrze rozumie aksamitne spojrzenia młodych dziewczyn w wieku, w którym mężczyźni wahają się jeszcze odpowiedzieć uśmiechem na ich uśmiech. Jest z tych, którzy wychwytyją pierwsze zaróżowienia policzków, pierwsze tęskne spojrzenia, i odpowiadają na nie naturalnie, bo odgadują, że w tych dziewczętach są już kobiety.

A teraz idź i wytłumacz swojemu wujowi, że to dlatego wylądowałaś dziś przed kliniką.

Dzwonię do Pana i słyszę, jak się uśmiecha, nie muszę nawet widzieć jego twarzy.

– Już idę, kochanie.

Blond sekretarka patrzy na mnie tak, jakby słyszała naszą rozmowę. Zupełnie nie mam ochoty odzywać się do niej ani tłumaczyć swojej obecności. Odwracam się do okna, żeby przełknąć ostatnie krople kawy i czuję takie same skurcze ze strachu, jak we wtorek rano. Cisza w tej niebieskiej salce jest tak przytłaczająca, że zaczynam nerwowo nucić pod nosem, czytając raporty czystości przyklejone do ściany. Ktoś idzie za drzwiami po lewej stronie, tymi, które prowadzą na blok. Parę kroków ode mnie sekretarka udaje, że porządkuje papiery. Chciałabym mieć całkiem wypikselowaną twarz, wydaje mi się, że chyba bym umarła, gdybym musiała jej teraz tłumaczyć, kim jestem albo, gorzej jeszcze, opowiedzieć

jej o sobie, gdyby rozpoznała we mnie siostrzenicę doktora Cantrela. Na szczęście, kiedy właśnie otwiera usta, tajemnicze drzwi się uchylają i pojawia się Pan, wielki w swoim chirurgicznym fartuchu, z włosami ukrytymi pod niebieskim czepkiem. Czuję, że powstrzymuje się, by nie złapać mnie w ramiona, a ja odwracam się tylko w jego stronę, ale oczywiście płoną mi policzki, a oczy błyszczą. Cała promienieję. Uśmiech Pana głaszcząc mnie po włosach, choć jego ręce tkwią grzecznie w kieszeniach.

Klinika jest tak zbudowana, że na kilku metrach kręconego korytarza jesteśmy całkiem niewidoczni, i wtedy, w tym miejscu jakby poza prawem, Pan rzuca się na mnie, przyciska usta do moich ust, gwałci mnie językiem tak nagle i gorączkowo, że jestem bliska omdlenia, tracę świadomość i pion. Z trudem wytrzymuję ten pocałunek, który pachnie gwałtowną potrzebą i który oznacza „nie wytrzymam tego, że tu jesteś, wśród tych wszystkich ludzi, a ja nie mogę cię mieć”. Chyba zaczynam rozumieć, skąd bierze się to odpychanie zmieszane z magnetycznym przyciąganiem, które czyni z Pana istotę złożoną z paradoksalnych emocji. Fascynuje mnie związek z mężczyzną tak znakomitym i zmysłowym. Jestem chyba tak łatwym łupem, że może Pan nie jest aż tak świetnym myśliwym, jak się zdaje; chociaż nie przypomina tych staruchów, którym serca łamią świeże absolwentki liceum. Chwilami czuję takie rozgorączkowanie w tym pożądaniu ze strony dojrzałego mężczyzny, że nie wiem już, czy powinnam być z tego dumna, czy się nad nim litować. Czuję, że mam moc, którą mogłabym sprytnie wykorzystać, ale która mnie przerasta.

W szatni Pan obrzuca mnie znaczącym spojrzeniem i podaje mi strój chirurga. Usiłuję się dyskretnie przebrać za koślawymi półkami, a on zabiera mi torbę.

– Włożę to do mojej szafki, kochanie. Weź ze sobą tylko komórkę.

Serce staje mi na chwilę; zza szafki jąkam:

– Jak do mnie powiedziałeś?

– Mówię tu w ten sposób do wszystkich – wyjaśnia Pan i teraz mam ochotę dać mu w twarz za tę fałszywą nadzieję, że zwrócił się do mnie tak czule.

Pielęgniarka pomaga mi wcisnąć mój koński ogon pod biały czeppek. Wyglądam teraz jak jajo i usiłuję się ogarnąć przed wielkim lustrem, śledząc równocześnie ruchy Pana. Jestem dyskretna, a jednak mała brunetka stojąca blisko mnie domyśla się, że staram się być trochę bardziej sexy – a więc, że staram się podobać Panu. Raczej nie zastanawia się

dlaczego. Coś mi mówi, że nie jestem pierwszą nieznaną dziewczyną, która przekroczyła próg tej szatni u boku Pana; być może nie kompromituje się z pannami w niebieskich fartuchach, ale z pewnością plotkują między sobą o numerach doktora S. Pan nie jest z gatunku, który odczuwałby zażenowanie albo skrupuły, albo który odpuściłby sobie coś, co sprawia mu przyjemność; nie boi się, jest na swoim terytorium. Niech sobie baby gadają, nie przeszkodzi mu to wciągnąć mnie do tej koszmarnej windy, która przewozi personel na blok. Muszę przyznać, że to jest grubymi nićmi szyte: wsiadamy do niej tylko we dwoje. A one muszą wiedzieć, że jeśli się zdradzi, to właśnie teraz. I oczywiście, w chwili, gdy drzwi się zamykają, Pan, który wydaje mi się tak wielki od chwili, kiedy przytuliłam się do jego piersi, paraliżuje mnie pocałunkiem. Tak smakują sytuacje, w które nigdy nie należy się pakować – ale ów smak niewiele może wobec tego wrażenia, gdy on przesuwając długie ręce po mojej bluzie, tego wrażenia powolnego zanurzania w gorącej kąpiel, która rozleniwia wszystkie mięśnie. Ten człowiek to tornado palców na moich piersiach i w moich majtkach. Uwielbiam protestować dla zasady, z buzią przyciśniętą do ścianki windy, i rosnącą erekcją Pana, która napiera mi na dolną część pleców; problem polega na tym, że sama się podniecam, a i on podnieca mnie tak straszliwie, że uniemożliwia mi to wszelkie wykręty. I dlatego w chwili, kiedy winda się zatrzymuje, oddycham już bardzo szybko. Postronny obserwator uznałby, że nakręciłam się tak dla banalnego, anonimowego doktora w chirurgicznej masce, który próbuje ujarzmić mnie wszelkimi sposobami, nawet jeśli musi mi w tym celu skrępować nadgarstki dużą władcą ręką; podczas gdy w rzeczywistości, choć nie wypowiadamy ani słowa, szeleszczące protesty, jakie wydaje moja tunika w kontakcie z jego tuniką, doskonale oddają milczący dialog, który dla mnie jest nawet bardziej ekscytujący niż cała reszta.

– Uspokójmy się, mój Panie! Nie tu, nie w tej windzie, nie w tej klinice!

– Zrobię wszystko, co jest w mojej mocy w tak krótkim czasie, wbrew tobie, jeśli będzie trzeba.

– Błagam, przestań!

– Cicho, i oddaj mi się trochę. Choć trochę!

Ta scena mogła trwać maksimum sześć sekund, ale modliłam się z całej duszy, żeby nikt nie zauważył, że ten wybitny chirurg ma erekcję i że ta blondyneczka w masce obok niego może być za to odpowiedzialna.

Kiedy drzwi się otwierają, rozpoznaję kilku sanitariuszy i tłum anestezjologów, których nazwiska mogłabym podać bez większego trudu.

A on, z jaką elegancją i godnością przemierza korytarze bloku; ale aura, jaka go otacza, to nie jest władza nad tym miejscem. Wynika raczej z jego sposobu chodzenia, poruszania powietrza wokół siebie i pozostawiania wszędzie swojego zapachu, którego nawet eter nie jest w stanie zagłuszyć. Jest coś magicznego w tym, jak Pan chodzi. W każdej sali czuje się, czy już tam był, czy nie.

Znajduję sobie miejsce, gdzie mam nadzieję nikomu nie przeszkadzać, a on przedstawia mnie jako studentkę literatury, która zbiera materiał do pracy na temat ludzkiego ciała (wyobrażam sobie rozmowę na ten temat w cztery oczy z Panem w jego gabinecie zamkniętym na klucz). Ileż jest tych kobiet, które są tylko jemu podporządkowane: zawiązują mu fartuch z instynktowną dobrą wolą, przygotowują narzędzia, podpierają się jego prestiżowym nazwiskiem, żeby uspokoić pierwszego pacjenta. I ileż sympatii, bez cienia pobłażliwości, okazuje Pan pacjentowi leżącemu na stole operacyjnym – on, który zawsze wydawał mi się dość cyniczny. Jak to możliwe, taka zmiana u kogoś tak aroganckiego jak on? Teraz, pochylony nad zdjęciem rentgenowskim i wydający rozkazy, Pan jest taką chodzącą dobrocią, że prawie dałabym sobie połamać nos na kawałeczki.

– Wszystko gotowe, doktorze – mówi pielęgniarka, otwierając opakowanie z niemi chirurgicznymi.

Wkrótce balet się zaczyna. Pan, spod maski, przypomina tonem, jakby sobie ze mnie podkpiwał:

– Jeśli poczujesz, że robi ci się słabo, możesz wyjść i usiąść w korytarzu.

– Nie martw się – odpowiadam, próbując zrobić tak samo słodkie oczy – to nie jest coś, od czego mdleję.

I, ponieważ nie spuszcza ze mnie wzroku, dodaję cieniutkim głosem:

– Kilka lat temu, w gruncie rzeczy nie tak dawno, chciałam zostać lekarzem sądowym.

– Lekarzem sądowym?

Jego oczy są jak paluszki, które mnie szczypią wszędzie pod bluzą, i wyglądają, jakby się szczerze śmiały z tego, że ta blondynka o różowej pupie i zręcznej mowie mogła na serio brać pod uwagę koncepcję pracy z nieboszczykami.

– Co za pomysł – dodaje Pan kpiąco po kilku sekundach, kiedy zdążyłam się zaczerwienić. A potem pochyla się ze skalpelem nad uśpionym człowiekiem, który leży przed nim. Ot tak, po prostu, bez żadnych wstępów, bez kilku nawet sekund zastanowienia, tak jakby nas

przed chwilą odrobinę nie zdradził – tylko odrobinę. Ten dźwięk, który w mojej klatce piersiowej wywołują strach i podziw. Ta precyzja, jaką mają jego ruchy. Nieprawdopodobne. Teraz, kiedy to wszystko widzę, skoncentruję się nieco bardziej na tym, jak on mną manipuluje, zobaczę, czy ta jego chirurgiczna dokładność zagości w naszej nielegalnej paryskiej pościeli.

– Bo gdybyś zemdląła – mówi Pan, nie patrząc na mnie – mamy tu wszystko, co trzeba, żeby postawić cię do pionu.

– Znam siebie dobrze, nie mdleję na widok krwi.

– Wiesz, ludzie mdleją z różnych powodów. Na przykład z bólu albo z głodu...

Wciąż na mnie nie patrząc, unosi dłoń nad wózkiem, wybiera spośród kilku instrumentów, i wraca do swojego pikantnego komentarza, którego ciąg dalszy odgaduję:

– Ze strachu...

Spuszczam gwałtownie oczy, czerwieniąc się pod maską. Ośmieli się, nie ośmieli?

– Z rozkoszy...

Przygryzam policzek, smak krwi wypełnia mi usta.

– Także z powodu uczucia duszności.

Duże szare oczy przesuwają się po moim ciele, żeby ostatecznie beczelnie zatonać w moich źrenicach.

– Ale w istocie nic szczególnego nie odróżnia omdlenia od... utraty przytomności.

Siłą wyrywam się z jego niewidocznych objęć, zafascynowana ryzykiem, które Pan podejmuje, używając dwuznacznych słów ukradzionych z naszych esemesów. Podejrzewam, że uśmiecha się pod maską, a potem wraca do swojej pracy. Moje serce bije w obłąkańczym tempie – tego ranka znalazłam się na skraju zawału już ze dwadzieścia razy.

Nie powierza szycia pielęgniarcom z powodu swojego zamiłowania do perfekcji – szyje tak, jakby dziergał koronkę: z totalną koncentracją, jak kobieta.

– Wyobraź sobie, jak ważny jest nos. W jakim stopniu nos podkreśla twarz. Wielkość i uroda blizny są bardzo ważne.

Pan powiedział „uroda”, podczas gdy inni mówiliby o wyglądzie: ten szczególnie przenosi mnie na chwilę do dnia poprzedniego, do małego błękitnego pokoju. Gładził moje biodra i po kilku minutach zauważyłam, że moją nagą skórę oświetla bezlitosny promień słońca. Ale, kuriozalnie,

miałam to w nosie. Było mi dobrze. Uśmiechnęłam się.

– Patrzysz na moje rozstępy?

A Pan, całkiem poważnie, wymruczał mi w szyję:

– Masz takie śliczne prążki. Jak mały tygrysek.

Wreszcie odkłada instrumenty, a pielęgniarka mówi, że piętro niżej czekają na niego pacjenci.

Powrót do windy z nieznośnym ciśnieniem atmosferycznym.

Jeszcze zanim mnie dotknie, czuję jego twardą bliskość, twardość, która przypomni mi się za kilka godzin, kiedy mnie już tu nie będzie – wtedy będę mu wysyłać esemesy jak mała bezczelna kokietka. Napawam się długo jego ciepłym oddechem o zapachu kawy. Na parterze, gdy jestem jeszcze całkiem w niego wtulona, Pan mówi z rozpaczą w głosie:

– No i powiedz, co ja mam teraz zrobić.

Pytanie retoryczne, na które sam odpowiada przeciągłym westchnieniem, patrząc na mnie tak, jakby mnie pieścił.

Czekam na niego, siedząc w szatni, ze wzrokiem zawieszonym w przestrzeni, i wtedy wibruje mi komórka. Pan pisze: „Podobasz mi się!”.

Znaczy to, że choć ten strój kompletnie do mnie nie pasuje, to pod spodem jestem naga, jak mnie Pan Bóg stworzył. Kiedy Pan to zauważył, o mało nie oszalał.

Zelektryzowana myślą, że absolutnie nie mogę dać się zgwałcić w klinice bez względu na to, co powiem, odpowiadam jakimś obscenicznym tekstem i natychmiast tego żałuję. Boję się, że Pan wróci, i on się właśnie zjawia. Z obojętną miną – z miną doktora, który wraca od pacjentów. Ale w rzeczywistości tli się w nim ogień: ten człowiek musi operować czy też robić cokolwiek innego, co wymaga koncentracji, myśląc o paskudnych rzeczach (w których bez wątpienia uczestniczę, mój Boże – cóż by się ze mną stało, gdyby wszyscy ci ludzie za jednym pstryknięciem palców zniknęli z kliniki?).

Właśnie, w esemesie wyzwałam go od starych zboczeńców. W windzie Pan robi minę, jakby się gniewał, nie dostrzegł czułości w moich pseudoobelgach.

– Ta historia źle się skończy – mruczy, podszczypując mi piersi pod bluzą. – Następnym razem, kiedy będę cię miał do dyspozycji, dostaniesz wielkie lanie.

Lanie od Pana oznaczałoby siniaki na minimum dwa tygodnie i musiałabym wymyślić niezłą ściemę dla mojego kochanego i czule naiwnego Andréi (wielki klasyk, upadek ze schodów). Ale przed tym laniem nawet przejście przez korytarz wydaje się niebezpieczną próbą.

Syczę na samą myśl, że przy całej tej hordzie ludzi sutki sterczą mi, jakby chciały przebić bluzę. Bóg jeden wie, jak Panu udało się ukryć przed wszystkimi swój bezwstydną wzwód. I oto znowu zjawia się wielki pan profesor, który jest teraz na innym bloku, bada brzuch innego pacjenta. Zamęczam go pytaniami, staram się, żeby były zborne; ku mojemu zachwytowi, Pan, nie przestając otwierać, rozsuwać, rozcinać, przyżegać, odpowiada mi z dobrą wolą. W jego głosie nie ma śladu tej atawistycznej wyższości, obecnej u innych, nawet młodszych od niego chirurgów, którzy mówili, nigdy mi niczego nie wyjaśniając, i którzy raczyli mi odpowiadać tylko po to, żeby podkreślić przepaść, jaka dzieliła ich wiedzę od mojej. We wtorek rano pokazywał mi, jak się zakłada protezy piersi, pieszcząc mnie w sposób zadziwiająco naukowy – czułam się zarazem obdarzana względami i wykorzystywana jak modelka przed aulą pełną studentów medycyny. Cudownie.

W głównej sali bloku usypiają właśnie kolejną pacjentkę Pana.

– Idź popatrzeć, to bardzo ciekawe – mówi, czując, że na widok szycia moje zainteresowanie może osłabnąć.

Staram się zachowywać możliwe dyskretnie. Wciskam się do kącika, a obok popłakuje młoda kobieta. Anestezjolożka, którą znam – jestem stuprocentowo pewna – wbija igłę w białą skórę po wewnętrznej stronie jej ręki, omiatając pacjentkę wzrokiem, w którym widać wyuczone lekarskie współczucie.

– Znieczulenie jest takie bolesne? – pytam ją, gdy sanitariusze przewożą łóżko na blok, gdzie Pan żartuje sobie z jakimś chorym.

– Dla niej na pewno – odpowiada doktor Simon (Tak! Przypominam sobie, jak godzinami podtrzymywałam jej nogę, gdy Philippe robił liposukcję tej wielkiej babie! Isabelle Simon! Mój Boże!).

I podczas gdy wyjaśnia mi dyplomatycznie, że ta pacjentka jest komediantką, zastanawiam się, czy spoglądać na nią spod maski, tak jak to robią normalni ludzie, gdy rozmawiają, czy spuścić wzrok, na co mam większą ochotę. Kiedy przyszłam na blok, zrozumiałam, jak wiele można powiedzieć spojrzeniem, gdy resztę twarzy ma się zakrytą. Dowód? Rozpoznałam ją po zmarszczkach, kiedy się uśmiechnęła. Jeśli pamięć ma tak samo dobrą, jak ja... Przerąbane. Musiałabym mieć trochę szczęścia, bo na dodatek była u nas w domu na obiedzie – wujek nie zwracał specjalnej uwagi na konwenanse i przyprowadzał na niedzielne obiady najdziwniejszych ludzi. Nie umiem zgadnąć, czy mnie zdemaskowała, czy nie, wydawało się, że patrzy tylko na wchodzących i wychodzących, przez cały czas gadając. A jednak, w tych chwilach, gdy spotykają się nasze

oczy, zaczynam wątpić. Przez ładnych kilka sekund zdaje mi się, że zaraz poprosi mnie, bym jej przypomniała, jak mam na imię (nie rozwiązała jeszcze zagadki, kim jestem i dlaczego się tu znalazłam). A potem Pan głośno niepokoi się, gdzie się podziewam, głosem ojca, który szuka córeczki w supermarkecie. Isabelle Simon słyszy „Ellie” i w tej samej chwili przebija mnie wzrokiem. Przesrane, mam przesrane. Ona już wie – to mała Cantrel, dziś jest pod skrzydłami samego doktora S., ale dlaczego? Lepiej nie wnikać. Znajac tego faceta, to nie jest z jego strony czysta wspaniałomyślność. A więc sytuacja jest równie prosta, co godna pogardy: ta eksmarkula i ten żonaty facet, ojciec rodziny, mają romans. Nieważne, jak to się zaczęło i ile dla nich znaczy, ważne, że miał czelność ją tu przywlec.

„To nie to, o czym pani myśli” – mówią moje oczy nad maską. „Ale trochę jednak tak” – dodają moje purpurowe policzki.

Nie mam szczęścia. Właśnie gdy się odsuwam, w korytarzu dzwoni telefon.

– Panie doktorze, pańska małżonka! – woła pielęgniarka, przepychając się przez tłum pochylony nad płaczącą pacjentką.

Oto ostateczny cień, jaki zawisa nad nami. Isabelle Simon patrzy na mnie po raz ostatni, przeciągle, potem się odwraca, a ja wciskam się w kąć pomieszczenia pomiędzy te dwie kobiety, dla których pozostaję, choć dla każdej inaczej, intruzem. On wymienia z żoną kilka pośpiesznych banałów, bez żadnych czułych słówek pod jej adresem – ale w tej prostocie jest siła, tajne porozumienie, nie trzeba ckliwych ozdobników, którymi posługują się zakochani. Żona Pana: oto Czarny Kontynent. Prawie tak wielki jak związek, jaki tworzą. Spójrz na tego mężczyznę, którego piękne orientalne oczy zdają się natychmiast przyciągać każdy egzemplarz rodzaju żeńskiego i powiedz sobie, że tylko ten głos, tylko te palce, które gdzieś w okolicach Châtelet trzymają słuchawkę domowego telefonu, potrafią go sobie podporządkować. Powiedz sobie, że on może polecieć na koniec świata z dwudziestoma różnymi dziewczynami, z których jedna jest młodsza od drugiej, a wszystkie tak samo kuszące jak nierozcięte stronicie nowej książki, ale to do niej zawsze wróci. Rozwód z pewnością wiele by go kosztował, ale to szczegół bez znaczenia. Pan nie jest typem, który oszczędłby do innej kobiety, dlatego że zawróciła mu w głowie. Nie jest też typem, który zakochuje się w dziewczynach, które pieprzy po cichu, nawet we mnie, choć ostatnimi czasy całkiem go opętałam. Może mnie nazywać najśłodszymi imionami świata, ale żeby funkcjonować potrzebuje, i to jest oczywiste, tej bazy, tych niewzruszonych fundamentów. Pan kocha swoją

żonę od tak dawna, że nie odczuwa tego pewnie tak, jak się czuje miłość w moim wieku. To jest chemia: ona jest jego częścią.

Pan kończy rozmowę i nie patrząc na mnie (staram się być całkiem niezauważalna przy wahadłowych drzwiach), pochyla się nad pacjentką, która drze się na całe gardło. Po włosku. Pan rzuca kilka uspokajających zdań w tym samym języku, tonem megazmotywowanego animatora. Dzieli ich od siebie stół operacyjny i mógłby to spokojnie zrobić, ale nie skarży się na teatralne wrzaski młodej kobiety. Nawet nie próbuje jej hamować. Okazuje takie współczucie, o jakie nigdy bym go nie podejrzewała. Pielęgniarka gładzi kosmyk czarnych włosów wystających spod czepka i mówi, że jej nowe zęby są piękne.

– Pokaż je doktorowi, niech zobaczy, jaka jesteś śliczna!

Młoda Włoszka, pomimo łez, uśmiecha się jak mała dziewczynka, która dzielnie znosi cierpienie. Stara metoda, żeby odwrócić uwagę od bólu – ale działa. Pan wchodzi całkowicie w tę zabawę w uwodzenie, nawet ją podkreca:

– Cała jest śliczna. A za chwilę i brzusek będzie śliczny.

Młoda kobieta nie przestaje się uśmiechać. A ja chciałabym ściągnąć wzrok Pana, poczuć, że choć ten strój pozbawia mnie kształtów, choć jestem daleko, on nadal mnie pragnie.

– I widzi pan, doktorze, jak ona schudła – kontynuuje pielęgniarka, w nadziei, że Pan pociągnie tę konwersację, bo pacjentka znów zaczyna jęczeć.

– To prawda, ale trzeba będzie jeszcze trochę wysiłku, bo kiedy się spędza dni w bezruchu i przy tym francuskim żarciu...

Młoda kobieta chichocze. Czuję się upokorzona w jej imieniu, więc patrzę w jego stronę przesywającym wzrokiem, w którym, mam nadzieję, odczyta litery. C.H.A.M. Ale nie, Pan żartuje, wymienia ze śmiechem całą listę specjalności kulinarnych, którym pacjentka zawdzięcza swoje imponujące uda.

– Jak mogłeś jej powiedzieć coś takiego? – pytam chwilę później, kiedy już zdejmuję bluzę i maskę.

– Zapewniam cię, że kiedy przyjechała do kliniki, była gigantyczna. Teraz jest tylko gruba. Jest jeszcze trochę do zrobienia, i tyle! – odpowiada, myjąc ręce.

Uwielbiam patrzeć, jak mydło pieni się na delikatnym puszkę na jego przedramionach. Czy może być coś równie męskiego?

– Nie chciałabym usłyszeć tego z twoich ust – mówię po kilku sekundach, kiedy kontemplacja i refleksja ostatecznie mieszają się ze sobą.

– To się nie zdarzy.

Pan uśmiecha się do mnie, naciskając guzik windy.

– Ty masz cudne ciało.

Obecność sanitariusza przechodzącego obok zmusza Pana, by powstrzymał swoje awanse. Ale, zupełnie jakby żywioły i rzeczy nieożywione w tej klinice go słuchały, nadjeżdża trzęsąca się winda i raz jeszcze cudem unikamy katastrofy.

W każdym razie chwilę wcześniej, gdy wsiadaliśmy do kabiny, mieliśmy wrażenie, jakby miała nastąpić quasi-apokalipsa.

Wzdycham teatralnie, żeby dać wyraz uldze, i nagle odbija się od maski i atakuje mnie mój własny oddech o zapachu przetrawionej kawy i pustego żołądka. To dlatego ludzie, którzy piją kawę, zawsze mają przy sobie gumę do żucia. I nagle przestaję myśleć o Isabelle Simon, zbyt grubej pacjentce i sanitariuszu: świat zaczyna się kręcić wyłącznie wokół mojego zgniłego oddechu – co zrobić, żeby nie dotarł do Pana? A on właśnie przyciąga mnie do siebie, położywszy delikatnie dłoń na moim karku, chwyta jedwabistymi wargami mój nos. Końcami palców szarpie gumkę mojej maski.

– Przestań!

Walczę o ten kawałek papieru jak o godność, wijąc się jak wąż w jego ramionach, ale Pan mnie nie słucha. Nie może zrozumieć, dlaczego moje wargi mogą być tak blisko jego ust i od nich uciekać. Rozpaczliwie staram się usprawiedliwić:

– Dziś rano piłam tylko kawę, śmierdzi mi z ust!

– Mam to w nosie – tupie Pan z niecierpliwości i już drzwi się otwierają, i już jesteśmy w szatni – jestem lekarzem, znam wszystkie zapachy ludzkiego ciała.

Nie udało się, pielęgniarki patrzą na nas.

– To żaden problem – odpowiadam z naciskiem i zdejmuję maskę z poczuciem, jakbym pokazywała mu cipkę (znając Pana i jego wyczucie symboli, to bez wątpienia z grubsza to samo). Tysiące razy słyszałam, jak wykpiwa moje potencjalne niedyspozycje, podpierając się swoim zawodem, który stał się stylem życia. Fantomowy argument. Nigdy nie traktowałam Pana w ten sposób: bez względu na okoliczności, zawsze był dla mnie najpierw mężczyzną, a potem dopiero lekarzem, wrażliwym na te same podniety, co inne egzemplarze męskiego gatunku. I potwierdza mi to niechcący: gdy proszę, by oddał mi torebkę, która była w jego szafce, wspaniała pan doktor korzysta z okazji i wyciągnąwszy rękę, dotyka moich pośladków. Z porozumiewawczym spojrzeniem Pan chwyta

łechtaczkowo różowe kartki, które zapisałam bizantyjskimi zdaniem na jego temat.

– To dla mnie? – szepcze i nie czekając na odpowiedź, wsuwa je do kieszeni marynarki.

Potakuję jednak głową, dla samej urody tego gestu.

W kącie szatni, gdy wkładam spódnicę, Pan rozbiera się, rozmawiając z innym lekarzem, który właśnie pojawił się w drzwiach. Wspominają o wspólnym koledze, François Katzu, i oto nagle wyraźnie sobie przypominam, jak jakieś dziesięć lat temu podrzucał mnie na kolanach.

– Katz się uspokoił – mówi Pan żartobliwie, przeciągając się z nagim torse.

Lubię kolor sutków na jego szerokiej piersi. Pan nie zdaje sobie sprawy, że emanuje z niego podskórna siła i ewidentna wrażliwość; jego gładka skóra jest tak jedwabista jak skóra kobiety, a on wygląda przez to młodziej i delikatniej niż w rzeczywistości – ale wiem teraz, jaki jad płynie pod tym ciemnym zarostem.

– A jak on się wściekał, kiedy zmienili plan operacji! – dodaje nieznan mi bliżej lekarz, a Pan wybucha zduszonym chichotem, zdejmując niebieski czepek.

Włosy, w których czerń miesza się ze srebrem, spadają mu na szyję, więc przeczesuje je palcami. A ja, nie zdając sobie z tego sprawy, stoję z prawie nagim biustem, zahipnotyzowana prostą i wyszukaną zarazem architekturą ramion Pana. Po ich długości, po subtelności mięśni, można poznać wyrefinowaną zwierzęcość mężczyzny żyjącego w środowisku, w którym nie musiał walczyć o dominację. Ta jego siła, której nie musi używać, objawia się dopiero wtedy, gdy ja, w jego ramionach, zmieniam się w terytorium do podbicia. Poniżej jego pępka zaczyna się ścieżka, która umiejętnie ściąga wzrok w dół i przypiera wyobraźnię do przedziwnego muru. I jak tu podążać tą oznaczoną drogą bez lęku, że zniknie gdzieś pod niebieskimi spodniami? W obramowaniu wąskich bioder wydaje się wskazywać, że zaledwie kilka centymetrów dalej niewinne włoski na brzuchu, nie zmieniając struktury i barwy, zmieniają się w aureolę o jakże lubieżnym blasku.

Przymierzam się do skoku na główkę w marzenia, których punktem wyjścia jest tajemniczy jeszcze członek Pana, gdy do porządku przywołuje mnie hałaśliwie wibrująca na ławce komórka: moja matka. Krzyczy. Chce wiedzieć, gdzie jestem, co robię i z kim. I kiedy wrócę. Pierwsza wymówka, jaka przychodzi mi do głowy, bezspornie nie jest najlepsza:

gram w pokera u Timothée. Tak, o wpół do dwunastej rano w środę. Matka udaje, że mi wierzy, choć nie wysiła się zanadto, żeby dobrze odegrać tę komedyjkę. Niczego się nie domyśla – nie wpadłaby na pomysł, że Ellie może być na bloku operacyjnym – ale mówi monosylabami, oschle, jakby bardziej prawdopodobne było, że biorę udział w seksie grupowym niż w turnieju pokerowym.

– Rób, jak uważasz – kończy chłodnym, upierdliwym tonem, który strasznie mnie wkurza.

– Mamo, a gdzie chcesz, żebym była?

Dwoma zdaniami doprowadziła mnie do szału. Podniosłam głos, a Pan rzucił mi pytające spojrzenie.

– Nie wiem, Ellie. To już nie ma znaczenia.

Och, to nieustające wzdychanie: „Moja córka jest totalną porażką”! Czasami mogłabym ją zamordować! Gołymi rękami!

– Chyba wzięłaś klucze? Nie ma mnie w domu.

– A więc naprawdę nie możesz uwierzyć w to, co mówię?

– Rób, jak uważasz – powtarza matka. – Baw się dobrze.

No, to już jest szczyt! Typowy tekst, którym kończy każdą dyskusję, żeby podnieść mi ciśnienie i ostatecznie pozbawić mnie wszelkich szans na dobrą zabawę, jak chmura z filmu rysunkowego, która cały czas unosi się nad tobą, lejąc strumienie lodowatej wody.

– Co się dzieje? – pyta Pan, który staje obok mnie, zapinając koszulę.

– Nic. Matka chciała wiedzieć, gdzie jestem.

– I co jej powiedziałaś?

Pan nie umie ukryć zaniepokojenia. Drań, myślę sobie. Krótki telefon od mojej matki niechcący unaoczniał mi fakt, że wszystkie nasze ostatnie kłótnie dotyczą czasu spędzanego z Panem, także na rozmowach telefonicznych.

W sobotę wieczorem, kiedy się jeszcze nawet nie widzieliśmy, postawił mnie w bardzo głupiej sytuacji. Wracalam z pracy i akurat, gdy powiesiłam płaszcz przy wejściu, zadzwonił mój telefon. Nie tłumacząc się przesadnie, wyszłam znów na zewnątrz z namawiającym mnie do grzechu Panem przy uchu. Przez kwadrans rozmawialiśmy o bieliźnie i orgazmach pochwowych, mój pies skomlał za drzwiami, bo chciał wyjść, a matka ciągle wołała mnie do stołu z coraz to innych miejsc domu. Kiedy wróciłam, uparła się, żeby się dowiedzieć, z kim rozmawiałam. Musiała usłyszeć jakieś fragmenty rozmowy, skoro z takim uporem zadawała mi to pytanie, wołałam więc tak całkiem nie blefować.

– Z kolegą.

Z kolegą, z którym jestem na pan?

Tak, z Timothée. Mówimy sobie na pan.

(Szczęściem on istnieje i rzeczywiście lubi tę elegancką formę).

Dlaczego rozmawiałam z nim o dupie?

– Następnym razem uprzedź, jak będziesz chciała posłuchać sobie moich rozmów! – wkurzyłam się, zła na nią i na siebie, że moja własna matka mogła usłyszeć, jak omawiam zalety majtek z rozcięciem w dość ostrych słowach.

– Mówiłaś głośno – usprawiedliwiała się.

– Mówiłam tak, że absolutnie nie miałybyś szans tego usłyszeć, gdybyś była w kuchni – rzuciłam.

Nie powiedziała już nic, ale w jej twarzy zobaczyłam, że poczuła jakiś zamęt, którego nie rozwiewał tak prosty czynnik jak Timothée.

Tak więc w każdej chwili mogłam mieć z jego powodu niezłe kłopoty w domu, a Pan przejmował się tylko tym, czy wmieszałam go jakoś w moją wpadkę.

– Powiedziała jej, że jestem u znajomych.

A ponieważ nie spuszcza ze mnie oczu, nadal nieprzekonany co do moich umiejętności zwodzenia rodziców, stawiam kropkę nad i, co go zresztą nie rusza:

– Nie martw się.

A jednak uznaje za stosowne dodać:

– Mimo wszystko uważaj.

Zawsze podejrzewałam, że Pan jest egoistą do szpiku kości: musiał nim być, jeśli tak szybko zareagował na awanse jakiejś panienki, mimo że miał żonę i dzieci. Musiał nim być, żeby podjąć olbrzymie ryzyko przyprowadzenia do pracy młodej kobiety, której rodzinę zna, tylko dla kaprysu, żeby zobaczyć, jak szaleje z uwielbienia dla niego. Jedynie egoista może zaryzykować całe swoje życie dla kilku godzin przyjemności. Pana nakręcał nienormalny brak konsekwencji, czasem dziecinny, czasem bardzo wyważony. Testował, jakie pocałunki może mi ofiarować i za jaką cenę, sprawdzał nawet, pod jakim imieniem zapisałam go w swoim notesie telefonicznym. Ale w każdym przypadku, za każdym razem, kiedy pakował nas na jakąś minę, był głęboko przekonany, że wyjście z sytuacji zależy od mojej ostrożności lub mojej nierozwagi. Ja, która z trudem ogarniałam swoje własne sprawy, miałam oto na rękę czterdziestosześcioletniego dzidziusia, który bawił się straszaniem mnie i siebie. A jednak, jednak... wystarczyło, bym spojrzała w te oczy, tak inne od moich, żeby zrozumieć, że pod wieloma względami oboje jesteśmy

ulepieni z tej samej gliny. W tych źrenicach, którym zdjęcie maski przywróciło perwersyjną subtelność, odnalazłam przebiegłość i egocentryzm, które dobrze znałam, chociaż każde z nas wykorzystywało je do różnych celów i różnymi metodami. I jeśli rzuciłam się głową w dół w tę cudowną pułapkę, którą Pan na mnie zastawił, to przede wszystkim dlatego, że odnajdowałam nieco siebie samej w tym dzieciennym braku moralności, w tej polimorficznej perwersji – albo przynajmniej dlatego, że był do mnie wystarczająco podobny, żeby mnie zaciekać i mi się spodobać, choć ciągle trudno mi określić jak bardzo.

– Podrzucić cię gdzieś? – pyta Pan przed kliniką.

– Nie trzeba – odpowiadam, nie nienawidząc go już tak bardzo.

– Prawda, ty jeździsz taksówką – rzuca z uśmiechem, który mnie rani, choć on nie zdaje sobie z tego sprawy.

Wydaje mu się, że rozmawia z kurtyzaną idealną, która przyjechała taksówką i taksówką odjedzie – tak jakbyśmy, on i ja, stali finansowo na tym samym gruncie. Jestem w wieku, w którym każde pięć euro ma całkiem konkretne znaczenie. Studencki pragmatyzm nieustannie walczy we mnie z lenistwem dziwki bez kasy, które może skłonić mnie do wzięcia taksówki. W końcu rezygnuję z taksówki, choć to nie względy finansowe mnie od tego odwodzą.

– Wpadnę do koleżanki, mieszka kilka stacji metra stąd. Nie zwracaj sobie głowy, serio.

Pan i tak nie zrozumie. Nawykł do luksusu jeżdżenia samochodem i potrzeby szybkiego przemieszczania od tak dawna, że nie rozumie już, że po takim ranku jedyna rzecz, o jakiej marzę, to godzinka w pociągu z iPodem, żeby móc raz jeszcze zobaczyć każdą scenę, wszystko przeanalizować, spokojnie dopieścić w sobie chęć spotkania się z nim i zdobycia go do końca, nie przez chwilę, nie w obecności trzydziestu osób. Samotność i skupienie, ten spacer po podziemnych korytarzach to moje luksusy, których Pan nie zasmakuje.

Stojąc na tych swoich obcasach, wyglądam na zmęczoną i odrętwiałą, jak kobieta, która właśnie wyszła z łóżka. Mam wrażenie, jakbym kochała się z nim przez cały ten czas, który spędziliśmy na bloku.

– Pocałuj mnie ostatni raz – szepcze Pan, stojąc tak, jak lubię najbardziej: demonstrując pozorny luz, z rękami w kieszeniach spodni od garnituru, jak student, którym był dwadzieścia lat wcześniej.

W zaułku tej skąpanej w słońcu uliczki, gdzie nikt oprócz mieszkańców nie może nas zobaczyć, unoszę się na palcach z zamkniętymi oczami, a Pan ujmuje moją twarz pięknymi dłońmi

kochanka. Mijają sekundy, jakby nasze zauroczenie odcięło nas całkiem od otaczającego świata. Zapach jego perfum przyćmiewa zapach kwitnących kasztanów, jego kciuki gładzą moje policzki, a ja zupełnie nie czuję chłodu wiatru. A potem on spostrzega chyba, że nie jesteśmy tu aż tak sami, jak w naszym kokonie wtorkowego poranka. W ciągu kilku sekund atmosfera zmienia się niepostrzeżenie, pośpiech staje się odczuwalny – i Pan mnie całuje, a może to ja całuję jego, całujemy się tak, że przez tę króciutką chwilę nasze twarze wyglądają, jakby się zjednoczyły pod tymi paryskimi oknami. Półgłosem mamroczę:

– To straszne.

– Co jest straszne? – pyta Pan.

Uśmiecham się smutno.

– Dobrze wiesz co.

Jego przepiękne brwi wyrażają tylko tajemniczą empatię. Milczenie, jakim mi odpowiada, brzmi jak resztką naiwności, której jeszcze nie zabiło doświadczenie.

Że ty jesteś tobą, że ja jestem mną. Że mamy dwa życia pod żadnym względem nie do pogodzenia: twoja żona, twoje dzieci, moi rodzice, Andréa. To straszne, że nawet już o nich nie myślę. Spójrz na mnie. Mój chłopak wyjechał do Brazylii tydzień temu i zanim cię spotkałam, bardzo za nim tęskniłam. A teraz boję się jego powrotu, bo nie mam cienia pomysłu, jak ciągnąć tę historię równocześnie z naszą. Nie wiem, jak znaleźć w głowie miejsce dla dwóch mężczyzn, bo teraz ty zajmujesz całe to miejsce i nie chcę, nie umiem sobie z tym poradzić. To właśnie jest straszne.

– Zobaczę, co da się zrobić z następnym wtorkiem – mówię, cofając się.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo mi śpieszno – odpowiada Pan, po raz ostatni dotykając moich palców.

We mnie także triumfuje żądza życia: krocząc w stronę rue de Rivoli, myślę tylko o tym, jak wygląda moja pupa, kiedy idę. Nie muszę sprawdzać, czuję spojrzenie Pana, które opuści mnie dopiero za zakrętem.

„Jesteś piękna” – pisze dwie minuty później.

Pan

Twój list... odbezpieczony granat.

Ellie

Wydaje mi się, że nie zrozumiałeś mojego problemu z nerwem w nodze, o którym ci opowiadałam. Wyjaśnię ci to raz jeszcze, bo może się okazać, że to poważna sprawa i może trzeba mnie będzie operować. Objawy są następujące: kiedy do mnie mówisz, moja prawa noga staje się całkiem wiotka i ciężka, tak jakbym zmieniała się w ślimaka. Ten sam efekt występuje, kiedy o tobie myślę, bez względu na to, gdzie się akurat znajduję. W stadium krytycznym odrętwienie przenosi się od uda w górę, aż do pośladka i odczuwam wówczas coś w rodzaju utraty świadomości czy może raczej utraty punktu odniesienia, co zmienia wszelką aktywność wymagającą użycia mięśni w stymulację seksualną. Chodzenie, na przykład, zmienia się w grę wstępną. Generalnie miałabym to w nosie, ale jeśli akurat nie jestem sama, to staje się krępujące. To tak, jakbym miała orgazm za każdym razem, kiedy ziewam – krępująca sprawa.

Nie wiem, jak nazywa się ten nerw, ale myślę, że byłoby dobrze wyjaśnić tę kwestię jak najszybciej. Nie mam ochoty zamienić się w ostrygę. (Ostrygi całe dnie spędzają otwarte po to, żeby przechwycić w locie spermę samców, które pływają w morzu. Co za dziwki).

Nie przejmujemy się tym jednak zanadto, tym bardziej że dowiedziałam się dziś wieczorem, iż we wtorek rano odbędzie się seminarium na temat nieznanych nerwów mojego uda. Seminarium dość krótkie, ale intensywne. Chcę stać się przedmiotem wszystkich możliwych doświadczeń, pod warunkiem, że będę odpowiednio traktowana i że uda mi się odczuć ulgę. Teraz, kiedy to piszę, praktycznie nie jestem w stanie poruszyć nogą.

Z drugiej strony, ponieważ widzę, że nie odebrałaś jeszcze mojej wiadomości o tym, jak spędziłam godzinę między szesnastą a siedemnastą, i nie chcę przynudzać, jednak chciałabym zwrócić uwagę na fakt, że mój wieczorny orgazm zupełnie mnie wykończył. Wręcz unicestwił. Nigdy nie dałam się na tym przyłapać moim rodzicom, ale nie zniosłabym, gdyby wybrali sobie akurat ten wieczór, by wpaść do mojego pokoju pod jakimś żalonym pretekstem. Już podczas całkiem zwykłego orgazmu trudno jest zachować twarz i wystarczającą świadomość, żeby móc odpowiedzieć mamie: „Nieeee, nie wiem, gdzie jest twoja apaszka od Hermès, daj mi święty spokój!”. Dodajmy, że zazwyczaj nadaję się chyba do oglądania, nie mam wywróconych oczu ani purpurowych uszu. Natomiast tym razem o mało nie straciłam przytomności.

I nie mów mi o utracie przytomności na bloku. Bo potem jestem totalnie nieprzytomna.

Nie rozwiązałam jeszcze tajemnicy zadrapań, które pojawiają się na moich plecach za każdym razem, gdy cię widzę. Myślę o stygmatach poczucia winy, ale to niemożliwe, nie ma we mnie ani krzty poczucia winy. To straszne, ale czuję się nietykalna; od dwóch dni jestem rozpalona do białości i nie znajduję ulgi.

Chcę przez to powiedzieć, że musimy się koniecznie zobaczyć we wtorek. Oto rzeczy z kategorii „pewne”. Czekam teraz na te wszystkie „być może”, o których mówiłeś mi przez telefon.

I idę spać.

I będę się dotykać.

I myślę o tobie.

I mam nadzieję, że ci się nie naprzykrzałam dziś rano.

I że w windzie nie ma kamery.

I powiedz im, żeby zainstalowali bardziej archaiczną windę, żeby jechała z piętra na piętro przez trzy godziny.

Do jutra

Ellie

Pan

Tęsknię za tobą.

Telefoniczne pieszczoty z Panem, pod moją rozgrzaną kołdrą o ósmej rano. Nie chcę się budzić, tkwię w cudownym letargu.

– Pisałaś wczoraj trochę?

– Właściwie nie. Raczej przewracałam kartki – precyzuję zła i zawstydzona zarazem.

– Musisz pisać! – ruga mnie Pan.

– Wiem, wiem.

– Serio, Ellie. Wiesz, o czym powinnaś pisać?

– Aha?

– Pisz o nas. O naszej historii.

– I?... Co miałabym o nas napisać?

– No... nie mam pojęcia! To ty jesteś pisarką! Kiedy czytam twoje e-maile, mam wrażenie, że czytam powieść. Wymyśl powieść opartą na naszej historii!

Pieszczę się od niechcienia w trakcie tej rozmowy, lekko sfrustrowana, że ten piękny podniecający głos nie porusza śmielszych tematów – tylko pisanie, pisanie, pisanie. Teraz Pan codziennie namawia mnie do pisania. Na pierwszy rzut oka to strasznie banalne: przygoda żonatego faceta z siostrzenicą jednego z kolegów. Ale nie chcę niepotrzebnie urazić jego literackiej dumy.

– Czemu nie? – rzucam, choć jestem przekonana, że w ten kolejny dzień strajku będę się znów objać, i tyle.

– Przynajmniej spróbuj – naciska. – Zadzwoń do ciebie wieczorem albo w ciągu dnia, jeśli mi się uda. Dobrze, najmiłsza?

– Dobrze.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Gdzie teraz jesteś?

Rozmowa przechodzi na inny poziom.

– W łóżku. Właśnie się obudziłam.

– Nago?

– Zawsze śpię nago, jak mnie Pan Bóg stworzył.

Pan gwizdże przez zęby, że aż mnie uszy bolą.

– O kurwa, ależ ty mnie kręcisz!

Parskam z zadowolenia, ale trochę się z nim drocę.

– Przecież nic takiego nie powiedziałam.

– Jasne, pewnie. Dobrze wiesz, że powiedziałaś dość, a moja wyobraźnia zrobi swoje. I jak ja będę wyglądał, gdy taki napalony przyjdę do kliniki?

– Przejdzie ci – mówię, przeciągając się, choć już wiem, że zrobiłabym, co w mojej mocy, żeby mu nie przeszło, a Pan jest tego świadom.

– Przejdzie, a potem w ciągu dnia przyślesz mi te swoje SMS-y i znowu mi stanie. Myślisz, że wygodnie się tak operuje?

– Jeśli nie chcesz, nie będę tego robić – uśmiecham się.

– Zwariowałaś? Wyślij mi zdjęcie swojej pupy. Popatrzę sobie w przerwie między konsultacjami.

– A potem ci stanie przy pacjentkach. Niezbyt to eleganckie.

– Mam je w dupie. Odprężę się, kiedy mi stanie dla ciebie. Wyślesz mi zdjęcia?

Wygłaszam jedną z tych gustownych obietnic bez pokrycia, które stanowią podstawę naszych rozmów telefonicznych. Kręci mnie, że tak łatwo jest podniecić Pana. Wyobrażam go sobie w tym jego pięknym garniturze albo w stroju chirurga, wyraźnie podnieconego, starającego się ukryć zakłopotanie pod maską, a wszystko to przeze mnie. Przeze mnie. Mój wielki tyłek i mój brak konsekwencji najwyraźniej wywołują w nim głębokie wzburzenie.

– Do wieczora, kochanie – ćwierkam, przeciągając się.

– Twój głos mnie podnieca – rzuca on i bez dalszych wyjaśnień kończy. – Do wieczora, laleczko.

W ciągu dnia, po godzinie spędzonej na Facebooku, odważam się otworzyć plik tekstowy – patrzę w niego przez kilka chwil jak sroka w gnat. Syndrom czystej kartki to zachwyt nad pustką i oczekiwaniem. Jeśli napiszesz tylko kilka zdań, ta agresywna biel prawie krzyczy „nakarm mnie” – i co mam zrobić, żeby zapełnić tę lukę? Ja, od roku śpiąca z tą moją jedną jedyną publikacją pod poduszką? Niedługo minie pół roku, od kiedy czuję się jak stara studnia, z której da się wyciągnąć ledwie kilka kropel błotnistej wody – a czasem jest totalna susza. Wiec tak, piszę. W notesach, które gubię po kilku dniach, na czystych kartkach kalendarza. O głupstwach. O duperelach bez znaczenia, z jakich składa się wygodne życie studentki. Więc jak dziś miałoby mi się udać coś więcej?

Myślę o głosie Pana w telefonie, kiedy się zdziwił, że tak wiele wiem o jego życiu, a zapomniał, że moja matka opowiadała mi o weekendzie na Jersey wiele miesięcy przed naszą pierwszą rozmową. I nie wierząc właściwie w sukces tego przedsięwzięcia, nie umiając sobie wyobrazić nic

oprócz kilku linijek wdzięcznego mizdrzenia się, piszę:

Wyglądał, jakby był stale zdumiony tym, że od tak dawna jest w moim życiu – chociaż jego istnienie, zanim odbyliśmy pierwszą rozmowę, było nader abstrakcyjne. Budowałam świat z tego, co udało mi się o nim dowiedzieć, z okruchów, które zbierałam podczas rozmów. Pan lubił literaturę erotyczną; to szczegół, który zapoczątkował moje poszukiwania. Długo byłam osamotniona w moim uczuciu do Calaferte'a, André Pieyre de Mandiargues'a i wielu innych i ostatecznie wydało mi się, iż jestem jedyną czytelniczką ich arcydzieł, gdy więc dotarło do mnie, że całkiem blisko był człowiek, w którym gorzały te same pasje, uznałam to za cud.

Mężczyźni, którzy czytają. Istnieje cały świat, który kręci się tylko wokół mężczyzn, którzy czytają, którzy nurzają się i toną w wybitnie kobiecych marzeniach, i, mój Boże, jakież mają urok. Urok, jaki mają palce, które przewracają kartki, zaginając niektóre; jaki mają te wielkie oczy, które przeskakują i zasysają każdą literę, każdą linijkę, każde słowo. Otchłań, którą kryją zmarszczone czoła pochylone nad pożółkłym papierem.

Ponowne czytanie Calaferte'a, z wiedzą, że i jemu się podobało, smakuje zupełnie inaczej. Na długie godziny zamykałam się w pokoju, by ze słodkim zażenowaniem odkrywać te najostrzejsze fragmenty, rozbawiona nagłą świadomością, że jego wielkie szare oczy kładły się na nich także jak dodatkowa warstewka werniksu, który przydawał dziwnej świeżości tym znanym na pamięć akapitom. Jak patrzył na te wszystkie słowa: cipka, dupa, kutas, wytrysk, nasienie, pieprzenie? Jaki ślad zostawiają te słowa w mózgu mężczyzny czterdziestopięcioletniego, który najpewniej, wraz z doświadczeniem, przykleił własny sens każdemu z tych wyrazów? Co wywołuje w nim słowo „cipka”? O jakiej cipce myśli, kiedy bezszelestnie przebiega wzrokiem tych pięć czarnych liter? Jaka kobieta naznaczyła na zawsze swoim wspomnieniem, swoim zapachem, swoją obecnością, każdą stronicę literatury erotycznej?

Przez te lektury był dla mnie otoczony nimbem tajemnicy – tajemnicy starszych mężczyzn i obietnic, które składają, nie otwierając nawet ust.

Wysłałam to Panu bez przekonania.

„Genialne, pisz dalej!” – dostałam w odpowiedzi.

Następnego dnia, po raz pierwszy od tygodni, wstałam rano i poszłam kupić zeszyt.

- Jak minął ci dzień, kochanie?
- Cudownie, przez całe popołudnie opalałam się w ogrodzie na leżaku, z rozłożonymi nogami. Myślę, że rodzina, mieszkająca naprzeciwko, wie już wszystko o moich majtkach.
- A jakie były te majteczki?
- No, w sumie, nie było ich wcale. Ale zdawało mi się, że nie wypada mi tego powiedzieć tak kawa na ławę.
- Bawisz mnie!
- Czy można kogoś bawić i podniecać równocześnie?
- To się wzajemnie uzupełnia.
- Jestem klaunem bez majtek.
- Jesteś taka apetyczna...
- Nigdy nie słyszałam śliczniejszego komplementu od „jesteś taka apetyczna”.

Są chwile w tej historii, które uwielbiam wspominać. Obrazy, które wracają do mnie i wywołują szeroki uśmiech na mojej twarzy, w każdym momencie, bez względu na to, w jakim jestem humorze. Ranek, który spędziliśmy w naszym hoteliku na place de Clichy, jest częścią tego niezwykłego zielnika, w którym jedne listki są cenniejsze od drugich. Czas zdaje się nie mieć na nie wpływu.

Spałam twardo, snem wzmocnionym jeszcze butelką wódki wypitą poprzedniego wieczoru z Babette. Pokój wyłożony czerwienią, ozdobiony stiukową fontanną, i ja. Chrapałam jak pijak, ubrana tylko w dziwkarskie majteczki Agent Provocateur. Wyobraźcie sobie, jaki fatalny obraz sobą przedstawiałam, kiedy o dziesiątej rano obudził mnie dzwonek komórki.

– Dziesięć minut i jestem przy tobie – powiedział Pan.

Wyskoczyłam jak sprężyna od materaca. Dziesięć minut, żeby odzyskać dziewczęcą cerę i znośny oddech. Nie miałam nawet czasu na to czekanie na niego ze ściśniętym żołądkiem i szybkim oddechem. Rzuciłam się pod prysznic jak tornado, ze szczoteczką do zębów w ustach, z oczami wytrzeszczonymi z pośpiechu. Kopniakiem wrzuciłam pustą butelkę pod łóżko. Czułam się absolutnie żałośnie. Moja fryzura nie miała nic wspólnego z wizjami, jakie tworzyłam poprzedniego wieczoru. Miałam opuchnięte powieki, ale po dwóch spotkaniach wiedziałam już, że Pan tego nie zauważy, bo będzie mnie widział jako całość.

Wyszłam w samych majtkach na klatkę schodową, z niedopałkiem jointa w ręku. Usiadłam, zwieszając nogi przez pręty balustrady, i spoglądałam na parter. Zawroty głowy nie miały nic wspólnego z wysokością. Telefon obok mnie zawibrował z natarczywą tęsknotą.

– Halo?

– Co robisz, laleczko? – uśmiechnął się Pan po drugiej stronie słuchawki i już miałam coś odćwierknąć, kiedy zdałam sobie sprawę, że słyszę jego głos podwójnie: przy uchu i z dołu, z parteru.

– Wiesz, nic takiego...

Drżąc, podniosłam się cichutko, nie chcąc równocześnie stracić ani na sekundę z pola widzenia amfilady schodów pode mną. Oddalałam się małymi kroczkami korytarzem, aż cichutko oparłam się o drzwi.

– Jestem w łóżku. A ty?

– Bliziutko, kochanie. Do zobaczenia.

Pan chciał zbadać moją temperaturę. Zakopałam się pod kołdrę, cała

w spazmach z podniecenia, jak w trakcie zabawy w chowanego.

Czy opowiadałam już o jego krokach w korytarzu?

Przypominam sobie brak jakiegokolwiek hałasu, czary, za pomocą których przeniósł się z parteru na drugie piętro bez jednego dźwięku, który mógłby go zdradzić. Czujne ucho wyłowilo zaledwie delikatny trzask poręczy czy skrzypnięcie wykładziny pod jego butem. Powietrze wokół zmieniło skład, zapach i gęstość; fala gęsiej skórki skuła mnie lodem od stóp do głów – w głębi klatki piersiowej, gdzieś za moimi małymi piersiami, które nagle niesamowicie stwardniały, serce skoczyło mi tak, że biło chyba aż w uszach, zagłuszając inne dźwięki. Gałka przy drzwiach przekręciła się w prawo z szelestem. Promień światła, który zjawił się na podłodze, zdawał się emanować od Pana. Ponieważ niedawno wstałam i zasłony były jeszcze zaciągnięte, wyglądało to, jakby przyniósł ten nowy dzień w dłoniach, i czułam, że dołoży starań, żeby zaczął się jak najlepiej. Potrafił przecież czynić dokładnie to, czego chciał.

Zjawiło się męskie wcielenie zmysłowości, cień przez chwilę tylko znieruchomiał na progu skąpanym w słońcu. Zmysłowość tego ranka miała srebrzystoczarne włosy. Patrzyła z uśmiechem na mój pokój, a w ciemnych oczach miała dziecięcy zachwyty. Patrzyła na mnie, jakbym była częścią tego pokoju – lecz jakbym wносиła tu zachwycającą świeżość – i zdawała się dochodzić do wniosku, że jestem tu najlepszym rekwizytem, na tym łóżku, obok tej fontanny jak z bajki. Rzuciła się na mnie, ledwie dając mi szansę na odłożenie jointa do popielniczki. Przytuliłam go nogami z całej siły, a Pan już pieścił mi ucho gorącym oddechem: „Tydzień bez ciebie to strasznie długo...”, i z gwałtowności jego pocałunków wyczułam, że mam nad nim władzę – ale właśnie słabła. Podświadomie czekałam na takie właśnie słowa, od tego człowieka, godnego miłości i nienawiści. Brzmiały jak kołysanka – a nie powinny, mój Boże, nie powinny. Pan przeciągnął swoim wielkim nosem wzdłuż mojego, mruczając: „Kurwa, ależ ty jesteś piękna”, a potem zmarszczył brwi.

– Czym tak pachniesz?

Zaśmiałam się bezgłośnie, samymi zębami, odurzona radością i dymem.

– Trawką?

Pan uśmiechnął się jak promień słońca w ciemności i nie przestając głaskać mnie po skroni, rzucił:

– Paliałś?

– W popielniczce jest jeszcze pół jointa.

– Uwielbiam ten zapach – szepnął, całując mnie w zęby. – Szkoda, że nie mogę zapalić, dziś operuję. Chciałbym się upalić z tobą. Kiedyś, jak się uda, zrobimy to razem.

– Ty palisz?

– Kiedy tylko mogę.

A potem, podnosząc się, żeby przewrócić mnie na plecy, mruknął:

– Jak dałem radę nie zgwałcić cię w środę w klinice?

Rumieniłam się w poduszkę, czując, jak jego spojrzenie parzy mi pupę, i przypomniałam mu:

– W windzie prawie to zrobiłeś.

– Podobało ci się – zapytał Pan, nie stawiając znaku zapytania na końcu.

Nigdy się nie dowie, jak wiele kosztował mnie ten cienki pisk, jaki wydałam, przytakując z poczuciem winy.

– Ta pupa... – zachwycił się, nie zauważając moich kosztownych majteczek, ale dobierając się do mnie cudownie.

Czułam, że zaczyna się poranek, podczas którego mój tyłek miał zostać Królem Słońce. I było coś jeszcze, coś dziwnego. Przelotne wrażenie, że moja cipka rozpacza, bo to nie ona będzie dziś najważniejsza. Pan ściągnął mi majtki jak małej dziewczynce. Kilka dni wcześniej ten człowiek rządził całym zespołem szpitalnego bloku, hordy kobiet w fartuchach patrzyły na niego jak na objawionego Boga, a dziś rano jego zdolne palce poświęciły się pieśczeniu zupełnie zdrowej studenteczki wyłącznie z powodu poczucia estetyki – cokolwiek to miało oznaczać.

Niezdolnie jaskrawy szczegół: kciuki Pana zsunęły się w to małe zagłębienie w kształcie serca, gdzie łączą się uda, a które można by nazwać szkatułką na klejnoty, i gdy krążyły tak jednostajnym ruchem, usłyszałam coś jakby plusk – ten dźwięk musiał wychodzić spomiędzy moich nóg. Obawiałam się paraliżującego komentarza o stanie mojego podniecenia, ale nic takiego się nie stało. Pan się podniósł i gdy w przebłysku świadomości wspomniałam jego esemesy i pojęłam, co chce mi zrobić, chwycił mnie tak, że nie mogłam już się wyślizgnąć. Walczyłam jak zwierzę wciągane przez ruchome piaski, na próżno protestując, ale Pan, tonem łamiącym mi serce rozkazał, bym się uspokoiła. Instynktownie skuliłam się na sekundę.

– Tylko nie to – błagałam go w ciszy, tak jakby w tym stadium Pan mógł opuścić to imperium i zacząć kochać się ze mną grzecznie.

W podobnych okolicznościach trawka zazwyczaj traci moc. Odzyskałam całkowitą jasność, gdy tylko usta Pana mnie dotknęły,

a dłonie objęły pośladki. Potem przyszła kolej na język, a ja jęczałam skrepowana, marszcząc brwi ze zdegustowania, modląc się, by szybko przestał, przez litość, bo jak można chcieć to robić? Jak można to lubić? I chociaż czułam szczyptę zmieszanej z zakłopotaniem przyjemności, to fakt, że byłam w pułapce jak szczur, całkowicie bezsilna, powodował, że czułam się idiotycznie.

(Później, kiedy opowiem Babette o moim upokorzeniu, ta skomentuje to dość celnie: „Po prostu nie możesz przestać myśleć o tym, że on właśnie liże cię po dziurce w tyłku, tak? Podczas gdy tej pewności chętnie byś się pozbyła”).

Nie chciałam się przyznać, że było to dla mnie niezwykle uczucie, ale Pan zdawał się świetnie to rozumieć, a moje usztywnienie w ogóle go nie irytowało. Kiedy usiłowałam wykonać najmniejszy gest sprzeciwu, jego silna dłoń przyciskała mnie do materaca. Użyłam więc ostatniego fortelu, w którego niezawodność wierzyłam. Płynnym, wężowym ruchem otarłam się policzkiem o jego członek, ukryty jeszcze pod warstwą szarej flaneli. Bez jego pomocy, ale pod jego spojrzeniem, rozpięłam tych kilka guzików, jakie mnie od niego dzieliły, i z wyschniętym gardłem wzięłam go do ust prawie całego, a na języku natychmiast poczułam smak heroiny i szalejących hormonów, to uczucie spełnienia wbrew wszystkiemu. Pan trwał prawie w bezruchu, zadowolając się jedynym gestem, władcym uściskiem dłoni zanurzonej w moje jasne włosy splecione w ciężki warkocz. A potem, kiedy dość się już nasycił dziewczęcymi pieszczotami, odepchnął mnie pańskim gestem, tak jakbym w tej sytuacji ani przez sekundę nie miała nic do powiedzenia.

I pełznąć jak dziecko, Pan, całkiem jeszcze ubrany, ale z członkiem błyszczącym od śliny, wyszeptał tonem, który ujawnił jego wewnętrzne wątpliwości:

– Nie, najpierw chcę popatrzeć na twoją cipkę.

Przerażona, z początku wiłam się jak piskorz, bezskutecznie starając się zacisnąć nogi. Daremny trud: rękami drapieżcy przytrzymał mnie w rozwarciu i przez kilka minut przeglądał mnie tak, jak się przewraca cieniutkie stronice cennej księgi, dziesięcioma nieskończenie delikatnymi palcami. I nagle, kiedy pojękiwałam zawstydzona, uniosłam głowę i zobaczyłam w jego twarzy tyle niezmaconej fascynacji, że wstrząs odrzucił mnie w tył: człowiek, który uwielbiał te same książki co ja, patrzył na moją cipkę z taką samym uczuciem, jakby czytał Bataille’a na welinowym papierze, oczami, które znały lubieżne kształty słów „muszelka”, „dupka”, „szparka” i „guziczek”. Chociaż instynktownie

chciałam się bronić przed tą ciekawością, ani przez chwilę nie odniosłam wrażenia, że Panu mogłoby się w jakimkolwiek stopniu nie podobać to, na co patrzył. Gdy byłam młodsza, śmiertelnie się bałam, że jakiś mężczyzna uzna, że moja cipka nie pasuje do mojego puciołowatego wyglądu – że ta dychotomia pomiędzy ciałem a twarzą może okazać się zniechęcająca. Ale wyglądało na to, że Panu wszystko wydaje się właściwe, uznał najwyraźniej, że pod wieloma względami okazała się znakomitym ambasadorem dziwki, którą chciał we mnie widzieć. Pan był jedną wielką akceptacją. I rzeczywiście, chwilę później przerwał tę kościelną ciszę głosem ciepłym jak Gólsztrom:

– Wiesz, że twoja cipka bardzo mi się podoba.

Nagle zapragnęłam być chłopcem, żeby móc podniecić dziewczynę tak, jak on to zrobił, teraz, właśnie w tej chwili. Nikt nie mógł poczuć się lepiej ode mnie, nagiej jak mnie Pan Bóg stworzył, otwartej niczym usta, wilgotnej jak marzenie, omdlałej z chęci konwulsyjnego pieprzenia. I nikt nie mógł mieć cudowniejszych ode mnie wrażeń, gdy poczułam gęsty poranny zarost i ciężkie usta łączące się gdzieś, Bóg jeden wie gdzie, w jakimś miejscu niemożliwym do określenia, ale wyposażonym w taką ilość nerwów, by wywalić mi dwieście dwadzieścia woltów w sam środek kręgosłupa. Musiałam nagle zadrzeć, a on uśmiechnął się uwodzicielsko jak sam szatan i powiedział:

– Wiem, że to uwielbiasz, bo jesteś zepsuta, a te zepsute bardzo lubią rozpląwać się w męskich ustach.

Jestem stracona, pomyślałam, i ta myśl nie przeraziła mnie wcale.

– I bardzo podoba mi się smak twojej cipki – dodał Pan, a jego wydatne usta lśniły jak wiśnie.

Pan lizał mnie niczym językiem kolibra, z precyzją biegłego w tej pieszczocie, trochę jak genialny pianista, który pozwala sobie na drobne fałsze w artystycznych piruetach, a ja czułam, że sztywnieję coraz bardziej i bardziej. I wilgotniałam, i miękłam. Ofiarowywał mi najbardziej toksyczny pocałunek świata i to mnie całkiem zniewalało. Bo przecież to był pocałunek. Pan nie był człowiekiem, który dałby się zwieść tym pionowym uśmiechem.

Kiedy się podniósł, miał jeszcze większy wzwód, i rozchylając mi gwałtownie uda, odruchowo łakomie oblizwał usta. To mnie wykończyło.

– Nie wiem, gdzie cię pieprzyć najpierw – szepnął z niezdecydowaną miną i spojrzeniem zagubionym w labiryncie delty mojej cipki i pupy.

A potem zajrzał mi w twarz.

– Czego byś chciała, kochanie?

Bóg raczy wiedzieć dlaczego odpowiedziałam:

– Od tyłu.

Pan, dla którego ten rodzaj peryfrazy nie miał ścisłego semantycznego związku ze słowem „sodomia”, zaczął przewracać mnie na brzuch.

– Nie tak, nie na klęczkach.

Wreszcie dotarło do mnie, że to trawka spowodowała ten tekst.

I rozpinając mu guziki, z zapalem wyjaśniłam:

– Chcę, żebyś...

– Żebym co?

– Chcę, żebyś wziął mnie od tyłu. Ale na plecach – dodałam pośpiesznie, jakbym chciała wymazać z pamięci początek mojej własnej prośby.

Nie mam pojęcia, czy Pan zrozumiał, jak wielki krok do przodu właśnie uczyniłam, udając jednocześnie, że nie robię żadnych ustępstw. Kiedy przesunęłam się do tyłu, a on zbliżył się, by rozsunąć mi nogi, zorientowałam się, że od początku wiedział, o co mi chodzi, że nie trzeba było tego opisywać słowami i że sam bardzo tego chciał. Spodobało mu się, że chcę tej pozycji, z powodu obustronnej, milczącej świadomości, że dobrowolnie pozwoliłam mu widzieć wszystko. Podobało mu się, że mógł mnie podziwiać jak dzieło sztuki, leżącą i całkowicie poddaną jego spojrzeniu. On zaś był mistrzem delikatności: wszedł we mnie bardzo powoli, uważając na każdy mój oddech, ale zdecydowanie, nie odpuszczając zdobytych już terytoriów. Czuł, po tym, jak się zaciskałam wokół niego, kiedy ból przesłaniał rozkosz, i wtedy się wycofał.

Wydałam tchnienie jak święta Teresa w ekstazie, a Pan wbił się we mnie głęboko i, zakłócając szum w moich uszach, powiedział:

– Podoba ci się, moja najukochańsza?

Pan pieprzył mnie w tyłek i mówił, że mnie kocha.

Nieprawdopodobna była wzniosłość tego aktu, kiedy to on go dokonywał. Poczucie głębokiego szacunku dla drugiej osoby. A był to szacunek tym większy, zważywszy okoliczność, że Pan wiedział, iż biorąc mnie w taki sposób, bierze mnie w totalną niewolę. Jako człowiek dojrzały, z wyrafinowaniem doceniał moją uległość, miał też pełną świadomość tego poddania. Ale było w Panu coś magicznego, czego nie dostrzegłam u nikogo innego: metody postępowania, władcza stanowczość, która miała mnie przekonać, że wszystkie te lubieżności, te ostre słowa są dla mojego dobra. I gdybym się broniła, straciłabym szansę na rozkosz. Bo, w rzeczywistości, to nie były obelgi. Gdy mówił „suka”, „kurwa” czy

„cipka”, to, kiedy się nad tym zastanawiałam, słyszałam tylko pieszczoty, tylko przestrogi, żebym przestała się bronić. A ja nie mogłam wydusić słowa. Chciałam, z całej duszy, ale nie byłam w stanie. A Pan gruchał jak gołąb:

– Powiedz, że ci się to podoba, kochanie. Mów do mnie. Powiedz, że lubisz, kiedy cię pieprzę od tyłu.

Zasłoniłam się ramieniem, włosami, zaróżowiona jak dziewczyna, a Pan, który poruszał się we mnie elastycznie i perfekcyjnie, szepnął:

– Patrz na mnie.

Złapał mnie ręką za podbródek.

– Patrz na mnie – rzucił oschle.

Ale kiedy okazałam się odporna na surowy ton, Pan spróbował łagodniej. Głosem tak słodkim, że, o mój Boże, jeszcze mam miękkie nogi, powiedział:

– Patrz na mnie, kochanie. Patrz na mnie.

– Nie potrafię – powiedziałam, zaciskając oczy z odrazą.

Przymykałam oczy, kręciłam brodą i sama byłam zaskoczona, jak wielką trudność sprawiało mi nawiązanie z nim kontaktu, co tak łatwo udawało mi się przecież z innymi.

– Nie wiesz, że trzeba zawsze patrzeć w oczy mężczyźnie, kiedy cię pieprzy w tyłek? – zaczął Pan, a ja słuchałam go tak, jak się słucha fragmentu *Lolity*: z tym samym nabożeństwem. – To ty masz władzę, wiesz? Chociaż to ja cię pieprzę – tu przygryzłam wargi aż do krwi – jestem w sidłach twojej małej dupki i to ty doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Mała przerwa, podczas której podniósł mi uda nieco wyżej, akurat tyle, żeby zmienić pozycję z niewinnej misjonarki w obsceniczną, a potem szepnął na jednym oddechu:

– A teraz? Nie czujesz się bardziej suką? Z moim kutasem w tyłku? Powiedz mi, jak się czujesz.

Uchyliłam powieki i poprzez obłok włosów zobaczyłam swoją cipkę szeroko rozwartą i mokrą, a pod nią chuja Pana, który powoli wysuwał się z mojej pupy, i wiedziałam, że Pan widzi dokładnie to samo, aż nazbyt wyraźnie. Spodobało mi się to bardzo. Spojrzałam na niego i miauknęłam:

– Czuję się suką.

A Pan, ten podły złoczyńca, natychmiast wykorzystał okazję, pieszcząc mi płatki uszu ustami, które nie pozbyły się jeszcze mojego zapachu.

– Pokaż mi, jak się pieścisz.

Na ten rozkaz zalała mnie fala lodowatego zimna. Miałam całkowitą świadomość, że nie uda mi się przed tym uciec, choćbym znalazła najlepszą wymówkę. Mimo że od początku nie miałam zamiaru pokazywać temu mężczyźnie czegoś tak intymnego. Myśl, że będę robiła sobie dobrze przed Panem, podczas gdy był już we mnie, kiedy miałam go gdzieś w głębi brzucha, sparaliżowała mnie. Literalnie. Bałam się tak bardzo, że prawie zaczęłam żałować, iż się tu znalazłam w tym pokoju, z tym mężczyzną. A on podśpiewywał mi w kark:

– Zrób to, kochanie. Pokaż mi, jak to robisz. Jestem pewien, że przepięknie wyglądasz, kiedy się pieścisz.

Jak kurtyzana, która obawia się kompromitacji, podjęłam ostatnią próbę ucieczki.

– Ale ja nigdy tego nie robiłam!

– Zrób to, moja najmilsza. Popieść cipkę. Przecież czujesz, że już jest cała mokra.

– Nie... – jęknęłam, usiłując poruszyć palcami.

Z ogromnym wysiłkiem (tym większym, że chciałam przecież grać przerażoną) położyłam rękę na brzuchu. Potem, ponieważ nie byłam w stanie wykonać dalszego ruchu, wydałam z siebie łamiący jęk rozpacz. Jak szczeniak ciągnący smycz. Ale Pan pozostał niewzruszony.

– Pieść cipeczkę. Zrób to, bo przestanę cię pieprzyć – rozkazał.

Chciałam, żeby zrozumiał, jak bardzo umierałam z chęci zrobienia sobie i jemu tej przyjemności. Że ostatecznie znosiłam ten wstyd, podobnie jak on. I że słowo „pieścić”, tak bardzo podniecające w jego słodkich i pieprzonych ustach, poraziło mnie bardziej niż tylko z rozsądku: nie byłam pewna, czy naprawdę mam ochotę pieścić się przed Panem. Chciałam, żeby to zrozumiał. Nie posunąłby się wtedy do takiej ostateczności jak szantaż. Pan cofnął się, ale nie wysunął się ze mnie całkowicie i nagle przestał się poruszać. Ze złością rzuciłam się do przodu, ale on obydwoma rękami zdecydowanie unieruchomił mój brzuch.

– Przysięgam, że nie będę cię pieprzył. Pieść się. Najlepszy orgazm, jaki możesz mieć, to ten, kiedy będziesz robić sobie dobrze, a ja będę pieprzył cię w tyłek.

(Pan mówił o pieprzeniu w tyłek ze szlachetnością rodem z najpiękniejszych tekstów erotycznych. To nie było „pieprzenie w tyłek” obraźliwe czy figlarne, jak w ustach moich przyjaciółek. Kiedy on wymawiał te sylaby, rozumiałam z pełną jasnością, od jakich słów pochodzą. To samo zauroczenie poczułam wtedy, gdy przeczytałam i rozumiałam słowo „wydupczyć” w osiemnastowiecznej powieści

libertyńskiej. Ech, to pierwotne bogactwo języka francuskiego).

Urażona, że dałam się złapać w taką pułapkę, rzuciłam Panu ponure spojrzenie, które nie zrobiło na nim wrażenia. A potem, z miną spryciary, miauknęłam:

– Nie, pieprz mnie!

Ale Pan okazał się sprytniejszy ode mnie – a w każdym razie nie był człowiekiem, który zadowolony jest słowami i zapomni o swoich pierwotnych planach.

– Dotknij cipki.

I z jego głosu odczytałam, że naprawdę może to zrobić: odsunąć się na drugi koniec łóżka i onanizować się przede mną tak długo, aż oburzenie pchnie mnie do tego samego, z rozpaczy. Zawisłam więc palcami nad szparką, co było bardziej zgodne z gustem Pana. To była okropna scena: czułam, że dosłownie kipię ze złości, i z trudem udawało mi się symulować pieszczotę. Robiłam to przez kilka sekund, ale mimo przyjemności i boskiego, chlupiącego odgłosu, który niósł mnie jak fala, spojrzenie Pana było zbyt krępujące i wiałam się z zażenowania w wilgotnej pościeli. Ale on, wierny swej obietnicy, wziął mnie znów delikatnie, jakby zanurzał się w kąpiel z ciepłej oliwy, mrucząc „Ellie, Ellie, Ellie, och, Ellie, pieść się jeszcze bardziej, rób tak, jak wtedy, kiedy mnie tu nie ma”, jakby, na Boga, dało się zapomnieć o jego obecności, wibracjach, jakie powodował. Byłam odrętwiała. Wszystkie te wymagania były ze świata, z którym nigdy się nie zetknęłam. Zdawało mi się, że z Alexandre’em doszłam do niesłychanego poziomu perwersji, a tu nagle nasze wystudiowane ejakulacje na twarz okazały się zaledwie osłodzoną wersją możliwych wydarzeń tego poranka z Panem. W tym, co usiłował ze mnie wydobyć, było niezaprzeczone piękno; prosta i wspaniała miłość mężczyzny dla przyjemności kobiety.

Nagle poczułam, że płaczę. Moje ręce wzdragały się przed publicznym wykonaniem tego instynktownego, świetnie znanego tańca. Pan powstrzymywał je, gdy usiłowały uciekać. Nie wiedziałam, kogo nienawidzić bardziej: jego czy siebie. Rzucałam w jego kierunku spojrzenia tyleż błagalne, co wściekłe, i myślę, że widząc, jak marszczę brwi, pojął, że idziemy donikąd. Obrzucił mnie serią spojrzeń, które sugerowały, że jestem tego ranka złą uczennicą, ale obiecywały też wyrozumiałość, jak wtedy, gdy wielcy mistrzowie zauważają ograniczenia swoich uczniów. Dwoma palcami zrobił to za mnie, tak cudownie, że przez głowę przebiegło mi pytanie, czy ten mężczyzna jest geniuszem. Z trzepotu moich palców wysnuł całą idealną koncepcję ruchów, które

doprowadzały mnie do szaleństwa. Poczułam, że wystarczyłoby kilka minut, ale – czy ja wiem – chciałam, żeby Pan doszedł dużo wcześniej niż ja. Dlatego kiedy moja cipka wciągała jego palce jak dziecko, które ssie pierś, ścisnęłam jego członek wszystkimi mięśniami, i paznokciami wbitymi w jego pośladki zmusiłam go, żeby pieprzył mnie bardzo mocno. On zaś, z pewnością chcąc oszczędzić siły, przerwał wszelką aktywność, na kilka minut zamknąwszy oczy. I ten niewielki fragment czasu wydał mi się wiecznością; nagle to przestał być Pan, to nie był już ten pokój i to nie była już zupełnie ta koncepcja seksu, zwierzęcego i wyrafinowanego zarazem. To był już tylko stary facet dosiadający rozpustnicy, która mogłaby być jego córką, w ponurym hotelu, w ponurym zakątku Paryża, na dodatek robiący to w paskudny sposób. Nie byłam już pewna, czy mi się to podoba. Bez spojrzeń Pana zapominałam prawie, dlaczego w sumie ta historia między nami była nie tylko niemoralna. Jego oczy przypominały mi, że sypialiśmy ze sobą, dyskutowaliśmy ze sobą, rozmawialiśmy przez telefon lub pisaliśmy do siebie po prostu dlatego, że to było fajne i że jeśli Bóg dał nam tę szansę, ogromną stratą byłoby nią wzgardzić lub się jej obawiać. Na jakieś pięć minut, a może raczej tysiąc, kochanie się z nim stało się nudne.

Dałby Bóg, żeby to nie trwało godzinami, pomyślałam.

Tej prośby miałam żałować kilka tygodni później, kiedy zostałam sama, bez kontaktu z nieuchwytnym Panem.

Nagle twarz nade mną ożyła, i bardzo niskim głosem, na granicy możliwości, Pan rzekł:

– Chcę skończyć w twojej pupie.

Dyszając, poczułam cudowny napływ rozkoszy w całym jego długim i szczupłym ciele, ostatnie drżące posunięcia, gdy jego oddech zaczął się rwać, a potem ostatni cios, który rzucił go w głąb mnie. Gdy wbiłam w niego paznokcie, wydał jeden okrzyk, jeden ochryply dźwięk, który dotarł do mnie w chwili, kiedy przez sekundę wydawało mi się, że i ja dochodzę. Ze wszystkich sił skupiłam się na tym, by poczuć jego wytrysk, ale poczułam tylko niekontrolowane spazmy jego członka, a potem Pan oddychając, jakby mnie kołysał, wtulił się w moją szyję, jeszcze sztywny.

– Tęskniłem za twoją pupą – powiedział, wysuwając się ze mnie, a mnie ogarnęło uczucie straszliwej fizycznej samotności. I chociaż orgazm już minął, chciałam, by brał mnie jeszcze i jeszcze.

Teraz Pana ogarnęło szaleństwo tkliwości. Turlał się ze mną w ramionach i prosił jak dziecko:

– No, pocałuj mnie! Popatrz na mnie! Nie chcesz moich czułości?

– Jasne, że chcę – protestowałam, wijąc się w jego ramionach jak wąż. – Cały czas na ciebie patrzę!

– Nie, dobrze wiesz, że to nieprawda! Nie mogę cię pieścić, cały czas mi uciekasz. Mogę cię rznąć w tyłek, ale nie mogę cię przytulać?

– Oczywiście, że możesz – odpowiedziałam, ale nie udało mi się powstrzymać gestu zniecierpliwienia.

I z westchnieniem, nie chcąc okazywać ostentacji, pozwoliłam palcom Pana, by mnie badały. Odwróciłam się do niego twarzą. Tak jak poprzednim razem, właśnie w chwili, kiedy miał się na baczności, ja odzyskałam pewność siebie. I tchórzliwie umknęłam.

– Paliłam, nie chcę ci chuchać w nos.

I podniosłam się zgrabnie, żeby wziąć laptop. Kiedy zaświecił się ekran, Pan zobaczył zdjęcie Andréi. Zapytał oschle:

– Kto to?

– Mój chłopak – wyjaśniłam, zapalając resztkę jointa z popielniczki.

– Super – zazgrzytał zębami Pan, opadając na wałek na łóżku.

– Przepraszam cię, że mam też inne życie – syknęłam i natychmiast pożałowałam swojego obojętnego tonu.

Na próżno szukając sposobu, jak zatrzeć w jego pamięci to zdanie, puściłam The Turtles i wzięłam pierwszego macha, przesuwając się tak, żeby usiąść na Panu, z rozwartymi udami, prezentując mu cały widok i przesadnie się tym nie przejmując. Przyglądał mi się przez chwilę, palcami otulając moje kolana. A potem uśmiechnął się.

– Mam coś dla ciebie – stwierdził.

Zeskoczyłam, by znaleźć się obok niego, i rzuciłam mu tęskne spojrzenie gejszy.

– Co?

– Mówiłaś mi, że nie znasz *Cipy Ireny Aragona*?

Jeszcze jeden mach. Powrót niekontrolowanego uśmiechu.

– Opowiadałeś mi o tym przez telefon.

Pan wziął swoją teczkę. Mówił mi o tym dwa dni wcześniej, o dziesiątej wieczorem, kiedy nago paliłam w kuchni papierosa, stercząc przy wielkim oknie. A później dostałam mejlem fragment tej książki. Pan, ze swoją przysłowiową niecierpliwością, wyciął przypadkowe fragmenty i tekst okrutnie stracił płynność, tak bardzo, że wzbudził tylko moje niewielkie zainteresowanie. Ale kiedy położył koło mnie książkę z jej nieprawdopodobną okładką taniego wydania, z autorem o dźwięcznym pseudonimie Albert de Routisie, pochyliłam się nad nią łakomie. Strasznie spodobał mi się pomysł Pana, żeby kupić mi kieszonkowe wydanie, jakże

znajome oczom studentki.

– O, dzięki! – wykrzyknęłam może nieco zbyt spontanicznie jak na mój gust, a Pan uśmiechnął się z widocznym rozczeniem.

Chciałam przytulić się do jego boku, ale on szybkim gestem wziął *Irenę* i otworzył ją na samym początku.

– Przeczytaj dwie pierwsze strony.

Chciałabym, żeby ludzie umieli pojąć, co czułam wtedy, siedząc po turecku, nago, na miękkim i szorstkim dywanie owłosienia tego mężczyzny, w zmysłowym i ciepłym półmroku mojego odciętego od reszty świata pokoju. Rzadko bywałam tak naćpana, że wszystko docierało do mnie tak pozytywnie, jak w kalejdoskopie. W chwili, kiedy skierowałam wzrok na pierwsze linijki Aragona, orgazmiczny refren *Eleonory* wybuchł w tej wilgotnej ciszy jak niezwykle cyklon miłości i entuzjazmu; równocześnie te początkowe stronic opowiadały mi o śnie i o bólu, a także o śmiertelnej zmysłowości ciemnej nocy, słowami, których moc przewyższała wszystko to, co wcześniej czytałam. Całkowicie zafrapowana opadłam w tył z szeroko otwartymi ustami, uśmiechając się nagle od ucha do ucha. Wyjaśniłam Panu głosem, który ginał wśród basów The Turtles:

– Ten tekst... i ta muzyka... to mnie powala.

Rzuciłam się na lekturę jak na żarcie, nie mogąc się oprzeć westchnieniom czystego zadowolenia na zakończenie każdego zdania. Pusta jak łupinka orzecha, z poczuciem, że otacza mnie całe piękno świata, zatopiona w tych wspaniałościach, broniłam się przed tym bez przekonania, zbyt zachwycona, żeby przestać. Jak opisać tę chwilę głębokiej samotności i totalnego rozweselenia zarazem? Czułam się jak ktoś, kto widział, dotknął i usłyszał Mesjasza, i wiedziałam, że trzeźwy Pan nie mógł pojąć, o jaką boskość się ocieraliśmy. Palenie było warunkiem wstępnym i koniecznym, aby pozbyć się wszelkich mechanizmów obronnych i móc wchłaniać magię jak gąbka. A jednak musiałam to powiedzieć, żeby ktoś się o tym dowiedział. Żeby Pan wiedział, jak bardzo ta chwila była naszym dotychczasowym apogeum. Po raz pierwszy, jak sędzę, wymówiłam jego imię. I natychmiast potem, po długim wdechu kobiety, którą dławi uczucie, nastąpił słowotok palaczki jointów.

– Jak można tak świetnie pisać? Znaczy... to nawet nie jest świetne pisanie, to niewyobrażalnie więcej. Nigdy nie czytałam niczego, co byłoby równie piękne i równie prawdziwe. Aragon na tych dwóch stronach przypomina mi Mozarta. Jeśli wyrzuciłbyś jedno słowo, przeniósłbyś

jeden przecinek, wszystko by się zawaliło. Perfekcja.

A Pan nie był w stanie pojąć podwójnego znaczenia mojego rozgorączkowania, zrozumiał tylko jedno. Jako kandydatka na pisarkę byłam rozdarta pomiędzy głębokim religijnym uwielbieniem a zazdrością – a może to była raczej konsternacja? Tak jak przy mojej pierwszej lekturze *Lolity* (o, wielki Nabokowie!), zdałam sobie sprawę, że każde zdanie wyczelowane z jubilerską dokładnością, cudowne, nie było wypracowane czy poprawiane. Wynikało z geniuszu. Ja na stworzenie choć jednego tak pięknego zdania potrzebowałabym wielu godzin irytacji, zwątpienia, a potem nadziei w zamkniętym, pustym pokoju. Wiedziałam znakomicie i podskórnie od czasu tej lektury, że nigdy nie będę miała takiego pióra, które mi pozwoli zapisać się w panteonie pisarzy. Odczuwałam to prawie bez emocji, tak jak akceptuje się rzeczy naturalne, życiowe. Tylko rezygnacja trochę bolała.

Pan przyznał poważnie:

– Ładne, fakt.

W tej samej chwili, nawet jeśli nie odczuwał tej samej, autorskiej frustracji, pomyślałam, jak było cudownie, diabolicznie i upojnie dzielić z tym mężczyzną zainteresowanie słowem i tematem, odnajdować w tej męskiej brutalności odrobinę perwersyjnego wyrafinowania kobiet, które częściej niż oni lubią tracić długie godziny na czytaniu, i połowę życia żyją życiem innych ludzi.

Pan wziął ode mnie książkę i otworzył ją nieco dalej. Kiedy ja zmieniałam muzykę, on zaczął czytać od tego fragmentu, który na zawsze zmienił mój szczerzy szacunek dla Aragona w uwielbienie, od opisu cipy Ireny. Za każdym razem, kiedy słyszałam, jak wymawia słowo „cipa” albo „srom” (Aragon był, odkąd moja kobieca pamięć sięga, jedynym autorem, który mógł napisać „srom” i nie wywołać u mnie obrzydzenia), moje ucho nawykłe przecież do tych dźwięków drżało z zakłopotania i zadowolenia; jakież były miłe te ostre przymiotniki w dorosło-szczeniackich ustach Pana! Błyszczącymi oczami, radością, którą zdawał się czerpać z tej sytuacji, dowodził, sam sobie z tego nie zdając sprawy, że mimo wieku i doświadczenia, używanie wyuzdanego języka wobec młodej dziewczyny sprawia mu cały czas niezrównaną przyjemność. Podczas natchnionej rozmowy opisał mi wydania książek, które miał w swojej kolekcji, i naprawdę widziałam te stosy białych kruków, łączących się ze sobą w niezwykle sposób, w których chyba można było jeszcze znaleźć DNA Mandiargues’a czy boskiego Calaferte’a. Uwielbiałam Pana także dla jego biblioteki i pomysłu, by spędzić w niej dwie noce i dwa dni, w wielkim

skórzanym fotelu (z filiżanką kawy w dłoni, nago, tylko w koszuli Pana, którą zainteresowany zdierałby ze mnie co godzinę – ot, taki jego pomysł na zakładkę do książki).

Przez chwilę, pod wpływem nagłego przyływu czułości, wtulałam się w jego słodko pachnące włosy i aż za bardzo gładką skórę.

Niesamowicie, jak bardzo uwielbiałam tego człowieka, fascynowałam się nim do obłędu, a przy tym tak bardzo nie umiałam wyrazić przywiązania czy pożądania. Buntowałam się przeciw temu, by pogłaskać go po piersi czy spontanicznie pocałować. Z twarzą wtuloną w jego delikatnie wyperfumowaną pachę, patrzyłam na niego jak na hieroglif. Tyle szczegółów, że można było zapomnieć, jak przed chwilą pieprzył mnie w tyłek czy pokiereszował moją wymuskaną seksualność kandydatki na rozpustnicę; Pan był teraz już tylko słodki, gwałtownie słodki, słodki jak stronica tej książki.

Pierwsza sprzeczka między Panem a mną. Nagle zapytał:

– Pieprzyłaś się w tym tygodniu?

– Co to za pytanie? – mruknęłam, nieznacznie odsuwając się od niego, żeby zyskać czas i znaleźć właściwą odpowiedź.

– Nic, tak tylko chciałem wiedzieć.

I rzeczywiście Pan wyglądał pogodnie. Wzruszając ramionami, odpowiedziałam:

– Tak, trochę się pieprzyłam.

A potem, ponieważ się wkurzyłam, że przypomniał mi moje banalne figle sprzed paru dni, pozwoliłam sobie odwrócić to niedyskretne pytanie. Pan lakonicznie potwierdził.

Ach, mów mi więcej!, pomyślałam.

– Ile razy? – zainteresowałam się.

– Dwa.

– Z żoną?

– Tak. A ty?

– Z moim chłopakiem.

Można tak to ująć.

I być może w tym miejscu zaczęłam dostrzegać zasadzkę, która mnie wciągała. Zdychałam z ciekawości, jak oni się kochali po dwudziestu latach małżeństwa, jakie gesty wykonywał wobec jej znanego tak dobrze ciała. Ale ta ciekawość była jak skrobanie paznokciem po tablicy – ociupina zazdrości, której przecież miałam nigdy w stosunku do niego nie poczuć. Jak mucha debilnie lecąca w stronę halogenowej żarówki, zapytałam:

– Jak to jest z twoją żoną? W końcu już długo ze sobą sypiacie.
– To zależy – odpowiedział Pan dziwnym głosem i pomyślałam, że może właśnie odkryłam jeden z nielicznych sposobów zawstydzenia Pana.
– Ale tak, po upływie takiego czasu często jest dobrze.

– Musicie się bardzo... rozumieć.
– Oczywiście – przyznał Pan bez skrępowania.

Dosłownie zżerała mnie chęć dowiedzenia się wszystkiego, wszystkich szczegółów; jak Pan pieprzył tę kobietę, która już wszystko widziała, wszystko słyszała, znała wszystkie jego perwersje, wiedziała, co go doprowadza do obłędu. Jak wyglądało jej ciało. Jak przeżywała orgazmy. Kiedy mieli na to ochotę. Czy mieli ulubione pozycje, ulubione techniki. Dziwactwa. Rzeczy, których nigdy nie zrobili. To mnie fascynowało. Żona Pana, której cień nieustannie mnie przytłaczał. Jak pieści się taki pomnik?

– A ty? – zainteresował się. – Jestem pewien, że było beznadziejnie.
– A niby dlaczego? – oburzyłam się, straszliwie urażona.
– Bo faceci w twoim wieku niczego nie wiedzą o dziewczynach.
– On ma trzydzieści lat.
– Trzydzieści lat? – wykrzyknął Pan i wytrzeszczył oczy.

To żart. Tak sobie pomyślałam. Przez dwie sekundy patrzyłam na niego, nie mrugnawszy okiem, usiłując ocenić, czy to udawane zdziwienie.

– Jeszcze jeden staruch! – rzucił z cieniem uśmiechu na ustach.
– Zazdrosny dziś jesteś! – odpowiedziałam. – To, że mam chłopaka, cię wkurza.

– Nie jestem zazdrosny. Zastanawiam się tylko, dlaczego zawsze jesteś ze staruchami.

Uniósł się na rękach, żeby mi się przyjrzeć, tak jak się patrzy na kostkę Rubika. A potem zmienił zdanie.

– A może rzeczywiście jestem zazdrosny. To kiepski pomysł, nie?
– Niewątpliwie – przyznałam, zdumiona, że mogę wzbudzać zazdrość mężczyzny, tego mężczyzny.

– To co robimy? – zapytał, tak jakby poczuł, że coś mu zabrano.
– Jak to, co robimy?
– Kontynuujemy?

Tak naprawdę nie wyobrażałam sobie, że będę żyła, udając, iż nigdy go nie było, bez względu na cenę tej jego bliskości. Myśl, że będę żyła tak blisko niego, że będę go miała o kilka kilometrów od siebie, ale nie będę mogła do niego się zbliżyć, odbierała mi oddech. Chciałam zrozumieć tego człowieka. Przeniknąć tę tajemnicę. Chciałam wielu innych rzeczy,

o których myśl sprawiała mi ból. Więc po prostu stwierdziłam, tak jakby to było oczywiste:

– No jasne. Kontynuujemy.

Kontynuujemy. Mimo iż domyślałam się już, co z tego wyniknie. Katastrofa. Czułam, że całe lato bez niego, jeśli już teraz tak to się zaczynało, będzie nie do zniesienia. Nie miałam absolutnie ochoty podzielić losu tych idiotek, które zakochują się w żonatych facetach, ale nie ma sprawy, luzik. Kontynuujemy.

Jedno mnie zawsze fascynowało w Panu: to, jak się podniecał. Łatwo, szybko. Rozmawiał ze mną godzinami, bawiąc się moimi sutkami, tak że o mało nie dostawałam padaczki, odzyskiwał moce w zagłębieniu moich bioder, mrucząc czasami: „Jesteś taka piękna”, pieszcząc mi płatki uszu. Bawiliśmy się w bogatego intelektualistę i jego kurtyzanę, rozmawiając o André Bretonie, tak jak się rozmawia o seksie, robiąc spis ulubionych autorów, a on szeptał mi w szyję czułe słowa przetykane literackimi żartami, potem całował, gryzł i nagle w trakcie jakiejś mojej odpowiedzi, kiedy zamierzałam właśnie mu się sprzeciwić, Pan wbijał się we mnie jednym ruchem, bez zapowiedzi. Nie spodziewałam się tego i byłam akurat w połowie zdania, więc moje ostatnie słowo tonęło w krzyku, który on powstrzymywał odpowiednio zdecydowanym gestem. Już pierwsze ruchy Pana osłabiały mnie z rozkoszy, nie mogłam wydać ani dźwięku, ani oddechu, ale on ich nie potrzebował, by pojąć, co się dzieje. Znał się na rzeczy.

– Twoja cipka też to lubi, prawda?

– Spałeś z kimś innym, odkąd jesteśmy razem?

– Nie. A co?

– Nic – skłamałam bezwstydnie, a w myślach dodałam: Bo nie dość się zdenerwowałam, kiedy sobie wyobraziłam, jak kochasz się z żoną. Muszę wiedzieć, empirycznie, że myśl o innej kobiecie pod tobą boli.

Pan podniósł się i usiadł obok mnie.

– Jesteś zazdrosna?

Ten cień uciechy, jaki usłyszałam w jego głosie, mnie wkurzył. Jak idiotka zaczęłam bronić się przesadnie, żeby sprawić wrażenie wyluzowanej.

– Absolutnie nie!

– Jesteś zazdrosna jak cholera! – powtórzył Pan, dosłownie się rozkoszując.

– Absolutnie nie, po prostu chciałam wiedzieć!

– A jednak tak. Chciałaś wiedzieć, czy nie sypiam z innym

dziewczynami, żeby się dowiedzieć, czy jesteś jedyna w moim życiu. A więc tak, kochanie, jesteś zazdrosna.

Odwzajemniłam tylko w połowie pocałunek Pana, który świetnie się bawił moim szamotaniem. Wkładając spodnie (cudne były te jego plecy), powiedział:

– Ale ostatnio nie tknąłem żadnej innej kobiety, oprócz mojej żony i ciebie. Nie miałem na to ochoty. Ciągle myślę o tobie.

Palące spojrzenie, jak drapnięcie, przeleciało mi przez plecy.

– O tej pupie. Ciągle myślę o tej pupie. Wiesz, że nawet gdy operuję, właśnie to sobie wyobrażam? Ciebie w tej pozycji.

Leżałam zwinięta, z wypiętym tyłkiem, oplątana rozpuszczonymi włosami i patrzyłam z zachwytem, jak się ubiera. Podobało mi się światło emanujące z tego mężczyzny i nie wiedziałam, jak mu to powiedzieć, tak bardzo wydawał mi się piękny. Patrzyłam na ten odwrotny striptiz, który dla mnie robił, wkładając swój strój chirurga w cywilu: najpierw spodnie od garnituru z idealnym kantem wzdłuż nóg, potem białą koszulę, która od jego przyjścia nabawiła się zaledwie jednego zagięcia na plecach. Czy mężczyźni zdają sobie sprawę, jaka przepaść – otchłań – dzieli ich nagość od tej chwili, kiedy na stojąco, bezwiednie zapinają guziki koszuli? Ta powolna wspinaczka w kierunku kołnierzyka stopniowo ucisza zwierzęcy instynkt, i nawet jeśli pięć minut wcześniej pozwalali się oglądać z każdej strony, nagle wkładają na siebie całe wieki wyrafinowania. Ale niektórzy, tacy jak Pan, nawet ubrani najbardziej elegancko na świecie składają nieświadomie poruszającą obietnicę, że pod tym ubraniem zawsze będą nadzy. Marynarka od garnituru, którą narzucają na wierzch, niczego nie zmienia; wydaje się założona na ramiona tylko po to, żeby ją w pośpiechu ściągnąć. To są ci mężczyźni, których od wieków pęta się różnymi tkaninami, sposobami – tak jakby, na Boga, dało się w tak prymitywny sposób ukryć ich błyskotliwą zmysłowość. Patrząc na uda Pana w kosztownych szarych spodniach, można było odgadnąć kontury jego przyszłej erekcji.

Guziki przy mankietach.

– A poza tym cały czas myślę o twoim ciecie, ale niekoniecznie, żeby się z tobą kochać. Tylko być przy tobie. Rozmawiać z tobą. Nie czuję żadnej różnicy wieku, kiedy mówię do ciebie, a ty mi odpowiadasz – wyznał.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć, więc po prostu uśmiechnęłam się z zachwytem. A potem długo szczebiotałam, żeby na końcu zapytać:

– Dziewczyny w moim wieku nie są takie?

– Zazwyczaj nie. Są znacznie bierniejsze. Biorą, a same dają niewiele.

– Chociaż ja dziś rano nie byłam przesadnie zdyscyplinowana – rzuciłam, mając chyba nadzieję, że Pan złoży mi obietnicę w sprawie następnego spotkania.

– To nie jest kwestia dyscypliny. Podoba mi się to, co się dzieje w twojej głowie. Właśnie to mnie interesuje, niekoniecznie twoje ciało.

I jak miałam to rozumieć? Pełna wątpliwości zaatakowałam:

– Swoją drogą, to byłoby draństwo z twojej strony, gdybyś sypiał ze swoją żoną, ze mną i z innymi laskami w moim wieku.

– Mówisz tak, bo jesteś zazdrosna.

– Jeszcze raz ci mówię, że absolutnie nie. Tyle tylko, że w tej sytuacji...

– Jesteś zazdrosna, kochanie.

– Nie, mówię po prostu, że byłoby to łajdackie zachowanie. Już teraz, robiąc to, co robimy, mieścimy się w tej kategorii!

Pan zachmurzył się nagle. Przestał zapinać kołnierzyk koszuli, usiadł obok mnie na łóżku. I nie spuszczając ze mnie wzroku, rzucił:

– Nie podoba mi się, że nazywasz mnie draniem.

– To dlatego, że nie powiedziałam „drań” tym tonem. Ale chciałam, żeby to było czułe.

Mówiłam szczerze, ale jego oczy bardzo pociemniały i przez chwilę myślałam, że mnie uderzy – a w każdym razie, że sprawiłam mu przykrość. Zaskoczyło mnie, że okazał się tak głupio drażliwy.

– Nie patrz tak na mnie – wyszeptałam, przytulając się nagim ciałem do zimnej tkaniny jego garnituru. – Mówię ci, że kiedy ja i moje kumpelki mówimy „drań”, to jest miłe. Urocze.

Pan nie wydawał się przekonany, jednak przeciągle mnie pocałował, dodałam więc:

– A zresztą jestem takim samym draniem jak ty. Znasz mojego wuja, moją całą rodzinę, powinnam mieć skrupuły, że z tobą sypiam.

– Nie widzę nic złego w tym, co robimy. Oczywiście, oprócz tego, że jestem żonaty.

– Nie widzisz? A przecież niemoralność naszej historii rzuca się w oczy. Zna cię cała moja rodzina. Byłeś kolegą mojego wuja, spędziłeś trzy dni z nim i moją matką na Jersey przy okazji jakiegoś seminarium. A ja jestem jego małą siostrzeniczką.

– To jednak inna sytuacja, niż gdybym sypiał z jego żoną.

– To właściwie gorsze. Bardzo dobrze wiesz, że mój wuj do szaleństwa kocha swoje siostrzenice. Z pewnością nie chce wiedzieć, że dotyczą ich faceci, a zwłaszcza faceci, których dobrze zna.

Pan wyglądał, jakby udawał głupiego, ale nie byłem w stanie ocenić, czy taki miał zamiar, czy naprawdę wydawało mu się, że jest czysty jak łąza.

– Zwłaszcza jeśli ci faceci są żonaci i mają dzieci. Rozumiesz chyba, jaki chaos mógłby powstać, gdyby ktoś się dowiedział, co się tu dzieje – dodałam tonem zdradzającym może trochę zanadto, jak bardzo ta sytuacja mnie podniecała.

– Problem jest tylko w tym, że jestem żonaty, tak? Gdybym to ja był twoim wujem, wolałbym wiedzieć, że jesteś z facetem w moim wieku i z moim doświadczeniem niż z jakimś gnojkiem, który nie wiadomo jak cię potraktuje.

– Ależ...!

Wykrzyknęłam jego imię, oburzona tym, że Pan mógł okazać się tak hermetyczny.

– Bądź pewien, że jeśli Philippe zobaczy cię ze mną, nie będzie myślał o doświadczeniu czy komforcie życia! Bądź pewien, że nawet jeśli uda mu się zapomnieć o tym, że masz żonę i dzieci – a zdziwiłabym się bardzo, gdyby tak się stało – obraz pozostaje ten sam: jesteś w jego wieku, kolegowaliście się, cenił cię; to naprawdę wygląda łajdacko. Możesz nie mieć nawet cienia nadziei, że kiedyś ci wybaczy. Mnie także znienawidzi, ale to mój wuj. I tak zawsze będzie mnie kochał. Jeśli z jakiegokolwiek powodu dowiedziałby się o nas, co się nie wydarzy, będzie widział tylko jedno: pieprzyłeś jego siostrzenicę.

Pan usiadł przy mnie i położył delikatną, zdecydowaną rękę na moim biodrze:

– Tyle tylko, że jeśli ktoś by się o nas dowiedział, wystarczyłoby otworzyć moją skrzynkę na Facebooku, żeby się dowiedzieć, kto pierwszy się odezwał. Ty do mnie.

Nagle, choć nadal mnie głaskał, zobaczyłam w jego uśmiechniętych oczach coś, co mogło kojarzyć się z groźbą. Nie całkiem może; to raczej spojrzenie, które mógł mieć mafioso wyjaśniający nowemu sklepikarzowi, jak funkcjonuje dzielnica: „Zagramy w taką grę, która przyniesie zyski nam obu. Tak długo, jak ty będziesz grać uczciwie, ja też będę grać uczciwie. Jeśli zechcesz mnie wydać albo postawić w niewygodnym położeniu, wiem, jak cię zaszantażować. I nie zawaham się ani sekundy”.

Pamiętam, że pomyślałam sobie z całej siły „cóż za bydlak”,

dokładnie w chwili, gdy bez zmruczenia powiek patrzyłam na Pana, żeby pojąć, czy mówi serio. Czy potrafiłby zmyślać oskarżenia, sprzedawać naszą historię po kawałku tak, żeby się okazało, że to ja byłam jej inicjatorką. Z ponurej determinacji, którą widziałam w jego oczach, wywnioskowałam ostatecznie, że tak. Bez wątpienia. Pan byłby takim człowiekiem.

Bez słowa, uśmiechając się tylko do niego, położyłam się między jego nogami, zwinięta jak kotka. Znalazłam się w niewoli, a Pan jawił mi się na równi jako amant i jako przeciwnik; traktował mnie w najbardziej podły sposób, ale gdy o tym myślałam, straszliwie mnie to podniecało.

Pan. Pan i jego usta pełne trucizny.

I w chwili, kiedy zniknął, żeby wrócić do swojego lekarskiego i małżeńskiego życia, poddałam mu się na wieczność. Leżąc na brzuchu śledziłam każdy jego ruch, pochłonięta tą kontemplacją. Z teczką w rękę, znów idealnie cywilizowany, nienagannie elegancki, przysiadł koło mnie na łóżku, obejmując mnie rękami. A mógł mnie tylko pocałować w kark.

– Powiedz mi coś czułego, zanim sobie pójdę.

Otworzyłam oczy, w których mieszało się zdumienie i niedowierzenie.

– Nie możesz chcieć, żebym był w tobie trochę zakochany, jeśli ty nie będziesz trochę zakochana we mnie.

Zrozumiałam, że nie odejdzie, jeśli się nie odezwę. Może dlatego, że zdychałam z ciekawości, dokąd nas to zaprowadzi, może dlatego, że go kochałam godną pogardy miłością dziwki, to że mnie tak szalenie pożądał, ale może też dlatego, że to była prawda, odpowiedziałam, nie patrząc na niego i nie mogąc pojąć samej siebie:

– Jestem w tobie troszkę zakochana.

Pan uśmiechnął się bez słowa, co poczułam w chwili, gdy gryzłam poduszkę, żeby nie dać sobie w twarz.

Moja przegrana z Panem nie miała w sobie nic z kataklizmu. Teraz to widzę. Składała się z małych, podobnych, anegdotycznych kapitulacji. Jedna. Potem kolejna. Aż do chwili, kiedy postronek na szyi zaczął mnie dusić.

Ellie

Powiedziałam to już kiedyś w jakimś esemesie, ale muszę to napisać, bo kilka słów na ekranie komórki nic nie znaczy.

Myślałam o tobie, twoim ciele, twoich słowach, twoim zapachu, myślałam o tym poranku, o tym ciężarze w środku, kiedy wstydziłam się tego, co robiłam, myślałam o tym wszystkim, co mi powiedziałeś (o tych słowach, które napięły mi nerwy jak postronki – czuję, jakby kot bez przerwy drapał mnie po plecach), i powiedziałam sobie, że bardzo trudno mi będzie wytrzymać do wtorku. Nie możesz sobie wyobrazić, w jakim jestem stanie. Gdy zaczynam znów myśleć o tym poranku, mam skurcze w brzuchu, gęsią skórę na policzkach, zdrętwiałą prawą nogę i czuję bardzo wyraźny tik w cipce, tak samo jak w oku, kiedy jestem bardzo zmęczona. Można by rzec, że krzyczy. Nie wydaje żadnego dźwięku, ale ja ją słyszę. Znaczy, czuję. To jeszcze gorsze.

Powiedzieć ci coś w sekrecie? Dlaczego nie mogę się przy tobie dotykać? Dlaczego dwudziestoletnie dziewczyny nie mogą się oddać do końca? Chodzi o poczucie wstydu. Wrażenie, że jeśli zniżę się do czegoś podobnego, stanę się godna pogardy. I to jest jednak totalnie paradoksalne, zważywszy, że bez oporów pozwalałam się pieprzyć w obrzydliwy sposób, że daję się obrzucać paskudnymi słowami, a przy tym czuję się w najwyższym stopniu godna szacunku.

Zrób mi przysługę. Nigdy już się nade mną nie lituj. Jeśli nie będę ci posłuszna, nawet wbrew sobie, nigdzie nie zajdę i dożyję sześćdziesiątki bez choćby cienia orgazmu. Jeśli idziemy donikąd, dojdźmy przynajmniej tam; posługuj się mną, manipuluj mną, modeluj mnie, uczynź ze mnie perfekcyjną, idealną kochankę. Nie chcę już tej wyrafinowanej zmysłowości, żeby maskować łakomstwo. Nie chcę już forteli ani planów, żeby wyglądać podniecająco – wolę wrócić do swojej pierwotnej, dziecięcej, bezwstydney wrażliwości. Uwolnij mnie. Wiem, że możesz. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto byłby do tego bardziej zdolny. Jestem pewna, że jeśli nie odczuwam rozkoszy, to z powodu idiotycznej pozy, jaką sama sobie narzuciłam. Bo naprawdę jestem znacznie bardziej uczuciowa. Spójrz, kiedy dziś rano brałeś mnie od tyłu, długo byłam oszołomiona bólem lub niewygodą, to bez znaczenia; kiedy mówię długo, to znaczy mniej więcej... pięć, sześć minut. Czulałam więc głównie ból, a równocześnie zrobiłam się całkiem mokra. Widzisz, jaka jestem? Moje ciało potrafi żyć wbrew mnie. Przekracza wszelkie bariery, jakie mu narzucam i chwyta wszystkie pieścizoty, jakie mu się uda. Musisz mi pomóc. Musisz przestać mnie słuchać – jeśli pozwolisz mi protestować, nigdy się nie dowiem, jak to robić, jak upodobnić się do tych wszystkich kobiet, o których Oni piszą w książkach, w *Irenie* (którą właśnie skończyłam czytać) i innych. Do tych dziewczyn, dla których najważniejszy jest orgazm, a nie to, jak wyglądać ładnie czy godnie. Pieprząc się, nie można wyglądać godnie. Tak się nie da.

Och, chciałabym jeszcze porozmawiać z tobą, ale zostawię sobie coś na jutro.

Przed chwilą czytałam *Cipę Ireny* i odnalazłam trochę twojego zapachu pomiędzy kartkami. Odrobinę. Sądzę, że nikt inny nie zauważyłby tak subtelnej woni.

Uwielbiam słowo „cipa”. I cieszy mnie, że wszyscy go nienawidzą. Cipa. Cipa. To jedyny kobiecy odpowiednik chuja czy kutasa. Bo cipka jest taka kulturalna. „Cipka” można powiedzieć w dowolnej sytuacji. Cipa jest naprawdę podniecająca i literacka, ma urok, na który wielu ludzi jest odpornych. Trzeba czytać, żeby polubić mlaszczący dźwięk słowa „cipa”, czytanego, pieprzonego, lizanego i dotykanego przez kobiety, albo być kobietą i usłyszeć je wyszeptane przez takiego mężczyznę jak ty.

Tak więc przed chwilą, po powrocie do domu, wzięłam prysznic i – nie wiem, jak opowiedzieć tę historię, żeby była tak samo ładnie pomyślana i napisana – kiedy się myłam, mydło szczypało mnie we wszystko. A byłam jeszcze tak rozwarta, jakbyś zaledwie przed chwilą ze mnie wyszedł. Bóg tkwi w szczegółach.

Muszę przestać gadać. Poniedziałek wieczór. Śpij ze mną. Albo przyjdź wieczorem, idź spać do siebie i wróć do mnie rano. Ale chcę cię tak szybko, jak się da.

Wtorek, 11 maja 2009, 4.25

Nie wiem, skąd biorą się te obrazy, które wymyślam, kiedy się onanizuję. Gdy myślę o Panu, tajemnica jest jeszcze bardziej nieprzenikniona; niebieskie tkaniny wokół nas zdają się żyć własnym życiem, poruszane bezładnymi wdechami i wydechami. Ściany, cały świat, wszystko dyszy i wibruje w obscenicznym rytmie. To tu, to tam, okno, róg łóżka, zapach pokoju; bezładna mieszanina wszystkich miejsc, gdzie duch Pana idzie za mną, osacza mnie, bierze w posiadanie.

Jestem w hotelu, w Dziewiątce, ale równocześnie jestem wszędzie i nigdzie. Jest stosunkowo (słowo użyte nieprzypadkowo) późno, prawie wpół do piątej rano, a ja nadal nie jestem w stanie zasnąć. A ponieważ nie mam ani tabletek nasennych, ani trawy, moje dwa palce to jedyna gwarancja pewnego snu.

A więc jestem tu, leżę. Nago. Lustra na suficie odbijają wizerunek czysty jak obraz, moje ciało na purpurowej pościeli, odaliska w złym guście, kiczowata jak ten pokój pompatycznie nazwany „chińskim”.

Zabawne, zawsze miałam konfliktowe relacje z własną cipką, a Pan za każdym razem udaje, że o tym nie wie. Co ich wszystkich tak nieodparcie do tego pcha? Co oni w tym widzą? Cóż tak pasjonującego jest w tym, co mam między nogami? Dwa płatki skóry okolone brunatnym futerkiem, lśniącym jak futro wydry. Można by rzec: zwierzęca paszcza z szeroką szczeliną – to wdzięczne falowanie, te miłosne koronki, o których pisze Aragon... Czy to możliwe, by Pan też uważał, że są tak poetyckie? Dlaczego ja widzę w nich jedynie nadmiar skóry? Wolałabym mieć małą, zamkniętą cipkę, przypominającą nieśmiałe usteczka, które trzeba rozchyłać i odkrywać palcami. Muszelkę z marcepanu, z miniaturowymi, opalizującymi wargami, mały pyszczek łechtaczki, szparkę, do której trzeba się pozalecać, żeby się pokazała. A zamiast tego, w czasie, kiedy pojawiły mi się pierwsze włoski, dyskretna, porośnięta dziewczęcym puszkciem brzoskwinka zmieniła się w niedyskretną cipę z pornosa, pełną życia i nieustannie rozdziawioną w obscenicznym uśmiechu, nawet jeśli pieprzenie jest ostatnią rzeczą, o jakiej myślę. Kiedy rozkładałam nogi przed Panem, mam wrażenie, że pokazuję mu znacznie więcej niż płeć – całe moje wnętrze. Ale to mu nie wystarcza. Musi widzieć, jak żyje, jak drga pod moimi palcami, jak wtedy, kiedy jestem sama, i kiedy nie zwracam uwagi na to, jak cała ta arcydelikatna skóra się

porusza. Chciałabym usłyszeć, że również tam mu się podobam, ale jak mam mu o tym powiedzieć? Pan chciałby patrzeć, studiować godzinami i przeprowadzić moją kompletną analizę, co wpędza mnie w zażenowanie bliskie katatonii. Pan manipulowałby mną bez skrupulów, schwytałby mnie jak motyla za skrzydła, ciągnąłby mnie, podszczypywał z każdej strony, i jak znam siebie, jak znam tę kompletnie stukniętą Ellie Becker, cała ta obraza obyczajności skończyłaby się oburzeniem oraz podnieceniem – a przecież, mój Boże, gdy jestem mokra, jest jeszcze gorzej, łopoczę jak żagiel na wietrze, więc nie da się sprawić choć przelotnego wrażenia, że mam cipkę jak dziewczica, kapiącą kilkoma kropelkami, nie, nic z tego. Pan dobrze o tym wie, lub przynajmniej podejrzewa. To kaskada. Strumień lepkiej lawy, spływający aż na pupę, więc krótko mówiąc, mam buzię jak dziewczynka w sukience od pierwszej komunii, ale w moich majtkach są zakamarki świadczące o piętnie demona. Nie mogę rozłączyć ud, żeby nie czynić żenujących seksualnych awansów. Czy to możliwe, żeby właśnie ten ostry kontrast tak go podniecał?

A właściwie dlaczego nie? Ten widok gorącej szparki w lustrze nad łóżkiem nie jest pozbawiony smaczku. Gdy patrzę tylko na swój brzuch, może mi się zdawać, że pieszczę jakąś inną. Palec wślizguje się powoli, znika między wargami, we wrzącym zakamarku, lekko wilgotnym, a mdły zapach prześcieradeł znika przy zapachu mojego wnętrza. Oto zapach, który im wszystkim miesza w głowach, który szarpie im nerwy, tak że chcą zabijać – a może to ja? To tak, jakby wejść do wytwórni cydru, gdzie zapach jabłek staje się w końcu błaganiem, nieodpartym wezwaniem, żeby ugryźć. Bez wątpienia to zapach doprowadza ich do takiego szaleństwa – wydaje im się, że wszystko jest piękne, wszystko na miejscu w ciele dowolnej kobiety, i pozwala zapomnieć o wszelkich niedoskonałościach geometrii. I cała przepojona tą nietykalnością, nie mogę, NIE MOGĘ robić tego normalnie. Z rozkoszy moja szparka otwiera się i zamyka jak usta, i ta niema mowa wprawia mnie w zakłopotanie. Wściekle staram się domyślić, w czym tkwi urok tego języka, którego nie pojmuję i dlaczego tak nie cierpię patrzeć, jak robię to, co u innych dziewczyn podnieca mnie do szaleństwa.

Wyglądam jak z amatorskiego filmu. A najdziwniejsze, że czerwienię się na własny widok. Nie mogę patrzeć na siebie bez grymasów, bez filmowych póz, w które nikt nie uwierzyłby ani przez sekundę, ale które pozwalają mi robić dobrą minę do złej gry. Bo czy kiedykolwiek widziałam, jaką mam minę, kiedy szczytuję? I jak oni widzą moje skurcze

w głębi brzucha? A przecież mam wrażenie, że onanizuję się tyle samo, jeśli nie częściej niż inni, we wszystkich możliwych i wyobraźalnych pozycjach, na stojąco, na siedząco, na leżąco, rękami i udami, słuchawką od prysznicza, wszelkimi przedmiotami codziennego użytku, które moja niepohamowana rozwiąźłość zamienia w użyteczne do tego celu. Ale nigdy przed tysiącami luster, którymi obwieszony jest mój dom. A teraz, kiedy spotkałam Mężczyznę, czuję się obserwowana bez względu na to, kiedy się dotykam; trzy dni temu ku mojemu zdumieniu zaczęłam sprawdzać własny pokój (w świętych murach rodzinnego domu) w poszukiwaniu ukrytej kamery. A tej nocy, w hotelu, którego adresu Pan jeszcze nie zna, czerwone blaski tandetnej galaktyki namalowanej na suficie kojarzą mi się z pluskwami, które przekazują wszystko, co robię, bezpośrednio do tego mitycznego pokoju, w którym on przechowuje moje listy między dziełami Mandiargues'a i Baudelaire'a. Nieprawdopodobne, wiem. Nie zmienia to faktu, że boję się ruszyć małym palcem.

Byłoby zdecydowanie lepiej, gdyby Pan tu naprawdę był. Przynajmniej wiedziałabym, dlaczego drzę. Wiedziałabym konkretnie, czego się obawiam i czego pożądam. Zamiast tego mam tylko te popieprzone wizje, które mnie dręczą i które wyznałabym mu dopiero na mękach.

Słyszysz mnie? Czujesz, swoim ultraczułym instynktem dzikiego zwierza, że gdzieś w Paryżu, w porze, gdy zasypiasz u boku swojej żony, rozsuwam uda aż do bólu i myślę o tobie, jak stoisz przy drzwiach i na mnie patrzysz? I ponieważ jestem jednym wielkim paradoksem, zamykam oczy, żeby nie widzieć mojego odbicia, ale nie przeszkadza mi to wyobrazić sobie, jak rozkazuje mi je rozewrzeć, tak szeroko jak nogi, jeszcze, jeszcze bardziej. Trochę zawstydzona, piszę sobie scenariusz w stylu markiza de Sade'a w dziewczęcej wersji, wypaczony *baseline* napakowany rozkazami i obelgami, i – czyż kiedyś odważę ci się to powiedzieć wprost albo opowiedzieć to moim koleżankom – moment, który zniewala mnie najbardziej, który łączy wszystkie sceny ze sobą, to ten, kiedy słyszę, jak mówisz spokojnie, ale głosem, który wyklucza wszelką możliwość odmowy:

– Widzę twoją cipkę, Ellie, ale nie widzę twojej pupy. Podnieś nogi.

A ja obserwuję w lustrze, jak to robię. (Wyobrażam sobie ciebie, jak sobie mnie wyobrażasz, wzburzony tą wizją podczas lektury, i drętwieją mi palce, i już nie mogę pisać).

Tak jakby nie dość było twojej prawie niezauważalnej obecności, klękasz teraz przy mojej głowie i wbijasz paznokcie w moje łydki, żeby

uniemożliwić mi ruchy. Wylękniona widzę kilka centymetrów od mojego nosa własny brzuch, który spowalnia ruch i zaraz poniżej moją cipkę i pupę, które z trudem nadszają za rozwarciem ud.

– Patrz.

W lustrze wszystkie moje otwory pulsują, włoski wokół nich wyglądają, jakby błyszczały od potu. Najgorsze jest to, jak śledzisz moje oczy w lustrze, jak ciągle od nowa omiatasz wzrokiem moje wykręcone biodra, moje przygniecione kolanami piersi, i pośrodku – cały ten ruchomy mechanizm, obnażony i pomrukujący z całych sił. Nie mogę złapać tchu z powodu intensywności tego spotkania i moich własnych zapachów. Zdecydowanym gestem chwytasz mnie za rękę i kładziesz mi ją na łechtaczce jak mój nauczyciel muzyki, który dłońmi miażdżył mi palce, żeby siłą nauczyć mnie trudnych gam. Jestem w uwięzi jak marionetka z poplątanymi sznurkami, a ty pochylasz się nade mną. Słyszę suwak twoich spodni – wydaje mi się, że to odgłos krótkiego spięcia albo gilotyny opadającej z olbrzymią prędkością.

– Pieść się. Jesteś całkiem otwarta, wszystko przed tobą. Chcę zobaczyć, jak się pieścisz.

Ledwie otwieram usta, żeby zaprotestować, kiedy ucinasz oschle:

– Nie, Ellie, nie... nie zaczynaj znowu tych targów. Nie chcę słyszeć nawet, jak oddychasz. Pieść się, suko.

Nie czuję się żałosna, ale o wiele zbyt seksualna. Wydaje mi się, że teraz, bez względu na to, co zrobię, będę wyglądała jak kurwa. Z zamkniętymi oczami ssę fragment twoich spodni, delikatnie się pocierając.

(W tej chwili, gdyby to było możliwe, intuicja powinna cię zbudzić; gryzę się w udo, wkładając sobie palce).

Głaszczesz mnie po włosach.

– Dobrze, kochanie. Zrób sobie dobrze.

W innym świecie te rozkazy rzucane tak suchym tonem byłyby jak ciosy w twarz, które chlaszczą i odbierają oddech, i – o mój Boże – w sumie może te policzki by mi się spodobały. Być może w równoległym świecie, gdzie mogę powiedzieć i zrobić wszystko, i wyjść z tego czysta jak łza, miałabym ochotę, żebyś napluł mi na usta i w usta, ot tak, po prostu po tym, jak wylizałbyś mi wargi, a potem dałbyś mi w twarz. Dla przyjemności. Bez specjalnego powodu. Tylko po to, żeby odebrać mi oddech na kilka sekund i doprowadzić do granic hysterii. Czy jestem potworem? Czy to byłoby potworne, gdybym kazała ci wygłosić jeszcze jedną prośbę, rzuconą jak bombę w moje uszy, w których słyhać szum?

– Włóż sobie palce w pupę.

Im obrzydliwsze i dłuższe są twoje zdania, tym bardziej wykręcam się od twoich pieszczot. Dochodzę do punktu, w którym uczucia nie czekają na wykonanie twoich rozkazów, żeby wybuchnąć; kiedy słyszę, jak mówisz o palcach w pupie, pękam już prawie, a wszystkie te tajemne komnaty wewnątrz mojego brzucha kurczą się jednym ruchem. Twoja dłoń na chwilę odrywa się od mojego uda i mocno ściska policzki, kciukiem i palcem wskazującym.

– Co ty kombinujesz, Ellie Becker? Mam ci zrobić krzywdę? Rób, co ci mówię, włóż sobie palce w pupę.

Wykonując polecenie, liżę raz za razem sine ślady własnych zębów na udzie.

– Jeszcze jeden.

– Nie mogę!

– Jasne, że możesz. Nie masz pojęcia, co tam się może zmieścić.

Jeszcze jeden.

Spojrzenie w lustro, zimno odbijające tę straszną scenę, dokłada do twojej wypowiedzi szczerą i zaskakującą groźbę. Odbyt ściska mi palce zrywami, jak konające zwierzę, a skóra w środku faluje i czepia się mnie rozpaczliwie.

– Jeszcze jeden.

Zerkam zza kolan suchymi oczami. Oto ja, nie z trzema, ale z czterema palcami w środku, twoja ręka przygniata mi dość boleśnie łechtaczkę, a ja chcę więcej i więcej.

– Otwórz się bardziej. Wślizgnę się w twoją pupę jak w masło. Nie chcę słyszeć najmniejszego protestu, gdy będę cię pieprzył w tyłek. Dalej, Ellie.

Wydaję z siebie tylko serię zduszonych szeptów, przerywanych cienkimi piskami. Gdy zamykam oczy, znajduję się znowu w tym świecie, kropka w kropkę podobnym do naszego, i deszcz klapsów spada mi na pośladki, a twoja ślina wpada mi do szeroko otwartych ust.

– Pokaż mi. Teraz.

Ciągniesz mnie za ramię, żeby podkreślić swoje ostatnie zdanie – i mogę sobie do woli przygryzać wargi z najbardziej skruszoną miną świata czy chować się za grzywką, ale zewnętrzny obserwator, który nie widział początku tej sceny, nie znajdzie nic innego, żeby mnie opisać, jak tylko słowo kurwa. A moi rodzice, o Boże w niebiesiech, mój biedny ojciec. Jak znajdę odwagę, żeby im znowu spojrzeć w oczy, wytłumaczyć, że mnie zmuszono, że tak naprawdę ich córka to nie jest ta suka rozwarta

aż do pępka, która ociera się policzkiem o chuja przyjaciela domu, mokra, z zaczerwienionymi udami, która wygląda, jakby chciała tylko tego.

– Ale przecież tego właśnie chciałaś, Ellie – szepczesz (bo oczywiście w tym świecie nasze umysły komunikują się ze sobą – i to delikatnie mówiąc). – Właśnie dlatego wszystko się zaczęło. Od pierwszej wiadomości, którą do mnie wysłałaś, głaszcząc cipeczkę w swoim dziecięcym pokoiku, czułem, że tego potrzebowałaś. Chciałaś być zgięta w pół, nos w nos ze swoją kurewską cipką, która wygląda, jakby topniała w słońcu. Twoje SMS-y czuć było rozpuszczalnikiem, której trzeba pokazać, gdzie jej miejsce. I im bardziej będę cię krzywdził, im bardziej będę naginał ci stawy, tym bardziej będziesz mnie błagać, żebym nie przestawał. Nie musisz nawet nic mówić: widzę twoje dziurki, które otwierają się i zamykają. Są jak ryba wyciągnięta z wody. Chcesz tego. Chcesz jeszcze gorszych rzeczy. Spektakl mógłby być jeszcze koszmarniejszy dla twoich rodziców, jak się tak zastanawiam, bo ty o tym myślisz...

– Ale dlaczego ja myślę o czymś takim?

– Mógłbym cię uszczypnąć bardzo mocno w koniuszki piersi i zmusić cię, żebyś teraz doszła, właśnie tak, na plecach, jak suka... Albo przelecieć cię w tyłek. Piękne wrzaski byś wydawała, prawda, laleczko? Nawet stąd słyszę szybkie klaśnięcia mojego brzucha o twoją pupę, raz za razem, aż do dna...

Głos, który sobie wyobrażam, jest idealnie niski, ze starannym akcentem, a w intonacji jest tyle samo żądzy co determinacji. I ponieważ nadal leżę całkiem rozwartą, nagle dorzucasz:

– Mogłabyś otworzyć się jeszcze bardziej, ale za bardzo chcę cię pieprzyć właśnie tak. Żebyś poczuła mnie aż w samym środku brzucha.

Chwilę później wbijasz we mnie swoją szpadę aż po rękojeść i jedyną rzeczą, jaką mogę zobaczyć, nawet z zamkniętymi oczami, jest twój członek wchodzący gwałtownie, a wychodzący bardzo wolno, zbielejący od soków, w leniwym rytmie, o jakim marzyłam. Każdy najmniejszy ruch powoli zbliża mnie do orgazmu.

– Patrz uważnie. Chcę, żebyś przypomniała sobie te obrazy wieczorem, jak już będziesz w łóżku. Kiedy tylko zamkniesz oczy...

– Ach, doprowadzasz mnie do szaleństwa!

Właśnie to chciałabym powiedzieć, ale mam w ustach twoje palce i słyszę ten głos, niosący się jak linia basu:

– Cicho. Nie chcę słyszeć ani słowa, rozumiesz?

I ponieważ patrzę na ciebie rozpaczliwie, ssąc ohydnie cokolwiek

wkładasz mi w usta, twoje dyspozycje się zmieniają:

– Dochodź.

Nie wiem, czy potrafisz sobie wyobrazić, jak to proste słowo przeszło mój popieprzony, zdeprawowany twoim staraniem mózg. Myślę o tym tak, że zapominam o wszystkim innym.

– Mówię ci, dochodź, teraz.

– Ale...

– Zamknij się. Pieść się. Właśnie tak. Szybciej.

Twoje palce miażdżą mi wargi niemal z okrucieństwem.

– Szybciej. Daję ci dziesięć sekund, żebyś doszła, OK? Potem przestanę cię pieprzyć i będę bardzo zły. Dziewięć...

Robię to tak szybko, że mam skurcze dłoni i nadgarstka.

Zadziwiająco rozkosz bierze się także stąd. To prawie takie same spazmy, jak te, które miałam w szkole, kiedy nauczyciel ogłaszał koniec klasówki. Stoliki obok mnie stopniowo pustoszały, ludzie zaczynali gadać, belfer zgarniał ostatnie prace – a ja pochylona nad moją kartką, o kilka słów od zakończenia wypracowania, nagle czułam, że palce drętwieją mi z jakiejś straszliwej rozkoszy, kompletnie nie w porę, niepozwalającej mi nawet czytelnie pisać. Stawiając ostatnie litery, przygryzałam wargi, żeby nie jęczeć. Po plecach spływał mi pot. Ten sam rodzaj porąbanej przyjemności odczuwałam w wieku pięciu lat, kiedy zaciskałam pupę podczas pływania; mogłam opaść na dno, żeby w pełni rozkoszować się tym uczuciem łaskotania, ale ja rzucałam się jak ryba, oszalała z radości.

Wtedy jeszcze się nie onanizowałam albo nie byłam w stanie tego zrobić, ale teraz, kiedy mam dwadzieścia lat i kiedy, o mój Boże, ten palący i dręczący skurcz powraca, ktoś nakazuje mi to zrobić.

Współczuję ci prawie, że jesteś mężczyzną i nie możesz poznać tego cudownego uczucia wbijania, które powoduje, że chce się drapać i gryźć, i ssać aż do krwi.

– Osiem... Czy mam ci wytłumaczyć, co przypominasz, leżąc tak z wypiętym tyłkiem i rozdziawioną cipą? Chcesz, żebym ci opisał to, co widzę, żebyś i ty to mogła zobaczyć, Ellie? A może chcesz, żebym cię pieprzył jeszcze mocniej?

Im więcej o tym myślę, tym bardziej skurcz się rozprzestrzenia, rozpiera mnie, krew napływa mi do twarzy. Mogę tylko sobie powtarzać niestrudzenie, podczas twojego osłabiającego liczenia na opak (siedem... sześć... pięć...), że muszę, kurwa, dojść, MUSZĘ dojść, pod groźbą nie wiadomo czego, czegoś bolesnego albo palącego – kto, oprócz ciebie wie, co jesteś w stanie wykombinować? Jakie obsceniczne słowa potrafisz

wymyślić? Serie słów jak z karabinu, ty dziwko kurwo suko zdiro wywłoko czujesz mnie widzisz tak widzisz swoją cipkę widzisz ją? Zdaje mi się, że już niedługo nadejdzie ten moment, kiedy skończę złożona na pół, zwinięta jak religijna ikona, przepełniona wstydem, obryzgana śliną, a niekończący się strumień twojego nasienia przetnie moją twarz od ust do czoła, błyszcząca od wilgoci i spermy aż po piersi (gdybym zresztą mogła nią być pokryta mniej więcej wszędzie, byłoby idealnie, po prostu idealnie).

– Dwa...

– Już, już!

To nadchodzi. Wszystkie moje nerwy skręcają się jeden po drugim i eksplodują maleńkim, ale niszczyielskim wybuchem wokół jego kutasa tkwiącego w mojej pupie. Jestem o kilka centymetrów (ale czy centymetr jest tu właściwą miarą? Czyż to nie jest coś znacznie bardziej skomplikowanego, znacznie bardziej tajemnego, jak bar czy amper albo niepojęta skala fizyki kwantowej – co mierzy amplitudę implozji?), jestem o półtora włosa od mety, a ty mnie nieustannie popędzasz:

– Jeden... dochodzisz, mała idiotko, dochodzisz, teraz...

Gryzę się w ramię i boli mnie, kiedy śpię na boku.

* * *

Następnego dnia Pan popchnął niewielkie skrzypiące drzwi. Pamiętam. W ciemności jego oczy, Bóg wie jakim sposobem, wygenerowały światło, którym omiółł każdy szczegół pokoju, z zachwyconym uśmiechem na ustach. Czekałam na niego, siedząc po turecku na łóżku i delektując się jego zachwytem jak posiłkiem, a potem jego znajomymi gestami – Pan zdejmujący płaszcz, kładący go na krzesło, a potem tych kilka sekund, podczas których napinał wszystkie mięśnie, żeby się rzucić koło mnie, na mnie, we mnie. Moja ulubiona chwila – kiedy Pan nie był już człowiekiem, ale czymś w rodzaju huraganu, w którym jednak rozróżniałam ramiona, nogi, idealną twardość członka, zapach perfum podstępnie zmieszany z zapachem mężczyzny, ciężkie usta zeszywniałe z oczekiwania, srebrzysty len jego włosów.

Kwadrans albo trzy wieki później jego obscenicznie melodyjny głos szepnął:

– Pieść się.

A ja, głupia idiotka, odpowiedziałam:

– Ech... przestań na mnie patrzeć!...

Kiedy zaczęłam utrzymywać z Panem tę relację bez sensownej definicji, posiłki w towarzystwie wuja Philippe'a stały się równocześnie pasjonujące i przerażające. Zapamiętałam szczególnie jeden wieczór, kiedy przyszedł na kolację z okazji, jak sądzę, jakichś urodzin – ale nie mogę sobie przypomnieć jakich, bo Pan zajmował całą moją żywą pamięć. Pod stołem w salonie odpisywałam na jego wiadomości, z trudem powstrzymując frywolny uśmieszek; tylko Alice siedząca naprzeciw mnie wiedziała, kto powodował wibracje mojego blackberry, i rzucała mi ponure spojrzenia, które nie dotyczyły mnie w najmniejszym stopniu. Był to ten rodzaj nieformalnego spotkania, gdzie rozmowy krzyżowały się i rozplływały w nieustannym hałasie, więc odpowiadałam luźno na zwyczajowe pytania, znane i słyszane po wielekroć, które bliska rodzina lubi zadawać. Jak tam na studiach? Kiedy się skończy ten strajk? A jak będzie z egzaminami semestralnymi? A chłopak – który mógłby przyjść na obiad w niedzielę – jakże się miewa? Moje obie siostry też od czasu do czasu załapywały się na serię pytań, Alice po raz kolejny powtarzała, gdzie dokładnie mieści się jej przyszła akademia sztuk pięknych i jak przebiegają powtórki do matury. Kiedy nasze spojrzenia się krzyżowały, chwyciłam w jej oczach taką samą chęć jak najszybszego zakończenia tej zabawy i pójścia do mojego pokoju na skręta albo dwa. Nudziła się jeszcze bardziej niż ja – jej kochanek nie spędził piętnastu lat na bloku operacyjnym obok mojego wuja. Nie powiedziałabym jej nigdy, jaką popieprzoną radość czułam, kiedy sobie uświadamiałam, że żadna z osób zgromadzonych wokół tego stołu nie ma pojęcia, jakie słowa szeptał mi do ucha Pan, kiedy jego twardy kutas zanurzał się w głębinach mojego brzucha – i na brzegu jakiej przepaści tańczyłam od kilku tygodni. Jaką zdziwą się stałam i jak bardzo mi się to podobało.

– Zaraz, czy ty nie miałaś mi pokazać swoich sławetnych zwałów tłuszczu? – przypomniał sobie nagle Philippe, którego pamięć wybierała najmniej szczęśliwe momenty, żeby się objawić.

– Jestem pewna, że można by zrobić jakieś małe odsysanie z ud.

– Pokaż.

Wygramoliłam się z mojego krzesła troszkę odurzona kieliszkiem czerwonego wina.

– Mimo że udało mi się zgubić osiem kilo, ten tłuszcz nie chce zniknąć.

– Nie ma powodu do operacji – odpowiedział, jak to miał w zwyczaju. – W każdym razie ja nie podejmę tego ryzyka. To byłaby zbrodnia.

– Ale ja tu mam poduchę. A doktor S. nie mógłby mnie zoperować?

Alice musiała poczuć, że w środku pękała ze śmiechu, i rzuciła mi spojrzenie kojarzące się z kopniakiem w piszczel.

– Żaden z moich kolegów nie zrobi niczego podobnego. Powiedz, Ellie, dlaczego po prostu trochę nie pobiegasz?

– Wy, chirurdzy, wszyscy jesteście oprawcami. Nie wiem, dlaczego miałabym biegać, skoro mamy obecnie do dyspozycji tyle rozmaitych technik. Albo dlaczego miałabym się głodzić.

Philippe wybuchnął kpiącym śmiechem, który znałam dobrze, a który mówił, że nie da się nabrać na moje komedie. Udałam, że zmieniam temat, choć tak naprawdę zbytnio od niego nie odbiegłam. Z figlarną miną, która mojej siostry nie zmyliła ani na sekundę, powiedziałam:

– Wiesz, że mam S. wśród znajomych na Facebooku?

– Tak? I co do ciebie pisze?

– Nic, nie rozmawiamy zbyt dużo. Generalnie, dodałam go, bo mama mówiła, że on lubi Calaferte'a.

Zmarszczył brwi.

– Calaferte? Kto to jest?

– Pisarz – odpowiedziałam niezbyt zaskoczona jego niewiedzą.

Jak wielu członków mojej rodziny, wuj starał się trzymać tak daleko, jak się tylko dało, od mojego zainteresowania literaturą erotyczną – moja pierwsza i jedyna publikacja stała się początkiem embarga. Matka nie mogła się oprzeć i sprecyzowała lekko znużonym głosem:

– Píše o dupie, oczywiście.

– Mówisz tak, bo nigdy nie czytałaś *Mechaniki kobiet* – odparłam, urażona do żywego.

Moja matka nie wiedziała, że ta jej nieufność w stosunku do Calaferte'a od początku pchała w mnie w ramiona Pana. Nigdy nie otworzyła ani jednej jego książki, ale fakt, że stawia się go w rzędzie autorów erotycznych wydawał jej się wystarczający, by wydawać opinię na jego temat. Wzniosła oczy ku niebu.

– Pewnie, i na dodatek to ja kupiłam tę książkę – rzuciła, odwracając się do swojego starszego brata. – On tam przez mnóstwo stron opisuje laskę, która sika.

Oczywiście to jej się udało, większość obecnych przy stole zatrzęsła

się śmiechem pełnym zdegustowania – a ja nie wiedziałam od czego zacząć, tak bardzo oburzyła mnie ich głupota. To była jedna z tych rzeczy, których nie śmiałam opowiedzieć Panu z obawy, by nie usłyszeć w jego głosie pogardy dla mojej rodziny, tego samego lekceważenia, które czasami zauważałam sama u siebie. Zadowalałam się krótkimi chwilami nienawiści do nich, zastanawiając się, co spowodowało, że jesteśmy od siebie tak różni w niektórych kwestiach. Na skraju nerwów, prawie krzyknęłam:

– Mamo, przestań! Może i kupiłaś tę książkę, ale oczywiście jej nie przeczytałaś. Calaferte nigdzie nie pisze o sikającej kobiecie, wiem, bo czytałam ją z dziesięć razy. A nawet gdyby to zrobił, istnieją całkiem ładne sposoby, żeby o tym opowiedzieć.

– Masz rację – powiedziała ciotka, kładąc rękę na moim ramieniu, niewątpliwie z czystej sympatii.

I przeczuwając, że sytuacja może się zaognić, podjęła próbę zmiany tematu.

– Philippe, jak on się nazywał, ten fotograf, który robił zdjęcia dziewczynek siusiących na świeżym powietrzu? – zwróciła się do wuja.
– Byliśmy na jego wystawie.

– Nieważne – odezwała się moja matka. – W sumie nie dziwi mnie, że S. lubi Calaferte’a. Ten facet jest kompletnie zboczony.

– Nie widzę związku – wycedziłam. – Prawdziwi zbrojeńcy nie czytają Calaferte’a.

– Philippe, ty jej powiedz, że S. jest zboczony. Kiedy byliśmy na Jersey, cały czas mówił o dupie.

– Wszyscy mężczyźni to zbrojeńcy – odpowiedział wuj spokojnie. – Niektórzy ukrywają to lepiej niż inni.

– Być może – stwierdziłam, siadając ciężko. – Ale na razie to jedyna osoba, z którą mogę porozmawiać o książkach, które lubię.

– Oczywiście, jeśli zaczniesz z nim rozmawiać o seksie... – westchnęła moja matka z nadzieją na zakończenie tej rozmowy.

– Nigdy nie zrozumiesz, że rozmowa o literaturze to nie jest koniecznie rozmowa o seksie. Ty mnie naprawdę bierzesz za łajdaczkę!

– Daj spokój, Ellie, żartujemy sobie – rzuciła.

Rzeczywiście, wszyscy sobie żartowali. Ze mnie.

Miałam wściekłą ochotę bronić rękami i nogami tej miłości do literatury, która zachwycała mnie u Pana bardziej niż cokolwiek innego, a która dla nich była tylko prymitywną okazją do skojarzeń z jego zamiłowaniem do seksu. Niczego nie rozumieli. Kiedy Pan ofiarował mi

Cipę Ireny, spędziłam cały wieczór zamknięta w swoim pokoju, leżąc na kanapie, paląc papierosa za papierosem, bez tchu. „Mój Boże”, to były jedyne słowa, jakie wydostawały się z mojego prawie boleśnie zaciśniętego gardła, z częstotliwością zmieniającą się w zależności od wspaniałości zdań. Oprócz tego czysto literackiego piękna, myślałam o Panu. Otworzył mnie na tę lekturę dlatego, że absolutnie wielbił Aragona – i że to spojrzenie na kobiecy seks sprzed pół wieku nie różniło się od jego spojrzenia. Ta szalona miłość odbierała mi głos. Tego wieczoru umieściłam Pana na szczycie notowania, o tysiące miejsc wyżej od reszty rodzaju męskiego – i zrozumiałam, że nikt oprócz niego nie będzie mógł mi towarzyszyć w nieskończenie pięknym świecie, który dawała mi literatura erotyczna. W tym temacie byliśmy ze sobą szczepieni.

Z trudem otrząśnięta z szoku, poczłapałam do kuchni, gdzie moja matka szykowała kolację. Nie spodziewałam się cudu, ale chciałam przynajmniej, żeby poczuła, jakiej doskonałości dotykamy za pośrednictwem tych stron. Pomieścić w sobie samej tyle geniuszu, to by mnie stopniowo zabiło. Przysiadłam na taborecie, z małą książeczką wciśniętą w drżące dłonie, i zaczęłam czytać pełnym czci głosem, zawstydzona Aragonem tak samo, jak moją publicznością. Nie miałam nawet pretensji do moich sióstr, że na słowo „szparka” zabalgotwały – ale nigdy nie nienawidziłam i nie pogardzałam bardziej moją matką niż wtedy, kiedy przerwała tę boską ciszę kompletnie durnym wybuchem śmiechu, pod koniec tego literackiego cudu: „I ziewają kędziorki lgnące do wielkich warg³”...

– Obrzydliwe! – wykrzyknęła, a ja wiedziałam, że nie ma sensu się denerwować, więc zaśmiałam się nieszczerym śmiechem.

Najtrudniej było wrócić do czytania tam, gdzie mi je bezkarnie przerwano; ze świadomością, że uwaga ogółu była już skoncentrowana tylko na wyłapaniu najbliższej okazji, żeby obrócić piękną siłę Aragona w śmieszność, ocenizowałam się sama po dwóch liniijkach. Miałam dotkliwe poczucie, że robię z siebie błazna.

– Dlaczego przestałaś? – zdziwiła się matka tonem rozbawionego widza, którzy rzuca orzeszki karłowi-akrobacie.

– Nie wysilasz się ani trochę, żeby zrozumieć, co można znaleźć pięknego w tym tekście – rozzłościłam się.

– Daj spokój, Ellie, żartuję! – powiedziała po raz pierwszy. A potem, bardziej serio: – Lubisz te rzeczy?

– Tak, lubię te rzeczy – mruknęłam urażona, odsuwając się z godnością, z *Cipą Ireny* przyciśniętą do piersi.

Wystarczająco mnie już obrażono tego wieczoru, obnosiłam się więc ze swoim fochem, kiedy Philippe odezwał się znowu:

– Nie wiedziałem, że on jest na Facebooku.

– Dziwisz się? – zgrzytnęła moja matka – To w jego stylu!

– Dlaczego nie mam go w znajomych?

– Bo go nie zaprosiłeś – odparłam ze znużonym spokojem, tak jak wypadało. – Znajomi nie zapraszają cię z automatu. Zresztą, nie umiesz się posługiwać Facebookiem.

– A, rzeczywiście – przytaknął. – Ale jeśli go zaproszę do znajomych, to się zgodzi?

– Nie wiem, on decyduje. W zasadzie nie ma powodu, żeby odmówić, nie?

(Nie licząc faktu, że pieprzy twoją najstarszą siostrzenicę, trzeba by dodać).

– Oglądałam sobie zdjęcia jego dzieci – włączyła się moja matka. – Podobne są do niego jak krople wody. Bardzo słodkie. Jego żona też jest niezła.

– Widziałem się z nią wiele razy, jest bardzo fajna.

– Zadaję sobie pytanie, jak ona może żyć z takim facetem. Z takim podrywaczem!

– Pewnie robi to samo – wtrącił się mój ojczym, a wszyscy zrobili zaszokowane miny, jakby takie układy w związkach były czymś nadzwyczajnym.

– Ja nie mogłabym tak żyć – rzuciła moja matka. – Nie lubię tumiwisizmu – dodała po kilku sekundach zastanowienia i to był jedyny moment tego wieczoru, kiedy mogłam się z nią zgodzić.

– Wielu żonatych ludzi tak żyje – zauważyła moja ciotka. – Nie przeszkadza im to pozostawać w idealnej zgodzie. Albo wiedzą i to tolerują, albo nie mają świadomości, co się dzieje.

– Po dwudziestu latach małżeństwa wydaje mi się niemożliwe, żeby nie zauważyć takich rzeczy – zaoponowała moja matka. – Ona musi chować głowę w piasek. Bo on z pewnością nie ma pojęcia, że żona go zdradza i sądzi, że jest poza podejrzeniem. Faceci biorą kobiety za debilki.

Odwaliwszy pańszczyznę w postaci urodzinowego tortu, zbyt ciężkiego po potrawce cielejącej, udałam się do swojego pokoju. Tylko grzebiąc na Facebooku, znalazłam furę jej zdjęć; na większości z nich była wśród tłumu nieznanomych twarzy, ale nawet nie szukając znacznika z jej nazwiskiem, widziałam tylko ją. Wyróżniała się z tłumu, tak jakby moja ciekawość otaczała ją światłem.

- Kto to? – zapytała moja siostra, kiedy powiększałam jej twarz.
- Jego żona.
- Rany, teraz śledzisz jego żonę?
- Nie śledzę, intryguje mnie, i tyle.
- Ta historia źle się skończy – przepowiedziała Alice.

Trzymałam tę stronę otwartą przez całą godzinę, którą spędziłyśmy na wyśmiewaniu się z prastarych teledysków z lat osiemdziesiątych; od czasu do czasu zamykałam przez nieuwagę jakieś okno i ona się pojawiała, ze swoimi wielkimi czarnymi oczami, podkreślonymi czarną kredką, ze ślicznymi białymi zębami, z uśmiechem jak znak zapytania, który zapraszał mnie na spotkanie później, w nocy, kiedy wreszcie będę sama.

Estelle. Rzadkie imię, które już zawsze będzie mi przypominało tę kobietę – jego żonę. Kiedy wymawiam te dwie sylaby, manieryczne i mdłe, robią wrażenie pochodzących z marnej powieści z dworcowego kiosku, ale w ustach Pana to musi być pieśczęta. Nie wiem. Tak sędzę. Przeraza mnie myśl, że kiedyś usłyszę, jak to wymawia. Estelle. Różnica statusu tylko w wymowie jej i mojego imienia musi być słyszalna.

Pan nie może zresztą odgadnąć, co się kryje się za moim sposobem wymawiania słów „twoja żona”. Szukam jej w jego szarych oczach, niezmordowanie szukam śladu ich miłości i analizuję, co ją odróżnia od tej czułości, jaką Pan okazuje mnie. Kiedy Valentine czy Babette litują się nad rogami na jej głowie, kiedy posuwają się do użycia tego ohydneho słowa „rogaczka”, natychmiast im tłumaczę, jak bardzo żona Pana nie ma związku z tymi prowincjonalnymi kobiecinami, które przymykają oczy na seksualne włóczęgi swoich niedojdowatych mężów i cierpią w ciszy. Jestem przekonana, że życie u jego boku nauczyło ją, z jakim rodzajem człowieka dzieli łożę i wychowuje dzieci. Godzinami oglądałam jej zdjęcia i ta kobieta o płonącym spojrzeniu i spokojnej inteligencji wręcz błyszczała świadomością, że nigdy nie zmieni Pana. Próbowwała kiedyś? On jest tak skonstruowany, zafascynowany rodzajem żeńskim, instynktownie usiłujący osiąść je wszystkie, ale zakochany tylko w jednej. Akceptowanie takiego stanu rzeczy to nie słabość, tylko zdrowy rozsądek, zrównoważenie jego błędów w tym wszystkim, co czyni z niego mężczyznę niepospolitego. Nawet całkiem naga w jego ramionach, nawet rumieniąca się przy telefonie, kiedy mówi o tysiącu sposobów oddawania hołdu moim pośladowcom, nigdy nie ośmieliłam się uwierzyć, że mogłabym w jakikolwiek sposób z nią rywalizować, nigdy nie udało mi się przysłonić jej istnienia ani nią pogardzać. We wtorkowe ranki Pan wyskakuje szybko z małżeńskiej pościeli pachnącej perfumami, które wyobrażam sobie jako

dość mocne (pewnie Dior albo Lancôme), a kiedy nasz hotelowy pokoiak pustoszeje, wraca do kliniki. Jego małżonka może do niego zadzwonić, nie szukając żalonych pretekstów ani nie musząc przedstawiać się fałszywym imieniem. Jestem tylko dygresją w życiu Pana. I owszem, dygresja może być zaborcza i pasjonująca, lecz w gruncie rzeczy jest tylko maleńką wstawką w środku zwartego tekstu, to technika zdobnicza, do której się uciekamy, kiedy nie można już dodać ani zdania więcej. Jestem dygresją, pośród wielu innych, stopniowo zapominanych, a Estelle zostaje, rok po roku, nadal stoi na piedestale – i to nie jest metafora. Widziałam zdjęcie zrobione podczas urodzin trzeciego syna, na którym uchwycono ją w powietrzu, siedzącą na krześle niesionym przez grupę ludzi. Wśród nich jest niewidoczny na pierwszy rzut oka Pan. Niemal słychać jego młodzieńczy śmiech. Obrzuca ją spojrzeniem, które bucha miłością i największym uwielbieniem na świecie. Patrzyłam na nich kilkanaście minut, zachwycona, a moje serce wahało się, czy pęknąć.

Na wszystkich zdjęciach, na których pojawiają się we dwoje, i które w większości zrobiono bez ich wiedzy, nie zawsze się obejmują, ale nie są od siebie na tyle daleko, by ich ciała w taki lub inny sposób się do siebie nie zbliżały; ich ramiona, ich ręce, ich policzki albo chociaż ich spojrzenia jakimś cudownym sposobem udają się w tym samym kierunku czy wręcz się przenikają. Wydaje się ewidentne, że ta kobieta potrafiła, Bóg wie jakim cudem, ujarzmić Pana i jego impulsywność. Jak to było możliwe – rzecz, która od samego początku wydała mi się tak trudna, że sama nigdy bym nie próbowała? Dominacja to tak silna cecha jego charakteru, że objawia się nawet w łóżkach, które dzielimy. Niemożliwe jest dla niego zaakceptowanie choćby pocałunku, którego wcześniej nie przewidział; zaskoczony, instynktownie odskakuje, trzyma moją twarz na dystans przez wystarczający czas, żeby spojrzeniem wypisać mi na skórze „to ja cię całuję”, a potem jego wargi dziko rzucają się na moje, wtłaczając mi do ust słodko-gorzka truciznę, jego ślinę. To dotyczy wszystkich form naszej komunikacji, werbalnej czy fizycznej. Myślałam, że jest odporny na wszelką władzę, zanim wpadłam na to fantastyczne zdjęcie z urodzin Louisa. Kadr jest tak bliski, że można rozróżnić tylko najważniejsze: dwie twarze przytulone, uchwycone w trakcie, można by rzec, spontanicznego pocałunku, i śliczne ręce Estelle, rozłożone jak wachlarz, głaszczące i przytrzymujące świeżo ogolone policzki Pana. Oboje mają przymknięte oczy; w kąci oczu Estelle są maleńkie zmarszczki, które mówią, że ten nagły uścisk nastąpił podczas wybuchu śmiechu – i że jeśli jej usta uwięzione w pocałunku przestaną się uśmiechać, cała reszta będzie się

uśmiechać nadal. Pan jest częściowo schowany za rasowymi palcami swojej żony, ale na górnej części jego twarzy nie ma śladu jakiegokolwiek chęci obrony; brwi są idealnie rozluźnione, powieki spokojne – Pan całkowicie poddaje się temu przyływowi czułości. To jest żadne zdjęcie, ot, źle skadrowana fotka, niewyraźna i prześwietlona, nie zasługuje nawet na to, żeby znaleźć się na Facebooku; ale to właśnie dzięki niej zrozumiałam, gdzie urywa się moja władza i zaczyna władza Estelle. To, że udało jej się chwilowo ujarzmić Pana na czas naciśnięcia migawki, to w sumie tylko szczegół. Najważniejsze odczytać można w tym szczęściu, które się z niej dosłownie wylewa: ta kobieta jest szczęśliwa, bo jej mąż staje się duży, bo wszyscy spotkali się z tej okazji i w egzaltacji najlepszym sposobem, jaki znalazła, żeby wyrazić to szczęście, jest ucałowanie ojca jej dzieci. Kobieta na tym zdjęciu jest szczęśliwa, bo bardzo kocha mężczyznę, z którym spędza życie.

Mnie Pan nigdy tak nie uszczęśliwił. Nigdy nie było go przy mnie, żeby zdusić ustami moje wybuchy radości. Pan nie dał mi żadnej zależności od tego królestwa, które zbudował z Estelle. I kiedy czepiam się gorączkowo tych okruchów władzy, które mi dał jakby przez nieuwagę, Estelle jest ponad wszystkimi kobietami Pana, bo wie, że jest nietykalna. Może pozostawić Panu swobodę: bo on zawsze wróci. Przez dwadzieścia lat było wiele podbojów, pewnie od dziesiątek do setek, ale Pan zawsze wracał do Estelle, swojego macierzystego portu. Tylko ona nigdy nie próbowała ugasić w nim tej potrzeby uwodzenia, tego męskiego instynktu. Wielu żonatych facetów z ich otoczenia stało się tak miękkimi i nieszkodliwymi jak grube, wykastrowane kocury, ćwicząc swoje przytępione odruchy na żalonych zdobyczach, a Pan wyłącznie się doskonalił, kosztem ich wszystkich.

A może rzeczywiście ona robi to samo. Ona i Pan nie mają się nawet nawzajem wśród znajomych na Facebooku.

Pewnie trzeba by wielkiej nonszalancji obu stron, żeby wypracować cichą zgodę, która pozwoliłaby jednemu i drugiemu nie dochowywać wierności. Jaki proces, powstały z jakich cierpień i nadziei, spowodował, że Estelle dała Panu taki luz? Jak mogła pewnego dnia uznać, że wszystkie te wielobarwne cienie, te marionetkowe kochanki nie mają znaczenia? Musiało dojść do jakiegoś zderzenia, które powstrzymało wszystkie następne. Nie zostaje się ekspertem od udawania, jeśli się człowiek raz czy dwa nie sparzy. Praktyka czyni mistrza.

Mam bardzo filmową wizję sceny, która się pewnie nigdy nie wydarzyła.

Dwudziesta pierwsza, Pan cierpliwie czeka w windzie, aż wjedzie na jego piętro, podczas gdy kilka metrów wyżej jego młoda żona, która właśnie skończyła karmić niemowlę, ogląda wiadomości, ale niczego nie widzi i niczego nie słyszy. Gorączkowo myśli o tym telefonie, który roztrzaskał jej dzień: koło drugiej nieznajomy damski głos poprosił doktora S. do telefonu. Estelle, poprzez tumult w sercu, bijący nieznacznie aż w uszach, na próżno starała się rozpoznać swoją teściową albo sekretarkę, chociaż te dwie osoby nie miały żadnego powodu, żeby szukać go w domu o tej porze, w środku tygodnia.

– Jeszcze nie wrócił do domu – odpowiedziała głosem pełnym gwałtownej pewności siebie. – A kto mówi? Może mogłabym mu przekazać wiadomość? Jestem jego żoną.

Nieznajoma natychmiast się rozłączyła, pozostawiając Estelle z parzącą słuchawką w dłoni, ogarniętą myślą, że to musiała być jedna z nich – nie była nigdy tak głupia, żeby myśleć, że Pan jest typem, który mógłby mieć tylko jedną kochankę.

Przez całą resztę dnia Estelle trzęsły się ręce. Nie była w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym potwierdzeniu, które właśnie na nią spadło, oszalała z wściekłości i rozpacz. Praktycznie nie ruszyła się z kanapy, z pustym spojrzeniem utkwionym w obrazach, które migwały w telewizorze. Upokorzona. Kiedy mały zasnął, przechodząc przez korytarz, zatrzymała się na kilka minut przed garderobą, gdzie rzeczy Pana wypełniały szeroko otwartą szafę. Instynktownie wsunęła rękę do kieszeni jednej z jego marynarek, nienawidząc się głęboko za zachowania zdradzanej żony, ale jego nienawidząc jeszcze bardziej – za to, że ją do tego zmusił. I nic. Tylko kwit ze stacji benzynowej i kilka monet dziesięciofrankowych. Piętnaście innych garniturów kusilo ją, żeby je też przeszukać – bo właśnie je przeszukiwała, skoro stała się tego rodzaju kobietą. W jednej z tych kieszeni, za jedną z tych podszewek, krył się z pewnością namacalny dowód, coś, od czego będzie bolało jeszcze bardziej, no, Estelle, wywróć nas, otwórz wszystkie szuflady, rozłóż wszystkie spodnie: one tu są, wszystkie te dziwki, które pieprzy między wizytami lekarskimi, podczas długich nocnych dyżurów, wszystkie te dziewczyny, które znają jego ciało prawie tak samo dobrze jak ty. Jeśli jedna z nich ma numer domowego telefonu, jest statystycznie niemożliwe, że nic w tej garderobie go nie zdradzi, nie sądzisz? Wasze dziecko śpi i nie może zobaczyć, jak brzydko wygląda mama histeryczka, więc szukaj. Kiedy wróci wieczorem i powiesz mu o tym telefonie, będzie miał jakąś dobrą wymówkę. Nazwie cię wariatką w ten właściwy mu słodki i czuły

sposób hipokryty – a przecież nie masz żadnego dowodu na te swoje wymysły. Zemścij się. Tysiące pomiętych papierków w jego kieszeniach, ile z nich twoim zdaniem przyzna ci rację? Nie mówiąc o tych wszystkich włosach jasnych, ciemnych, rudych, o wszystkich tych białych plamach nader wyrazistych, które znajdziesz na jego koszulach i na nogawkach jego spodni od garnituru: gdybyśmy naprawdę mogły mówić, opowiedziałybyśmy ci, jak siadają na jego kolanach nagie pod sukienką, kiedy jego gabinet jest zamknięty na klucz. Do jakiej pralni chodzi, żebyś nie zobaczyła śladów szminek tych kurew, które w większości wypadków nie mają nawet połowy twojej urody czy twojej klasy – ale leci za nimi jak pies, bo pachną seksem bez zobowiązań. Szukaj, Estelle. Zrób sobie tę przyjemność. Na twoim miejscu on już dawno splądrowałby całe mieszkanie i niczego by nie znalazł, bo ty jesteś sprytna jak wszystkie kobiety – ale mężczyźni to głupcy. Drobiazgi, o których ukryciu nie pomyślał, są tutaj. Nie daj z siebie zrobić wiedźmy, która budzi litość wszystkich, broń się, póki jesteś jeszcze młoda i piękna, zmień go, obetnij mu łapy, kobiety umieją to robić, prawda?

Estelle wyszła z garderoby z zamkniętymi oczami, z zaciśniętymi szczękami, ze skurczonym brzuchem. Przez całe popołudnie, na kanapie, czuła to niezdrowe wibrowanie, pokusę, która ciągnęła ją do korytarza. Rzuciła się z całych sił do zabawy z Charles'em, zasypując go czułymi słowami i egzaltowanymi okrzykami, które dziecko przyjmowało, otwierając oczy prawie z niepokojem. O dwudziestej rozplakał się z głodu i Estelle trzymała go przez pół godziny przy swojej pięknej piersi nabrzmiałej od mleka, nie spuszczać go ani chwili z oczu, uśmiechając się mechanicznie, nie mogąc rozpocząć tej milczącej rozmowy ze swoim dzieckiem, jaka zazwyczaj zajmowała ją tak, że odcinała się od reszty świata. Estelle słuchała otaczających ją dźwięków, kołysana odgłosem ssania. Kiedy był już najedzony i wypuścił z ust sutek, na którym perliło się jeszcze mleko, przytuliła go do piersi i zaczęła przemierzać salon – rytuał, żeby mu się odbiło.

Charles poddawał się delikatnemu poklepywaniu, nieświadomy rewolty i upokorzenia, jakie przelewały się falami przez jego matkę – potrzeba buntu o mało jej nie zadławiła. Odbiło mu się mlekiem, a Estelle spokojnie otarła rękawem wilgotne kąciki usteczek. Była prawie dziewiąta, a ona chodziła w kółko, nieubrana i nieuczesana. Jej kosmetyczka leżała wybebeszona na kuchennym stole od czasu tego telefonu. Trzeba było przygotować kolację, ale myśl o postawieniu na ogniu choćby garnka z wodą wykańczała Estelle. Nigdy nie była mniej

głodna.

Pan wkłada klucz do zamka. Serce Estelle wali z całych sił. Charles, na kolanach matki, patrzy pytająco swoimi wielkimi oczami.

– Idzie twój tata – mówi do niego głosem smutno-wesołkowanym, a dziecko zdaje się rozumieć.

Drzwi otwierają się, za nimi pojawia się ten mężczyzna, a ona nie może się oprzeć myśli, że jest bardzo piękny w szarym garniturze, z nową teczką i zmęczeniem z całego dnia na uśmiechniętej twarzy. Myśl o innej kobiecie uwieszanej na tej pachnącej szyi jest równie logiczna, co nie do wytrzymania. Estelle przybiera neutralny wyraz twarzy, podczas gdy Pan przejmuje Charles'a, który go natychmiast rozpoznał; i chociaż jest wykończony, ma jak zawsze dość siły, żeby trzymać swoje dziecko na rękach, otulając je spojrzeniem nieskończonej miłości – a Estelle wie, widząc, jak te tak podobne do siebie twarze się uśmiechają, widząc mięsiste wargi prawie zakrywające maleńki nosek w głośnym pocałunku, że fizycznie nie jest w stanie rozpaczliwie nie kochać Pana, do którego tak podobne jest ich wspólne dziecko. Nigdy nie będzie umiała kochać swojego syna, nie kochając równocześnie jego wzorca i jego umiejętności wydawania pieszczotliwych, dziecinnych odgłosów charakterystycznych dla młodych ojców. Pan nigdy nie zrzędzi, kiedy trzeba wstać w środku nocy, żeby przewinąć Charles'a, którego męczą kolki. Pan nigdy nie odpuszcza i robi mu samolot, nawet jeśli często mały śmieje się tak bardzo, że ulewa mu się na jego ulubiony garnitur – po prostu idzie się przebrać. To jest tak fantastyczny widok, że Estelle zawsze ma złamane serce.

– Jak się masz, kochanie? – pyta i czule ją całuje.

Przytula dziecko swoimi dużymi rękami (a główka Charles'a przez chwilę przypomina mały orzech kokosowy), obłądnie zakochany w ich trójce. Estelle nie potrafi skłamać – nie ma siły.

– Źle.

– Co się dzieje? – niepokoje się Pan.

Wydawało jej się, że godzinami będzie szukała odpowiednich słów, ale wypala nagle, choć ani przez chwilę nie czuje ulgi:

– Masz kochankę.

Pan wytrzeszcza oczy, zbiera się, żeby odegrać komedię, ale Estelle ucina sucho:

– Proszę, nic nie mów. Nie zaczynaj mnie okłamywać.

Rozdarta, wygląda na zrezygnowaną, choć mogłaby krzyczeć.

Czując, że głos mógłby ją zadusić, przyciska dłoń do ust, zamyka oczy, bo

rzęsy ma już ciężkie od łez. Ona tak bardzo kocha Pana. Tak bardzo.

– Nie zaczynaj mnie okłamywać, bo kłamiesz tak dobrze, że będę chciała w to uwierzyć. A świetnie wiem, że to nieprawda.

Wstrząsa nią piskliwa czkawka, Charles podskakuje. Pan wstaje, wkłada dziecko do kojca przy wejściu do pokoju. Kiedy wraca, wygląda na przybitego. Jego wysoka postać garbi się pod ciężarem, który wydaje się Estelle ciężarem winy i wyrzutów sumienia.

– Kochanie... – zaczyna.

– Był dziś telefon. Kobieta, chciała rozmawiać z doktorem S.

– Sporo pacjentów ma ten numer telefonu – wyjaśnia Pan. – W razie konieczności mogą mnie złapać w domu. Wiesz o tym dobrze.

– Kiedy powiedziałam, że jestem twoją żoną, natychmiast się rozłączyła – kontynuuje Estelle, płonąca z koszmarnego wstydu. – Żaden pacjent nie zrobiłby niczego takiego. A poza tym, żaden pacjent nigdy tu nie zadzwonił od czasu, kiedy praktykujesz. Więc proszę, proszę, proszę, nie okłamuj mnie. Nie mnie. Nie jestem jedną z tych dziewczyn. Jestem twoją żoną.

– Słuchaj, kochanie, zapewniam, że nie rozumiem, o co ci chodzi – mówi Pan, kręcąc głową z tak zdezorientowaną miną, że ona czuje nagle, że znalazła się na złej drodze.

Jakaś część niej samej, nie sądziła, że tak duża, wściekle pragnie przyjąć wszelkie tłumaczenia, jakie on wymyśli, a potem zacząć żyć, tak jakby nic się nie zdarzyło. Estelle wydaje się, że rozpoznaje u siebie tę samą umiejętność, jaką miała jej matka: przymykać oczy na wszystkie tematy mogące wywołać kryzys w rodzinie. Może powinna być po babsku dumna, ale czuje pogardę dla tego tchórzliwego zaślepienia i nie zamierza mu ulec. Gdyby było tak łatwo przymknąć oczy, to by tak bardzo nie bolało. Pan powtarza jak maszyna:

– Nie rozumiem.

– To jesteś jedyny – odpowiada Estelle znacznie bardziej agresywnie, niż zamierzała. – Przestań mnie okłamywać, bo to jest ewidentne. Nie możesz zawsze uciekać.

– Nie powiedziała, jak się nazywa?

– Gdyby mi powiedziała, jak się nazywa, nie byłabym w tym stanie.

– Jaki miała głos?

Estelle, na skraju załamania nerwowego, wybucha szlochem.

– To, że mnie zdradzasz, trudno, dopóki o tym nie wiem! Ale to, że mnie okłamujesz, tak jakbym cię nie znała, a znam cię na wylot, jest najgorsze ze wszystkiego! To ohydne!

Z kojca zaczynają dobiegać przeraźliwe okrzyki dziecka.

– Błagam cię, nie płacz. Patrz, dziecko się boi.

– Właśnie chodzi o dziecko. O dziecko i o mnie. Chcę tylko jednej rzeczy, prostej i konkretnej: nie chcę się wstydzić, że jestem twoją żoną.

Pan milknie i nie wie, gdzie podziać oczy. Estelle krzyczy:

– To zbyt łatwe. Patrz na mnie. Nie chcę nigdy czerwienić się, że nazywam się pani S., nie chcę, żeby Charles się musiał kiedyś zastanawiać, kim są te dziwki, które dzwonią do domu. Ale kiedy mnie okłamujesz, a jakaś nieznajoma kobieta odkłada słuchawkę, kiedy się dowiaduje, że masz żonę, jest mi wstyd. Wstyd mi za ciebie i wstyd mi za siebie, i przede wszystkim to mnie boli. Wstydzę się i boli mnie, że cię kocham. Więc nie rób tego. Jeśli mnie kochasz, jeśli mnie kochałeś, powiedz prawdę; powiedz mi, że pieprzysz inną dziewczynę i że to ona dzwoniła. Bo zwariuję.

Pan podnosi na nią swoje szare oczy i na zapłakanej twarzy tej kobiety znanej mu aż po koniuszki palców widzi desperackie oczekiwanie, w jej czarnych oczach przepaść, w którą wpadnie, jeśli jej powie to, co sądzi, że chce usłyszeć. Czka jak mała dziewczynka, piersi unoszą jej się konwulsyjnie, a kilka metrów dalej ich dziecko wrzeszczy przerażone klótnią. Pan widzi, jaki chaos może zasiać swoimi słowami. Jaką krzywdę zrobiłby Estelle, którą kocha do szaleństwa, którą tak uwielbia z tylu powodów. A ponieważ nie ma dość siły i odwagi, żeby podjąć takie ryzyko, nie spuszczać z niej wzroku, mówi powoli:

– Jest taka laska ze szpitala. Pacjentka, którą leczyłem w marcu. Miała skrzywienie przegrody nosowej, musiałem ją operować i przyszła potem kilka razy na konsultacje pooperacyjne. Zajmowałem się nią w większości przypadków. Rozumieliśmy się dobrze, dałem jej numer domowego telefonu, na wypadek, gdyby pojawiły się bóle. Zakochała się we mnie – powiedziała mi to podczas ostatniego spotkania. Uciałem tę sprawę i przestałem się z nią widywać.

Estelle słucha z powagą męża opowiadającego jej historię, o której nigdy się nie dowie, czy jest prawdziwa, czy w całości zmyślona. Łzy schną jej na twarzy, zasychają na policzkach jak maska. Charles przestał płakać i ze swojego łóżeczka gaworzy niespokojnie.

– Nic ci o tym nie mówiłem, bo to nie miało sensu. To wariatka. Teraz, kiedy ma ten numer, niewiele mogę zrobić poza zmianą numeru... Możemy zmienić numer. Zadzwoń do niej jutro ze szpitala i ją postraszę. Kochanie...

Kładzie rękę na jej mokrym policzku; Estelle podrywa się,

odskakuje, odsuwa w stronę poręczy kanapy, jakby ją ugryzła osa.

– Pieprzyłeś się z nią?

– Nie – odpowiada Pan, bez mrugnięcia okiem.

Estelle niemal czuje wstyd z powodu ciężaru, który spada jej z piersi. Może i nie pieprzył tamtej, tylko co z tego? W sumie co to zmienia, kiedy się nad tym zastanowić? Nie przestanie podejrzewać, i to ją zabija, mój Boże, że zdradził ją tysiąc razy bardziej w myśli niż naprawdę... Uczucie ulgi jest tak dyskretne i nedorzeczne, że nawet nie ma odwagi spojrzeć na męża, ze strachu, że straci resztki szacunku w tych oczach, które uwielbia. Pan jest przecież tak inteligentny, że nawet jeśli kłamie, twarz go nie zdradzi.

– Dlaczego miałabym ci wierzyć? – pyta go wreszcie.

– Musisz mi wierzyć. Nie mam żadnego dowodu, ale musisz mi wierzyć. Mój Boże, ta kobieta ma z pięćdziesiąt lat!

I Estelle rzeczywiście przypomina sobie jak przez mgłę niski, trochę ochrypy głos – głos palaczki albo starej baby. Ale jak odróżnić fałsz od prawdy? Jak się upewnić, że on tego wszystkiego nie przewidział jako wytrawny podrywacz, specjalista od miłosnych intryg? Pan kocha kobiety, i kropka; a dla mężczyzny tak młodego jak on pięćdziesięcioletnia pani jest całkiem smakowitym trofeum. Więc gdy pochyla się nad nią, żeby ją objąć, umęczona Estelle zrywa się z miejsca.

– Zostaw mnie. Jeśli mnie teraz dotkniesz, zacznę krzyczeć.

– Uwierz mi, proszę – mówi, wyciągając do niej rękę.

– ZOSTAW MNIE!

– Nie pozwolę tej starej pudernicy nas skrzywdzić. Naślę na nią policję! – rzuca Pan z porywcznością, jaką rzadko u niego widywała.

– Naślesz na nią policję? Pod jakim pretekstem? To wszystko twoja wina. Ty dałeś swój numer tej dziewczynie. Żaden sędzia, żaden gliniarz nic nie może zrobić – odpowiada Estelle beznamiętnie.

Idzie po Charles'a, przytula go do siebie – a jej powieki uginają się pod ciężarem szalonego uczucia, kiedy czuje na aksamitnej główce zapach perfum męża, przebijający spod zapachu mleka dla niemowląt.

– Położę go do łóżeczka – mówi zduszonym głosem. – Jeśli jesteś głodny, w lodówce jest wczorajszy makaron. Wystarczy podgrzać.

– Estelle, zostań ze mną – mówi zagubiony. – Porozmawiaj ze mną.

– Chcę zostać sama – odpowiada, tak samo zagubiona.

I z dzieckiem na rękach odwraca się na pięcie, z takim trudem, jakby przyrosła do podłogi, smutno zagadując do nierozumiejącego niczego synka, żeby nie słyszeć Pana, który złamanym głosem woła Estelle Estelle

Estelle. Idzie do pokoju jak na rzeź.

Kilka godzin później Pan znajduje ją na nierozścielonym łóżku. Jej suche już oczy jeszcze długo pozostaną otwarte. Dziecko w kołysce oddycha spokojnie jak śpiący niedźwiadek. I zanim Estelle udaje się cokolwiek powiedzieć czy zrobić, jego długie ciało przytula się do niej i ściska ją z całej siły, odbierając jej oddech i chęć obrony. Ogarnięta tą niespodziewaną czułością czuje falę łez napływających jej do oczu tak gwałtownie jak orgazm.

– Tak bardzo cię kocham – łka jej w szyję Pan. – Uwierz mi, kochanie, kocham cię jak wariat. Nigdy nie mógłbym zrobić ci krzywdy.

I te słowa, tonące w oceanie szlochów i łez, zabijają Estelle bardziej niż jego obraz między nogami innej kobiety. Wie, że właśnie niechcący wszystko jej wyznał, i odwraca się do niego, płacząc (cóż za ból, Boże!), przytula go z całych sił, wyrzucając z siebie ostatnie żądanie:

– Nigdy więcej nie dawaj naszego telefonu swoim pacjentom!

O mało nie oszalałam.

– Przysięgam ci, moja księżniczko – odpowiada i długo przytulają do siebie policzki w miłosnym napięciu, podkreślając pocałunkami te „kocham cię”, z którymi ona nie umie już walczyć, z cichą świadomością, że się pogodzili.

Duch innej kobiety unosi się jeszcze w ich pokoju, a Pan, który czuje go jeszcze silniej niż Estelle, szepcze:

– Powiedz, co mogę zrobić, żeby cię uszczęśliwić. Nie mogę znieść, że jesteś smutna z mojego powodu.

Ona zaciska oczy z całej siły, otacza swoimi jędrnymi udami plecy uniesione nad sobą, wyciera oczy o kosztowną tkaninę garnituru, który pachnie tylko jego uspokajającym zapachem.

– Chcę się kochać.

To jedyne rozwiązanie wypowiedziane jej przez ten fantastyczny instynkt życia, który czuje w sobie jak drugie serce: przyjąć tego mężczyznę całego i mieć go tylko dla siebie, bo ich dwa ciała nigdy nie potrafiły ani być posłuszne, ani się gniewać. A Pan, który nie umie patrzeć na swoją młodą żonę ani jej dotykać, nie nabierając na nią ochoty, gwałtownie i mocno twardnieje w jej objęciach.

Wówczas może jeszcze nie był eksploratorem, jakiego ja poznałam: nieustannie wymyślającym nowe perwersje i wyznaczającym nowe granice.

W każdym razie tego wieczoru chce tylko doprowadzić ją do rozkoszy w możliwie prosty i szlachetny sposób, bez egzotycznego

wyrefinowania, bez ozdobników. Czuje pod palcami twarde sutki, które bez pomocy wysunęły się ze stanika. To być może jedyna część ciała Estelle, która nie pragnie zemsty – nie okazuje agresji ani nie budzi lęku przed zranieniem. Po ciąży pozostały jej urocze krągłości, żywa chęć, która wzywa do wszelkich pieszczot, wszelkich akrobacji. Estelle może znieść wszystko, zaakceptować wszystko, może stawić czoło wszelkim atakom; jej gładka jak jedwab skóra niczego się nie lęka. Nigdy nie patrzył na nią jak na matkę; w jego oczach ciągle jest młodziutką dziewczyną, która doprowadzała go do szaleństwa na południu Francji, mimo że widział przez dziewięć miesięcy, jak tyje i nabiera ciężaru od ich dziecka, snuje się po mieszkaniu i wymiotuje przez okno w samochodzie; mimo że był przy niej, kiedy pękała na pół i kiedy jej umęczona twarz wyrażała tylko wściekłość i wysiłek, kiedy wrzeszczała z bólu, co zabijało Pana. A teraz czuje takie podniecenie, gwałtowne i silne jak na początku, podczas ich pierwszych nocy. Czasem w nocy wystarczy, żeby poruszyła się przez sen i go dotknęła, żeby natychmiast chciał ją mieć, impulsywnie, jak chłopiec. Ta kobieta to magia. Ich miłość to magia.

– Jesteś taka piękna – mówi, liżąc ją z miłością, oszołomiony jej zapachem i smakiem, które poruszają jego najdrobniejsze nerwy.

A Estelle, która nie może już myśleć o niczym innym, jak tylko o nieskończonej rozkoszy, jaką on jej daje – bo ofiarowywanie jej przyjemności jest dla niego tak naturalne, jak oddychanie – jęczy bez tchu.

– Weź mnie, kochany, weź mnie!

Pan jest tak naprężony, że prawie się boi, że zrobi jej krzywdę; wchodzi w nią bardzo delikatnie, jak zawsze zaskoczony, że jest mu w niej tak ciasno. Podniecenie, które u wielu wywołuje pełne oczekiwania otwarcie, ją doprowadza do konwulsji i skurczów – a dla Pana to wygoda i wspólnota, która przekracza ludzkie potrzeby. Ona gryzie się w ramię, żeby powstrzymać zwierzęcy krzyk, który obudziłby dziecko, a jej lepka cipka wciąga jego fiuta jak pompa ssąca. Estelle rzuca się pod nim w oszalałych dreszczach, Estelle jęczy „pieprz mnie”, a on musi ją przytrzymywać silną ręką za piersi. Na gładkiej skórze między jego palcami perli się słodkie mleko. Pan, wzruszony do łez chęcią, jaką ma na nią i jej przyjemnością, jest już na skraju, a Estelle kocha się sama z członkiem, który może już tylko sterować w kierunku wyściełanego wnętrza jej brzucha. Estelle bezwstydnie pieprzy się sama, szybko, w niepohamowanym rytmie jej palców jej wagina pulsuje, doprowadzając Pana do szaleństwa (to od niej nauczył się tego uwielbienia dla sposobu, w jaki kobiety się pieszczą, Estelle nigdy nie poddała mu tego pomysłu –

ona zawsze tak się zachowywała). Co ona robi, kurwa, co się z nią dzieje? Czy ona nie zna go dość dobrze? Jaki normalnie skonstruowany mężczyzna dłużej niż kilka minut wytrzyma tę diaboliczną sytuację, uwięziony w małym ciepłym pudełku bardzo wyraźnie obdarzonym życiem, widząc kobiece palce, które pieszczą ten mały wyrostek różowej jasnej skóry? Mimo iż na medycynie uczył się wszystkich tych osłabiających wszelkie podniecenie słów dotyczących tej części anatomii, jego męski umysł nigdy nie potrafił zapomnieć, co znaczy słowo *clitoris*, bazą czego są te trzy zabawne sylaby. Estelle nigdy nie mieściła się w ramach antyseksualnego słownictwa rodem z encyklopedii: „Ona się pieprzy” – oto słowa, których nie użyją medyczne znakomitości.

– Daj mi się pieprzyć – mówi i rzuca się w głąb niej, przytrzymując jej uda niczym stronicie przepięknej książki.

Podczas gdy Charles śpi pogrążony w tajemniczych snach niemowlęcia, Estelle i Pan zakopani w prześcieradła dochodzą prawie jednocześnie, pozerając się nawzajem pocałunkami, a duże zgrabne dłonie chirurga giną we włosach żony – z kokonu wystają tylko podkurczone palce stóp. Można dostrzec mocne biodra Pana, które nie chcą się poddać; tak długo, jak jej paznokcie wbijają się w jego pośladki, on jej nie puści, nie wypuści jej nigdy, mimo iż wypełnił ją już po brzegi, mimo iż teraz jej krzyki cichną, zamierają w westchnieniu przełamanym nasyceniem.

– Kocham cię – mówi na dobranoc Pan i zasypia wciśnięty w plecy swojej żony.

– Kocham cię – odpowiada ona, czując jego spokojny oddech na swej pokrytej potem szyi. To te rzeczy, z którymi inna kobieta nie będzie w stanie walczyć. To rzeczy, które tylko ona potrafi wywołać.

To może być tylko patetyczne i piękne, scena między Estelle a Panem. Między małżonkami.

3 Louis Aragon, *Cipa Ireny*, przeł. J. Waczków, Warszawa 1994.

Księga II

Chwycił Marię za rękę i puścili się w nieprzyzwoity taniec. Maria oddała mu się całkowicie, w poczuciu obrzydzenia, z odrzuconą do tyłu głową.

Georges Bataille, *Martwy*⁴

⁴ Georges Bataille, *Martwy*, przeł. S. Królak, Nowy Sącz 2010.

Dziś nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jest Pan ze swoją wysoką sylwetką i długimi palcami. Od ładnych trzech miesięcy nie mam od niego żadnych wieści, kilka tygodni temu przestałam wysyłać mu skąpe wiadomości o sobie.

Gdzie jesteś? Siedzisz w samochodzie, pochylony nad tą kartonową okładką, na której wydrukowano słowo, jakim można określić wszystkich mężczyzn, ale które dotyczy wyłącznie ciebie? Zamknięty na klucz w swoim gabinecie, żeby na chwilę umknąć fali pacjentów, przerzucasz kilka znaczących stron, które opowiadają o nas? Chowasz się przed dziećmi i przed Estelle, żeby mnie poczytać, w toalecie, późną nocą, za ich plecami? A może trzymasz w ręku *Pana*, tak jak kryminał, niedbale, palcami wysmarowanymi olejkiem do opalania? Czy mam już pozaginane rogi, trzeszczę od piasku, którym twoje dzieciaki obsypały mnie, grając w siatkówkę na plaży? Czy udało mi się wpakować się trochę w wasze rodzinne wakacje?

Boisz się? Jaka jest część nienawiści w tych wszystkich emocjach, niewątpliwie pełnych sprzeczności, jakie wzbudzam w tobie w sposób – nazwijmy to – pośmiertny?

Czy pamiętasz wszystko?

Tamten dzień także?

Pierwszy czerwcowy ranek, kiedy zrobiło się tak potwornie gorąco. Byłam już praktycznie naga, kiedy otworzyłam ci drzwi swojego domu w Nogent, a ty bez żenady posadziłeś mnie na kuchennym stole, jeszcze zasłanym okruchami po śniadaniu. Musiałam cię błagać, żebyś zgodził się iść do mojego pokoju na dole; biegłam po schodach, umykając twoim dłoniom.

– Zapal światło – poprosiłeś, widząc moje sukienki, które powiesiłam w oknach zamiast zasłon. – Chcę cię zobaczyć całą.

Rozbieraliśmy się w ciszy, po obu stronach łóżka, ciężko dysząc. Udałam, że nie słyszę i całkiem naga skoczyłam na kołdrę: w twoich oczach było widoczne wahanie, coś między potrzebą zemsty za ten afront i chętką na moją pupę. A potem jeden skok i objąłeś mnie całą. Twarzą przylgnąłeś do mojej szyi i poczułam ciężki zapach twojego pożądania, ten piżmowy pot w zagłębieniach twoich dłoni, które przebiegały mi po plecach. Natychmiast ułożyłeś mnie na brzuchu, krępując ręką i mocno trzymając mnie za kark. Byłam jeszcze całkiem mokra po kąpieli, ale

nawet teraz czułam się źle z tym twoim perwersyjnym upodobaniem do lizania mojej pupy przed cipką, bo, o mój Boże, jaką ty miałeś z tego przyjemność!

Czując moje zakłopotanie albo chcąc je jeszcze wzmocnić, odwróciłeś mnie silną ręką, zbliżyłeś twarz do moich rozłożonych ud i na jednym oddechu, który był czymś więcej niż pieszczotą, wymruczałeś:

– Czego chcesz, kochanie? Czy mam ci wylizać cipkę, czy przelecieć cię do razu?

Bez zastanowienia wydałam z siebie przeciągły jęk:

– Och, bierz mnie!

I wszedłeś we mnie powoli, od tyłu. Leżałam na plecach, ty z oczami wlepionym w moją pupę, którą ruchy twoich bioder nieustannie rozchyłały. Nie przestawałam pojękiwać, balansując między rozkoszą i bólem. Dyskomfort, miałam nadzieję, że tylko psychiczny, nie ustępował, nawet kiedy wyprostowałeś się nade mną, a do moich uszu dotarł twój lubieżny monolog. Teraz, gdy zamierzam go opisać, nawet jeśli czuję już tylko rozbawienie i tęsknotę na wspomnienie twoich słów, mam czerwone uszy – wiem to, nawet nie muszę tego sprawdzać.

– Kochanie, zawsze patrz na mężczyzn, którzy wkładają ci kutasa w tyłek. Patrz na mnie. Teraz.

Kiedy podniosłam na ciebie oczy, nie mogłam wręcz znieść tej żywej siły, gwałtownego pożądania na twojej twarzy nachylonej nad moją. Patrzenie na ciebie zawsze mnie obezwładniało. A ten monolog wspominam z wilgotnym skurczem, kiedy nie przestawałeś potrząsać moimi nadgarstkami, mrużąc:

– Pieść się. Masz prawo. Wiesz, że to zrozumiem. Kiedy masz kutasa w tyłku, to normalne, że robisz sobie dobrze.

W istocie byłeś tak przekonujący, a rozkosz tak obezwładniająca, że rozpoczęłam nieśmiałe pieszczoty ręką ciężką jak ołów, nie myśląc o wstydzie i nurzając się w śmietniku twoich słów. Porwana swoją śmiałością, ostatecznie zanurzyłam palce i poczułam twój twardego chuja, ściśniętego warstwami śluzówki mojego odbytu. Film odniósłby duży sukces na YouPorn. Ciąg dalszy przeniósł nas na jeszcze wyższy poziom.

Nagle przyszła ci fantazja, żeby odwrócić mnie na kolana, i wtedy miałam pierwsze złe przeczucie; coś było nie tak. A przynajmniej nie tak, jak chciałam. Jak ci to wyjaśnić? (Nawet tak daleko, jak teraz jesteśmy od siebie, myśl o tym, że uśmiechasz się gdzieś we Francji, wywołuje u mnie spazm zakłopotania i podniecenia zarazem). Dziwny zapach. Może nie był

to prawdziwy zapach, może to był na razie tylko zapach wątpliwości.

Byłam pewna, że nic dobrego nie wyjdzie z tego aktu, jeśli będzie nadal trwał. I wyobrażałam już sobie obrzydliwe upokorzenie – ta scena powtarzała się później bez końca w mojej głowie, całymi miesiącami, a ty nigdy już nie byłeś w stanie patrzeć na mnie tak jak przedtem. Chciałam ci powiedzieć, żebyś przestał. To było dla mnie najpilniejsze. Wyciągnąć cię stamtąd – nie wiem – jakimś sposobem zachować cię w całkowitej nieświadomości tego potencjalnego incydentu dyplomatycznego. Wylizać cię nawet. Wszystko, żebyś tylko tego nie zobaczył.

Na szczęście nie zostałam doprowadzona do takiej ostateczności. Wyraźnie nieświadomy dramatu, który mógł nastąpić w każdej sekundzie, doszedłeś dość szybko, uprzedzając mnie głosem, który doprowadziłby do zguby nawet zakonnice, że zaraz „wypełni mnie sperma” (sic!). Przyszło mi do głowy wiele bardzo zabawnych odpowiedzi, choć równocześnie modliłam się z całych sił.

Wątpliwość chwilę później zamieniła się w konkret. Wycofałeś się bardzo szybko, zostawiając mnie szeroko otwartą, akurat w chwili, w której bez wątplenia wolałabym nie zostawać w takiej sytuacji. Spędziłam sporą część kwadransa na próbach śledzenia twojego członka, a ty zdecydowanie utrudniałeś mi te manewry, przyciskając mnie do piersi – i był to jedyny sposób, żeby wykręcić się od tych pieszczot po stosunku zwyczajowo zarezerwowanych dla Andréi. A potem czas, nasz czas, upłynął i musiałeś wziąć prysznic.

– Dlaczego? – zapytałam cię, może zbyt nerwowo.

Na zewnątrz było trzydzieści pięć stopni, sto stopni więcej było w mojej pupie, spływaliliśmy potem, ja pachniałam Shalimarem, a to wszystko oznaczało, że twoja żona może cię przyłapać. Ale chciałam usłyszeć to z twoich ust. Tylko się uśmiechnąłeś.

– Wiesz, będę przez cały dzień w klinice.

Więc poszłam za tobą, jak cień, do łazienki, usiadłam na brzegu wanny, odwracając twoją uwagę błyskotliwie lekką rozmową. Pod kopołką zaczął działać mi mechanizm wzmożonej czujności i analizy, który uaktywnia się dziewczynom po ryzykownych akcjach. Ale nic się nie stało. To było nieporozumienie.

Po powrocie do pokoju, gdzie nasze ubrania zdołały podłogę jak test Rorschacha, popatrzyłeś na mnie przeciągle i uśmiechając się od ucha do ucha, szepnąłeś prawie z niedowierzaniem:

– Tak bardzo mi się podobasz...

Dla mnie to był koniec udręki. Bardzo ci się podobałam, więc nie

mogłam na ciebie narobić, prawda?

Pocałowałeś mnie po raz ostatni na progu, a ja z uśmiechem kobiety szczęśliwej i przepelnionej miłością patrzyłam, jak się oddalasz i posyłasz mi całusa dłonią znad kierownicy swojego czarnego samochodu. Na udach miałam czerwone ślady twoich paznokci. Było mi dobrze. Pobiełam zrobić siusiu z papierosem w zębach. I chociaż znam wszystkie dzieła de Sade'a, które czytałeś, wszystkie ohydne sceny z *Jedenastu tysięcy palek* i z Mandiargues'a, którego znasz na wyrywki, nawet jeśli jestem tylko dwudziestoletnią smarkulą, nie mogę cię nie ostrzec – w tym miejscu historia staje się koszmarna.

W chwili, kiedy chciałam się podetrzeć, zrozumiałam, że moje wątpliwości nie były bezzasadne. Absolutnie. Zawirowało mi w głowie. Wrzuciłam peta do toalety, z opadniętymi do kostek majtkami pobiegłam do pokoju, wiedząc już jak w filmie, jaki koszmar czeka na mnie w głębi jeszcze ciepłego łóżka.

– Dwa wielkie ślady gówna – sapnęłam do Babette przez telefon, na skraju wariackiego nerwowego (i jednostronnego) śmiechu.

Dwa wielkie ślady gówna, które, jak mogła sama ocenić godzinę później, miały dokładny kształt palców, które naprędce wytarto w prześcieradło.

– A więc, po licznych refleksjach, które o mało nie doprowadziły mnie do samobójstwa, myślę, że dotknął swojego chuja przez nieuwagę, zważywszy, że wysmarowałam go całego i...

– Absolutnie nie! – wtrąciła się Babette, badając *corpus delicti*. – Kiedy cię ustawił na klęczkach, musiał się wysunąć i wziąć go do ręki, żeby wsadzić z powrotem, a ponieważ przytrzymał się przy tym łóżka, niechcący otarł palce o prześcieradło. Zauważ, że mógł oprzeć się o twoje pośladki. Miałaś szczęście w nieszczęściu.

– Czyli nie zdawał sobie z tego sprawy, że miał wysmarowanego chuja, a potem jeszcze rękę? Myślę, że ja zdałabym sobie sprawę w podobnej sytuacji. Spójrz na to, te ślady mówią same za siebie. Można sobie właściwie wyobrazić, jak myśli: „Obrzydlistwo!”, wycierając palce. Musiał to zobaczyć.

– Po prostu go zapytaj!

– Dzwoniłam do niego chwilę przed twoim przyjściem. Sekretarka automatyczna. Zresztą nie mam pojęcia, jak miałabym o tym z nim rozmawiać.

– Zapytasz go, czy cokolwiek dziwnego wydarzyło się rano. Zrozumie.

- Oczywiście, że zrozumie. Odpowie: „No tak, gówno”.
- Przynajmniej będziesz pewna.
- Jasne, ale to jeszcze nie jest najbardziej kłopotliwe w tej całej historii. Co mam powiedzieć potem? O czym rozmawiać? Jak zacząć?
- On zacznie.
- Pewnie. Gardłowy demoniczny śmiech, a potem zapyta perfidnym głosem, dlaczego jestem zażenowana, takie rzeczy się zdarzają, jak ktoś się daje pieprzyć w tyłek jak suka, co Ellie? Lubię to zresztą, nie? A nawet bardzo? Nie mogę wprowadzić tego faceta na pole minowe, bo jest zdolny powiedzieć, że to go podnieca.
- Nikt nie jest do tego stopnia obrzydliwy.
- W jego męskim umyśle to nie jest wypadek. W seksualnym świecie Pana nie ma miejsca na wypadki, wszystko, co się ma wydarzyć, wydarza się i jest naturalne. On musi myśleć, że dałam się tak pieprzyć ze świadomością konsekwencji i że też mam to w nosie. Że za bardzo miałam na to ochotę, żeby się wycofać. Chociaż w rzeczywistości, Babette, powiem ci coś: nie było absolutnie żadnego powodu, żeby mi się to przydarzyło.

Nie byłam w stanie zakryć koldry, nie byłam w stanie odpuścić tej wizji, która wywoływała we mnie już tylko osłabiające i nieme przerażenie. Babette usiadła na łóżku, pochylona nad śladami, które badała, szukając odcisków palców albo nie wiem czego jeszcze. Ja osunęłam się wzdłuż ściany.

– Niech mi ktoś powie, dlaczego akurat mnie się to dziś musiało przydarzyć, i to z tym facetem. Godzinami siedziałam w łazience, przelałam litry wody, byłam czyściutka jak łąza, a taka zmija Inès daje się pieprzyć od tyłu, kiedy jest pełna po wręby, i nigdy nic jej się nie przydarza.

– Dobra, ale jeśli Pana, w głębi jego ciemnej duszy, nie pociągałaby Kupa, nie podjąłby ryzyka. Nie wpakowałby ci się w tyłek.

– Moim zdaniem to bez związku. Faceci teoretycznie wiedzą, że dziewczyny robią kupę, ale myśl, że mogą mieć tego taki dowód, jest im całkowicie obca.

– Nie on, Ellie! Nie on!

– Na pewno – westchnęłam.

Nie było w tym nic naprawdę uspokajającego.

Było jeszcze trochę za wcześnie, żebym zrozumiała, jaką miałeś koncepcję kobiet, jak je kochałeś: twoje nienasycone łakomstwo nie zatrzymywało się tam, gdzie brudy mieszają się jakimś cudem

z wyszukanyim pięknem. A przecież tylko sodomia ukazuje subtelność tego mariażu czystości kobiety i jej brutalnej zwierzęcości: to tu jej święty obraz, jaki jawi się mężczyznom, wypacza się i psuje, aż, w wirze gówna zmienionego w złoto, staje się obrazem odwiecznej dziwki, który podnieca każdego z nich od dziesiątego do setnego roku życia. A przynajmniej, w głębi mojego kapryśnego wnętrza, mam nadzieję, że najniższy przejaw mojego człowieczeństwa mógł ujść w twoich oczach za dowód apetytu. Powiedz mi, że to jest właśnie to: miesiące później zadaję sobie pytanie, czy te dwa ślady gówna były początkiem końca naszej historii. Czy to ta niezręczność spowodowała, że przestałeś mi odpowiadać, przestałeś do mnie dzwonić, przestałeś wysyłać te swoje upojne wiadomości, które rozpały moje dni. Skąd mogłam wiedzieć? Zniknąłeś z powierzchni ziemi. Nieustający, ciągły sygnał twojej komórki był torturą: nie przewidziawszy tego, znalazłam się jakby w centrum dwóch gigantycznych wybuchów: jeden to twoja niewyjaśniona nieobecność, a drugi to ten incydent, który mógł być jej przyczyną. Jedno i drugie mogło tylko wydawać się powiązane. Sama myśl o zmianie pościeli wydawała mi się groteskowa jak usunięcie dowodu zbrodni, więc spałam w łóżku Alice, gdzie zadawałam sobie tysiące pytań, na które nie było odpowiedzi. Z jednej strony zżerała mnie idiotyczna hipoteza: brzydziłeś się mnie. Wszystko, co wiedziałam o mężczyznach, wszystko, co mogłam przeczytać, wszystkie najnowsze teorie tworzyły przeciwko niej blok, ale w gruncie rzeczy, spójrzmy prawdzie w oczy, nie miałaś żadnego innego powodu, żeby odejść. Poprzedniego dnia rozmawialiśmy jak para kochanków, których nic na świecie nie mogło rozdzielić, a już na pewno nie tak gwałtownie.

I gdzieś tam, po upływie całego tego czasu, po tym jak zostałam byłą kochanką, której pożąda się tylko od czasu do czasu, a potem dawką nerwowej nitrogliceryny w twoim tak dobrze poukładanym życiu, po tym jak zemściłam się bardziej, niż chciałam, za wszystkie twoje występki, jest we mnie jednak cień żalu. Jak mogłeś kazać mi wierzyć, choć przez sekundę, że kilka gramów przetrawionej żywności na czubku twojego drogocennego chuja ważyło więcej niż moje praktycznie ślepe uwielbienie, niż moje niekończące się listy, wysyłane skrycie do kliniki? Jak mogłeś pozostawić mnie z najgorszą możliwą dla dwudziestoletniej dziewczyny konkluzją, że podniecam cię wyłącznie na określonych warunkach?

W samym środku tego krachu tylko jedno powstrzymało mnie przed odwiedzeniem kliniki ze zrozpaczoną miną kokoty w rozsypce: ten

wieczór, kiedy Édouard, wiedząc o mojej niedawnej traumie, wszedł we mnie powolutku, z czułością, zdobywając każdy możliwy centymetr mojego tyłka, najpierw palcami, a potem członkiem drżącym z nabożnego podniecenia, wrzeszcząc głosem, który przekraczał wszelkie granice pożądania:

– O kurwa, Ellie, och Ellie, och twoja pupa!

Miałam orgazm jak rzadko. Ekspłodowałam falami słodkich soków na kremowe prześcieradło, leżąc na torsie Édouarda, a jego cudowne ręce konwulsyjnie ścisnęły mi piersi.

– W twojej dziurce jest coś szczególnego, czego nie mają inne dziewczyny – wyszeptał, zasypiając, po tym jak obficie wystrzelił mi na skraj brzucha.

Przed wytryskiem Édouard miał zawsze ten sam rytuał: nawijał sobie moje włosy na palec wskazujący i bezustannie je delikatnie okręcał, łaskotał mnie przy tym po głowie i doprowadzał do szaleństwa. Ale tego wieczoru jego prawa ręka zamotana w pościel zamieszkała między moimi pośladkami i nie chciała się stamtąd wycofać – i kiedy o piątej otworzyłam oczy, jego pięć rozłożonych palców nadal przykrywało mi cipkę i pupę. Poruszyłam się leciutko; Édouard nie spojrzawszy nawet na mnie, złapał mnie za policzek, mrużąc „zostań”. To był niewątpliwie pierwszy raz od bardzo dawna, kiedy mężczyzna, u którego spędziłam noc, chciał przytulać się do mnie przez dziesięć godzin.

Następnego dnia Édouard zaczynał zajęcia o dziewiątej.

– Zatrzaśniesz drzwi za sobą – powiedział, kiedy kończył się ubierać.

Leżałam w poprzek ciepłego jeszcze łóżka, tocząc ostrą walkę między potrzebą spania do jakiejś nieprawdopodobnej godziny i chęcią powrotu do domu, czyli wyjścia – nigdy nie czułam się dobrze sama w mieszkaniach swoich kochanków. Miałam już zrobić skrajny wysiłek i wstać, kiedy Édouard, w brązowym garniturze, ukląkł przy moich nogach, żeby mnie pocałować w brzuch. Przeciągnęłam się i przewróciłam na plecy. A on, który zawsze wydawał mi się łagodny i szanował moje zahamowania, nagle rozchylił mi pośladki. Byłam zbyt rozespana, żeby zareagować.

– Przestań – jęknęłam tylko. – Wziąłeś mnie wczoraj od tyłu, to obrzydliwe.

– Co niby jest obrzydliwe? – odpowiedział.

I po raz pierwszy kochałam się z językiem jakiegoś mężczyzny.

Czerwiec

Mój drogi,

nie chcesz mi chyba powiedzieć, że wszystko jest w porządku na tym najlepszym ze światów. Nie wiem jeszcze może zbyt wiele o mężczyznach i generalnie o życiu, ale umiem zauważyć problem, gdy się pojawia.

Mylisz się, jeśli sądzisz, że jestem do tego stopnia naiwna. Niedługo miną dwa dni, od kiedy nie dostałam od ciebie ani jednej spontanicznej wiadomości, a taki szczegół, wierz mi, potrafi zaniepokoić. I teraz nie wiem, co się wydarzyło, że tak się zachowujesz w stosunku do mnie.

Nie mów mi o braku czasu, czasu zawsze miałeś mało, ale zawsze go znajdowałeś, by ze mną porozmawiać.

Możesz mi powiedzieć wszystko. W przeciwnym razie nie byłabym tu, gdzie jestem.

Nasze stosunki są całkiem niekonwencjonalne, ale to nie jest powód, żeby jedno z nas zaczęło tchórzyć, jakbyśmy byli parą.

Chcesz, to okej.

Nie chcesz już – po prostu mi powiedz.

Mówiłam ci, że nie lubię, jak mnie boli, ale ostatnio coś mnie do tego zmusza. I szczerze mówiąc, wcale mi się to nie podoba. Dla mnie ból to klapsy; i taki rodzaj bólu wystarcza mi aż nadto.

Powiedz mi.

To, co wiem o Panu, opiera się zaledwie na kilku szczegółach.

Wiem, że ma czterdzieści sześć lat; że jego żona, przepiękna blondynka, ma na imię Estelle. Nie umiem sobie przypomnieć odpowiedzi, ale kiedyś zapytałam go, jak się spotkali. Na jakiejś studenckiej imprezie, wydaje mi się, coś równie banalnego, jak magicznego.

Wiem, że ma pięciu synów: siedemnasto-, piętnasto-, trzynasto-, dziesięcio- i siedmioletniego, którzy są do niego skandalicznie podobni; że cała ta ekipa mieszka w luksusowym, jak sądzę, apartamencie, na wyspie Saint-Louis. W tej dzielnicy przestałam już bywać przypadkiem: każdy krok, jaki tam stawiam, jest jak spojrzenie, które wolno mi rzucić na życie rodziny, o której nie mam pojęcia, a która przyciąga mnie jak muchę. Bo nie mogę całkiem zapomnieć, że Pan jest także ojcem: jakim jest wzorem tej prawie boskiej rasy, skoro ma tylko synów? Może to zestaw jego potomków pozwala mu nie odczuwać żadnego skrępowania, gdy wyobraża sobie siebie w łóżku z dziewczyną w moim wieku, bo nie ma żadnych skojarzeń? Gdyby miał w domu nastolatkę, pałętającą się w bieliźnie po salonie i palącą fajki, jak ja, bez wątpienia poważnie zastanowiłby się, zanim zabrałby się do pieszczona podobnej pupy.

Albo nie.

Elektryzuje mnie chyba właśnie ta strona cienia; nie sposób znaleźć najmniejszego śladu moralności w tych wszystkich rzeczach, których się od niego uczę, choć wiem, że gdzieś musi być obecny. Pokoje, które dzielimy we wtorkowe ranki, pachną tytoniem, trawą, spermą, cipą i całkowitym brakiem poczucia winy.

Pan używa Habit Rouge Guerlaina; tajemnicza nazwa, która pasuje do niego jak ulał. Ale we wszystkich tych miejscach, gdzie jego skóra jest naga, wszechobecny zapach nie jest zapachem perfum. Jego ręce, na przykład, mają własny korzenny zapach. Jego szyja to szkatułka na wyszukaną i okrutną mieszankę zapachów jego włosów i proszku, którego Estelle używa do prania koszul. Co można powiedzieć o wszystkich innych zapachach zapamiętanych w przelocie, ale nie zapomnianych nigdy?

Pan goli się codziennie, ale trudno mi uwierzyć, że włosy w ogóle rosną mu na twarzy, tak gładka jest jego skóra. Może zresztą to ta gładkość mnie odrzuca: policzki Pana są tak samo aksamitne jak policzki mojego ojca. Tatusiowie przez te wszystkie lata mają gładziutką skórę, kiedy nas

przytulają i głaszczą.

To jedna z tych niechęci, których toksyczne przyciąganie kosztuje drogo.

Pan był lekarzem, a potem szefem kliniki w szpitalu Saint-Louis, w czasach, kiedy dyżurki lekarskie dopiero zaczynały tracić reputację. Nikt nie wie, co się takiego stało, ale poszłabym o zakład, że to tam Pan poznał bliżej większość z setki swoich kobiet – jeśli ta liczba nie jest tylko fanfaronadą.

Pan ma całe The Who na iPodzie; pewnego ranka, kiedy się ubierał, usłyszałam, jak nuci *My Generation*. Tak traci się dwadzieścia lat w kilka sekund.

Jak cudowną młodość musiał zresztą mieć, skoro miał siwe włosy i taki apetyt na wszystko? Bo prawdę mówiąc, Pan wybierał swój wiek: w zależności od dnia miał od piętnastu do trzydziestu dwóch lat. Jak nastolatek łatwo się złościł i łatwo nudził, budowanie wydawało mu się stosunkowo mało ważne. Mimo iż jest żonaty i ma dzieci, nawet w swoim fartuchu chirurga, w tej klinice jego rękami zamienionej w plac zabaw, Pan przestępuje z nogi na nogę, wręcz kipi, a wszystko w nim zdaje się krzyczyć: „Chcę żyć, ŻYĆ!” – a przyjemności, jakie sobie z mną sprawia, godziny, które kradniemy światu, rozświetlają jego oczy nastolatka, który przypadkiem znalazł się w ciele rozsądnego mężczyzny.

Pan ma bardzo eklektyczny gust, jeśli chodzi o stroje. W hotelu czy w klinice zawsze widziałam go w garniturze, zawsze był bardzo elegancki i uwodzicielski jak diabli. Ale gdybym wyszła z nim wieczorem, zobaczyłabym inne wcielenie tego człowieka: wąskie czarne jeansy, buty z krokodyla w komplecie z paskiem wykrojonym z tego samego zwierzęcia, skórzana koszula. Kiedy się tego dowiedziałam, leżałam przytulona do niego, skulona jak embrion, więc wysłuchując tych opisów, szeptanych mi wprost do ucha, mogłam spokojnie przygryźć policzek, by nie urazić jego dumy.

– Nie zamierzasz się chyba zakochać w typku, który ubiera się jak Johnny Hallyday! – powiedziała mi później Babette.

* * *

Pan, pod pewnymi względami, denerwuje mnie bardziej, niż ustawa przewiduje: na przykład to, że jest tak dumny ze swoich sukcesów, niepokoi mnie w najwyższym stopniu. Tego braku skromności nie znoszę u niego bardziej niż u innych, bo rzeczy, którymi może się chwalić, jest bardzo wiele: wybaczam mu to mniej chętnie niż dziesięciu innym

facetom, z którymi regularnie się spotykam, a którzy zameczają mnie, każdy na swój sposób, niekończącymi się opowieściami o swoich sukcesach. Codziennie, gdy ja gniję w łóżku albo idę spotkać się z koleżankami, on naprawia nosy, usta, wady rozwojowe, o których nie wiedziałam nawet, że istnieją. Pracował straszliwie ciężko, żeby osiągnąć pozycję w tym bardzo prestiżowym zawodzie; kiedy mam wrażenie, że przepracowałam dzień w kopalni, bo nasmarowałam pięciostronicowe wypracowanie, mogę być pewna, że Pan przez czternaście godzin walczył, szyjąc i operując. Jego prestiż nie jest efektem jakichś żalosnych działań zbrojnych czy światowego życia – myślę, że trzeba być bardzo dobrym, żeby znaleźć się w miejscu, w którym on się znalazł. Ale skąd Pan, który chwalił się, że zna mnie lepiej niż inni, choć widział mnie raptem pięć razy, mógł wiedzieć, że samochody, pieniądze i sukces są dla mnie rzeczami, których nic nie zdoła bardziej niż skromność?

Kiedy opowiadam o jego pewności siebie, Inès i Babette okazują się znacznie mniej tolerancyjne ode mnie. Ja daję dowód iście macierzyńskiej cierpliwości: może Pan po prostu ma potrzebę akceptacji. Tysiąc razy miałam ochotę nim potrząsnąć, ale nigdy nie zareagowałam. Może co najwyżej uniosłam oczy w górę, z bladym uśmiechem, myśląc, że w gruncie rzeczy te z lekka przegięte opowieści puszącego się samca są urocze. Czułam się szlachetna – i naiwnie brałam tę ewidentną wadę za ostatnią przeszkodę, która mogłaby mnie powstrzymać od zakochania się w nim.

Zawdzięczam też Panu wariacki chichot, jeden, ale bardzo mi drogi.

Pierwszego ranka, kiedy poczułam, że się z nim związałam, Pan chciał dorzucić swoje trzy grosze do tradycyjnej pozycji na pieska, najwyraźniej mając już dość ciągle tych samych, zużytych gestów. I gdy słuchałam, jak jego echo głucho odbija się we mnie, uczipiona wezgiłowia łóżka i z twarzą przyciśniętą do wytapetowanej ściany, Pan udał, że chwytą moje biodra, które chciały tego bardzo, potem moje piersi, które wysunęły się ku niemu, potem włosy, które zebrał w koński ogon i owinął wokół swojego nadgarstka, a w końcu bezceremonialnie włożył mi palce do buzi, po obu stronach ust. Dokładnie tak, jak zakłada się wędzidło koniowi. Był to niespodziewany manewr i miałam ledwie czas szeroko otworzyć oczy, czując się jak najgorszy kucyk świata – a potem Pan pociągnął, ostrożnie, ale dość zdecydowanie, a ja poczułam się tak, jakbym wyszła z siebie i zobaczyła tę scenę z lotu ptaka. Mimo osłupienia, doszłam jednak do wniosku, że to nic straszego. Dosiadał mnie jak kuczka, a przecież bardzo lubiłam, gdy brał mnie jak sukę. W sumie na

konika było podobnie. Takie miałam refleksje, nieźle oszpecona przez swojego dżokeja, kiedy nagle wyobraziłam sobie, jak by to było, gdyby właściciele tego hoteliku w Piętnastce wpadli na pomysł umieszczenia lustra na przeciwległej ścianie: bo czyż da się dłużej niż kilka sekund udawać, że ma się ochotę pieprzyć dziewczynę, która wygląda jak maska na Halloween?

Gwałtownie zapragnęłam odzyskać kuszący wygląd (tak jak to sobie wyobrażałam) i dość mocno ugryzłam Pana w palce – w te bezcenne palce, które właśnie doprowadziły mnie do takiego wstydu. Nie miał o to żalu, bo chwilę później (a może to było innego dnia?), Pan powtórzył doświadczenie, wchodząc we mnie powoli, a każdy centymetr jego członka wydawał się nie mieć końca. Przygwożdżona, jak motyl na szpilce, wibrowałam i drgałam, otulając nogami jego plecy, i tak bardzo poddałam się tej niewiarygodnej rozkoszy, że nie poczułam wędzidła. A w tej pozycji i przy takiej niecierpliwości Pana było oczywiste, że nie będę miała szans walczyć z tą uwięzią. Doszło do okropnej szamotaniny, gdy jego palce usiłowały dostać się między moje zęby, a ja walczyłam duszą i ciałem, zaplątana we własne włosy, oszołomiona kompletną niemożnością zrozumienia, skąd bierze się ta jego potrzeba, żeby mnie zohydzić. Pan trzymał mnie za szyję silną dłonią i tłumił częściowo moje protesty, a jedynym wyjściem, jakie przyszło mi do głowy, było gwałtowne ugryzienie go w rękę. W ciągu sekundy lub dwóch atmosfera w naszym pokoju zmieniła się całkowicie. Zobaczyłam Pana, który patrzył na swoje palce, a potem na mnie, jakby nie był pewien, jaką powinien podjąć decyzję. Myślę, że to był jedyny dzień, kiedy w pożądaniu tego mężczyzny zobaczyłam odrobinę nienawiści.

Następnego dnia pobiegłam do Babette. Pamiętam niekończący się, obłąkańczy chichot, gdy leżałyśmy zwinięte na kanapie i opowiadałam jej z mnóstwem szczegółów, jaka to alternatywna technika wykiełkowała w zбочonym umyśle Pana. A on, okrutnym zbiegiem okoliczności, zadzwonił do mnie właśnie w chwili, kiedy z ust Babette niechcący wypłynęła strużka śliny, i musiałam się powstrzymać od śmiechu ze wszystkich sił. Prawdę mówiąc, przez prawie dziesięć minut gryzłam wargi prawie do bólu, udając zainteresowanie opowieścią Pana o trudach dnia – a wyzwolenie nadeszło, kiedy Pan był tak miły, że zażartował, i wreszcie mogłam dosłownie eksplodować śmiechem, nakręcona maksymalnie przez Babette, która gryzła kanapę, by nie narobić hałasu. Oto i uprzejmości, jakie czasem, wbrew sobie, robią nam mężczyźni.

– Kiedy masz dość byle jakiego pieprzenia się z dwudziestoletnimi

debilami, którzy mylą seks z penetracją, zaczynasz oglądać się za mężczyznami takimi jak Pan, którzy oduczą cię wszystkiego, co wydawało ci się, że wiesz o dupie. Oni tylko czekają, żeby nauczyć cię tego od nowa i nigdy już nie będziesz chciała robić nic innego.

Tak mówię moim kumpelkom.

Bo trzeba to przyznać: seks w jego ramionach jest olbrzymim i fantastycznym placem zabaw, gdzie nic, absolutnie nic, nie jest zakazane. Mam wrażenie, że skaczę nago po wysokiej trawie, bardziej miękkiej niż najbardziej miękki trawnik świata, pod przeczystym niebem, a Pan buja mnie tak, że osiągam najwyższe szczyty, na huśtawce, która wyszła spod pędzla Fragonarda. Oczywiście nie mogę powiedzieć, że jestem całkiem spokojna, gdy widzę, jak ziemia oddala się coraz bardziej, ale upojenie jest tak cudowne, mój Boże, odprężenie tak bezwzględne, że zamykam oczy, bo nie mogę powstrzymać płaczu z rozkoszy. Czuję potrzebę, by wyrazić, jak wspaniałe jest to, co odczuwam, nie mogąc znaleźć słów, żeby opisać to uczucie; a ponieważ prawie szaleję z podniecenia, Pan wciąga mnie w mroczne bagna, które wydzielają słodkie i gorszące opary siarki, w których woda jest obscenicznie gorąca i w których zatracam się po kawałeczku. Pejzaż wokół nas zaczyna być niepokojący. Wiem, że jestem na terytorium, które Pan zna świetnie – będzie mnie prowadził małymi ścieżkami na skróty, których istnienia zaledwie mogę się domyślać. Powoli, nieuchronnie przeciskam się przez niewykarczowane koleiny, i choć moja ukwiecona huśtawka jest daleko, to pod gałęziami tych obumarłych drzew jest wilgotno i ciepło i jestem bliżej piekła, niż kiedykolwiek byłam!...

Zdarzyło mi się otworzyć Panu drzwi i ledwie go zobaczyć, bo już rzucił się na mnie. Tylko wiatr przesycony jego zapachem, potem ręce, które wpadały pod moją sukienkę i zaczynały szukać. Czego? Jestem przekonana, że niecierpliwość, z jaką podwijał mi sukienkę, wynikała z instynktownego wrażenia, że brakuje mi czegoś między nogami i tylko on może tę lukę wypełnić. Tak jak natura nie znosi pustki, tak Pan był zarazem oburzony i zafascynowany tą luką pod moim brzuchem – ustanawiając sposób cichej komunikacji z nią, który dla mnie był niedostępny. Przez długie minuty patrzył na nią bez zmrużenia oka, tworząc jakby słowa czubkami kciuków, tajemnicze arabeski końcem języka – i zdawał się zadawać jej pytania i otrzymywać odpowiedzi, chociaż ja nigdy ich nie sformułowałam. Wchodził w duchowy kontakt z tym jedynym zakątkiem mojego ciała, który tak łatwo łamał nałożone przeze mnie zakazy.

Pan lubi zresztą wierzyć, że cały świat poddaje się tak łatwo, jak wrażliwy dziewczęcy brzusek; i, prawdę powiedziawszy, nie ma nic, czego jego piękne zgrabne dłonie nie potrafiłyby ujarzmić, przynajmniej na jakiś czas.

Wiem, że Pan jest fascynujący, nawet jeśli tę fascynację tłumią fale niechęci, które sam podświadomie prowokuje; uważam, że tego człowieka otacza aura żywej inteligencji i kultury. Inteligencja i duży nos: to moim zdaniem cycki miłości.

Pan uwielbia mango, ale nigdy nie chciał go ze mną zjeść we wtorkowy poranek, tak jak nigdy nie chciał soku pomarańczowego czy trawki. Nigdy nie widziałam, żeby Pan jadł lub pił cokolwiek – to mnie trochę dziwi. Widziałam, jak szczytuje, ale nigdy nie widziałam, jak pije wodę (i ssałam go, zanim zobaczyłam jego twarz. Jeśli moja matka się o tym dowie, zastanawiam się, jakim sposobem przekonam ją, że mam zdrowy system seksualnych wartości).

Nie znam też charakteru pisma Pana. To zadziwiające. Mogłabym spędzić godziny, patrząc na napis „przeczytano i zatwierdzono” z jego podpisem: podpis Pana jest bez wątpienia bardzo wyszukany gryzmołem, nieczytelny jak pismo wszystkich lekarzy, ale myślę, że udałoby mi się znaleźć w najmniejszym jego bazgrole coś, co wiele by mi o nim powiedziało, coś znajomego w grubych i cienkich liniach, jakie rysuje.

Pan z pewnością podrywał moją matkę, kiedy byli razem podczas weekendu chirurgów na Jersey. Opowiadał mi o niej pierwszego ranka, gładząc moje piersi.

– Nie wiem, jak wygląda teraz twoja matka, ale kiedy ją spotkałem, była bardzo piękną kobietą. Bardzo rasową. Dużo ze sobą rozmawialiśmy.

(„Dużo ze sobą rozmawialiśmy” – powiedziała moja matka, kiedy zadałam jej pytanie w samochodzie. „Ciągle mnie pytał, czy czytałam tę czy inną książkę erotyczną. Mnie to nigdy nie frapowało. Ale wiesz, był miły. Cały czas mówił o dupie, ale był miły”.)

– Czułem, że między nami coś się działo, dobrze się rozumieliśmy. Nieźle się uśmialiśmy.

(„Bywał niezdolny. Pretensjonalny. Wręcz odpychający. Nieźle się uśmialiśmy, ale w sumie nie lubię tego rodzaju facetów”.)

– Wydaje mi się, że wtedy właśnie twoja matka odeszła od twojego ojca. Była trochę zdołowana. Ale w naszym hotelu mieszkał też izraelski chirurg, bardzo piękny,

(„Yaacov!”)

który bardzo podobał się twojej matce. Poprawiło jej to nastrój.

(„Jakież on był piękny!” – rozmarzyła się moja matka, nagle pograżając się we wspomnieniach. – „Piękny jak Bóg. Głupi jak but z lewej nogi, ale piękny!”)

– Możesz spróbować ją zapytać, ale wydaje mi się, że między nimi zaiskrzyło. Nie wiem, czy do czegoś doszło.

(„Chciałabyś wiedzieć, co?” – powiedziała matka tonem, który miał być tajemniczy, ale nawet cisza mówiła sama za siebie: mówiła, że między tym Yaacovem a nią było nieprawdopodobne napięcie. I niczego nie wyjaśniając, dodała: „Ależ iskrzyło! Cały czas spędzaliśmy razem”.)

– Twój wuj, chociaż wiesz, jaki jest opiekuńczy wobec swojej młodszej siostry, niczego nie widział. Mieliśmy niezły ubaw, mówiąc mu, iż Yaacov spędził noc z jakąś laską, chociaż wiedzieliśmy z pewnością, że ostatnią osobą, z jaką widziano go poprzedniego dnia, była twoja matka. To było megazabawne.

(„Byłaś już wtedy rozwiedziona?” „Ależ skąd” – odpowiedziała moja matka. – „Miałaś wtedy dziesięć lat, a rozwiedliśmy się, kiedy miałaś dwanaście”. Oto jakiego ducha ściągnął Pan nad moją świętą rodzinę. Wiedział, jak zmienić mi życie w grę w Cluedo.)

– Nigdy nie tknąłem twojej matki – rzucił wreszcie Pan po długiej ciszy, kiedy z całej duszy modliłam się o te słowa.

Zaczęłam się zastanawiać, czy w sumie mógł. W końcu wtedy nie wiedział jeszcze, że będzie sypiał z jej córką.

– A przecież była taka piękna. Nie wiem, co mnie powstrzymało.

Wszyscy się nad tym zastanawiamy.

– Ale ty jesteś do niej podobna. Twój uśmiech. Jesteś jeszcze ładniejsza. Musisz mieć też coś po ojcu, są rzeczy w twojej twarzy, których nie rozpoznaję.

Pan ma najlepszą przyjaciółkę, której powiedział o naszej historii, zanim mnie jeszcze zobaczył. Ma nawet najlepszą przyjaciółkę wystarczająco przewidującą, by poradziła mu, żeby wystrzegął się jak ognia tej dwudziestolatki, która czyta te same książki co on, używa słów, które on uwielbia, i doprowadza go do szaleństwa z pożądania. Pan ma przyjaciółkę, której nikt nie uświadomił, jaka jest rzeczywistość: czterdziestosześcioletni mężczyzna bardzo łatwo, za łatwo, uwalnia się od małych przelotnych cieni. Takich jak ja.

Lęk przed starością Pana, który jest prawdopodobnie najbardziej żywotnym mężczyzną, jakiego znam, wciąga mnie i moich dwadzieścia wiosen w niewyobrażalną otchłań strachu. Ciągłe słyszę te słowa

z pierwszego z naszych poranków, kiedy tulił mnie do siebie. Wbijałam wzrok w kwiecistą tapetę, oceniając z dramatyczną ostrością sens jego wypowiedzi.

– Wiesz, jest taki wdzięczny okres w waszym życiu między piętnastką a trzydziestką, kiedy świat kręci się tylko wokół was. Wszystko, co robią mężczyźni, wszystko, o co mężczyźni się starają, pieniądze, praca, rodzina i cała reszta, jest tylko dla was. Wszystko, czego chcą mężczyźni, to znaleźć sposób, żeby się wam przypodobać i móc choć trochę skorzystać z tego światła, którym świecą młode dziewczyny.

– A potem?

– Potem, kiedy masz czterdzieści lat, orientujesz się na ulicy, że mężczyźni zaczynają gapić się na smarkule z liceum, które idą z naprzeciwka.

Kurtyna.

Wygląda na to, że Pan nie rozumie, jak szybko żyję; ja, o ponad połowę od niego młodsza. Jestem już skazana przez datę przydatności do spożycia, która zostawia mi niewiele czasu na te moje igraszki, z nieustającym poczuciem, że trzymam Paryż – żeby nie powiedzieć świat – w garści. Nigdy nie umiałam ocenić, jakimi intencjami się kierował, kiedy tak do mnie mówił. Bałam się nad tym zastanawiać. Westchnęłam i rzuciłam:

– A kto mnie będzie pieprzył, kiedy będę miała czterdzieści pięć lat?

– Ja – odpowiedział, całując mnie w ramię. – Ja będę tu zawsze.

Zawsze będziesz moją dziewczynką.

Słowo „zawsze” ma w ustach Pana naście lat.

Pan, w przeciwieństwie do większości mężczyzn, nie przepada za lesbijkami; uważa, że za bardzo brakuje im fiuta. A jednak, kiedy czekałam na niego w niedzielny wieczór w naszym małym hoteliku w Dziewiątce i kiedy Babette wpadła do mnie na noc, żeby dotrzymać mi towarzystwa, miał nadzieję, że nakryje nas rankiem w objęciach. Ale to z mojego powodu: lubi wszystko, co mnie dotyczy, i nic, co ma ze mną związek, nie może być złe. Pan, chociaż go nie zna, najbardziej nienawidzi Zylbersteina, na którego niechcący nasiusiałam: no bo w czym ten facet jest lepszy, że na to zasłużył?

Pan jest niezłomnym wielbicielem dziewczęcych pup. Zawsze szanowałam to uczucie i jednocześnie lękałam się go. Było perwersyjne i szlachetne zarazem. Ta obsesja zdawała mi się urocza, choć nie przysłała jego namiętności do cipek. Pan, mój Boże, tak było naprawdę, potrafił przez cały dzień nosić w głowie obraz mojej cipki. Co zresztą

robił. Mówiły mi o tym wiadomości od niego, pisane bardzo kwiecistie.

To kolejna szczególna cecha Pana: uwielbiał walczyć ze mną moją własną bronią, zawstydzając słowami, które przenikały mnie w najbardziej niecny sposób. Pan świetnie wiedział, że wywołuje u mnie rumieńce, gdy podczas pracy muszę się chować, żeby czytać jego esemesy, tak jakbym się kryła, żeby wciągnąć kreskę. Kiedy nie znaleźliśmy się jeszcze (w sensie biblijnym), bawił się, dzwoniąc do mnie wtedy, kiedy nie byłam sama, na przykład gdy byłam w samochodzie; i, nie mając wyjścia, musiałam głupkowato kiwać głową przez dziesięć minut, bo nie mogłam bez kompromitacji dać mu do zrozumienia, że to nie jest najlepszy moment.

– Czy pozwoli mi pani, żebym się onanizował, myśląc o pani?

– Jeśli panu zabronię, i tak pan to zrobi – zaryzykowałam odpowiedź, na próżno starając się, by wyglądała niewinnie.

– To prawda. Już to zresztą zrobiłem... bardzo chciałbym być blisko pani i kochać się z panią. Długo. Lizać panią, aż pani...

– Tak, może rzeczywiście prościej byłoby, gdyby zadzwonił pan do mnie później.

– Przeszkadzam pani teraz?

– Troszkę.

Uwodzicielski śmiech.

– Uwielbiam pani głos. Słodki głos bardzo grzecznej dziewczynki.

– Tak?

– Zadzwoni pani do mnie, jak będzie pani mogła? Jeśli nie odbiorę, to dlatego, że będę wśród ludzi. Oddzwonię do pani potem.

– Dobrze. Do widzenia.

– Chwileczkę, niech pani nic nie mówi. Niech pani powie tylko tak lub nie. Ma pani ochotę się ze mną kochać?

Zazwyczaj wtedy, choć wydaje się to nieprawdopodobne, kierowca spoglądał na mnie tak, jakby chwycił nić tej konwersacji.

Odchrząkiwałam.

– Tak, tak.

Pan, jak to bardzo trafnie określała Inès, uwielbiał płoszyć niewinne gąski. Zwłaszcza jeśli nie były takie znowu niewinne.

Powiedzieć, że Pan jest niemoralny, to jednak zbyt daleko posunięta uwaga. On po prostu skłania się ku moralności skoncentrowanej na przyjemności. Wydaje się nakręcać tylko niewyczerpanym libidem, a całe jego społecznie idealne, oparte na energii seksualnej życie jest wystawną sublimacją. Burzliwą, wspaniałą, pełną konfliktów i namiętności, ulotną i upojną.

* * *

Myślę, że Pan jest jedną z nielicznych znanych mi osób, u których każda zaleta pociąga za sobą wadę, i na odwrót. Na przykład Pan jest wielkim, choć błyskotliwym manipulatorem; oszukuje mnie inteligentnie, czyli irytująco, co skłania mnie do medytacji i zachęca do analitycznych wysiłków. Pan jest okropnie drażliwy, ale żaden ze znanych mi mężczyzn nie ma tej charyzmy. Pan jest chamem pierwszej wody; OK, ale jakimż jest źródłem kultury. Pan jest pretensjonalny jak nikt – ale to pasjonat. Wszystkie emocje odczuwa silniej niż cała reszta rodzaju ludzkiego – po prostu umiejętnie kontroluje to, co chce pokazać. Wiemy o Panu tylko to, co nam rzuci na pożarcie.

Bardzo często nie mogłam znaleźć w tym człowieku niczego dobrego ani szlachetnego. Potrafiłam wmówić sobie, że nawet jego zawód, tak godny podziwu, był dla niego tylko sposobem na lepsze wrażenie w towarzystwie. Do głębi nienawidzę Pana za jego arogancję i egoizm: raz czy dwa powiedziałam Babette, że nie znam nikogo oprócz niego, kto byłby tak prawdziwie zły. Myślę, że ma w sobie sadyzm zapożyczony od wielkich osiemnastowiecznych libertynów. Jest w Panu niesamowita niecierpliwość, ale nigdy nie pozwala zapalczywości przejąć władzy nad resztą i zakłócić jego strategii. Jego niezwykła przebiegłość opiera się na znajomości kobiet; kiedy Pan robi coś dziwnego, to zazwyczaj dlatego, że przyjmuje nową linię działania, a jej przebieg okazuje się aż nazbyt starannie przygotowany, aż za bardzo perwersyjny jak na to, że narodził się w męskim umyśle. Każda cisza, jaka między nami zalega, zabija mnie: pierwsze wytłumaczenie, jakie rodzi się w mojej dziewczęcej główce, to że dał się przyłapać żonie albo że poczuł się w jakiś sposób zagrożony. Co jest zbyt daleko idącym wnioskiem: nie odpowiada mi po prostu, bo nie ma na to ochoty. Bo mu się znudziło. Nie ma tu miejsca na grzeczności czy podstawy dobrych manier, Pan uważa, że nie ma żadnego powodu, żeby się zachowywać w porządku w stosunku do smarkuli mojego pokroju. I czasami, kiedy rozpaczliwie staram się rozwikłać tę intrygę, dochodzę do prostego wniosku, że w sensie społecznym Pan jest do gruntu zły: kocha tylko siebie, a jeśli ta miłość zostawia mu wolną chwilę, może ewentualnie udawać, że interesuje się też innymi ludźmi.

Pana można się nauczyć – jak układania gigantycznych puzzli, poprzez drobiazgowo dopasowywanie maleńkich rozrzuconych kawałeczków. To jedyna rzecz, jakiej dziś mogę być pewna po tych wszystkich tygodniach i białych nocach spędzonych na zbieraniu

wszystkiego, co da się o nim wiedzieć. Nic z tego, czego się o nim dowiedziałam, nie jest namacalne, albo też pokazuje zaledwie cienie, które jedynie ja jestem w stanie rozpoznać. Znam tylko garść słów i uśmiechów Pana, jego zniknięć i ponownych pojawień – Pan wymyka się wszelkiej ścisłej analizie, wszelkim badaniom.

Piszę książkę o tym człowieku.

Po ponad tygodniu bez niego, a dokładnie osiem dni po tym, jak usłyszałam go po raz ostatni, próbuję dopaść Pana aż w klinice, naga i groteskowa w swoim ogrodzie, usiłując złapać cały zasięg świata. Przeskakuję nerwowo z nogi na nogę, podczas gdy nagrany głos proponuje mi, żebym wybrała 1 do sekretariatu, 2 do sekretariatu. Nie ma cyferki, żeby połączyć się z Panem.

Próba z sekretarką pcha mnie na skraj mdłości. Nie myślałam o roli, którą przyjdzie mi odegrać, o jej skutkach: poprosić doktora S. głosem dziewczyny, której ciało nigdy nie było złączone z jego ciałem. Niezręcznie się tłumaczyć, na chybcika wymyślać opis zdjęcia rentgenowskiego, do którego komentarz mi obiecano, powiedzieć, że on kazał mi oddzwonić – i to ja, która nigdy nawet niczego sobie nie skręciłam. Jestem najgorszą aktorką, jaką znam.

– A kto mówi?

Panna Becker. To nie jest nazwisko pacjentki, raczej nazwisko, które mogła sobie wymyślić fałszywa chora, chcąc dodzwonić się do swojego kochanka chirurga w dyskretny i niepozostawiający śladów sposób. Nazwisko powieściowe: oto dlaczego je sobie wybrałam. W tej konkretnej chwili byłam o tysiące mil od myśli, że może zabrzmieć tak fałszywie, wmieszane w opowieść o rentgenach i sekretarce.

– Proszę zaczekać – powiedziała, a ja ledwie miałam czas sobie wyobrazić, że Pan jest w pobliżu, kiedy usłyszałam go po drugiej stronie.

Nie ma sensu wspominać tego niezdecydowanego „halo”. A przecież to żalosne, bezsensowne słowo, ten bezpłciowy wykrzyknik, wdziera się w moje uszy i całe ciało, we wszystkie miejsca ukryte pod ubraniem, które się budzą na dźwięk jego głosu, wzywając go niemal z mocą odruchu Pawłowa.

– Pan S.? – pytanie właściwie retoryczne, bo ten świetnie znany tembr głosu nie może należeć do nikogo innego. – Panna Becker przy telefonie.

I tu Pan, którego nienawidzę, którego uderzyłabym bez wątpienia, gdyby znalazł się przede mną, Pan znajduje sposób, dzięki któremu odradzam się w kilka sekund jak feniks z popiołów. To ta cudowna melodia, zarazem rozczulona i rozbawiona, jedno zwykłe zdanie:

– Dzień dobry, panno Becker.

Oczarowanie. Nie zapominam tych nieprzespanych nocy, tych

prawie hysterii odstawionych podczas czuwania przy komórce, ale ból i wściekłość nagle giną w jakiejś nieokreślonej mgle, która odbiera im całą gwałtowność. Niewątpliwie dlatego, że przy tym żalosnym zdaniu, złożonym z czterech słów, które mógł wypowiedzieć ktokolwiek i nie zareagowałabym wcale, zobaczyłam go bardzo wyraźnie: w jego gabinecie, w brązowym garniturze, z ręką w kieszeni i z uśmiechem, który mu się wymknął, ale który zdradza go tylko odrobinę. Sądząc po głosie, niemożliwe, żeby był wściekły.

– Żyje pan jeszcze? – pytam ze szczyptą ironii, zgryźliwej, mam nadzieję, podczas gdy sam fakt, że on żyje gdzieś w Paryżu robi na mnie tak silne wrażenie i doprowadza do takiej euforii, jak dawka morfiny w żyłach.

– Jak najbardziej – odpowiada tym samym słonecznym głosem.

Zaczynam się plątać w galimatiasie słów, prawie się dusząc. Moje serce bije bardzo mocno, a po kilku sekundach oszałamiającego słowotoku zasięg mi ginie. Czepiam się go, jak tylko potrafię, zrozpaczona myślą, że wkrótce znów go stracę, skacząc równocześnie jak królik z jednego końca tarasu na drugi – na próżno. Pan wiedziony swoją przysłowiową fobią, że zostanie nakryty, odkłada bezszelestnie słuchawkę, znużony tym trzeszczeniem w słuchawce.

– Stałaś się naprawdę żenującą laską, Ellie – rzeżę przed lustrem, patrząc na swoją paskudnie bladą gębę i chorobliwe rumieńce na policzkach.

Oto do czego doszłam. Jestem jednocześnie sfrustrowana do granic obłądzenia i usatysfakcjonowana tą mizerną wymianą zdań, co można by określić jako tanią euforię. Usłyszałam głos Pana. Tylko tyle. Cóż za poniżenie, mój Boże. Gdyby była na świecie specjalna infolinia, coś jak telefon do Świętego Mikołaja, gdzie on prowadziłby ze mną takie rozmówki, jasne jest, że spędziłabym życie uwieszona na słuchawce.

Moja komórka głucho wibruje przy umywalce, ale jestem jeszcze pogrążona w tak głębokim osłupieniu, że esemes od Pana nie może mnie bardziej osłabić. Za to obietnica wieczornej rozmowy jest tym, czego mi trzeba, żebym znowu wpadła w histeryczne drgania, te, które pojawiają się, gdy on prowadzi mnie fałszywym tropem. Wkrótce minie dziesięć dni, od kiedy nieustannie mam dwubiegunowe góry i doły, i transy, gdy Pan objawia się jak Chrystus na mojej karcie SIM. Nic nie wskazuje na to, żeby ktokolwiek to zauważał – albo wszyscy to olewają. Tę pustkę. Tę pustkę, którą stało się moje życie z Panem. Od kiedy go znam, istnieję tylko przez dwie godziny w tygodniu – a teraz to się już liczy ledwie

w sekundach. Resztę tego koszmarnego życia spędzam, śledząc aktywność swojej komórki. Wpadam w totalną tachykardię, gdy dostaję wiadomość, i wracam w najgłębsze zubożnienie, kiedy w dziewięćdziesięciu procentach przypadków wiadomość nie pochodzi od niego. Śpię. Zmuszam się do myślenia o innych ciałach – a żadne mnie tak naprawdę nie interesuje. Ta niewola, w którą się sama oddałam, staje się nie do zniesienia, ale nie potrafię już sobie przypomnieć, jak to było, kiedy nie znałam tego człowieka. A przecież spędziłam dwadzieścia lat życia, mając kompletnie w nosie, że gdzieś w Paryżu, blisko mnie, istnieje Pan.

Kilka minut później, kiedy zamierzam wejść do wanny, Andréa wyznacza mi esemesem godzinę, o której mam wpaść do niego – i, o Boże, przypominam sobie Ellie, która skakała z radości przy każdym pojawieniu się tego cudnego młodego Aszkenazyjczyka z Piątej Dzielnicy, pamiętam, że byłam zakochana w tym facecie. Kiedy, w jakim dokładnie momencie wyskoczyłam z tego pociągu? Dlaczego mam kompletnie w dupie, że się z nim spotkam dziś wieczorem? Dlaczego ta perspektywa właściwie aż mnie przygnębia? Oto odpowiedź: Pan powiedział, że do mnie zadzwoni, a zważywszy, o której wychodzi z pracy, to będzie niewątpliwie dokładanie ta pora, kiedy będę z Andréą. Może nawet właśnie będziemy się kochać.

Umyć włosy, uczesać się, znaleźć stosowne ubranie. Wszystkie te czynności zmieniają się w drogę cierniową, skoro mam zobaczyć się z Andréą. Mam wrażenie, że chodzenie czy sypianie ze mną wzbudza w nim wyłącznie uprzejmą ekscytację. Jeszcze później przychodzi mi do głowy, że w łóżku sama odepnę pończochy i że sama będę się pieściła – wtedy, gdy on zaśnie, żeby zrobić mu na złość. Andréa nieźle się pieprzy, ale dla mnie, jak na tę chwilę, zbyt grzecznie – to znaczy wkurzająco: dość stymulująco, by wybudzić mnie z letargu, ale zbyt gładko, by przenieść mnie do krainy erotycznej amnezji. A w każdym razie nie dość dobrze, by przesłonić cień mojej komórki leżącej na stoliku przy łóżku. A przede wszystkim Andréa niczego nie widzi. Niczego nie czuje. Andréa ani przez chwilę nie zauważył, że przez ostatnie trzy tygodnie byłam przesadnie podniecona, napalona aż do przesady, i nagle z dnia na dzień sflaczałam i stałam się zimna jak glista. Często dla zabawy opowiadałam mu o Panu, w na pierwszy rzut oka niewinnych kontekstach, które jednak mogły mnie zdradzić – które powinny mnie zdradzić, gdyby Andréa zadał sobie trud i był choć trochę władczy. Powiedziałam mu wręcz, że kolega mojego wuja zaproponował mi, że mnie zabierze na seminarium do Genewy.

– I zamierzasz tam jechać? – zapytał tylko.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziałam, wkurzona, że siedzę nago na kolanach mężczyzny i wywołuję w nim zaledwie taką leniwą zazdrość. – Nie sądzisz chyba, że on w tej Szwajcarii nie będzie niczego próbował? – dodałam, dodając w myślach: „Zareaguj, do cholery!”.

– No, to jest jasne i oczywiste – odpowiedział, i to było wszystko.

Andréa, w gruncie rzeczy, nie chce tego widzieć. To zdecydowanie mniej irytujące wytłumaczenie.

Świetlisty i liliowy wieczór wczesnego lata. Ubrana zdecydowanie zbyt lekko, biegnę korytarzem metra, niosąc swoją mętną lubieżność jak krzyż. To też jest nowość: w ciągu dwóch tygodni i bez specjalnego powodu mój męski harem się podwoił i niezdrowo cuchnę seksem. W myślach często jestem o tysiące mil stąd. Pieprzę się frenetycznie: nigdy nie wylałam tyle potu i nie krzyczałam tak głośno. Andréa, Édouard, Zylberstein, Thomas Pariente czy Landauer nie mają dość rąk ani dość fiutów, żeby uciszyć moje sucze skomlenie. Czy kiedykolwiek przed Panem znałam znaczenie słowa „utrata”? Wszędzie, gdzie idę, obżeram się mężczyznami, pożeram ich oczami zza zasłony włosów. Brakuje mi mężczyzny, gdy tylko zostaję sama. Wszędzie szukam Pana i odnajduję go po trochu w swoich kochankach, w swobodnych wypowiedziach Zylbersteina i w elokwencji Thomasa, w mrocznym głosie Jérôme’a Landauera, w owalu twarzy François. I przez to mam zły powód, by każdemu z moich „przyjaciół” – jak on lubi ich nazywać, otaczając to słowo cudzysłowem powątpiewania – móc się podporządkować.

Z wyjątkiem Édouarda.

Édouard ma trzydzieści sześć lat. Powiedziała mi o nim moja kumpelka Mélie, kiedy piłyśmy kawę na tarasie na place de la Bastille. Wraz z latem wracało słońce, ciepło i wysoki poziom estrogenów – ale nie Pan. Skarżyłam się na to ze znużeniem znamionym dla ogólnego stanu moich nerwów – słabo.

– Teraz, kiedy go nie widuję – mówiłam ogólnikowo – nie mam już faceta, który byłby do tego stopnia interesujący czy pozbawiony kompleksów.

Mélie opowiedziała mi wówczas o profesorze uniwersytetu, z którym sypiała przez jakiś czas; któregoś wieczoru, kiedy pili wino na kanapie, Mélie już lekko wstawiona przypomniała sobie, że ma okres – i że, jak większość mężczyzn, Édouard z pewnością natychmiast się zniechęci, gdy się dowie. Zażenowana uznała jednak, że musi być szczerą.

– Dla mnie to żaden problem – uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Naprawdę?

– A ty masz z tym problem?

– Zupełnie nie. Ale trochę mi głupio, że przyszedłam dziś wieczorem do ciebie. Jestem zatrutym jabłkiem.

– Jaja sobie robisz! – wykrzyknął Édouard, prawie spadając z fotela.

– To tylko krew; a wiem, że właśnie w tym czasie dziewczyna ma większą ochotę na seks. Żartujesz. Dobrze zrobiłaś, że przyszłaś.

Poszedł zmienić płytę w odtwarzaczu, a kiedy wrócił, zobaczył jak okrągła i słodka Mélie siedzi z rękami na kolanach, trochę jeszcze oszołomiona tym, co usłyszała. Pocałowali się.

– Faktycznie, miałam straszną ochotę – powiedziała mi, a ja słuchałam jej, drżąc i nie mogąc sobie wyobrazić, jak cudowny miał być ciąg dalszy.

Po bardzo ognistym pocałunku Mélie została już tylko w wielkich majtkach, które nosiła w czasie niedyspozycji, a że cała już drżała, szepnęła Édouardowi w szyję:

– Wyjmę tylko tampon i wracam.

Nie miała ochoty. Trzeba było dotrzeć do łazienki, załatwić sprawę z cichym poczuciem winy, umyć ręce i wrócić do pokoju, głupio przepraszając za popsutą atmosferę – bo nawet gdyby udawał, że niczego nie zauważył, to nie będzie już to samo podniecenie, przynajmniej przez jakiś czas. I oto cudowne rozwiązanie: Édouard wyszeptał jej w długie czarne włosy „Daj spokój, zostań” i zanim zdążyła powiedzieć słowo czy przewidzieć coś takiego, nie przestając jej całować, sam wyjął jej tampon, a potem położył go od niechcienia na starym „Le Monde”, na ziemi.

– Chrzanisz? – rzuciłam.

Nie wierzyłam w to ani przez chwilę.

– Przysięgam na wszystko, co mam najdroższego, że to prawda – odparła Mélie. – Pięć lat byłam z facetem i zawsze w takich momentach kryłam się jak trędowata. Nie mogłabym wymyślić czegoś takiego, Ellie.

– Muszę się spotkać z tym człowiekiem – oznajmiłam, prawie waląc pięścią w stół.

W rzeczywistości nie chodziło o historię z tamponem: nagle otwierał się przede mną świat nowych możliwości dzięki człowiekowi, który wystarczająco uwielbiał kobiety, by umiejętnie pozbawić je wrażenia, że są brudne. Mimo swojego obłądnego pragnienia, umiałam jeszcze odróżnić głupków od geniuszy – choć na zakończenie wszyscy okazywali się po prostu świetnymi ciałami.

Kilka godzin później dostałam wiadomość od Édouarda, któremu Mélie sprzedała mnie w takich słowach, że zaproponował mi spotkanie

następnego wieczoru.

Wystraszyłam się głupio: chciał mnie zaprosić na wino na place du Panthéon, ale byłam wtedy tak znużona, że nie czułam się na siłach prowadzić towarzyskiej konwersacji, zwłaszcza gdyby zabrakło tematu. Nie potrafiłam być czarująca i zabawna, chciałam się tylko pieprzyć, bez przerwy. Ale nie wypada iść tak po prostu do nieznanego faceta: cóż za nieszczęście. Unikałam Édouarda aż do chwili, gdy inna nasza wspólna znajoma zorganizowała imprezę. Wtedy się spotkaliśmy. Nie lubię opisywać wyglądu mężczyzny, bo automatycznie wychodzi z tego banał. Tak jest też w jego przypadku: gdybym powiedziała, że jest brunetem o wielkich czarnych oczach, pięknych białych zębach i wysmukłym mocnym ciele gracza w tenisa, to i tak nie pokazałoby tego, co się w nim naprawdę liczy. Édouard jest piękny; ciepłą, słoneczną urodą. Przez godzinę rozmawialiśmy o powieści, którą on uważa za wymierający gatunek. Walczyłam pazurami o Maupassanta, on odpowiadał Kunderą – skończyliśmy cztery dni później u niego. Kiedy z uśmiechem wyjaśniłam mu, jaki aspekt jego wieczoru z Mélie przyciągnął mnie do niego, wybuchnął śmiechem i od razu poczułam się dobrze w jego małym mieszkanku w Vincennes, z jego niezwykłym kotem i butelkami słodkiego różowego wina. Édouard jest, jak mi się wydaje, pierwszym, oprócz Andréi, u którego spałam, nie licząc godzin, które dzieliły mnie od wolności. Tej nocy zasnęłam jak kłoda, upojona, omdlała z rozkoszy i od słów, od których kręciło mi się w głowie.

Édouard zawsze był inny niż wszyscy. Stanowi odrębną kategorię jak Andréa i Pan, choć nigdy nie zrozumiał, z jakiego powodu otrzymał dla siebie całą oddzielną przegródkę.

– Nie możemy tego nazywać przegródką – wyjaśniłam mu któregoś wieczoru, kiedy już wypiliśmy i wypaliliśmy za dużo. – Nie klasyfikuję mężczyzn jak przedmioty czy też w zależności od funkcji – cóż by to był za koszmar! Ja ich klasyfikuję według siatki. Z jednej strony jest Pan, okej? Potem Andréa, który jest moim chłopakiem. Potem François i Timothée – oni są razem. Potem...

– Zaczekaj – przerwał mi. – Nic nie rozumiem. Dlaczego są razem?

– Bo to najlepsi przyjaciele. Spotkałam ich na tej samej imprezie.

Zresztą tam poznałam także Andréę. Potem Thomas Pariente i Olivier Destelles, którzy także idą w parze, bo są okropnie bogaci. Potem masz Zylbersteina, Jérôme'a Landauera, Octave'a i Paula. Tych wrzucam do tej samej przegródki, ponieważ są lekarzami i przyjaciółmi.

– To ilu jest lekarzy?

– Razem z Panem pięciu. Ale niech ci się nie wydaje, że szukam lekarzy. To dlatego, że kiedy dajesz palec, to wciąga ci całą rękę.

– A potem?

– Potem jesteś ty. Nie mogłabym cię włożyć do żadnej przegródki, nawet gdybyś stanowił część jakiejś siatki, na przykład tej, w której jest Zylberstein. Ty jesteś inny.

– Ale w czym inny?

Mogłam powiedzieć całą prawdę. Jesteś inny, ponieważ z jakiegoś powodu liczysz się bardziej niż wszyscy ci faceci, czy to dlatego, że jesteś tak niewpółcześnie grzeczny, czy dlatego, że naprawdę interesujesz się tym, co do ciebie mówię?

Ale od tak dawna nie miałam do czynienia, tak naprawdę, z mężczyzną i, szczerze mówiąc, obawiałam się wypaść niezręcznie albo go wystraszyć.

– Jesteś inny, bo pieprzysz się nadzwyczaj dobrze – wyjaśniłam, a nawet to trudno mi było powiedzieć.

Wybuchnął głośnym zadowolonym śmiechem, a ja dodałam entuzjastycznie:

– I także dlatego, że lubię cię bardziej niż innych. Jesteś miłszy.

Tak naprawdę Édouard jest najlepszy pod bardzo wieloma względami. Kiedy tak o nim mówię i kiedy moje przyjaciółki się dowiadują, że widujemy się dwa razy w tygodniu, któraś z nich zawsze czuje się w obowiązku zapytać, dlaczego nie chodzimy ze sobą. To pytanie, które zawsze odrzucałam wzruszeniem ramionami, tak jakby odpowiedź była oczywista, ale nigdy jej nie znalazłam. Bo jest ode mnie o szesnaście lat starszy. Bo to skomplikowałoby tę niezwykłą relację, która jest między nami (jak mogłabym użyć równie wyświechtanego pretekstu?). Ponieważ on nie jest we mnie zakochany, a ja, mój Boże, jestem zajęta, prześladowana, opętana przez Pana. Wobec Andréi mogę być totalnie fałszywa, wymyślać syntetycznie czułe pieszczoty, od których mięknie serce – ale Édouard na to nie zasługuje. Według mojego wyczucia Édouard zasługuje na jedną, jedyną rzecz: na rozkosz, prostą, ale spalającą na popiół.

Rue Gracieuse – idę maleńkimi kroczkami, w nadziei, że Pan wykaże się i zadzwoni do mnie w ciągu tych dwóch minut dodatkowej zwłoki. Nawet z iPod'em w uszach myślę tylko o tym; trzymam komórkę w spoczonej dłoni od początku drogi.

Przed domem Andréi klnę w milczeniu, no, dalej, jeszcze trzydzieści sekund... mam już dobre dwadzieścia minut spóźnienia, rzecz tak

niezwykła, że każdy wyczułby problem, ale wiem, że on z pewnością nie wyczuje, a na pewno nie zauważy mojej maski. Typowa sytuacja, w jakiej nienawidzę się za to, że od niego nie odchodzę: on mnie olewa i ja nauczyłam się go olewać, ale nadal jesteśmy razem, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Może z poczucia estetyki: uważam, że dość ładnie razem wyglądamy, uroczy Aszkenazyjczyk w okularach i różowa blond gojka. Prawdziwy kompleks Portnoya. Na pewno z wygodnictwa; tak jest od pięciu miesięcy, po co to zmieniać? Żeby co? Andréa i ja jesteśmy z rasy leni: to takie męczące zadawać sobie trud i się zakochiwać. Dla mnie też – za proste. Z Panem to bardziej bolesne – i jak na złość zabawa staje się interesująca: czuję, że wchodzi w każdy por mojej skóry, moje ciało się broni jak przed trucizną, ale na próżno. Myślę, że zawsze lubiłam, żeby mnie bolało, zanim zakochiwałam się w mężczyznach, którym to cierpienie zawdzięczałam. Tak długo, jak poszukujemy emocji, ludzie są tylko nośnikami i liczą się stosunkowo mało. Ale tylko do pewnego momentu – i tu, jak zwykle, wpadłam w pułapkę.

20.30

Nikt mi pewnie nie uwierzy, ale nienawidzę spotykać się z Andréą w takim stanie tylko z powodu kłamstwa. Bo fakt, że przez cały czas gram jakieś role, już mi nie przeszkadza. Przyzwyczałam się, że pieprzę się dużo i z wieloma mężczyznami, i to jest rzecz, do której przyznaję się bez skrępowań. Zdemoralizowałam się ostatecznie w kontaktach z nimi, szukam u nich tylko wrażeń, stymulacji mózgu, które odrzuciłyby mnie jeszcze kilka tygodni wcześniej – ale nienawidzę tak bezceremonialnie kłamać, tak jakbym już się stała dziewczyną bez zahamowań. Kłamię bez przerwy, w każdej sprawie.

– Wszystko w porządku? – pyta Andréa, otwierając drzwi swojego jasnego mieszkanka.

– Świetnie – odpowiadam, a mój ożywiony i figlarny uśmiech to jeszcze jedno kłamstwo.

Jestem kompletnie apatyczna; wyglądam, jakbym miała straszną chęć pójść do restauracji, a tak naprawdę mam ochotę tylko usiąść w fotelu i patrzeć na komórkę. Daję mu do zrozumienia, że nie mam majteczek, a dobrze wychowany Andréa udaje, że go to zainteresowało. I dokładnie wtedy, gdy zaczyna podszczypywać mnie w pupę, dzwoni jego komórka. Rozmawia z kolegą, a ja wychylam się przez okno. Jego uliczka wygląda jak teatralna dekoracja, widok na drugą stronę ma coś z komedii *dell'arte*; z zapartym tchem obserwuję przechodzących ludzi, którzy o tej porze idą do przyjaciół i na imprezy. Zewsząd słyszę śmiechy, stukanie

wysokich obcasów na nierównych chodnikach – i oddałabym życie, żeby być gdzie indziej, z dala od tego otwartego okna. Kurwa, duszę się. Słyszę tylko wesoły głos Andréi, ale działa mi na nerwy. Irytuje mnie jego śmiech. Denerwuje mnie jego uroczy zwyczaj przechadzania się po pokoju i drapania po głowie, gdy rozmawia przez telefon. Fizycznie brakuje mi Pana, tak bardzo, że reszta świata nie tylko jest mi obojętna, ale wręcz nieznośna. Ten mężczyzna jest jak narkotyk; kiedy tylko się pojawia, nawet na maleńki skrawek czasu, cały mój detoks za jednym gestem ręki idzie w kanał i znów zaczynam się trząść. Czasami serce bije mi tak szybko, że prawie mdleję, głowa wiruje mi jak dziecięcy bączek, a jakiś głos w środku powtarza mi nieustannie, że potrzeba mi Pana, Boże, potrzeba mi go.

– Jeszcze dwie minutki – szepcze Andréa. – Nie zdejmuj płaszcza.

Nagle z mojej torebki wydobywa się głucha wibracja, ale równie dobrze mogłyby to być trąby Sądu Ostatecznego: skaczę jak pchła w stronę swojej komórki, na której tęsknie mruga cudowny napis „numer prywatny”. Pan. Silna zmysłowość Pana wnika nawet do zimnego formalizmu nowoczesnych technologii. Nawet ten „numer prywatny” zdaje się kołysać przede mną. Odbierz, Ellie. Weź mnie. Wiem, że ślinisz się na myśl o tym, kto do ciebie dzwoni, kto też może się kryć za tą sybillińską wibracją. Kto zazwyczaj dzwoni kwadrans przed dziewiątą, jeśli nie ten mężczyzna, który nie daje ci spać w nocy tylko dlatego, że istnieje?

Odbieram. Trudno. Po drugiej stronie głos, który skręca mi jajniki, który rozdziera mnie na pół. Efekt jest taki, że nogi uginają mi się niepostrzeżenie. Zapinając pospiesznie trenecz, rzucam do Andréi, który z dziwną uwagą patrzy, jak wybiegam:

– Nie mam zasięgu, schodzę na dół.

– Poczekaj na mnie na ulicy – odpowiada. To lewe usprawiedliwienie wyraźnie mu wystarcza. – Skończę i przyjdę.

I nie ma już absolutnie nic innego na świecie, oprócz tej komórki w mojej ręce.

– Z kim rozmawiałaś? – pyta Pan.

– Z Andréą.

– Jesteś u niego?

– Wyszłam, żeby spokojnie porozmawiać.

A znaczy to, że włóczę się po ulicy jak dziwka w swoich wysokich szpilkach, które mnie gniotą, ale ja tego nie czuję. Niczego już nie czuję, tylko Pana.

Muszę być silna. Muszę sprawiać wyluzowane wrażenie, nie może się dowiedzieć, co się ze mną działo przez cały ten czas, kiedy nie dawał znaku życia. Ani na sekundę nie mogę zapomnieć, że dzwoni do mnie tylko dlatego, że go wkurwiłam, wdzierając się swoim telefonem do kliniki. Muszę sobie przypomnieć te odległe czasy, kiedy to dawałam się na próżno ścigać, kiedy dzwonił do mnie cztery razy, a potem wysyłał mi esemesy, które działały jak dłoń położona na karku: „Ellie...”.

Niestety, to już nieaktualne. To, co zostało jeszcze ze mnie w tym starannie umalowanym i ubranym ciele, dosłownie płonie z chęci zrozumienia, co złego zrobiłam, co takiego zrobiłam czy powiedziałam, co tak nieuchronnie oddaliło Pana ode mnie, od naszych ciemnych hoteli.

– Jak się miewasz? – zapytał.

– Dobrze, a ty?

– Pff. Jestem przygnębiony – rzuca, a w tle słyszę jakieś trzaski. – Czuję się staro.

– Nie jesteś stary, daj spokój! – odpowiadam z przekonaniem graniczącym z instynktem przetrwania.

Wiem, co Pan zamierza mi oznajmić. Tydzień temu zostało to napisane czarno na białym w jednym z jego esemesów: „Twoje spojrzenie i twoje dwudziestoletnie ciało powodują, że czuję się staro”. Zrozumiałam wtedy, jak okrutny jest rewers młodości – i nie mogłam nic na to poradzić. Nie mogłam przestać klaskać w dłonie jak mała dziewczynka, kiedy Pan przychodził do mnie we wtorek rano. I nigdy nie sądziłam, że ten rodzaj gorączkowego entuzjazmu okaże się wadą. Nie mogłam się tego spodziewać. Mogłabym być szczuplejsza, mieć jaśniejsze włosy, być nawet ładniejsza czy nie wiem co jeszcze, ale nie mogłam być starsza. Straszne, prawda?

– Musisz mi wierzyć. Nie jesteś stary.

– Nic na to nie poradzę. Wiesz, to się zdarza, taki czas w życiu.

– A ja? Co mam zrobić?

– Wiem, koteczku.

Koteczku. Tego słowa używa zamiast „kochanie”, kiedy wydaje mu się, że kapryszę.

– Po prostu teraz nie mam na nic ochoty.

– Nawet na mnie?

Pan śmieje się z rozczeniem, śmiechem, który zawsze mi się z nim kojarzył.

– Kiedy cię widzę, mam ochotę się kochać. A, przy okazji, zdjęcia twojej pupy doprowadziły mnie do obłędu.

Uśmiecham się; żałosna sprawa. Jak dziwka usiłowałam go złowić zdjęciami w bieliźnie lub bez, choć nawet moja pupa wygląda strasznie smutno – ale Pan widział tylko moją różową skórę, więc się uśmiecham.

– Chcesz, żebyśmy przestali się widywać?

– Nigdy tego nie powiedziałem.

– To co robimy?

– Nie wiem.

– No a co wiesz?

Obejmująca się para zerka na mnie, słysząc mój płaczący ton.

Wydaje mi się, że jestem tak strasznie sama, że mówię za głośno, nie widząc nawet, że kilka metrów dalej, za rogiem budynku, który służy mi jako kryjówka, Andréa czeka na mnie przy samochodzie. Daje mi znak ręką, a ja czuję się tak strasznie stłamszona, jakby to było dziesięć palców, które zaciskają się wokół mojego gardła; przez chwilę mam wrażenie, że coś wyczuł, że nie zauważył tysiąca sygnałów, ale ten – tak.

– Nie jesteś sam w tym związku. Ja też istnieję. Jeśli nie chcesz się już ze mną spotkać, wolę o tym wiedzieć, niż żyć jak narkomanka, która czeka na swoją działkę – mówię, zniżając głos.

Idę niespiesznie w kierunku Andréi, nie mogąc nawet wyobrazić sobie, że kończę tę rozmowę. Mam nerwy w takim stanie, że nadal mówię, siedząc obok niego w mikroskopijnym wnętrzu fiata 500. Mam tylko nadzieję, że nie słyszy niskiego, łagodnego głosu Pana, który się broni:

– To niemiłe, jak tak mówisz. Że jesteś jak narkomanka.

– Niemiłe dla kogo?

– Dla mnie. Wiesz, nie mam w tej chwili łatwego życia.

A ja? Myślisz, że mi się to podoba? Być jak ostryga, gdy ciebie nie ma, bezustannie otwarta, żeby przechwycić w locie twoje wiadomości i telefony? Być jak kotka w rui, która wygina się z wypiętą pupą na murku na dole pod twoim domem, miaucząc, aż dusza boli, z mokrą szparką, przyciągając niechcący wszystkich samców wokół – i cóż ja mogę robić z tą swoją chorobliwą obsesją na twoim punkcie? Oczywiście, oprócz tego, że mogę dać im się brać, żeby zabić czas, choć konam z pragnienia, żeby im podrapać mordy do krwi? I myślisz, że mi się podoba, że się zmuszam, by nie myśleć o tobie całymi dniami, że złudną nadzieją, że moja cisza zabije twoją? Te wszystkie wysiłki nie odnoszą żadnego skutku. W ten sposób ugrzęzłam w twoim cieniu: wyszukuję cię w Google i spędziwszy dwie godziny, dowiadując się o tobie wszystkiego tego, co i tak znam już na pamięć, otwieram oczy na kilka sekund: co ja robię, do kurwy nędzy? Ostatnio, oprócz jedzenia i spania nie robię nic,

z czego mogłabym być dumna, nic, co nie wiązałoby mnie z tobą, i oto mój chłopak zabiera mnie na kolację, którą oddałabym bez chwili wahania za dodatkowe pięć minut słuchania twoich pijackich obietnic. Mam dwadzieścia lat i mogłabym pochłonąć cały świat, ale nie mogę, bo to ty mnie pochłaniasz. Więc kto nie ma w tej chwili łatwego życia, twoim zdaniem? Superbogaty, ustabilizowany chirurg otoczony kochającą rodziną i uwielbiającymi go przyjaciółmi czy ja? Komu jest ciężiej?

– Wierz mi, dla mnie to też nie jest łatwe.

– Wiem, koteczku. Ale dlaczego mówisz, że czujesz się jak narkomanka?

– Dobrze wiesz dlaczego. Po prostu chcesz to usłyszeć.

Andréa patrzy na mnie spokojnie, czeka jak chłopak, którego dziewczyna zaraz skończy rozmawiać. Ten spokój w jego pięknych ciemnobrązowych oczach załamuje mnie i złości równocześnie.

– Dla ciebie to łatwe – mówię. – Zjadłeś ciastko i masz ciastko.

– Nie, to dla ciebie wszystko jest łatwe. Ilu mężczyzn, twoim zdaniem, oddałoby absolutnie wszystko, żeby znaleźć się na moim miejscu?

– W dupie mam innych.

– Nie masz zobowiązań, jesteś wolna. Ja muszę dalej żyć tak, jakby nic się nie stało.

Pan, odkąd sięgam pamięcią, nigdy nie doceniał zdolności reaktywnych serc tak młodych jak moje.

– Wiesz, że to nieprawda. Że to jest dla mnie trudne do zniesienia. Dobrze wiesz, jaka jestem. Wariuję, kiedy nie wiem, co się dzieje, kiedy nie wiem, czy mogę ci pomóc czy nie.

– Nie możesz mi pomóc. Tylko ja sam mogę to zrobić, to przejdzie.

– Więc nie zapominasz o mnie?

– Nie zapominam – uśmiecha się Pan.

– Przysięgnij.

– Jak mógłbym o tobie zapomnieć?

Zamykam oczy w ekstazie; kilka minut później ta chorobliwa radość zniesmaczy mnie do łez, już to wiem, ale jest mi tak dobrze, mój Boże, tak bardzo tego potrzebowałam...

– Co chcesz jeść? – szepcze Andréa i budzę się z mojego słodkiego, narkotycznego odrętwienia, by wzruszyć ramionami.

– Książka posuwa się naprzód? – pyta Pan, ale teraz, kiedy Andréa łamie sobie głowę nad wyborem restauracji, nie mogę już sensownie rozmawiać.

– To teraz skomplikowana sprawa – odpowiadam z nadzieją, że zrozumie mój przekaz.

– Nie bardzo możesz mówić?

– Nie bardzo. Powiedzmy, że możliwości są ograniczone.

Pan śmieje się gardłowo, śmiechem, który przenosi mnie o kilka tygodni wstecz, kiedy naszą ulubioną grą było prowadzenie najbardziej niewłaściwej w świecie dyskusji przy moich rodzicach siedzących dwa kroki dalej. Zasady w gruncie rzeczy się nie zmieniły.

– Zadzwoń jutro, będziesz sama?

– Tak, tak będzie dobrze – kłamię, zdecydowana już, że wyjdę od Andréi jak złodziejka, o jakiejś zupełnie niemożliwej godzinie.

– Całuję – rzuca i to już koniec.

Atmosfera w samochodzie nigdy nie była cięższa niż tego wieczoru. Pocę się w swoim trenczu jak mysz. Przez ułamek sekundy śledzę uważnie Andréę spod grzywki. Co my tu robimy, kochanie?

– Masz ochotę na japończyka?

– Jedźmy.

A potem zapada dziwna cisza, ten rodzaj ciszy, który wywołuje burzliwe dyskusje, pakuję się więc w kolejne kłamstwo:

– Mówiłam ci, że organizujemy imprezę z okazji urodzin mojej siostry?

– Nie.

– Chcemy ściągnąć orkiestrę freejazzową. Rozmawiałam z jednym kumplem, który mi obiecał, że spróbuje załatwić superfajną grupę. Ma do mnie zadzwonić.

– Teraz? To z nim rozmawiałaś?

– Tja. Mam nadzieję, że się uda.

– Free jazz to niezły pomysł – zauważa, parkując przy rue Monsieur-le-Prince.

– Uwielbiam free jazz – odpowiadam i wchodzimy pod rękę do restauracji tak ciasnej, że przez dwie godziny jakieś trzydzieści osób musi być świadkami hałaśliwych dowodów moich udawanych napadów czułości.

Myśl o Panu powoduje, że jestem zabawna i tryskam energią, a Andréa jest idealną publicznością, śmieje się ze wszystkiego, co mówię, głaszcząc pod stołem moje kolana. Jesteśmy bardzo estetycznym oszustwem.

Następnego dnia rano, dokładnie o ósmej, otwieram oczy, gdy Andréa kocha się ze mną na swój delikatny i niezręczny sposób ledwie

przebudzonego chłopczyka. Wzruszają mnie jego ręce. Wzrusza mnie sposób, w jaki pieści mi piersi.

– Robisz to tak cudnie – wzdycham. – Chciałabym, żeby były większe, żeby jeszcze lepiej czuć twoje dłonie.

– Twoje piersi są idealne – odpowiada mi we włosy, pachnąc kawą i przypieczonym chlebem. Jego palce biegają po moich sutkach. – Można by rzec, że stają – mówi i to ostatnie zdanie tak podnosi mi ciśnienie, że zacznę gwałtownie poruszać tyłkiem.

– Podniecasz mnie – mruczę, siedząc na nim, i pieszczę się dłonią, która wciąga się w to bardziej niż ja sama.

Andréa we mnie jest twardy jak stal. W bladym świetle poranka zafascynowana patrzę, jak jego chuj powoli wychodzi i wychodzi z mojej wciąż zaspanej cipki. Kiedy z nim jeszcze nie chodziłam, sama chęć zobaczenia go nago nie dawała mi spać. A kiedy już zasypiałam, śniłam tylko o fiucie Andréi Levingera. Teraz jestem rozdarta pomiędzy rozkoszą a cieniem komórki leżącej pod moimi majtkami.

Czy Pan domyśla się, że właśnie się pieprzę? Czy domyśla się, jak bardzo mogę być inna w środku i na zewnątrz? Musiałby tu być, żebym mogła na niego patrzeć, pompując machinalnie Andréę, z martwym wzrokiem i całą resztą, która wygląda, jakby nie posiadała się z radości. Jestem gigantyczną sprzecznością. Ostatecznie prawie nie sposób stwierdzić, że nie udaję tej perwersyjnej zmysłowości.

– Teraz – wzdycha Andréa i jego piękne plecy wyginają się, jego paznokcie wbijają się w moje pośladki aż do bólu i nienawidzę się, nienawidzę się.

Nienawidzę się, ponieważ jedyna rzecz, o której myślę, gdy jego sperma spływa mi po nogach, to rozmowa z Panem.

– Zdzwonimy się, kochanie? – szepczę mu w szyję.

– Idziesz już? Tak wcześnie?

– Zapomniałam kluczy, powinnam wrócić do domu, zanim matka wyjdzie do pracy.

Babette nazwie mnie kanalią, kiedy się o tym dowie. Ale może się nie dowie. W końcu to, że jestem nieszczęsnym gównem, to tylko moja sprawa.

Kilka minut później idę korytarzem metra z komórką w dłoni.

Jak to jest, Panie, być jak narkomanka? Oprócz tego, że czekać na twoje telefony i znaki życia jak na hausty tlenu, to także to, co zdarzyło się dziś rano: do wpół do dziesiątej wyczekiwać w napięciu we własnym pokoju z hermetycznie zamkniętymi okiennicami. Złamać się wpół, zdając

sobie sprawę, że o mnie zapomniałeś mimo obietnicy z poprzedniego dnia. Patrzeć, jak upływa dzień i drzeć przez całą tę godzinę, kiedy wiem, że wracasz do domu – drzeć na próżno. Bo, i nie pojmuję, że jeszcze mnie to dziwi, wyslizgnąłeś mi się z rąk jak mydło.

Ellie

Kochanie,

mam nadzieję, że masz się lepiej. Że przeszła ci chandra.

Moim wielkim problemem jest to nieustające wrażenie, że zebrzę o wiadomości od ciebie – a to jest coś, czego nie znoszę. Chociaż nie jestem przesadnie dumna, nienawidzę się tak zachowywać. Wiem, że zasługuję na więcej. I najbardziej martwi mnie, że nasza historia (jeśli możemy to nazwać historią) nagle się rozjechała, choć nigdy nie byłam tak naiwna, by sądzić, że jesteśmy na progu szalonego romansu. Wiem, kim jesteśmy, jak żyjemy. Myślę, że jestem wystarczającą realistką w kwestii wysiłków, jakie oboje mogliśmy wykonać.

I dlatego nie rozumiem. Nie miałbyś racji, litując się nade mną – wolę, żebyś mnie nienawidził. Nieustannie się dziwię, że tak totalnie nie mogę zrozumieć tej sytuacji. Wydawało mi się, że coś jest z tobą nie tak... najwyraźniej to częściowo moja wina i w niczym nie mogę ci pomóc. Przypuszczam zresztą, że ty nie chcesz mojej pomocy – zarozumiałością byłoby tak myśleć. Ale nie mogę się zmusić, żeby zapomnieć, i chcę wiedzieć, jak się miewasz, bo cię Poznałam i od tej chwili te szczegóły mają dla mnie znaczenie.

Przerabiam tę sytuację w głowie bez ustanku, ale wiesz, nie pojmuję jeszcze wszystkich męskich podtekstów i nie wiem, co to znaczy „jestem przygnębiony”. Dla ciebie być może to całkiem jasne, ale jeśli mógłbyś się zniżyć do mojego poziomu i nazywać rzeczy po imieniu, byłaby to nieprawdopodobna oszczędność czasu, a także ulga.

Miałam wrażenie, że między nami było tak dobrze, i rozmawialiśmy ze sobą tyle, że ta nagle przerwa w komunikacji mnie zabija. Wiem, że nie zawsze jesteś wolny i jest po temu wiele powodów, a teraz to inna kwestia. Nie odzywasz się wcale. I nie mogę uwierzyć, że to nie moja wina.

Wiesz, pod pewnymi względami jestem dość prosta. Kiedy cię spotkałam, wiedziałam, że nie ma sensu przesadnie się angażować, że nasze relacje będą ograniczone do minimum – cudownego minimum. Nigdy nie byłam tak głupia, żeby pomyśleć, że mogłabym cokolwiek zmienić, i nigdy tego nie chciałam. Zaczęłam tę historię z zamiarem utrzymywania z tobą całkowicie uczciwych stosunków i postanowiłam, że nie będę cierpieć bardziej niż to konieczne. Dlatego uważam, że dobrze byłoby przywrócić taki układ, w którym będziesz mnie informował w najprostszym możliwym sposobie, jak ewoluują twoje chęci.

Być może moje listy spowodowały, że pomyślałeś, iż zaczynam za bardzo się przywiązywać. Przywiązałam się, to prawda, ale inaczej nie potrafię, nawet w takim związku jak ten. Potrzebuję do życia uczuć bardziej konsekwentnych niż pożądanie, nawet tak gwałtowne.

Kiedy wracam myślą do początku, powtarzam sobie często: „OK, to niemożliwe, z pewnością dzieje się coś, co nie pozwala mi odpowiedzieć, wyglądał przecież na bardzo zadowolonego, kiedy rozmawialiśmy ze sobą!”. Moją jedyną naiwnością jest przymykanie oczu na twoje tchórzostwo – wiem, że mężczyźni to tchórze. Są tak samo tchórzliwi, jak kobiety skomplikowane. Krótko mówiąc, nie mogę uwierzyć, że kłamałeś przez cały czas albo że po prostu odgrywałeś komedię tylko po to, żeby mnie przelecieć. Wydaje mi się to zresztą głupie, bo to ja się do ciebie odezwałam pierwsza.

Pomyślałam wreszcie, że mając żonę, nie chcesz utrzymywać regularnego związku, a przynajmniej choć trochę ciągłego. Jeśli tak jest, zrozumieć to absolutnie. W sumie mogę zrozumieć wszystko, pod warunkiem, że mi to wyjaśnisz.

Niewiele żądam. Prawdę mówiąc, prawie nic. Nie błagam cię właśnie, żebyś wrócił, proszę tylko, żebyś mi cokolwiek wytłumaczył. Maksimum dziesięć minut twojego czasu. Nie mam ochoty cierpieć, chcę zrozumieć, rozstrzygnąć wątpliwości raz na zawsze. I jeśli sądzisz, że jestem upierduską, która będzie laziła za tobą jak cień, żeby cię odzyskać, to się mylisz. Czołgałam się już parę razy za facetami, ale nigdy nie posunęłam się tak daleko – i nie zamierzam tego zaczynać w wieku dwudziestu lat, kiedy wiem, że nie ma nic tak odpychającego jak właśnie to. Wkurza mnie, że zachowuję się tak od kilku dni, nie pozostawiaj mnie w tym stanie.

To, co ci proponuję, to, co ci proponowałam od początku, jest dziecinnie proste. Nigdy nie mówiłam o zaangażowaniu. Ani o miłości. Ani o niczym innym, co mogłoby być uwiązaniem dla któregoś z nas. To, że jesteś pasjonujący i że mnie podniecasz, jest dla mnie wystarczającym powodem, żeby cię widywać. I jeśli mnie zechcesz, mam ci jeszcze wiele rzeczy do powiedzenia, do zrobienia, do pokazania. Dobrze się z tobą bawię. Prosta sprawa. Jeśli mnie nie chcesz, nie mam zamiaru się upokarzać, pętając wokół ciebie.

Kilka godzin temu wysłałam ci wiadomość z prośbą o jasną odpowiedź. Ciągle jej nie mam, więc proszę cię bardzo, żebyś zadzwonił do mnie, gdy będziesz mógł. Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie, zrób to dla siebie, żebym wreszcie przestała wysyłać ci esemesy. To musi być wkurzające na dłuższą metę.

Kochanie... trudno mi uwierzyć, że nie lubiłeś tych naszych wtorkowych poranków. I wszystkiego, co robiliśmy. Ale mogę się mylić, to mi się często zdarza. Wysł się, odpowiedz mi. Zdziwiłabym się bardzo, gdyby człowiek taki jak ty nie wiedział, jak irytujące może być oczekiwanie na czyjś znak życia.

Poza tym dręczy mnie myśl, że jest ci smutno. Gdybym ci powiedziała, że troszkę rozumiem, co czujesz w kwestii starzenia, to byś mi nie uwierzył, a jednak tak jest. Wiesz, myślę, że to jest jeszcze tragiczniejsze dla kobiet, gdy widzą, jak stopniowo zanikają ich magiczne możliwości. Ty jesteś jeszcze młody, w pełni sił; patrz, masz dwudziestoletnią pijawkę przypięta do twojego kołnierza. No, jeśli to nie jest sukces...

Bez żartów: bardzo chciałabym ci pomóc. Bo nie pretendując do roli najważniejszej kochanki i nie potrzebując przesadnie miłości, czuję, że twój smutek mnie dotyka. To dlatego mówiłam: „Posłuż się mną”. Jestem na razie tylko zawiązkiem i dlatego wchłaniam wszystko, czego możesz mnie nauczyć, co możesz mi zrobić, powiedzieć. Nie rozmawialiśmy wiele o tych sprawach, ale wierz mi, potrafię słuchać. I jeśli nie chcesz zanadto, żeby cię słuchano, umiem też inne rzeczy, znam słowa, gesty, sposoby, żebyś o wszystkim zapomniał. To może się wydawać śmieszne na pierwszy rzut oka, ale to nie jest mało: ofiarować komuś zapomnienie. Możesz się mną posłużyć, bo jestem silna, wiem, że jestem silna. Czasem mam wrażenie, że się uginam, ale nigdy się nie łamię. I będę umiała poradzić sobie z cierpieniem, jakie cię gnębi, jeśli mi o tym powiesz.

Jednym słowem zatem, słuchaj, wszystko, co mogę ci dać, to te cudowne początki tygodnia w niezwykłych kurewskich pokoikach, całe moje ciało oddaję do

twojej dyspozycji.

Ellie

(Dobra, wiem, że to może nie jest odpowiedni moment, ale pomyślałam sobie, że może, jeśli masz chandrę, zdjęcie mojej pupy będzie niczym miniminidziałka heroiny. Mogę sobie być twardym narkotykiem w strzykawce).

PS A poza tym książka posuwa się do przodu! Jak mam ją skończyć pisać, jeśli nie mogę postawić kropki?

Pan

Przede wszystkim nie przestawaj pisać *Pana*.

Ellie

A, tak szczerze, to co mam pisać?

Pan przemknął przez moje życie jak błyskawica, taka sama błyskawica, jaką miałam być i ja w jego życiu – jeśli wierzyć temu, co mi powiedział? Pan świetnie mnie pieprzył i pozwolił mi zauważyć mój tyłek od innej strony, ale tylko zauważyć, bo w końcu rzucił mnie tak jak trzynastoletni gnojek z mlekiem pod nosem, nic mi nie mówiąc, po prostu przestając się do mnie odzywać? Pan rzucił mnie jak idiotkę, nie mając nawet odwagi mi o tym powiedzieć?

Jaką historię mam z tego stworzyć, jeśli koniec jest taki żalony?

Jestem po prostu straszliwie urażona. Ostatni raz, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, wyciągnęłam do ciebie obie dłonie, i zdecydowanie mogłeś mi wtedy powiedzieć „to koniec”, byłam przygotowana, że to usłyszę. Nie rozumiem, dlaczego tak się w stosunku do mnie zachowujesz. Zrobiłam wszystko, żeby cię uszczęśliwić, niczego nie żądając w zamian, nie żądając nawet jakiegokolwiek wdzięczności. Jedyną rzecz, jakiej chciałam, to uczciwość. Ty nie byłeś nawet w stanie do mnie zadzwonić, żebyśmy o tym porozmawiali. Zdeptałeś wszystko, co mogłam ci dać, wszystko, co mogłam ci zaproponować.

Są inne sposoby, żeby się poczuć młodo, niż zachowywać się jak szczeniak. Mogłam ci dać wszystko, odrodzenie, namiętność. Zero zobowiązań. Mój Boże, nawet nie wiem, w jakim momencie mogłam cię stracić. Chciałam myśleć, że byłam zbyt miła, ale w sumie jednak nie. Nigdy nie będę miała o to do siebie pretensji ani o to, że się zakochałam.

Więc jedyną rzeczą, o którą cię dziś proszę, to żebyś miał odwagę do mnie jutro zadzwonić. I żebyśmy sobie wszystko wyjaśnili, raz na zawsze. Bo nie chcę uważać cię za prostaka, i jak ci to już mówiłam, gdy jesteś Panem, którego znałam, to mnie pociągasz. Bądź tym Panem, uroczym, eleganckim, czarującym, błyskotliwym – ale nie bądź tchórzem. To najgorsza rzecz na świecie. Nie potrzebuję tchórzliwego faceta w swojej książce, i mam nadzieję, że byłeś nim tylko z powodu jakichś bliżej mi nieznanych okoliczności. Widzisz, jestem miła – wyobrażam sobie, że tchórzostwo to nie twoja wina.

Zrób to dla mnie. Zostaw mi przynajmniej po sobie wspomnienie odważnego mężczyzny. To najmniejsza z rzeczy, które możesz zrobić, jeśli pozwalasz sobie oczekiwać na moją książkę. Myślę, że ja, ze swej strony, byłam w porządku.

Wydaje mi się, że w sklepie, w jakimś sensie, było jeszcze gorzej. Zazwyczaj brakowało mi motywacji, żeby wstać o wpół do ósmej w sobotę rano, ale teraz, kiedy jedyną rzeczą, jaką znosiłam, była samotność w moim pokoju w suterenie, chciało mi się płakać na myśl o tym długim, długim dniu za ladą. Poza tym naprawdę nie miałam ochoty rozmawiać z kimkolwiek. Kiedy otwierałam usta, wydawało mi się oczywiste, że ktoś zrozumie i wspomni Pana; miałam wrażenie, że ten człowiek wychodzi każdym porem mojej skóry, że cierpię przez niego od tysiącleci, podczas gdy minęło dopiero półtora tygodnia bez niego. Przez cały czas myślałam tylko o tym. Wyobrażałam sobie zemsty, wyszukane sposoby zapłaty za tę ciszę. Albo wymazywałam wszystko i Pan wracał, mówiąc: „Nie wiem, dlaczego to zrobiłem”. Czasem, kiedy układałam bukiet dla entego klienta, wśród stert kwiatów zdarzało mi się podnieść głowę, żeby patrzeć w pustkę. Moje ręce pracowały machinalnie i w ciągu jednej maleńkiej sekundy wieczności zdawało mi się, że widzę jego wysoką sylwetkę albo słyszę jego głos. Za każdym razem, kiedy musiałam użyć sekatora, zagrażało to moim palcom; a wszystkie pozostałe dziewczyny uważały, nie śmiać mi tego powiedzieć, że minę miałam przerażającą.

To było w tym mrocznym czasie, kiedy Pan przestał mi odpowiadać, bez względu na rodzaj sygnałów, jakie mu wysyłałam. Wariowałam, działając wbrew wszelkiej logice, wbrew wszystkiemu, czego kiedykolwiek dowiedziałam się o funkcjonowaniu mężczyzn. Jeśli zdarzyło mi się pograć, przerywając kontakty, już po dwóch dniach byłam przerażona, bo przecież Pan mógł uwierzyć, że już go nie kocham. Natychmiast gorączkowo wystukiwałam wiadomość, nienawidząc samej siebie z każdą sekundą bardziej. Myślałam, że mogę go oszukać, mówiąc wyłącznie o seksie, ale moje słowa pełne były smutku i braku logiki. I gdy beznadziejnie walczyłam z historią, o której cały świat miał niczego nie wiedzieć, zmuszałam się, by robić dobrą minę przed Andréą (który interesował mnie coraz mniej) oraz przed moją rodziną. Wy tłumaczyć matce, że mój zły humor jest spowodowany tylko niekończącym się strajkiem studenckim. Znaleźć wymówkę, żeby nie iść do ciotki, gdzie nieustannie prześladowały mnie wspomnienia tego urodzinowego wieczoru i świadomość, że mój wuj zna Pana, bo pracował z nim przez piętnaście lat; Boże, nie mogłam nawet na niego patrzeć, żeby nie widzieć

Pana. Robić wrażenie, że mnie to porusza, kiedy Andréa odwołał jedno z naszych spotkań i że szaleję z radości, kiedy zaproponował inne. Produkować urocze esemesy, żeby niczego się nie domyślał. Mieć w głowie tylko swoją komórkę na nocnym stoliku, gdy się kochaliśmy. Ukrywać przed wszystkimi tymi ludźmi moje złamane serce jak wstydlivą chorobę. Czasami, kiedy jechałam samochodem ze swoją matką, wyznanie cisnęło mi się na usta jak wielka gula, której połknięcie było torturą. Byłam na granicy zdjęcia z piersi tego niewiarygodnego ciężaru, myślałam sobie, że w sumie nic już z tym nie można zrobić, nic nie może być gorsze, nawet jeśli matka się zdenerwuje, nawet jeśli zagrozi, że porozmawia z Panem lub z Philippe'em. Chciałam, żeby ktoś wiedział. Żeby ktoś zdał sobie sprawę, że Pan jest zły i że mimo wszystkich swoich win nie zasłużyłam na takie traktowanie. Chciałam wreszcie wyrzucić z siebie wszystko: to wspaniałe wydanie Mandiargues'a, które trzymałam w pokoju, tę środę, kiedy matka sądziła, że jestem na pokerze u Timothée, podczas gdy Pan obmacywał mnie w klinice, wszystkie te razy, kiedy uciekałam z domu z torbą podróżną pełną wiktuałów i bielizny.

Ale ciągle rezygnowałam. Robiłam ostatni wysiłek, żeby powstrzymać się od tej spowiedzi, bo wiedziałam świetnie, że sprawię jej ból, i kiedy matka spoglądała na mnie znowu, przybierałam minę neutralną, a nawet fałszywie radosną: te uśmiechy literalnie przekrawały mnie na pół. Wracałam do swego pokoiku, gdzie pościel nietknięta od wyjścia Pana nosiła jeszcze ślady mojej katastrofy, do swojej rozpaczliwie milczącej komórki, do ciągle pustej skrzynki mejlowej. Mieszkałam w muzeum jego chwały. A czas płynął.

Nienawidziłam też tych chwil samotności, bo miałam skłonność do zarzucania się pytaniami bez odpowiedzi. Tak jakby istniała choćby najmniejsza szansa, że kiedyś dowiem się prawdy, zamulałam się zbieraniem wskazówek, które mogłyby mi pomóc zrozumieć, dlaczego pewnego pięknego dnia Pan zamilkł. Jakie były jego motywacje. Czy przyczyny, jakie mi rzucił na pożarcie, były do przyjęcia, czy kompletnie zmyślane. Rwałałam sobie włosy z głowy, analizując, jak traktować Pana, jak się dowiedzieć, czy mnie okłamał, i jakie były powody, dla których nie umiał mi się wytłumaczyć. Kiedy jedna część mnie chciała wierzyć, że uciekł, żeby się chronić, druga czepiała się żalosnej hipotezy, że może po prostu jest łajdakiem, do szaleństwa uwielbiającym pokazywać władzę nad bezbronną smarkulą. Było to równocześnie okropne i oburzające, gdy zdałam sobie sprawę, że dałam się złapać w tak prymitywną pułapkę i że klucz był aż zbyt prosty, zupełnie niewyrafinowany: Pan miał już dość.

A kiedy Pan miał dość, udawał martwego. Niestrudzenie powtarzałam Babette: „Mogłam się tego spodziewać. Powinnam przewidzieć, że nic nie będzie proste”.

A Babette, która wiedziała to od początku, od moich pierwszych zachwyków nad zręcznym słowem Pana, nie ośmieliła się nigdy pisać słówka – jedynie przeciągle wzdychała. Cóż zresztą było do powiedzenia? Cały świat mógł bezkarnie ze mnie kpić. Śmiech był tak logiczny, że aż nudny.

Pamiętam jeszcze jeden poranek, kiedy wracałam do domu po długiej nocy u Andréi. Zaspana szłam machinalnie brudnym korytarzem, kiedy nagle poczułam falę zapachu perfum Pana. Podniosłam gwałtownie głowę jak rażona prądem, stałam przez dziesięć minut z rozdętymi nozdrzami, żeby się zorientować, skąd napływał ten okrutny zapach, od jakiego mężczyzny, jakiego cienia. Bolało, Boże, ależ bolało. Przez kilka sekund wydawało mi się, że złapałam trop, na ślepo; rozgorączkowana szłam za tą masą ludzi bez nadziei, że rozpoznam w niej Pana, uznając najwyraźniej, że jego zapach, nawet tak ulotny, będzie wystarczającym substytutem. Perfumy są takie zdradzieckie: obcy ludzie dzielą z ukochanymi zapach, który zdaje się wam tak szczególny. Nie wiedząc o tym, idą obok was, ocierają się o was i przepraszają, a wy czujecie, jakby odpłynęła z was cała krew. Pustka do łez, osaczają was fale wspomnień o tym, co ten zapach oznaczał, co sugerował biciem serca i znajomym dotykiem skóry. I oto nagle cały świat zapachów kryje się w anonimowych włosach i za anonimowymi uszami. Właśnie teraz, podczas kilkudziesięciosekundowej przypadkowej przepychanki, ktoś depta, bezczęści cały kawałek waszego życia. A przecież ci ludzie nie chcą wam zrobić przykrości.

W sobotę rano nic nie szło tak, jak powinno. Po tygodniach niepewności zrozumiałam, że Pan miał teraz plany, które w najmniejszym stopniu mnie nie dotyczyły i że nie było już dla mnie miejsca w żadnym obszarze jego egzystencji. Uświadomiłam sobie, że już mi nie odpowie i teraz krystalizował się we mnie brak zrozumienia dla tej sytuacji; cóż takiego zrobiłam, mój Boże, jaki błąd popełniłam, że Pan traktuje mnie z taką zimną podłością? Jak można było przerzucić się z jednej skrajności w drugą w ciągu kilku dni? Jak doszło do tego, że kompletnie ignoruje osobę, którą nazywał swoją miłością, której tak bardzo pożądał, osobę, którą, z pełną świadomością, rozkochał w sobie? Dlaczego tego nie wyjaśnić? Chciałam tylko zrozumieć. A jeśli Pan chciał definitywnie zapomnieć o tej historii, bez względu na przyczyny, dlaczego

poprzedniego dnia wysłał mi tę wiadomość jako jedyną odpowiedź na mój monolog o zerwaniu: „Przede wszystkim nie przestawaj pisać *Pana*”?

Oczywiście powinnam pisać dalej; mógł tylko zachęcać mnie do redagowania książki o sobie. Jakież to pozytywne wzmocnienie, myśl o zesmerowanej młodej kobiecie, która ofiarowuje tę odrobinę talentu pisarskiego mężczyźnie, którego nie może już mieć. Jakaż radość dla takiego pomnika egocentryzmu, jak Pan; nikt nigdy aż tak nie dopieścił jego miłości własnej. Gdy dostałam tamtą wiadomość, naprawdę zaczęłam sobą gardzić, gardzić tym niewyobrażalnym brakiem godności. Chciałabym móc choć w jakimś stopniu pisać z miłości do sztuki albo z ambicji, że kiedyś książka będzie wydana, ale Pan właśnie zdmuchnął te wszystkie cele i został tylko jeden: skończyć pisać tę książkę, by móc go znów zobaczyć – i tyle. Nawet to, tę godność zostania pisarzem i zbudowania życia na nieuchwytniej sile słów, także zbrukał. Te stronic, które błyskawicznie pokrywałam słowami, były już tylko nędzną przynętą, sposobem, żeby go opiewać i nienawidzić – a w tym wszystkim w gruncie rzeczy nie było już żadnej różnicy między pisarką, jaką chciałam być, i wszystkimi ludźmi, którzy uważali akt pisania za *katharsis*, nie zdając sobie sprawy z tego, jaki wysiłek i jaką sztukę poniżali w ten sposób, sądząc, że się jej przysługują. Pisać, to znaczy zobaczyć znów Pana – który zbyt kochał sam siebie, by oprzeć się pokusie przeczytania dwustu czy trzystu stron o sobie.

Tego sobotniego ranka, kiedy nuciłam coś pod nosem, wyrównując długość łodyg czerwonych róż (jedyne moment, kiedy czułam, że żyję, to ten, kiedy kolec wbijał mi się w dłoń), jedna z moich koleżanek podeszła, by włożyć pieniądze do kasy, i wyszeptała:

– No i co? Masz jakieś wieści? Dzwonił do ciebie?

– Kto? Andréa?

Spojrzała na mnie porozumiewawczo, a ja zrozumiałam, że pytanie niestety dotyczyło Pana. Oczywiście. Już od dość dawna telefon od Andréi nie był w moich oczach wydarzeniem. W najlepszych czasach mojej historii z Panem, kiedy podczas weekendu przytupywałam z niecierpliwości za ladą na myśl o spotkaniu z nim we wtorkowy rano, nie mogłam odmówić sobie przyjemności opowiedzenia kumpelce o tym żonatym, czterdziestosześcioletnim chirurgu, jego namiętności do erotycznych książek i naszych romantycznych uściskach w obskurnym hotelu. Niestety, kiedy sytuacja zaczęła mnie martwić, także jej powiedziałam; nie czekałam już niedzieli z takim podnieceniem. Prawdę mówiąc, na nic już nie czekałam, poza końcem pracy, by móc gnić

spokojnie w swoim pokoju, palić skręty z przyjaciółkami i udawać, że jestem szczęśliwa w ramionach innych mężczyzn.

– Lekarz! – sprecyzowała cicho, tak jakby Pan był sklasyfikowany jako tajemnica państwowa.

Spuściłam wzrok na swoje czarne od brudu ręce.

– Nie bardzo – odpowiedziałam żałośnie.

– Och, olej go. Zasługujesz na coś więcej niż na takiego typka.

Była z gatunku tych, którzy wyrażają myśli tylko za pomocą banałów, ale banalność wypowiedzi nie zakłóca ich klarowności.

„Zasługujesz na coś więcej niż na takiego typka” było z pewnością jej najgłębszym przekonaniem. W dodatku ona z natury nie była skłonna do okazywania sympatii czy współczucia i wbrew mnie samej poczułam się otulona ciepłą falą czułości i empatii tylko dzięki tym kilku słowom, które zirytowałyby mnie w ustach kogoś innego. Przez chwilę pomyślałam, że nikt oprócz niej nie zrozumiałby tego wszystkiego, bo znała moją historię, bo była w wieku Pana – więc maniery takich mężczyzn nie były jej w jakimś sensie obce – i bo, mój Boże, była tu, na miejscu, a ja musiałam z kimś pogadać. Musiałam z kimś pogadać, bo inaczej sama bym się zagryzła. Więc zaczęłam:

– Wczoraj wysłał mi wiadomość i...

Urwałam, żeby zrobić dobrą minę i spojrzeć jej w oczy; oparta o kontuar przestała przybierać bukiet jaskrów, żeby mnie wysłuchać.

– ... To znaczy od ponad dziesięciu dni nie miałam od niego wiadomości, więc miałam już tego dość i wysłałam mu mejla, żeby powiedzieć, że to już koniec, chociaż to była chyba ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę. Musiał zrozumieć, że tylko go sprawdzałam i w głębi duszy chciałam jedynie, żeby zmienił zdanie i wrócił.

Widziałam w jej oczach, że od samego początku wiedziała, że tylko udawałam, że to ja rządę i że ta historia nie mogła się skończyć inaczej. Że przecież byłam za młoda i za miła, by na dłuższą metę mieć władzę nad takim mężczyzną jak Pan.

– Do tej pory mi nie odpowiadał – kontynuowałam, czując, że głos mi trochę drży. – I wczoraj, koło jedenastej, dostałam wiadomość, jedyną...

Położyła mi rękę na ramieniu, ostatnia rzecz, jaką powinna była zrobić, bo współczucie w chwili, gdy byłam na skraju załamania, nie pozwalało mi zachować zimnej krwi. Nawet przełknięcie śliny stało się niemożliwe. Z całej siły schwyciłam się kontuaru, mając nadzieję, że jeśli skoncentruję wzrok na swoich zbieleiałych kostkach, broda przestanie mi się

może tak konwulsyjnie trząść.

– ... jedyną wiadomość w ciągu dziesięciu dni, wysłał ją tylko, żeby mi powiedzieć „przede wszystkim nie przestawaj pisać swojej książki”, bo ja piszę o nim powieść i...

W połowie zdania gula siedząca mi w gardle całkiem mnie zdusiła, pole widzenia stopniowo przesłoniły mi łzy, ale dzielnie mówiłam dalej, teraz histerycznie łkając. Wrzeszczałam z całą mocą rozpacz, kompletnie nie zwracając uwagi na starowinkę, która właśnie niosła kocimiętkę do mojej kasy:

– W końcu jedyna rzecz, jaka go interesuje do tego stopnia, żeby raczył mi odpowiedzieć, to ta książka, którą piszę ku jego chwale, wyobraź sobie, jakim trzeba być bydlakiem, kurwa... co za bydlak!

Dała mi znak, że nadchodzą dwie inne koleżanki, była już pora obiadowa, więc zamilkłam i tylko żałośnie pociągałam nosem, z zapłakanymi oczami patrzyłam na dłonie zaciśnięte na brudnym drewnie, od czasu do czasu wstrząsana żalonym okrzykiem niepowstrzymanej wściekłości. Zaczęły mnie pytać, co się dzieje, ale wyjąkałam, że wszystko w porządku, że jestem po prostu wyczerpana – co tylko w połowie było nieprawdą; byłam na skraju załamania nerwowego, chociaż czas spędzałam głównie na spaniu.

– Uspokój się – powiedziała, wyciągając swoje marlboro. – Masz, idź na pięć minut na dwór zapalić fajkę.

Wytarłam zasmarkany nos w dziurawy rękaw swetra i wyszłam na chwilę pod drzewo. Cichutko paliłam, a w głębi sklepu wszystkie dziewczyny kłębiły się, żeby się dowiedzieć, co, jak i dlaczego doprowadziło mnie do płaczu.

Więc, Babette, kiedy ci mówiłam, że nigdy nie będę płakała z powodu takiego bydlaka, to była nieprawda; tego dnia płakałam z jego powodu, a pod moim drzewem wraz z dymem, który chwiejnie unosił się z papierosa, przysięgałam sobie na wszystko, co miałam najdroższego, że to się już nigdy nie powtórzy.

Do tej pory dotrzymałam słowa.

Niedługo potem spędziłam wieczór z Valentine, w jej mieszkaniu pod dachami Czwórki. Niedawno wyszłam ze sklepu: pisałam kawałek *Pana*, siedząc zmordowana przed jej domem i czekając na nią. Minęło już tyle czasu od chwili, kiedy główny bohater się objawił, że ta historia zaczęła przypominać odległy sen, którego wszystkie szczegóły zapamiętałam i który nieustannie mnie prześladował. Chwilami tylko moje dobre wspomnienia przerywał dziwny ból, który odzywał się jak stara

rana. W pewnym sensie to było jeszcze bardziej chore niż te noce spędzone na oddychaniu Panem, na bezustannym przewracaniu się z boku na bok, w poczuciu, że moje ciało szlocha z pożądania: myślałam tylko o nim, zasypiając, budząc się, i w końcu nie widziałam już w tym niczego dziwnego. To stało się moim życiem.

Valentine zatrąbiła, żeby zwrócić moją uwagę.

– Wsiadaj, głupolu. Muszę znaleźć jakieś miejsce do zaparkowania.

– W wieczór Gay-Pride, w sobotę, przy pięknej pogodzie, w twojej dzielnicy?

– Znam dobre miejsca – zapewniła mnie, więc usiadłam koło niej, mrużąc pod nosem.

Valentine z braku punktualności uczyniła życiową filozofię i nigdy nie przyszło jej do głowy za to przeproszać. Zapaliłyśmy papierosy i zaczęłyśmy opowiadać sobie najnowsze przygody, a ona manewrowała swoim fiacikiem w maleńkich uliczkach, wijących się wokół wyspy Saint-Louis – i co chwilę nadzieja na miejsce, pojawiała się i znikwała, za sprawą sprytniejszych od niej kierowców. Na rue François-Miron ogródki były pełne, przez chodniki przelewały się tłumy przechodniów i turystów przemierzających się niespiesznym, plebejskim krokiem. Valentine jakoś identyfikowała się z tym tłumem i hamowała z czysto paryskim spokojem, co chwilę przerwając wypowiedź okrzykiem „dupek!”, ale nie było w tym żadnej złości.

– A Pan? – zapytała w końcu, kiedy stanęłyśmy na czerwonym świetle – Żadnych wieści?

– Jak wyżej – westchnęłam. – Mówiłam ci, że ostatni znak, jaki od niego miałam, to był mejl. Poradził mi, żebym nie przestawała pisać książki. No, jasne...

– Co za bydlak – rzuciła Valentine bez żadnych emocji.

– Od tamtej pory cisza w eterze. Oczywiście, myślę tylko o nim. Ale ponieważ jest nieprzewidywalny, nie mam pewności, że się nie objawi jakiegoś pięknego dnia, kiedy najdzie go chęć znów się połączyć.

– Ach, ten Pan... – dorzuciła, nadal bez emocji.

Valentine swoimi zdawkowymi komentarzami pokazywała mi (niechcący lub przeciwnie), że ta historia nie robiła na niej specjalnego wrażenia. I nawet jeśli starałam się znaleźć dla niej jakieś wytłumaczenie, byłam urażona i zdołowana tym, że tak bliska przyjaciółka nie zadawała sobie nawet trudu, żeby okazać jakiegokolwiek zainteresowanie. Przedtem, zanim poznałam Pana i zanim zapłaciłam za to słoną cenę, nigdy bym się nie narzucała. Pewnie nawet rzuciłabym jakąś na wpół żartobliwą, na wpół

poważną uwagę na temat jej lekceważenia. Ale potrzebowałam pogadać, nawet do ściany, nawet do kogoś, kto miał to wszystko głęboko w nosie.

– A więc nadal piszesz? – zapytała.

– Jak widzisz – odpowiedziałam, wskazując brodą na swój czarny zeszyt, leżący na schowku na rękawiczki.

– *Cool.*

Czy to dlatego, że sama pachniała szczęściem, tak słabo starała się zrozumieć moje cierpienia? Wykorzystała jakiś szczegół moich perypetii, żeby odwrócić rozmowę w kierunku jej miłości, więc zamilkłam i potakiwałam od czasu do czasu, tak naprawdę nie słuchając, zasmucona, że stałyśmy się sobie prawie obce, milcząco kontemplując dzielnicę, którą dzieliła z Panem. Nagle zdałam sobie z tego sprawę i zaczęłam rozognionym spojrzeniem przyglądać się kamienicom, tak jakbym mogła zobaczyć go w oknie.

– Dobra, odpuszczam – zdecydowała, ruszając gwałtownie. – Trudno, zostawię auto na parkingu, a wieczorem gdzieś je przestawię.

– Superpomysł – zgrzytnęłam zębami na tę inicjatywę, którą każdy inny wykazałby po pierwszych stu metrach beznadziejnych poszukiwań.

Przed nami pojawił się wąski korytarz parkingu Vinci i kiedy nieopatrznie podniosłam oczy, poczułam, że resztką mojego serca rozpada się na kawałeczki. „Parking Vinci Pont-Marie”, głosiła wielkimi białymi literami tablica, a w mojej durnej łepetynie paranoiczki natychmiast pojawił się napis: „Kochanie, wjeżdżam na parking Pont-Marie, może nam przerwać, zadzwonię później”. A Valentine wesoło pogwizdywała piosenkę Queenu, nie mając o niczym pojęcia.

– On tutaj parkuje – szepnęłam zdławionym głosem.

– Serio? O cholera.

– No.

Była dwudziesta pierwsza, godzina, o której Pan miał wszelkie szanse wracać z pracy lub już być w rodzinnym domu – i ten pierdolony parking zmieniał się w pole gry „Gdzie jest Charlie?”. Z twarzą przyklejoną do szyby, przeszukiwałam wzdłuż i wszerz każde piętro, napięta jak struna na widok każdego czarnego sedana, który mógł być podobny do jego samochodu. Wszyscy ludzie trzaskali drzwiczkami, zamykali samochody, a żadna z anonimowych sylwetek nie była jego sylwetką. Świrowałam. Musiał tu być, o tej godzinie nie mógł być nigdzie indziej.

W przypiływie przenikliwości, Valentine z trudem pokonująca diabelskie zakręty, rzuciła:

– Jeśli mieszka w okolicy, na pewno ma miejsce na parkingu dla mieszkańców.

I tak, jakby nie dość było śledzenia Pana w tym bezmiarze korytarzy, możliwe pole poszukiwań ograniczyło się właśnie w chwili, kiedy przejeżdżałyśmy obok rzeczzonego kwadratu dla VIP-ów – którego większa część była niestety ukryta za paskudnym murem. Przez kilka maleńkich sekund dosłownie wchłonęłam dziesiątki tablic rejestracyjnych i rozmatych karoserii, serce biło mi aż w uszach, a potem odpuściłam z żalem, już na wpół nieżywa. Na myśl o wieczorze sam na sam z Valentine, która nic z tego zrozumie, ba, nawet nie będzie próbowała, miałam prawie ochotę otworzyć drzwi samochodu i zwać w podskokach, jak dziki królik, a potem sama pielęgnować własne urazy i smutki w ogrodach przy Notre-Dame, gdzie mogłabym bez przeszkód wyobrażać sobie cienie Pana i jego rodziny na jakimś spacerku po kolacji. Gdybym była sama, mogłabym sobie wizualizować, jak codziennie wchodzi po tych obskurnych schodach, jak jeździ nieustannie psującą się windą, albo że jak inni nieszczęśni mieszkańcy wyspy Saint-Louis musi płacić obłądną opłatę za parking Vinci. Z Valentine, która perorowała o swojej cudownej historii miłosnej i swoim idealnym pod każdym względem chłopaku, nie było szansy na smęty. Zdawało się, że sprawia jej złośliwą radość to wyrywanie mnie z moich marzeń pod kiepskimi pretekstami, na przykład, że bołą ją nogi, albo że to będzie koszmar wychodzić o północy z domu, żeby znaleźć miejsce gdzieś poza tym parkingiem dla bogaczy, albo to, w jaki sposób Frédéric niezmiennie doprowadza ją do orgazmu. Wydawałam pomruki aprobaty, ciągnąc się za nią z zapałem zdechłej kozy.

Wynurzyłyśmy się z podziemi; na zewnątrz, quai des Célestins zalane pomarańczowym słońcem było dla mnie tylko pozorną ulgą. Wyglądało to jak scena teatralna pełna statystów, gdzie wszyscy czekają na głównego bohatera. A Valentine mówiła bez przerwy, zamęczając mnie swoim blablą, zatrzymując się co trzysta metrów, żeby pogrzebać w torbie, w poszukiwaniu fajek, kluczy, komórki, której karta SIM była zablokowana wiadomościami – nie można było szybciej. Czy nie dość, że promieniała tym swoim szczęściem, to koniecznie musiała tak się wlec przez tę dzielnicę? Czy ten wieczór koniecznie musiał tak się ciągnąć w tej zabójczej atmosferze naszej wzajemnej obojętności? Czy nic, absolutnie nic nie mogło być łatwe lub chociaż znośne?

– O, Fred do mnie dzwonił – zaczęła po dłuższej ciszy na rue du Prévôt. – Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli do niego oddzwonię? Tylko dwie minutki – zapytała tonem, w którym nie słyhać było oczekiwania na

moją zgodę, i ruszyła przed siebie, a ja zatrzymałam się na kratce wentylacyjnej metra.

– Mój Boże, Valentine – rzuciłam skonsternowana – gadamy już od pół godziny, a ty nawet nie zauważyłaś, jak jestem rozpieprzona.

Nie wypuszczając komórki z ręki, popatrzyła na mnie wyczekująco.

– Wiesz, moje życie od kilku tygodni trudno nawet nazwać głównianym. Nie przypominam sobie, żebym miała inny cel, niż znów zobaczyć Pana, schudłam ze cztery kilo, a ty, ty znasz mnie od dziesięciu lat i niczego nie zauważyłaś. Co jest grane?

Valentine zamarła na kilka sekund. Patrzyła na mnie, ja patrzyłam na nią z czerwonymi policzkami i płonącymi oczami, ciekawa, co też powie czy co robi teraz, kiedy nie może nie zauważyć mojego żenującego smutku, Pana, czy tego, że jeansy zjeżdżają mi z tyłka.

– Nawalimy się? – zasugerowała w końcu.

– Co wieczór zasypiam naćpana i to niczego nie załatwia.

– Czego ode mnie oczekujesz? Rozwiązania?

– Szczerze mówiąc, nie oczekuję niczego konkretnego ani od ciebie, ani od nikogo innego. Ale jest, jak jest, i naprawdę nie mam siły przez trzy godziny słuchać, jaka jesteś szczęśliwa i spełniona, gdy ja jestem nieszczęśliwa jak pies. To prawie normalne, że chcesz się trzymać jak najdalej od takich ludzi jak ja, ale sądzę – a nawet jestem pewna – że przyjaciele są także po to, żeby choćby udawać zainteresowanie, kiedy jeden z nich kiepsko się miewa. A więc nie, nie oczekuję od ciebie niczego, oprócz tego prawie instynktownego gestu wysłuchania i współczucia. Nie wiem, dlaczego zmuszasz mnie, żebym żebrała o coś, co ja ci zawsze dawałam bez wahania.

– Ellie, ja cię nie olewam, absolutnie nie.

Stojąc naprzeciw siebie, rozdzielałyśmy tę wkurzającą falę przechodniów.

– Po prostu trudno mi strawić całą tę historię z Panem. Dziś widzę cię po raz drugi może od czasu, kiedy rzucił cię Alexandre, jesteś już w nowym związku i nigdy nie widziałam cię tak nieszczęśliwej z powodu mężczyzny. Oczywiście, że to wszystko czułam, ale co ja ci mogę powiedzieć?

– Valentine, nie prosiłam cię, żebyś mi cokolwiek mówiła.

– Słucham cię, ale nie, rzeczywiście nie mam już ochoty cię słuchać, bo ta historia doprowadza mnie do białej gorączki. Nic nie mówię, bo jedyna rzecz, o jakiej myślę, to jak napluć temu typowi prosto w gębę. Widziałam twoją minę na parkingu, jak bardzo chciałaś znaleźć jego

samochód, ale powiem ci jedno, moja droga kumpelko: Pan może podziękować niebiosom, że nie znalazłam jego bryki, bo nie powstrzymałabym się od wydrapania mu na niej kluczem: „jebany skurwysyn”. Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chciałabym cię zapytać w związku z tą historią. Co ty masz we łbie, że pozwalasz się tak traktować czterdziestosześcioletniemu facetowi, który zdradza żonę, posługuje się twoim talentem literackim do własnych celów i który poza wszystkim nawet nie jest fajny? Chociaż wątpię, żebyś była w stanie odpowiedzieć na to pytanie.

– Tobie się nigdy nie zdarzyło cierpieć z powodu jakichś palantów? Nawet o czwartej rano odbierałam twoje telefony, kiedy Emmanuel cię maltretował.

Valentine wykonała gest zniecierpliwienia, jakiego nigdy u niej nie widziałam, nawet podczas naszych najgorszych kłótni. Klepnęła się w uda, wydając ryk wściekły, który mnie przeraził.

– Kurwa, Ellie, spójrz na siebie! Sama mówisz, że ten facet nie jest nic wart, a pozwalasz, by sprawiał ci przykrości! I nie, nie sądzę, żebym kiedykolwiek świadomie kochała jakiegoś palanta, zdawałam sobie z tego sprawę dopiero potem. Ty też. Zawsze okazywałyśmy tolerancję, gdy któraś z nas zakochiwała się w jakimś młocie, bo choć zazwyczaj byli beznadziejni, to nie mieli złych intencji. Teraz to inna sprawa. Ten facet jest zły. On ci celowo robi krzywdę, to go podnieca, a ty o tym wiesz i nadal się o to prosisz.

– Wybacz mi, że jestem słaba! – krzyknęłam, modląc się, żeby oczy nie zaczęły mnie szczypać albo zachodzić mgłą.

– Kłopot w tym, że wiem, że nie jesteś słaba; jesteś młoda, śliczna, genialna, świetni faceci latają za tobą i tylko marzą, żeby cię pieprzyć tak samo dobrze, a nawet lepiej, jak ten dupek Pan, i nie uroniłbyś z ich powodu najmniejszej łezki. Gdybyś była głupią idiotką, byłoby mi tylko smutno. To, że na dodatek piszesz powieść ku jego chwale, to przegięcie i nic na to nie poradzę – ale nie możesz ode mnie żądać, żebym cię pocieszała, gdy on ci daje kopa w dupę. Nie mogę cię słuchać jak Babette czy Juliette, bo korci mnie, żeby znaleźć numer telefonu jego żony i wywalić jej wszystko, w najdrobniejszych szczegółach. A że nie wiem, jak cię wyciągnąć z tego gówna, to siedzę cicho. To beznadziejne, ale i tak mniej niż Inès, która ci mówi, że Pan wróci. Oczywiście, że wróci, ten typ tak ma.

Ten godny pogardy dreszcz rozkoszy na skórze, w okolicach kucyka.

– I znowu się zacznie, jak zawsze, i będziesz jeszcze bardziej

nieszczęśliwa... ale, Ellie, czego ty się spodziewasz? Całymi miesiącami będziesz stawała na uszach, żeby napisać mu tę książkę, on ją przeczyta, poczuje się jak władca świata – a potem? Jak mogłaś się tak zmienić, od czasu, kiedy byłaś z Alexandre’em?

– Przestań mi gadać o Alexandre! On mnie nigdy nie kochał ani nie szanował za to, jaka jestem, nigdy nie przywiązywał żadnej wagi do tego, co pisałam!

– W tamtym tygodniu, kiedy Alexandre cię rzucił, wyglądałaś tysiąc razy lepiej niż teraz, kiedy znajdujesz upodobanie w tej chorej fascynacji własnym nieszczęściem. Wtedy nie pisałaś, żeby zaspokoić kaprysy tyrana.

– Jeśli budzę twoją litość, lepiej będzie, jak wrócę do domu.

– Budzisz we mnie litość, bo jesteś moją kumpelką i chcę ci pomóc.

– Nie potrzebuję pomocy, Valentine.

– Wiem. Ty potrzebujesz Pana.

– Zapewniam cię, że nie jestem w nim zakochana. On mnie po prostu prześladowa i nic z tego nie rozumiem. Myślę tylko o tym, żeby się z nim pieprzyć, żeby go dotykać, żeby go czuć, ale to nie jest miłość. Miłość tak bez przerwy nie boli.

– Nie nadajesz się na seksualną niewolnicę, bo nie potrafisz tak mocno pożądać mężczyzny, żeby równocześnie twoje serce nie zaangażowało się w tym samym stopniu. Za to cię podziwiam i kocham, koleżanko, że jesteś przez cały czas zakochana i że jest w tobie życie. Jedyna zabawna historia dotycząca historii z Panem, jaką słyszałam, to ta, że na niego narobiłaś. Jeśli się jednak policzy wszystkie te przypadki, kiedy byłaś z jego powodu wściekła, to trochę mało. Zwłaszcza że, jeśli dobrze pamiętam, nigdy nie doprowadził cię do orgazmu.

– Nigdy, ale jest większy problem. On jest bardzo inteligentny. Nigdy żaden mężczyzna mnie tak nie fascynował jak on. Nie ma nic niebezpieczniejszego niż inteligencja. I co ja ma zrobić?

Valentine wydała długie teatralne westchnienie.

– No, teraz to ja nie mam pojęcia. Na początek sugerowałabym, żebyś weszła ze mną do mojego mieszkania na szóste piętro bez windy. W domu naprzeciwko jest nowy obleśny sąsiad. Możemy mu pokazać cycki, ten zboczeniec cały czas siedzi w oknie.

Ponieważ się zastanawiałam, stercząc jak kretyńska na tej kratce wylotu wentylacyjnego metra, czując, że wszędzie mam wbite strzały, które do mnie posłała, Valentine powiedziała:

– Dobra, nie wątpię, że wolałabyś lepszą motywację, żeby wdrapać

się na szóste piętro. Ale zapewniam cię, że jest strasznie stary i strasznie obleśny. Możemy bez problemu zrobić mu zdjęcie i wstawić na Facebooka. Pamiętasz, że mam do tego talent?

Valentine uśmiechała się tak samo, jak wtedy, gdy miała czternaście lat, i rzeczywiście przypomniałam sobie, że udało jej się wówczas skłonić jednego koszmarnego typu, żeby jej pokazał fiuta do kamerki internetowej. Kiedy przesłała mi ich rozmowę okraszoną zrzutami ekranowymi, dosłownie ryczałam ze śmiechu przed komputerem. Alice myślała, że zwariowałam.

– A ty mi opowiesz o swoich ostatnich amantach. Jeśli wierzyć Babette, jest ich tylu, że mogliby zappełnić wagon podmiejskiego pociągu.

Zabulgotałam ze śmiechu i jakimś cudem ruszyłam w kierunku Valentine, która też się śmiała. Zapominanie o Panu bolało i czułam, że zemści się na mnie w jakiś sposób za to, że olałam go w jego własnej dzielnicy Paryża, ale złapałam Valentine za jej małą ciepłą łapę i poszłyśmy powoli w kierunku rue Charlemagne, z fajkami w zębach. Było prawie tak samo, jak kilka lat wcześniej, kiedy wracałyśmy w południe na obiad do domu małymi uliczkami Nogent-sur-Marne, całkiem pochłonięte opowieściami o naszych gorących przygodach z chłopakami z najstarszej klasy – którzy wówczas wydawali nam się kwintesencją dorosłości.

Kiedy powiedziałam to Valentine, gdy byłyśmy już na trzecim piętrze golgoty paryskiej, rzuciła uwagę, która pozostanie w annałach na wieki:

– W sumie, faceci, z którymi się spotykamy, nawet jeśli mają posiwiałe skronie, są ciągle takimi samymi dzieciakami. Ty i ja, i wszystkie dziewczyny, jakie znamy, przeszłyśmy przez logiczny proces dojrzewania. Jedyne rzecz, jaka się zmieniła od drugiej klasy, to wielkość dziury w dupie.

– No, pięknie! – krzyknęła sąsiadka mieszkająca piętro niżej.

I rozległ się pierwszy szalony chichot hien od co najmniej tysiąclecia. Mój Boże.

Czerwiec

Pozbawiona towarzystwa przyjaciółek, które rodzice zabrali do Hamptons, zamknęłam się w rodzinnym domu na południu z hordą kolegów mojej młodszej siostry. Było makabrycznie wilgotno i duszno – gdybym skonała z gorąca, pewnie nikt by nie zauważył. O wpół do czwartej po południu zapadała cisza tak ciężka, że cykady słychać było jak przez warstwę waty. Znad asfaltu unosiła się fala cykania. Dni wakacji mijały niczym na patelni. Byłam sama na basenie. Byłam sama i myślałam o nim. Cierpienie było wówczas ciężkim pożądaniem, które błagało o ukojenie. Już bez ukłuć w okolicach serca. Czołgałam się jak larwa po basenowych kafelkach, lekko otepiała od kilku skrętów, które wypaliłam. Obok mnie moja siostra i Lucy rozkładały karty do tarota. Weszłam do pokoju – trasa wydała mi się nad wyraz erotyczna – gdzie światło, filtrowane przez nie wiadomo jak stare żaluzje, było tak doskonałe, jak w dniach mojego dzieciństwa. Nieprawdopodobnie delikatne beżowe światło. Ale zmysłowe, bardzo zmysłowe, zwłaszcza gdy uwalniało się spod zasłon i oświetlało wiele, choć dyskretnie. Od dwóch miesięcy Pan nie dał znaku życia i nagle się odradzał z powodu tych kilku dodatkowych stopni i tego światła, mój Boże, to światło... Pan i jego niewyraźne oczy.

Alice wpadła w sam środek mojego marzenia jak kula armatnia i rzuciła mi sprytne spojrzenie, które mogło zastąpić słowa.

– Lucy właśnie skręciła.

Byłam w normalnym na owe czasy stanie: czułam, że muszę stale ukrywać przed światem to, iż mogłam pozwolić się aż tak zniewolić mężczyźnie w tym wieku (a zwłaszcza tego pochodzenia): głowę miałam nieustannie w chmurach, ale udałam, że wszystko jest w porządku. Na zewnątrz tarot trwał w najlepsze. Szybko pociągnęłam skręta i uciekłam jak złodziejka, z nagim biustem, psychicznie rozwalona. Co miałam zrobić z tym telefonem, w którym tak dobrze znane imię zostało zastąpione słowem „Pan”? Dopiero się uczyłam mądrze używać tych gestów godności i na nowo być dumna. Wystarczająco, żeby znaleźć sobie wymówkę za każdym razem, kiedy czułam się na granicy rozpadu. Zadzwoń do Pana teraz, żeby opowiedzieć mu o książce i mojej pupie. Pan uwielbiał moją pupę; nie mogło mu to przejść tak szybko. Mój pomysł na dziś: podniecić go.

Ludzie, którzy wyjrżeli tego dnia przez okno, mogli zobaczyć na

wpół nagą smarkulę, która skakała bez butów po gorącym asfalcie z telefonem przy uchu. Pan oczywiście nie odpowiadał. Cokolwiek to oznaczało. Więc, ledwo żywa, zostawiłam mu na poczcie baaardzo długą wiadomość.

Chciałam zapytać. Co u ciebie.

Chciałam, żebyś przestał się mnie bać.

Chciałam ci opowiedzieć o *Panu*, który posuwa się do przodu.

Chciałam ci opowiedzieć o basenie. Jestem na południu, w naszym domu, z przyjaciółmi. Nie wiem, czy rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć, ale jest tak potwornie gorąco, że nawet przyroda nie wydaje żadnego dźwięku. Upał, który zdarza się tylko na południu. Przed chwilą kąpałam się bez kostiumu, kompletnie otumaniona. Trochę paliłam.

Jestem oszołomiona trawą i temperaturą, cudowne wyczerpanie. Zaczęłam myśleć, Bóg jeden wie dlaczego, że moglibyśmy być w tym basenie razem. Tylko ty i ja. Wyobraziłam sobie ciebie przytulonego do mnie na brzegu, już trochę gotowego. Mówiłam ci coś w rodzaju: „Chodź, idziemy do pokoju, chcę się pieprzyć”, a ty mi odpowiadałeś: „Dobrze, ale tylko jeśli dasz mi popatrzeć na swoją cipkę tak długo, jak będę miał ochotę”.

Zgodziłam się, więc wyszliśmy cichutko z basenu, żeby pójść do mojego pokoju na pierwszym piętrze, gdzie jest idealne światło, przytłumione akurat tak, jak trzeba. Jestem pewna, że podobałoby ci się to oświetlenie.

Długo patrzyłeś mi między nogi, ale ponieważ nie byłam w normalnym stanie, podobało mi się to. Nie protestowałam albo tylko tyle, ile lubisz. Wiem, że się pieprzyliśmy. Nie mogę ci powiedzieć jak. Wyobraź to sobie. Wyobraź sobie, jak mocno trzymałam się twoich pleców.

To wszystko, co chciałam ci powiedzieć. Wiem, że po tym, jak wspomniałam, że nie mam ci nic wielkiego do powiedzenia, to trochę dziwne.

Oddzwoń do mnie.

Albo nie dzwoń, rób, jak chcesz.

* * *

Zawsze wiedziałam, że zostawienie Panu wiadomości głosowej nie było najlepszym sposobem, żeby go skłonić do reakcji. I idąc do ogrodu, nie wierzyłam ani przez sekundę, że doczekam się jakiegokolwiek odzewu. To, jak traktował wiadomości pozostawiane pod swoją

nieobecność, było dla mnie zawsze tajemnicą: wydawało mi się, że moje próby skontaktowania się z nim ginęły w czasoprzestrzennym wirze i że mogłam sobie z całej siły szarpać za napiętą nić, która mnie z nim łączyła, bo Pan odciął ją, nie uprzedzając mnie o tym.

Następnego dnia, w czasie gdy wracałam praktycznie roztopiona z centrum miasta, ktoś nagrał mi wiadomość. Kiedy wzięłam do ręki telefon, żeby odsłuchać sekretarkę, szarpnął mną bolesny odruch nadziei, bez cienia nadziei jednak. To był gest gorzkiego rozczarowania.

Mama chciała się dowiedzieć, co u mnie? A może dziadek, który niepokoił się, czy kuchenka gazowa dobrze działa? Zylberstein, który myślał o mnie podczas długich godzin dyżuru?

Ale nie. To był Pan. Pan z tym swoim aż nazbyt pięknym głosem. Dzień dobry.

Chciałem, żebyś opowiedziała mi o książce.

(Lekkie, ledwie zauważalne wahanie)

I też trochę o basenie.

Całuję cię.

Odłożyłam telefon z uczuciem, że nie mam już serca ani w piersi, ani nigdzie indziej. A przecież Bóg jeden wie, jak mocno biło. Nie słyszałam już cykad ani śmiechu tych ludzi, których towarzystwo uwielbiałam. Nie rozumiałam już niczego. Myślę, że to był pierwszy raz, kiedy poczułam się aż tak oszołomiona z jego powodu. Nie mogłam do końca uwierzyć, że tym razem moja sztuczka zadziałała. Kuriozalne, ale to chyba dlatego, że była prostsza niż inne. Nie okazałam żadnego zamiaru zaangażowania, chciałam go tylko delikatnie sprowokować. A Pan złapał haczyk, wędkę i ciężarek.

Ogłuszona, wyszłam na taras, skąd widziałam trwający mecz siatkówki. Wszyscy śmiali się do rozpuku, ale jestem pewna, że nikt nie drżał tak jak ja. Z debilnej radości. Z bezsensownej radości dziewczyny, której pozwolono, żeby sobie znów dała przyłożyć. Flora siedziała sama przy stole i skręcała papierosa.

– Wiadomość od Pana – rzuciłam z uśmiechem łączącym drobne zaskoczenie i ekstazę.

– Co?! – wrzasnęła, o mało nie połykając filtra, który trzymała w ustach. – A po co?

– Wczoraj do niego zadzwoniłam.

Zamilkłam na chwilę, żeby się zastanowić, jak mogę opowiedzieć zaledwie osiemnastoletniej dziewczycy, że zadzwoniłam do człowieka, który złamał mi serce, aby poopowiadać mu o basenie i mojej cipce, i nie wyjść

na nieszczęsną idiotkę. I chociaż Flora od jakiegoś czasu była przyzwyczajona do opowieści o moich przygodach, to jednak trzeba się już pieprzyć, umieć posługiwać ostrym miłosnym słownictwem, żeby zrozumieć, że moje żalosne zabiegi nie są pozbawione uroku. Wolałam to skromnie i sprytnie streścić:

– W skrócie, opowiadałam mu o dupie i chociaż nie wiem, dlaczego zareagował akurat na tę wiadomość, to w sumie nie ma w tym nic dziwnego. Pana kręci seks.

– W każdym razie zaczekaj trochę, zanim mu odpowiesz – rzuciła, zapalając fajkę, bo było oczywiste, że mu prędzej czy później odpowiem.

W końcu przecież mówiłyśmy o Panu, człowieku z czarnego zeszytu Rhodii, który powoli zapisywałam. Nie można było świadomie zignorować znaku danego przez tę legendarną postać.

– Oczywiście, że nie, może sobie pomarzyć – zagrzałam, a dwie i pół godziny później już debilnie pękłam, wychodząc z tego samego punktu, w którym historia się zaczęła.

Wypadłam na zewnątrz, kiedy wszyscy pichcili coś w kuchni, i w harmidrze garnków nikt nie usłyszał zmysłowego głosu, jaki z siebie wydobyłam.

– Dzień dobry. Chciałam porozmawiać o książce. I trochę też o basenie. Zadzwoń do mnie.

Kilka minut później już się sama nienawidziłam. A ponieważ Pan musiał, dzięki zdolnościom telekinetycznym, poczuć, że nie byłam w stu procentach pewna uzasadnienia swojej odpowiedzi, nie oddzwonił wcale. Kilka następnych dni spędziłam, znowu karmiąc się marzeniami na jego temat. Nieuchwytny chirurg królował w nich jako bóg rozwiązań, przeciwstawiając się prawom czasu i przestrzeni. Pod jego oniryczną opieką zaczynałam wyobrażać sobie sceny, które przed nim nigdy nie mogłyby mi się spodobać. Wizje tych dewiacji atakowały mnie w nieoczekiwanych momentach, a ja potrzasałam głową jak epileptyczka, żeby się nie czerwienić, przeklinając się w środku za takie myśli. I Pana, który się nie pojawiał. Pan zadowalał się sianiem obscenicznych myśli w mojej płodnej wyobraźni, a ja musiałam radzić z tym sobie sama. Ale wyrzeczenia stały się trochę mniej okrutne: stopniowo, wieczorami i rankami, z mojej głowy zaczęły znikać jego obrazy. Zdobyłszy bardziej dostępne, Zylberstein czy Édouard, zastąpiły go dość skutecznie. Czas, jaki spędzałam z przyjaciółmi, organizował mi dni i noce: przyklejeni do tarasu graliśmy w tarota, paląc kilometry papierosów i słuchając Michaela Jacksona. Zapisywałam stronę za stroną, zachwycona atmosferą głębokiej

miłości panującą w tym domu, do którego każdy wnosił po trochu piasku, sosnowych igieł i długich włosów. Pisałam *Pana*, a to wymuszone wspomnienie nie wywoływało we mnie najmniejszego rozgoryczenia. Czułam się trochę jak w przychodni. Badałam dokładnie pacjenta, prowadziłam lekarski wywiad na temat tej historii, ale ani przez chwilę nie zatrzymywałam się, żeby czekać. Dopiero czytając swoje zapiski, czasami poprawiając siłę narracji w jednej ze scen seksu, myślałam o Panu. Nie o książce, nie o *Panu*. Pojawiało się jego imię i za każdym razem, kiedy je wymawiałam – uderzenia gorąca. Rozmyślałam o tym, co to imię, złożone z dwóch poetyckich sylab miało w sobie szlachetnego, wzniosłego. O wszystkim, co miało w sobie z lęku, podniecenia, niezrozumienia.

Czytałam fragmenty *Pana* Florze, w spokojnych momentach, kiedy smażyłyśmy się na słońcu na biało-różowych materacach. Zamykała swoją książkę i smarując zapobiegawczo małe piersi ciepłym kremem, mówiła:

– Przeczytaj mi kawałek.

Zapalała skręta, a ja, trochę skrępowana, zdradzałam jej swoje najnowsze strony w absolutnej ciszy. Mój głos ginął wśród cykad, wiatru i muzyki The Kinks, a Pan istniał tylko dlatego, że chciałam dać mu życie. Często zdarzało się, że przyciągnięty przez grzeczny dwumian, jaki stanowiłyśmy, Antoine przysiadł się do nas, obejmował rękami kolana, a ja nawet nie czułam potrzeby, żeby przerwać – rzucałam okiem na swoją ulubioną publiczność i czytałam dalej. Czy kiedykolwiek miałam lepsze audytorium? Nikt niczego nie komentował. Kiedy kończyłam, zamykałam po prostu zeszyt napuchnięty od wilgoci, i rozmowa wracała do miejsca, w którym ją przerwaliśmy. W ten sposób pozostawałam sama ze swymi wątpliwościami i próżnością; ale inni też poznawali Pana. Miałam ich ocenę. Nikt, oprócz mnie, nie chciał wiedzieć, czy ta ocena była dobra, czy zła. Pan wisiał nad nami jak cień, który nadawał innego wymiaru moim wakacjom: głównie spałam, paliłam albo obijałam się nad basenem. Pisałam. Tkałam historię człowieka, którego znałam, ale który dla wszystkich innych mieszkańców tego domu zdawał się baśniowym stworem, którego istnienie potwierdzały tylko lakoniczne wiadomości. Pozwalałam im odsłuchać swoją pocztę głosową – niski roześmiany głos wywoływał u nich rumieńce.

Mój Boże, ależ ja ich wszystkich kochałam. Wieczorem, kiedy łóżka i fotele w jadalni były już zdobyte szturmem, przez półtorej godziny, gdy trwał nasz ulubiony program, wkręcałam się na kanapę z zeszytem i gryzmołam niestrudzenie i w żaden sposób nie przeszkadzały mi hałas,

śmiech i krążące skręty. A nawet, to właśnie w tym nieustającym tumultcie rodziły się moje najpiękniejsze zdania; kiedy czytałam je ponownie następnego dnia, nie znajdowałam nic konkretnego do poprawienia. Każdy przecinek, każda kropka, każdy znak cudem znajdował rację istnienia. Strony były poplamione czekoladą, żywicą z olbrzymiej sosny nad tarasem, ale wszystkie te ślady przypominały chwile, o których bez nich z pewnością bym zapomniała i które w jakiś sposób przyspieszyły wybór tego, a nie innego słowa. Kiedy pisałam sama, w cichej porze sjeisty, kiedy dom odzyskiwał względny spokój, byłam przesadnie uważna, czuła na zbyt wiele szczegółów i złościłam się na siebie. To wszystko nie wydarzyło się tylko między nim a mną – i choć bez wątpienia nigdy się o tym nie dowie, Pan zawdzięcza wszystko tym ludziom, którzy stali się moim życiem, którzy tysiące razy rzucali mi mokrą piłkę do siatkówki na rozłożone kartki, tysiące razy zwalali mi spaghetti z sosem pomidorowym tam, gdzie zamierzałam pisać o seksie oralnym, tysiące razy wytłuszczali mi akapity palcami wysmarowanymi kremem do opalania.

Nieskazitelne strony, jakie wypluwa moja drukarka, bez tych śladów czyjejkolwiek obecności, są zdecydowanie znacznie mniej zabawne. Jak u pisarza nieudacznika. Moje rękopisy miały przy tym wygląd tych napisanych przez Henry'ego Millera w Paryżu. Przynajmniej wygląd.

Ponieważ Pan znowu znikł z powierzchni globu, karmiłam się tym, co miałam do dyspozycji. Ale także ponieważ po raz kolejny nie został moim obiektem seksualnym i choć to niczego nie załatwiało, spędzałam większość czasu, opisując wciąż na nowo jego pieszczoty, a żądza wychodziła wszystkimi moimi porami. Jadłam za czworo i paliłam jak smok, ale tak naprawdę czułam głód nowych strategii uwodzenia, głód rozkoszy, głód dupy. Czułam głód napięcia nie do wytrzymania, napięcia, które wstrzymałoby mi oddech.

Była Lucy.

Wydaje mi się, że kiedy zobaczyłam ją pierwszy raz topless nad basenem, wywarła na mnie dziwne wrażenie – choć nie powinna. Ale przedtem nigdy nie przyszło mi do głowy, że pod ubraniem Lucy jest tak samo naga jak ja. Zaczęłam o tym myśleć.

Lucy... z Lucy, która lubi dziewczyny tak samo, jak ja lubię chłopców, zawsze było coś dziwnego. Nie od razu zdałam sobie z tego sprawę; widziałam, jak dorasta w tym samym tempie, co moja młodsza siostra, łąziła w moim ogrodzie w piżamce Du Pareil Au Môme, podczas gdy ja całowałam się pierwszy raz, jeszcze z aparatem na zębach. Zdałam sobie sprawę, że jest już kobietą, całkiem niedawno, w gruncie rzeczy

w sposób równie szczególny, co banalny. U niej w domu; ze szklanką ponczu w jednej dłoni i skrzętem w drugiej patrzyłam na nią, oszołomioną dymem, na jej wielkie czarne oczy na tle śniadej skóry, na długie ciemne włosy rozrzucone na ramionach. Nie można tego było nazwać tańcem, to nie był też trans, i już też nie było to normalne bujanie się. Ona cała była gitarą, zamknięta w swoim świecie, do którego nikt nie miał dostępu, nogi zginały jej się przy każdym dźwięku, orbitowała, zmysłowa nie do wytrzymania. Wszyscy ci chłoptasie, którzy patrzyli na nią i nie wiedzieli dlaczego, nie wiedzieli jak, nie wiedzieli, jaki ogień się w niej pali, w tej smarkuli, którą spotykali codziennie w liceum, nie zwracając na nią szczególnej uwagi. Swej kumpeli. Jaki to jest moment, kiedy dziewczyny stają się kobietami, a chłopcy mężczyznami, ot tak, bez uprzedzenia, w trakcie piosenki Pink Floyd? Może to te oczy zamglone od głosu Jima Morrisona, a może niespodziewanie zauważone włosy na torsie, w świetle zapalniczki zapalającej pierwsze fajki?

Od tamtej chwili, kiedy zobaczyłam, jak Lucy na dobre wychodzi ze swojej powłoki małej dziewczynki, stała się w moich oczach kimś znacznie więcej niż przyjaciółką, ale też kimś zupełnie innym niż siostra – do tego akurat statusu Flora mogła pretendować w tym samym stopniu co Alice, no, prawie. Wokół Lucy było zbyt wiele emocji rozmaitej i sprzecznej natury, żeby umieścić ją w jakiejś konkretnej przegródce. W stosunku do niej nigdy nie byłam niczego pewna. Spędziłam wiele czasu, analizując, co takiego czyniło z niej jedyną dziewczynę, na którą miałam świadomie i gwałtownie ochotę. Miałam ochotę na Lucy zdecydowanie za bardzo i pod zbyt wieloma względami, by wyobrazić sobie konkretne gesty albo coś tak paskudnie pragmatycznego, jak orgazm. Miałam ochotę się nią karmić, jej aurą, urokiem, który rozaczała. Najmniejszy jej ruch eksplodował w powietrzu z taką zmysłowością i powagą, jak jedna z najlepszych piosenek Pink Floydów. Miała tę samą spokojną charyzmę, co Pan – tylko zdawała się o tym nie wiedzieć. Nie grała; to z niej samo wychodziło, po prostu, naturalnie. Nic nieznaczące gesty, jak otwieranie paczki ciastek czy stawianie na stole sterty talerzy, zmieniały się w balet. Nawet jeśli byłam w samym środku partii tarota, zasłaniała mi pole widzenia. Gorzej: czułam jej obecność bez potrzeby sprawdzania.

Nie wzbudzała we mnie tego naglącego pożądania, co mężczyzna, ale kiedy znajdowała się w pobliżu, myślałam tylko o jej włosach, wielkich czarnych oczach, ustach pełnych białych zębów i jej sposobie przemieszczania się z jednego miejsca w drugie – cichutko jak małe

zwierzątko. Siadała nagle obok mnie, brała kupkę kart i zmieniała mojego niewinnego pokera w bezwstydną flirt, który doprowadzał moją siostrę do wściekłości.

– Nie możesz być dyskretna? To jakiś obłąd! – wykrzyknęła któregoś wieczoru w maciupkiej kuchence.

– Nic na to nie mogę poradzić, to silniejsze ode mnie.

– Walcz ostro! – rzuciła, jakby to było takie łatwe, jakby można było nie zwracać uwagi na przeciągłe spojrzenia spod ciężkich rzęs, którymi Lucy omiatała mi ciało, zanim swoimi atutami zabrała mi lewę.

Tak, z nią wszystko stawało się partią tarota. Jeśli nachodziła mnie chęć, żeby się przed nią bronić, bo dochodziłam do głupawego wniosku, że przecież w sumie nie jest tak ładna, jak większość moich kumpelek, Lucy przerywała ciszę głośnym śmiechem, który wybuchał, a potem zamierał powoli jak rozkosz, i znowu przegrywałam; właśnie wyciągała 21. To było to albo inna maleńka rzecz tego samego rodzaju. Miała absolutnie wszystkie karty w ręku. Nie można było do końca określić, czy była piękna, czy też nie; jak w wypadku wielu innych dziewczyn, wystarczyło, że padł na nią promień odpowiedniego światła i wszelkie wątpliwości natychmiast zniknęły. A ponieważ ja byłam już na jej celowniku, Lucy podświadomie wykańczała mnie swoim wszechmocnym urokiem, który sprawiał, że stawała się o wiele bardziej pociągająca i niebezpieczna niż przeciętna ładna dziewczyna. Wydawało się, że to nie robi wrażenia na nikim poza mną, bez wątpienia dlatego, że ludzie, z którymi przebywałyśmy, od dawna już byli w niej zakochani i nie odczuwali tego tak silnie.

Więc tego lata, gdy miotałam się jak nieszczęsna ryba w sieciach Pana, Lucy postanowiła mnie z nich wyciągnąć i zastawić swoje. Na południu udawało mi się z grubsza stawić czoło sytuacji, ale sprawy zaczęły wyglądać zupełnie inaczej, kiedy otworzyła nam podwoje swojego domku na wsi. Wstydziałam się samej siebie, gdy łapałam się na tym, że patrzyłam na nią zbyt długo. Badałam ją. Nie wierzyłam, że to robię.

Odwracałam uwagę ogółu, stosując techniki sprawdzone już na Antoinie, który reagował tak, jak wszyscy w tym wieku – co jeszcze bardziej denerwowało Alice. Moja siostra niesłusznie wyobrażała sobie, że ostrzę sobie zęby na wszystkich, by zapomnieć o Panu. Nigdy nie ostrzyłam sobie zębów na Lucy; to raczej ona obgryzała mnie bezwstydnie, aż do kości, nawet wtedy, gdy jej dziewczyna wtulała się w jej objęcia.

Nigdy nie umiałam ocenić, co naprawdę kryło się za tymi

wszystkimi spojrzeniami i niejasnymi prowokacjami. Przez lata zbudowałyśmy relację opartą na wzajemnym głębokim szacunku, i nie mogę sobie wyobrazić, że byłam tylko zabawką albo zdobyczą taką jak inne. W sumie, trzeba by ją zapytać. Co powiesz, Lucy? Co powinnam o tym myśleć? Czy to dlatego, że spędzam życie w męskich ramionach, stawka wydawała ci się co najmniej pikantna? A może coś zupełnie innego? Może coś prostszego? To niewątpliwie bez znaczenia, ale w mojej naturze leży zadawanie bez przerwy tego rodzaju pytań. Sama jednak nigdy nie zapytałam siebie, dlaczego tak bardzo mi się podobałaś, mimo piersi (które nie są przecież takie duże), cienkiej i giętkiej talii, mimo wypukłości w majtkach od kostiumu, które wpisują cię ostatecznie do świętej rasy dziewcząt. To nie jest niczyja wina; z nikim oprócz ciebie nie mogłam dzielić tych moich prawdziwych orgazmów przy Jacques’u Brelu czy Pink Floydach albo prowadzić prawie telepatycznych rozmów, jak nam się po wielekroć zdarzyło na wsi albo w Normandii.

– Proponuję, żebyśmy sobie zrobiły skręta, a potem zagrały w ping-ponga.

Pamiętasz? Była pora kolacji, czyli prawie druga nad ranem, a ja podskoczyłam na krzesło, patrząc na ciebie jak na obraz Fragonarda.

– Skąd wiedziałaś, że właśnie o tym myślałam?

Uśmiechnęłaś się tym swoim słynnym uśmiechem, który rozciąga się od ucha do ucha na tej twojej jedynej w swoim rodzaju buźce, i wtedy zagrałyśmy wariacką partię ping-ponga przy *Do You Love Me* The Contours, Alice kilka razy o mało nie zsiusiała się w majtki, a ja za każdy swój wybuch śmiechu płaciłam eliminacją. Śmiałam się za bardzo, żeby widzieć piłkę, ale ciebie widziałam. Niechęć zajmowałaś bardzo wiele miejsca.

Pewnego wieczoru zachciało mi się przeczytać ci kawałek listu przeznaczonego dla Andréi, a w którym mowa była głównie o tobie. I oczywiście to był początek otwartej wojny. Tego samego wieczoru założyłaś się ze mną, że poderwiesz Florę – moją siostrę! – a potem Clare – swoją dziewczynę! – i zaczęłam zdawać sobie sprawę, że może jednak masz wady. Graczka lub manipulatorka – ale czy to rzeczywiście wady? U ciebie te skłonności przypominały piegi; w zależności od gustu, ludziom mogły wydawać się urocze lub wstrętne. Najbardziej widocznym dowodem tego, o czym mówię, jest fakt, że zasnęłam, myśląc o tym, żeby się z tobą kochać, w abstrakcyjnym i wyszukany sensie, tak jak lubię. Poszłam do łóżka wcześniej niż wszyscy, żeby móc myśleć o tym dłużej, a następnego dnia, kiedy spotkałam cię z tym twoim rozwianym końskim

ogonem i odgnieceniami od poduszki na policzkach, uśmiechnęłaś się do mnie tak, jakbym miała ślady winy wypisane na czole.

W owym czasie, żeby oszukać tęsknotę za Panem, rozmawiałam regularnie przez telefon z jednym z jego awatarów, Maximem Zylbersteinem, trzydziestopięcioletnią, ginekologiem z zawodu, a zwłaszcza z zamiłowania. Kiedy powiedziałam mu o tobie, natychmiast pchnął mnie w twoje ramiona – oczywiście, powiesz: dwie lesbijki, osiemnasto- i dwudziestoletnia, czy może być lepiej? Nie rozumiał, jak ważne są dla mnie względy metafizyczne i to, że jesteś najlepszą przyjaciółką mojej siostry. Gdybym była chłopcem, już dawno bym w to weszła, tak łatwe do zinterpretowania były pewne sygnały. Ale Lucy, pomyśl o tym sekundę: jak mogłabym przeżyć, gdybyś mnie odtrąciła? Jak miałabym cię dotknąć, by nie okazać się naiwną czy niezręczną? Dla ciebie chciałam znaleźć nowe pieszczoty, pocałunki, których nigdy nie zaznałaś i które mogłyby wyrazić lepiej niż słowa, jak bardzo cię uwielbiałam, jak bardzo mnie fascynowałaś. To coś, czego mężczyźni generalnie nie są w stanie zrozumieć; to porozumienie, jakie może łączyć dziewczyny, które zbliżają się do siebie. Im się wydaje, że dwie dziewczyny mogą dojść tylko do aperitifów i że wszystkim metodom, jakimi dysponują, żeby osiągnąć rozkosz, brak konsekwencji, bo brakuje im fiuta. I nawet jeśli wypróbowałam wszystkie te techniki już lata temu, tyle razy wyobrażałam sobie, jak się kochasz, że myśl, iż mogłabym okazać się niezręczna, stała się moją obsesją.

Jak sobie to wyobrażałam? Jak trans. Dokładnie jak wtedy, gdy patrzyłam, jak tańczysz, coś między zauroczeniem i spokojną kontemplacją. Twoje małe precyzyjne palce wyruszają na poszukiwanie po omacku albo udają, że odkrywają nieznaną do tej pory strefę erogenną – bo w sumie jestem pewna, że od początku swego życia uczuciowego miałaś już czas odkryć zdecydowaną większość punktów kobiecego ciała. Kiedy myślę o tobie, nie wyobrażam sobie samej rozkoszy, tylko raczej jak by to było móc zobaczyć cię całą, zrobić ci wszystko, usłyszeć odgłosy, jakie wydajesz, poznać smak twoich ust, smak twojej cipki, mój Boże, mieć choć jedną szansę, by uszczęśliwić cię, jak ty mnie uszczęśliwiasz, kiedy pojawiaasz się w okolicy.

Dzięki Bogu, gdy wyjechałam ze wsi, mogłam na nowo zacząć oddychać. Pan zajął twoje miejsce, ze swoją nieskończoną serią frustracji i obietnic rzuconych na wiatr. Tą ciągłą ciszą w eterze. Tak wyglądało wówczas moje życie: z trudem stałam w rozkroku między jego głuchą nieobecnością i waszym nieustannym ćwierkaniem rozdzierającym

powietrze. Pamiętam to dokładnie: o piątej rano równie dobrze mogło być południe.

Lipiec

Moja siostra, chociaż nie potrafiła zapanować nad irytacją, związaną z tym, jak patrzyłam na jej przyjaciółkę, zaprosiła Lucy do naszego ojca do Normandii. Lucy wskoczyła w pierwszy pociąg ze swoim plecakiem zawierającym wszystko, co niezbędne: T-shirt, majtki i trawę. Obie z Alice czekałyśmy na nią z podnieceniem, które graniczyło z instynktem przeżycia. Nudziłyśmy się śmiertelnie. Pisałam *Pana* ospale, bo z dala od Lucy i innych, rozpaczliwie brakowało mi energii seksualnej i inspiracji. Po śniadaniu łączyłyśmy do lasu, na małe leśne dróżki, żeby zapalić i nie dać się nakryć, a reszta dnia upływała zdumiewająco wolno, jakby wszystko sprzymierzało się, byśmy ostatecznie znienawidziły Normandię i jej mieszkańców. Olewałyśmy to, że wyglądamy na zaćpane i że włosy śmierdzą nam trawą: Alice była tak wściekła na naszego ojca, który nie starał się poprawić tej zabójczej atmosfery, że nie krępowwała się już nawet czerwonych oczu czy napadów wariackiego śmiechu. Zresztą ogród był wystarczająco duży, żebyśmy wszyscy nie musieli na siebie wchodzić.

Lucy. Lucy przyjechała czwartego dnia. Jedyne, kiedy nie padało. Zbieg okoliczności? A może nie? Tego popołudnia taplałyśmy się w mizernym strumyku, który płynął obok domu i przepełniał tę część ogrodu ciężkim zapachem gnijącego mułu. Alice, zajęta skręcaniem nam entego jointa, kazała nam iść do komórki po kalosze. Lucy szła pierwsza, a ja przyglądałam się jej małemu wąskiemu tyłeczkowi, wyłaniającemu się z za dużych jeansów. Zastanawiałam się, jak udaje jej się wyglądać tak męsko mimo ciągnącej się za nią aury i samiczych fluidów: trudno mi było określić, który aspekt poruszał mnie bardziej. Dogoniłam ją i zaczęłam opowiadać jej o tym i owym, nasze ramiona trącały się od czasu do czasu i choć żadna z nas nie robiła tego celowo, za każdym razem było to małe wyładowanie dwustu dwudziestu woltów w dolną część pleców. Zapalenie światła zajęło mi dość dużo czasu, co skłoniło ją do komentarza.

– Komórka gwałtu, no nie?

– No, trochę – przyznałam z bijącym sercem, bo byłam z nią sama w miejscu, skąd nikt, oprócz Alice, nie mógł nas wypłoszyć.

Zobaczyłam iskry w jej oczach, biały błysk ślicznych zębów rozjaśnił ciemności.

– No, to gwałt.

Gdyby Bóg uczynił mnie choć trochę bardziej wyluzowaną,

przestałabym gorączkowo szukać kontaktu i tych cholernych kaloszy, i być może nie odpowiadając, dałabym się jednak pieścić ukradkiem, oparta plecami o półkę pełną pajęczyn. Wyobraźcie sobie gęstość tej ciszy. Moje ręce pod jej T-shirtem i stłumiony szmer jej warg na moich. Jej palce. Byłam na skraju zawału i mnóstwo błahych pretekstów podchodziło mi do gardła (beznadziejne, nieuprane rano majtki, niestaranna depilacja), więc wszystko popsułam:

– Gwałt w drodze powrotnej.

– Umowa stoi – odpowiedziała, a drżące brwi zmarszczyły się lekko, żeby podkreślić moją rejteradę.

Pobrodziłyśmy kilka minut w strumyku – żeby szybko zauważyć, że to średnio zabawne – i obie zarzuciłyśmy ten pomysł. Zostawiłyśmy kalosze przed komórką, w plamie słońca. Jej kalosz oparty o mój – oto rodzaj drobnych szczegółików, które zachowałam w pamięci ze świadomością, że przeleję je na papier.

Kiedy zapadła noc czarna jak atrament, mój ojciec zabrał nas do babci. Pamiętasz, Lucy? Gdy tylko usiadłyśmy na tylnym siedzeniu, poczułam, jak twoje małe śniade udo upstrzone plamkami suchego błota ociera się o moje, a potem zastyga wystarczająco blisko, żebym przez cały czas czuła jego cudowne ciepło. Dyskretnie przesunęłam swoje prawe kolano i podczas całej drogi twoja złota i moja biała skóra zachowywały się tak, jakby wszystko było tylko czystym przypadkiem, przylgnięte do siebie nawet wtedy, gdy mój ojciec niezgrabnie przejechał przez próg na jezdni, aż nami zatrzęsło. Patrzyłam na Alice, która kłóciła się z Louise o jakąś piosenkę Michaela Jacksona, i nie śmiałam rzucić w twoją stronę najmniejszego spojrzenia. Myślałam gorączkowo o wszystkich mężczyznach, których miałam ostatnio, a z których żaden nie potrafił dostarczyć mi takich mikroskopijnych dreszczy: sytuacja od razu stała się bardzo jasna, ich pieszczoty były bardziej legalne. Eksplozja przez nich wywołana była tysiąc, miliard razy mniejsza.

Wszystko, albo prawie wszystko, zdarzyło się tego samego wieczoru, w pokoiku na pierwszym piętrze, który dzieliłaś z Alice. Klasyczny numer z bólem pleców. Usiadłam na twojej małej twardej pupie, żeby ci zrobić masaż. Alice miała wściekłą minę, ale olewałam to koncertowo. Znacznie ciekawiej było drapać delikatnie twoją miękką skórę i patrzeć, jak zaciskasz zęby z wyrazem zdumienia i przyjemności. Tysiąc razy wyobrażałam sobie, jak wszystko psuję i chwytam cię pełnymi garściami za piersi, bo ignorowanie ich było nie do zniesienia: wysuwały się spod twoich ramion, przygniecione do materaca, płowe światło nocnej lampki

grało w chowanego na twojej nagiej skórze, a ja miałam tego nie widzieć. OK, Ellie, uspokój się. Uspokój się, to jest dziewczyna. Oto na jakie myśli byłam skazana. Nie wiem, czy widziałaś, że walczyłam z całych sił z tą straszną ochotą na ciebie, z tymi zabójczymi obrazami twoich twardych sutków w moich palcach, ale to całkiem możliwe, bo kilka minut później wyświadczyłaś mi tę samą grzeczność. Cóż było robić?

Być może dokładnie to, co zrobiłyśmy: nic.

– Dobrej nocy, suki – mruknęłam, wstając, żeby pójść do mojego pokoju.

Alice przyjęła moją wypowiedź swoim klasycznym parsknięciem, odpowiadając: „Tobie też, cipo”, ale Lucy, której oczy błyszczały w świetle księżyca, zdawała się przyjmować obelgę w dosłownym znaczeniu. Uśmiechała się oczywiście z tego powodu. Podkrađłam swoim kochankom ich brutalne słownictwo, ale to jasne nawet dla lesbijki, że słowo suka jest niezwykle czułe.

– Jaki jest Pan? – spytała Lucy, kiedy siedziałyśmy pałac w alejce pełnej komarów.

Alice właśnie wstała, wbrew wszelkim oczekiwaniom, żeby pójść po coś, co zwilżyłoby nasze ultrasuche gardła. Upał był taki, że zdawało się, iż w ciągu kilku minut z ciała wyparowała nam cała woda, pompowana bezpośrednio do ust.

– Fizycznie? Intelktualnie? – zapytałam ze wzrokiem wbitym w kolana, jak zwykle skrępowana myślą, że być może wymuszam, wbrew sobie, to zainteresowanie u moich przyjaciół. Żyłam w obawie, że od początku lata narzucam im wszystkim Pana.

– Nie wiem, powiedz mi po prostu, jaki jest, w ogólnym zarysie – odpowiedziała Lucy. Nigdy nie była niedyskretna ani nie żądała nieprzyzwoitych szczegółów, które uwielbiałam dostarczać Florze czy Babette.

– Na wstępie mogę powiedzieć ci jedno: nigdy tak słabo nie znałam człowieka, z którym robiłabym tyle świńskich rzeczy.

Lucy zmarszczyła nos z miną świadczącą o tym, że temu oficjalnemu oświadczeniu brakuje konsekwencji. Prawie równocześnie nad nami zebrały się zadziwiająco ciemne, szare chmury, i nad tym nudno szarym, normandzko szarym domeczkiem gruchnął grzmot, od którego o mało nie popękały nam bębenki. Westchnęłam, zadrżawszy równocześnie, i powiedziałam:

– Myślę, że Pan jest do głębi zboczony.

Półśmiech Lucy.

– Nie tylko seksualnie. Jego zachowanie wobec mnie jest zboczone. Cała ta historia jest zboczona.

– Dobra, Ellie, ale właśnie takiej historii chciałaś, prawda?

– Może. Albo nie. Chciałam romantycznej historii, ale niekoniecznie tego rodzaju romantyzmu. Ja w ogóle nie chciałam żadnych historii, kiedy zaczęliśmy ze sobą, Pan i ja. Dałam się złapać w pułapkę jak idiotka. I myślę, że nie uda mi się z tego wykaraskać.

Lucy podniosła na mnie swoje wielkie czarne oczy.

– Nie uda ci się z tego wykaraskać?

– Chcę powiedzieć, że nie wiem, jak będę mogła żyć, nie myśląc, że znałam tego faceta. Jeszcze parę tygodni temu sądziłam, że wszystko będzie między nami skończone, gdy tylko skończę pisać *Pana*, ale to nieprawda. To, co mnie z nim łączy, jest tak dziwne, że nawet gdybym chciała o tym zapomnieć, jakaś popieprzona część mojej podświadomości nie byłaby do tego zdolna. Bez względu na to, ile ten człowiek jest wart. Nawet jeśli niewart jest zachodu, co do czego, w gruncie rzeczy, mam pewność.

– Warto pisać o Panu – wypaliła Lucy rozkazującym tonem. – *Pan* jest wielką książką. *Pan* jest Księżą.

Pod moim tyłkiem zeszyt numer dwa w fiołkowej okładce zaczął delikatnie pulsować, żeby zmanifestować swoją dumę.

Czasem Lucy tak właśnie odwracała bieg dyskusji, gdy zaczynało pojawiać się zbyt wielkie napięcie i robiło się niebezpiecznie. Na jakiś czas przestawała być moją główną obsesją i Pan wypływał na powierzchnię – ale tak czy inaczej zawsze wracałyśmy do punktu wyjścia. Teraz, kiedy byłyśmy tylko we dwie, wymowna cisza pęczniała od wszystkich niepopelnionych czynów świata i dobrze wiedziałam, że za godzinę będę się sama przeklinać, że niczego nie zrobiłam, niczego nie próbowałam, choćby głupstwa, jak przypadkowe dotknięcie ręki albo wpadnięcie na nią niechcący, czegoś, co mogłaby mi wybaczyć lub wykorzystać do ciekawych celów. Nie robiłam i nie zrobiłam nic, bo jestem niezdarą – czas nam to udowodnił.

Chmury się rozdarły. Obie z Lucy schowałyśmy się szybko pod ciężkie gałęzie dębu. Ona zapaliła papierosa, nie zamierzając oczywiście wracać, gdy zaczynała się burza wyczekiwana od południa jak orgazm. Nie wiem, czego się spodziewałyśmy, czekając w tym ulewnym deszczu, ale to musiało być coś, co siedziało głęboko w podświadomości, z pewnością coś bardzo mocnego, bo zawsze widziałam pioruny tylko z okna swojego pokoju i zawsze straszliwie chciałam znaleźć się dokładnie

pod nimi. Co może się wydarzyć w czasie burzy? Co takiego wisi w powietrzu, co wywołuje myśl, że może zdarzyć się wszystko, i to prawdopodobnie bez konsekwencji? Te same pytania bez odpowiedzi przesłaniały jak mgła ciemne oczy Lucy. Siedziałam na rękopisie *Pana* i wyobrażałam sobie, jak wstydliwie wykorzystuję to chwilowe szaleństwo i rzucam się na nią jak gwałciiciel, na ziemi, w krzakach, z kłującą trawą drażniącą nas w pośladki, a pioruny wałą prawie nad naszymi głowami. Widzę ją, jak leży wtulona we mnie z sinymi ustami i zapachem pożądania, bolesnym zapachem pożądania i burzy, która raz za razem ożywia jej omdlałe oczy fluorescencyjnymi błyskami. Kurwa. Widzę ją tak, jak widzę jej papierosa, i mam wrażenie, że go palę, połykając jej ślinę – obmacywanie się w tych krzakach musi być strasznie niewygodne! Czy Normandia zachęca do czegokolwiek prócz sjesty?

Lata świetlne od moich lubieżnych rozważań Lucy odebrała telefon.

– Alice chce, żebyśmy do niej dołączyły. Jest w domu.

– Powiedz jej, żeby tu przyszła, burza jest super. Niech się trochę ruszy z domu.

Alice po drugiej stronie tak strasznie protestowała, a burza tak zakłócała rozmowę, że Lucy rozłączyła się ze znużoną miną.

– Mówi, że pooglądamy *The Wall* na plazmie.

– Ale ja chciałam zostać na dworze!

– Położymy się na tarasie.

Lucy wyciągnęła do mnie swoją śniadą łapkę – jej mocny uścisk miał w sobie coś męskiego, może długość giętkich palców. I jak zwykle nie wiedziałam, jak przyjąć tę pieszczotę, jeśli słowo pieszczota jest tu właściwe, bo może z powodu napięcia przeceniałam zwykły uścisk dłoni. Lucy nigdy nie zrobiła niczego, co przeważałoby sytuację – ale w samym środku rozpadu mojej trudnej przygody z Panem ten brak zdecydowania mnie niepokoił.

Na błotnistych drózkach, na które deszcz spadł dość gwałtownie, przeskakiwałam przez kałuże. Na skraju szerokiego zakrętu przypomniałam sobie pewną niedzielę w Normandii, niedzielę bardzo ciepłego maja, kiedy robiłam siusiu przy olbrzymiej, lepkiej od żywicy sośnie. Pan zachwycał się tym przez telefon i chociaż wcale nie chciałam wiedzieć, jak mnie sobie przy tym wyobrażał, wiadomość od niego czytałam na okrągło. Źle brzmiała, kiedy z opuszczonymi do kostek majtkami jeszcze się podcierałam.

„Chciałbym tam być i patrzeć, jak siusiasz. Chciałbym zlizać te ostatnie złociste krople z twojej cipeczki”.

„Nie, to obrzydliwe!” – odpisałam mu, z odrobiną złej wiary, ale też szczerego przerażenia. – „Za coś takiego idzie się smażyć w piekle. Ja zostałam wychowana w chrześcijańskiej rodzinie, mój Panie!”.

„A ja nie” – odpowiedział po prostu ten szatański niedowiarek.

I bez względu na pochodzenie z rodziny chrześcijańskiej, niebawem zaczęłam robić siusiu na dworze zawsze, gdy tylko nadarzyła się okazja. Za każdym razem myślałam o tym esemesie od Pana. Za każdym razem rozglądałam się wokół, przekonana, że ktoś mnie szpieguje. Za każdym razem zakłopotanie mieszało mi się z podnieceniem, nie mogłam przestać patrzeć na strumyk wypływający spomiędzy moich nóg, zastanawiając się, jak uda mi się zaspokoić ten nowy kaprys, zrobić przed Panem siusiu. Czy może będę musiała uciec się do ukrywania tego jak jakiejś ułomności.

Świat wokół mnie składa się z kobiet, które wrzeszczą z przerażenia na myśl o takiej scenie, i z mężczyzn, których – Bóg raczy wiedzieć dlaczego – nie można uspokoić, kiedy rzucam im ten temat z niewinną miną, mężczyzn, którym błyszcżą oczy na myśl o kobiecie kucającej gdzieś w polu albo wprost nabitej na ich członki i uwalniającej nagle gorącą falę (gorącą, OK, ale można też spojrzeć na to z innej strony, bo trzeba otwarcie powiedzieć, że to jest jednak mocz). Męska wyobraźnia seksualna najwyraźniej nie przejmuje się pojęciami czyste – brudne: refleksja dotyczy wyłącznie tego, czy jest to podniecające, czy nie.

A ja w tym wszystkim?

Po dziewiętnastu latach pielęgnowania słodkich dziewczęcych fantazji spotykam Pana i tylko wskutek tej znajomości, tylko po lekturze wiadomości od niego, nachodzą mnie marzenia, które może wytworzyć tylko bezwstydną męską wrażliwość. Mam dwadzieścia lat, bawełnianą sukienkę i podkolanówki, opaskę jak aureolę na jasnych włosach, ale w pobliżu moich niebieskich oczu od tej pory funkcjonuje męski mózg, dokładny i perwersyjny mózg faceta. Nie mam pojęcia, jak się bronić przed obrazami, które ciągle mi narzuca. Nie wiem, jak odzyskać poprzednią naiwność albo jak przestać gapić się na śliczne ramiona Lucy tymi pożądanymi samczymi oczami, które są tak samo nie moje, jak ta permanentna ruja. Moje marzenia nie składają się już z niematerialnych uczuć, z tych mglistych idei, sposobu, w jaki Pan patrzy na moją cipkę, kiedy jest jeszcze otwarta, a w dalszym planie jego mokry kutas jest już gotowy do drugiego natarcia. Nie pieszczę się już godzinami, myśląc o dźwiękach, z jakimi Pan zjawiał się w naszym hotelowym pokoju – o przytłumionym stukaniu jego butów o wykładzinę, a każdy krok, jaki stawiał, był dla mnie już pchnięciem bioder, mój Boże, mój Boże. Ostatnio

bawiłam się w tworzenie listy dziesięciu moich hitowych fantazji: pomijając sprawę z pęcherzem, mam na niej to wspomnienie Pana, który wdziera mi się do gardła, żeby się spuścić, a ja duszę się tą niespodzianką i nie mogę odróżnić spermy od śliny. I jeszcze myśl o dwóch mężczyznach we mnie, w dowolnej konfiguracji – jestem w stanie to sobie wyobrazić tylko przez kilka sekund. Moje noce pełne są absolutnie nieprzyzwoitych zbliżeń, ulotnych zapachów, pojawiających się znikąd, moje noce to dłoń Pana na mojej szyi, przytrzymująca mnie, żebym się nie ruszała. Normandia to tylko to, po wielekroć: setki godzin, które spędzam w ciszy, udając głębokie medytacje, a pod powiekami mam sceny niesłychanych perwersji. Ludzie nie mają pojęcia, jakie koszmary potrafią wylęgnać się w mojej głowie.

Czym chcę się stać? Polimorficznym zбочeńcem. Jak Pan.

Siedzę na kanapie i się nudzę. Patrzą, jak Alice i Lucy się kłócą o komputer i się nudzą. Są chwile, tak jak teraz, kiedy bardziej tęsknię za Paryżem, gwałtowniej niż przez większość czasu. Mam paskudne wrażenie, że na prowincji całkiem tracę siły. Im bardziej oddalam się od Paryża, tym bardziej maleje moja władza nad Panem. Na wakacjach na wsi jest tak, jakbym była w klasztorze: spojrzenia zawieszają się na szybie, rozciągają się, rozmazują, tak jakbym nie mogąc wyobrazić sobie hausmannowskich kamienic w miejscu buków, odtwarzała sobie Paryż z artystycznym brakiem ostrości w moich zobojętniałych oczach. Nawet kolory są tutaj inne: istnieje tu gama zieleni, która przekracza granice zdrowego rozsądku, ale na próżno szukam trzech jedyńskich odcieni, które wydają mi się znajome, zieleń RATP5, zieleń ogrodu otaczającego skwer Boucicaut i wreszcie zieleń patyny, która pokrywa każdy szanujący się paryski pomnik. Niebo lśni wyjątkowym błękitem, deszcz ma zapach, który zawsze przypomina mi te długie dni spędzane u dziadków, w czasach, kiedy Pan nie siedział jeszcze tak głęboko w mojej głowie.

Burza ma posmak apokalipsy: grad wielkości kulek do gry mąci powierzchnię stawu, jakby był środek sierpnia – i wedle mojej wiedzy, tylko w Normandii mamy taki mikroklimat.

Deprecha. W Paryżu mężczyźni, z którymi się aktualnie spotykam, właśnie wrócili z wakacji albo powoli przygotowują się do wyjazdu. Bóg raczy wiedzieć dlaczego, teraz najczęściej gadam przez telefon z Zylbersteinem. Ale również z jego przyjacielem Octave'em, który niechcący rozjaśnił któryś z moich dni, przemycając słówko „łechtaczka” do jednej ze swoich wiadomości, i aż do wieczoru chodziłam nakręcona, wyobrażając sobie szczególny dźwięk tego słowa w męskich ustach.

Zamierzałam zaproponować jakieś zajęcie, którego bez wątplenia żałowałabym po dwóch sekundach, choćby partię tarota, gdy zawibrowała moja komórka. Prawie dwa tygodnie po naszym ostatnim kontakcie Pan potwierdził odebranie listu, który z trudem już sobie przypominam, a w którym opisywałam moje rozczarowanie Zylbersteinem.

PODOBAŁ MI SIĘ TWÓJ LIST...

– OK, wiadomość od Pana!

Wrzeszczę w salonie, i zanim zdążyłam pomyśleć, jak żalosna będzie natychmiastowa odpowiedź, odpisuję:

TEN LIST JEST SPRZED WIEKÓW. KIEDY GO DOSTAŁEŚ? PRZECIEŻ NIGDY NIE JEŹDZISZ NA WAKACJE?

Odpowiedź na to pytanie jest mi obojętna, ale czołgałabym się na kolanach się za jedno słowo Pana, a z grzeczności nie mogę tak od razu, kawa na ławę, zacząć z nim gadać o dupie. Nic mnie nie zmusza, by mu wprost dać do zrozumienia, że z nim, z tym wszystkim, co dotyczy świata, który on sam stanowi, jestem nieustannie gotowa rzucić się w ogień. Właściwie nie potrafię oddzielać wiadomości, które mi przesyła, od możliwości porozmawiania z nim. Wyobrażanie sobie jego głosu, jak mi je czyta, jest tak samo skuteczne, jak onanizowanie się złamanym palcem: czuję skrajnie nagłą potrzebę, żeby go naprawdę usłyszeć i nie mam nadziei na cień ukojenia. Im bardziej próbuję, tym większą robię sobie krzywdę.

Być może, gdybym wytłumaczyła to Panu żywym słowem, czarno na białym, uświadomiłby sobie, jak odbieram jego stałe embargo informacyjne. Może nie czekałby za każdym razem trzech dni, żeby odpowiedzieć na esemesy pełne „zadzwoń do mnie”. Może by zadzwonił.

Werdykt zapada w połowie partii tarota: dwudziesta czterdzieści pięć, Pan dzwoni. *De facto* wyświetla mi się napis „numer prywatny”, więc teoretycznie mógłby to być ktokolwiek, ale znam te telefony. Znam te fałszywe tajemnice, te karnawałowe maski, które Pan zakłada do telefonu, ale przede wszystkim, od czasu gdy go spotkałam, znam olbrzymią gamę rozmaitych skurczów brzucha, które zawsze poprzedzają objawienie się Pana. Ten „numer prywatny”, choć tak bardzo prywatny, jest mi świetnie

znany. Rzucam się w stronę komórki, waląc rękami o stół, i Lucy natychmiast rozumie. Odbierając, uśmiechem pewniejszym niż ja sama zachęcam ją, żeby za mną poszła, i Lucy, która po południu rzuciła mi tonem wyzwania, że nigdy nie widziała mnie z mężczyzną (mnie!), owija się kocem i idzie krok w krok za mną.

– Jak się masz?

– A ty? – odpowiada Pan.

Cudnie, kurwa, ależ jest cudnie.

– Bardzo mi się podobał twój list. Dostałem go dziś rano.

– Dopiero dziś rano?

– Przeczytałem go, czekając na pacjenta. Uśmiełem się!...

Uśmiecham się, brodząc bosymi stopami w mokrej trawie.

– Co robisz?

– Wracam z pracy, skończyłem wcześniej. A ty? Co mi powiesz?

– Nic wielkiego, jestem w Normandii. Nudzę się jak mops.

Pan komentuje moje zdanie stłumionym śmiechem i natychmiast wyobrażam go sobie, jakbym była w jego wstecznym lusterku: z dużymi dłońmi na kierownicy wykonuje te wszystkie wyuczony, choć instynktowne gesty związane z prowadzeniem samochodu, nie tracąc ani fragmentu naszej rozmowy. Pan milczał prawie od dwóch miesięcy i straciłam już wszelką nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek z nim porozmawiam. Rozmowa z nim teraz wydaje mi się tak nierealna jak te wtorkowe poranki, które przecież pamiętam, jakby to było dziś. Nic nie wskazuje na to, by Pan choć przez sekundę podejrzewał, co przeżyłam ostatnimi czasy. Myśl, że mogłam cierpieć, najwyraźniej nawet nie przemknęła mu przez głowę – albo, i to jest całkiem prawdopodobne, to mu sprawia przyjemność, ten rodzaj popieprzonej przyjemności, która boli i u innych jest często tylko podświadoma. Ale to z pewnością nie ja będą go oświecać w tej kwestii, wołałabym umrzeć: niech wierzy, że Ellie Becker ma jakieś życie poza Panem. I to właściwie nie jest przekłamanie, przecież piszę. Książkę, która nosi jego imię i która jest tylko o nim.

– *Pan* posuwa się do przodu.

– Czytałem o tym. Mówiłaś, że skończysz we wrześniu.

– Dam ci ją wtedy do przeczytania.

Milczenie, jakie zachowuje Pan po każdej takiej zdecydowanej deklaracji, pozwala mi się głupio, naiwnie ucieszyć na zapas. Tak wyglądają sprawy z Panem: kiedy nie mówi „nie”, ja instynktownie odbieram to jako „tak”.

– A co z Zylbersteinem? – odzywa się Pan.

– Och, to już nieaktualne. I tak dałam mu chyba dość, nie?

– Pieprzył cię w tyłek?

Nigdy nie jestem pewna, o co chodzi Panu, kiedy mówi do mnie tak, jakbyśmy nadal byli razem, ale ryzykuję:

– Tak.

– Dobrze było?

To rodzaj nieznanymi mi jeszcze tortur: czy trzeba potwierdzić (a w rzeczywistości przyznać: „Mam cię w dupie”), czy wybrać kłamstwo, chociaż Zylberstein zrobił mi dobrze. I po co to wszystko? Żeby pozwolić uwierzyć temu człowiekowi po drugiej stronie słuchawki, że czekałam na jego powrót jak Penelopa?

– Świetnie było – odpowiadam i, chociaż nikt oprócz nieodłącznej czapli siwej na środku stawu w tej chwili na mnie nie patrzy, dumnie prostuję się na nogach.

Należało przez to zrozumieć, że wyciągnęłam z Zylbersteina wszystko, czego mogłam oczekiwać w tych okolicznościach; że było mi dobrze mimo tego cienia, który wisi nieustannie nade mną, kiedy się pieprzę, który nie pozwala mi czerpać najmniejszej przyjemności z dotyku innych rąk niż ręce Pana. Udało mi się i nie mówię, że podczas orgazmu nie czułam Pana za plecami, nie mówię, że nie miałam ochoty wołać jego imienia, nie, nie mogę powiedzieć niczego podobnego, zważywszy, że nawet kiedy jestem sama w łóżku, jemu przypisuję każdy okrucieństwo, który sobie daje, każdy ślad na poduszce ma kształt ugryzień, które na niej zostawiam, skandując to drogie i toksyczne imię. Nie mogę się powstrzymać i dodaję żałośnie:

– Ale jednak gorzej niż z tobą.

– Tak? Dlaczego? – dopytuje Pan słodkim głosem.

– Bo to nie było w taki sam sposób.

– W jaki sposób?

– Dobrze wiesz, w jaki.

I kiedy udaje się nam przywrócić tę pradawną atmosferę z czasów, kiedy odgrywaliśmy z Panem role wiecznych kochanków, sprawiam sobie przyjemność i podaję mu szczegóły tego wieczoru z Zylbersteinem.

– Prawdę mówiąc, wychodziłam od Édouarda i ...

– Édouard? Kto to jest Édouard?

– Przyjaciel, nauczyciel francuskiego. Byłam u niego tego wieczoru i wziął mnie od tyłu. Kiedy Zylberstein do mnie zadzwonił, zbierałam się do spania, ale jednak powiedziałam sobie, że mam ochotę się z nim zobaczyć. Więc wsiadłam do metra i pojechałam do niego.

– Czekaj, czekaj... czy ty mi właśnie mówisz, że tego samego wieczoru dałaś dupy dwóm facetom?

Pan wydaje się zdumiony, tak jakby to naprawdę był news, że po kontaktach z nim stałam się tak zepsuta. Figlarnym tonem odpowiadam:

– No tak. Więc pojechałam do Zylbersteina i...

– Dwóch facetów... – wzdycha Pan, ale nie sposób określić, co kryje to westchnienie.

– I kiedy mu powiedziałam, że właśnie dałam dupy, wiesz co mi odpowiedział?

– Noo?...

– „To mnie podnieca”.

Po raz pierwszy od tygodni Pan i ja śmiejemy się tym samym śmiechem pary łajdaków, których bawi występki. Zaraz potem zapada cudowna cisza i to go skłania, by wyszeptać:

– Masz śliczny głos, Ellie.

Mówi prawie przepaszająco. Chwytam okazję, wbijając oczy w dziwny błękit nieba i nienawidząc każdego słowa, każdego oddechu pomiędzy każdym słowem, pytam:

– Dlaczego odszedłeś?

– Ellie...

Wybacz mi, myślę. Rzygam sama sobą, ale to nie jest tak, że mam jakiś wybór. Muszę wiedzieć.

Zmuszam się do mówienia neutralnym głosem, żeby Pan nie zauważył, nawet trzysta kilometrów ode mnie, że serce zaraz mi stanie.

– Nie napadam na ciebie. Po prostu nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz, koteczku?

Kiedy Pan mówi „koteczku”, natychmiast czuję, jak bardzo mój status się zmienił w tak krótkim czasie. Za sprawą jakiej niepojętej psychologicznej manipulacji otrzymałam tę samą etykietkę, co wszystkie inne, które sobie wyobrażam? Jak się przechodzi od „kochanie” do „koteczku”, do kurwy nędzy?

– Nie rozumiem, dlaczego z dnia na dzień przestałeś do mnie dzwonić, odpowiadać na moje listy czy utrzymywać ze mną jakiegokolwiek stosunki. Nie rozumiem, jakim sposobem to mogło być dla ciebie łatwiejsze, niż powiedzieć mi po prostu, że masz dość.

– Nigdy nie miałem dość. Ja...

– Zaczekaj. Proszę, zaczekaj, daj mi skończyć. Znam cię wystarczająco, żeby powiedzieć bez żadnej wątpliwości, że miałeś dosyć. W przeciwnym razie nie zerwałbyś.

– Ellie...

– Jesteś jak ja. Dopóki jest fajnie, bawimy się dalej.

– Dobrze wiesz, że to nie może być takie łatwe. To, jak bardzo cię chcę, nie ma z tym nic wspólnego.

– Więc gdzie jest problem?

– Czuję, że zaczynamy tracić kontrolę. Że to się staje niebezpieczne.

Cholera, myślę sobie. No to już wiemy. To jest moment, kiedy mogę zdecydować, czy mu uwierzyć, czy pozostać przy moim głębokim przekonaniu: Pan Łga jak najęty, wiem to. Oto chwila, gdy głowa pęka mi na pół i nie mam pojęcia, jak zaszyć tę ranę. Zostanę tak na następne dni – a on oczywiście nigdy się o tym nie dowie. W zasadzie nie mam ochoty, żeby Lucy widziała coś takiego, bo teraz, nagle, przestaję mieć cokolwiek wspólnego ze świetną Ellie, którą jestem daleko od tego człowieka. I nawet pomijając moją mokrą kitkę czy wielką bluzę mojego ojca, wyglądam jak gówno. W ciągu dwóch sekund powracają moje nerwowe tiki, kręcę kosmyki włosów na palcach, aż robią się supły.

– Jak mogę być dla ciebie niebezpieczna? Ja? Nigdy nie mówiłam o zobowiązaniach ani o żadnych takich pierdołach.

– O tym nawet nie wspominam. Mówię o ryzyku, które mogę podejmować albo nie. Wiesz, to nie jest dla mnie łatwe.

– W stosunku do twojej żony?

– W stosunku do masy różnych rzeczy. Zaczynaliśmy tracić kontrolę. Dobrze o tym wiesz.

Słabo panuję nad wzburzeniem.

– Jeśli tak, to po co do mnie dzwonicz?

– Żeby ci powiedzieć, że szalenie podobał mi się twój list. Był bardzo w twoim stylu.

– Ale jeśli go przeczytałeś, pamiętasz bez wątpienia, że na zakończenie zaproponowałam, żebyśmy się pieprzyli.

– To prawda – przyznaje Pan i nie muszę zamykać oczu, żeby wiedzieć, jak szeroko się uśmiechnął. – Ten fragment też mi się bardzo podobał.

– Tylko ten fragment?

– I myśl o pieprzeniu się z tobą. I myśl o twojej pupie.

Przez co najmniej kilka minut Ellie, którą chciałaby widzieć Lucy, ma szansę znów rozbłysnąć.

– No więc?

– No więc co, koteczku?

– Co robimy, mój Panie? Pieprzymy się czy nie?

Wybuch szczerym śmiechem – ale po kilku króciutkich sekundach pojawia się w tym dźwięku, który uwielbiam, w tej pełnej prezentacji możliwości jego gardła nadmiar wesołości, który nie kłamie: Pan jest zażenowany. Zaskoczyłam go, bo wyobrażał sobie niewątpliwie, że to on ma monopol na nieprzyzwoite propozycje – to zresztą znaczące nieporozumienie. Ten facet nie ma pojęcia, jak żaloszny okres przechodzę; dawno już postanowiłam nie grać zbyt subtelnie. Subtelność wymaga udziału dwóch stron. Tupet to nie jest wybór: to jedyny sposób, żeby do cna wykorzystać takie nieliczne chwile łaski jak ta.

– Nie wiem – odpowiada Pan. – Co mam ci powiedzieć, Ellie?

– Nie masz ochoty? – szepczę, znów chowając się za zmienionym, pełnym lubieżności głosem kurtyzany, szukającej odpowiednich argumentów.

– Dobrze wiesz, że umieram z pożądania. Jak tylko cię widzę, mam ochotę eksplodować.

Pan pod wieloma względami jest jak *Eclipse* Pink Floydów: są takie krótkie chwile, kiedy słowa, które wybiera, wybuchają we mnie i przenoszą mnie o lata świetlne od miejsca, w którym jestem, Bóg jeden wie dokąd – tam, gdzie wszystko, o czym mówi, musi się zdarzyć.

– Więc powiedz: pieprzymy się. Nic prostszego: ty i ja w jakimś pokoju, we wtorek rano.

– Marzyłbym o tym. Wiesz dobrze.

– Więc zróbmy to! Powtarzasz „wiesz dobrze”, ale ja wcale nie wiem. Mówisz do mnie tak, jakbyś zdychał, bo tak bardzo chcesz się ze mną zobaczyć, ale tylko uciekasz. Myślisz, że to dla mnie łatwe? Z dnia na dzień przestałeś mi dawać jakiegokolwiek znaki życia. Jeśli to koniec, wolę, żebyś mi powiedział.

– Ale nie chcę powiedzieć ci niczego takiego. Nie mogę ci powiedzieć niczego takiego, to byłoby nieuczciwe z mojej strony... Co on robi, ten dupek? Parkujesz, nie parkujesz?...

We mgle, która otacza jego głos, słyszę odległy warkot samochodu i jeszcze odleglejsze odgłosy paryskiego ruchu ulicznego. Powstrzymuję westchnienie, które powiedziałyby Panu, jak bardzo brak mi tego miasta, jak bardzo, pomijając tęsknotę za Paryżem, chciałabym siedzieć obok niego, patrzeć na niego, bo wiem bez cienia wątpliwości, że z tej odległości nie mógłby powstrzymać się, żeby mnie dotknąć. A tego mi, w gruncie rzeczy, trzeba. Zmierzch dnia na Marais i ręce Pana, które wchodzi mi pod sukienkę, kiedy mi wyjaśnia – choć jego słowa są bez

sensu – dlaczego ta historia między nami nie ma szansy trwać.

Kończy bluzgać i mówi:

– Przepraszam, jeżdżą jak idioci. Nie zdajesz sobie sprawy, że dla ciebie ta sytuacja jest tysiąc razy prostsza.

– W czym? Wytlumacz mi, w czym jest dla mnie prostsza, bo ja ze swej strony jestem przekonana, że to twoja rola jest fajniejsza.

– Moja?

– Tak, twoja. Masz żonę, pracę, a oprócz tego laseczkę, która nigdy nie chciała od ciebie niczego innego, niż żebyś się z nią pieprzył. Masz wszystko.

– Widzisz ten problem od drugiej strony. Masz dwadzieścia lat, żadnych zobowiązań, cały świat jest twój. Ja muszę radzić sobie ze wszystkimi ograniczeniami. Wierz mi, to jest łatwiejsze dla ciebie.

– NIEPRAWDA! – krzyczę, i po chwili dopiero zdaję sobie sprawę, że Lucy mnie słucha i że mój ojciec rozpała grilla kilka kroków dalej. – Kłamiesz i to niesprawiedliwe z twojej strony. Mówisz tak, jakby to, co między nami było, nie miało dla mnie znaczenia, tak jakbym o wszystkim stopniowo zapominała. Nigdy cię nie tknęło, że mogłabym chcieć rozstrzygnąć tę kwestię raz na zawsze? Nie prosiłam cię o wiele, wystarczyłoby „spieprzaj”.

– Historia między nami była tak gwałtowna, że potrzebowaliśmy gwałtownego zakończenia.

Przyjmuję jego oświadczenie – skoro ma być rozstrzygające – długą, niezdecydowaną ciszą, chociaż potwornie chciałabym powiedzieć mu po prostu: „Ale to, kochanie, nie było nic gwałtownego. Zniknąłeś z powierzchni ziemi i w żaden sposób nie mogłam cię złapać. To po prostu straszliwie bolesne, coś w rodzaju długiej agonii. Nazywając rzeczy po imieniu, postępujesz tak, jakbyś potracił mnie samochodem i zostawił na poboczu na pewną śmierć. Tylko że ja nie jestem martwa. Co można zrobić gorszego dwudziestoletniej dziewczynie, która widzi, jak wszystkie jej koleżanki wesoło skaczą, a sama ledwie może się za nimi wlec? To ty powinieneś wisieć na telefonie i tłuc te bezsensowne esemesy, to ty powinieneś być na moim miejscu, a ja na twoim. Żebyśmy się trochę zabawili. Żebyśmy zobaczyli, jaką wolisz śmierć: szybką czy nieskończenie powolną. A ja...”

Ale moment. Chwileczkę, chwileczkę, chwileczkę. Dlaczego on mi mówi o końcu, skoro...

– Jeśli uważasz, że to skończone, po co dzwonisz, żeby potwierdzić odbiór mojego listu? Mogłeś zrobić to co zwykle, kompletnie nic.

– Myślałem o tobie.

Co może rozum przeciwko takiemu argumentowi? Pan zawsze znajduje sposób, żeby odwrócić sytuację tak, żebym to ja była i chora z wściekłości, i pełna szczęścia, że nadal siedzę mu w głowie, choć tylko krótkimi chwilami, nawet jeśli chęć, jaką Pan ma na mnie, gaśnie tak samo gwałtownie, jak się budzi.

– To dobry powód – przyznaję bez entuzjazmu.

– Dziwnie brzmiysz – zauważa Pan, który nie ma pojęcia, jak bardzo trafne jest to spostrzeżenie.

– To dlatego, że nie wiem, dokąd zmierzamy i co mam myśleć.

Pan bierze głęboki wdech.

– To tak samo jak ja. Kiedy wracasz do Paryża?

– Nie wiem.

Jedno słowo Pana wystarczyłoby, żebym natychmiast kupiła bilet powrotny, ale podoba mi się, jak brzmi w moich ustach to „nie wiem”. Jak: „Nie wiem i mam w nosie, że nie wiem”.

– Wjeżdżam na parking, będę musiał kończyć. Mogę do ciebie zadzwonić kiedy indziej?

– Kiedy zechcesz – wzdycham, kręcąc się w kółko. – Zadzwoń do mnie jutro, w drodze do pracy.

– OK.

I chociaż zagryzam usta z całych sił, muszę wyjechać z tym *post scriptum*, które przypieczętowanie kruche wrażenie obojętności, jakie, przeczuwam, pozostawiłam:

– Wydawało mi się, że już mnie nie kochasz.

– Nie myśl tak, Ellie.

– Nie?

Uśmiecham się niekontrolowanie.

– Nie. Nie myśl tak. Gdybym mógł się z tobą spotkać, gdyby nie było to ryzykowne, zrobiłbym to jak najszybciej.

– Dobra.

– Zgoda, koteczku?

– Zgoda – odpowiadam głosowi, który pieści mi koniuszki uszu.

– No to świetnie. Muszę lecieć, zadzwonię jutro.

– Do jutra.

– Całuję cię – szepcze Pan.

– Ja też.

Trudno byłoby mi właściwie opisać te trzy czy cztery sekundy całkowitej ciszy, które poprzedziły zakończenie rozmowy, tę krótką chwilę

wieczności, kiedy słyszałam, jak oddycha, może się waha, czy jeszcze coś powiedzieć, niski odgłos silnika, a potem nic, koniec. Musiałam wytrwać do rana, robiąc przez cały czas spis tego wszystkiego, co Pan i ja mogliśmy sobie powiedzieć pomiędzy tymi nawiasami, na tej stroniczce, która przypadkiem pozostała niezapisana.

Gdy mój telefon umilkł, stałam ze zwieszonymi rękami na przemoczonej trawie. Tak oto powrócił Pan. Znikąd. Nie miałam żadnej wskazówki, żadnego śladu, który pomógłby mi dowiedzieć się, jak spędził ten cały czas z dala ode mnie. Wiedziałam tylko jedno, ale w zupełności mi to wystarczało, przynajmniej na dwie minuty: Pan jest. Pan istnieje, Pan żyje. Rozmawiałam z nim. Miałam nadal czerwony dekolt, bo go przed chwilą słyszałam.

– A więc? – zapytała Lucy, podchodząc do mnie tak, jak zawsze: idealnie cicho.

– A więc nie wiem.

– Pójdzie z tobą do łóżka?

– Tak. Tak sędzę. W każdym razie wygląda, że ma na to ochotę. Jeśli nie kłamie. W sumie, nigdy nie wiadomo. To Pan.

Kiedy szłyśmy w stronę domu, niezrozumienie tej sytuacji zaczęło mnie podgryzać. Tak, ale czego on ode mnie chce? I chociaż nie powinnam, chociaż znakomicie wiem, że takie intrygi jak ta spowodowały, że musiałam czołgać się u stóp Pana, posłałam mu esemesem ostatnie pytanie:

**CHCESZ, ŻEBYM PRZESTAŁA SIĘ PRZED TOBĄ WYGINAĆ
JAK SALONOWA KOTKA?**

Kilka minut później odpowiedź:

NIE.

Licencja na szczęście, przynajmniej na jakiś czas.

Następnego dnia, kwadrans po ósmej, palę pierwszego papierosa w babcinym ogródku. Ponieważ razem z Alice i Lucy siedziałyśmy do późna, oczy otwierają mi się z trudem. O tej porze Pan powinien wybiegać z zaparowanej łazienki przepasany ręcznikiem, idealnie ogolony, wyperfumowany za uszami i na jedwabistych nadgarstkach. Jestem pewna,

że onanizuje się pod prysznicem, powoli, w strugach gorącej wody. To, o czym myśli, jest wielką niewiadomą, ale w zasadzie nic mu nie przeszkadza myśleć o mnie. Potem ubiera się bezszelestnie w wilgotnym pokoju, gdzie jego żona jeszcze przysypia. W korytarzu zderza się z Charles'em i głaszcze go przelotnie po długich włosach. W kuchni łyka kawę i podpisuje dokumenty do szkoły dla Adama. Nawet nie siada, je śniadanie w pośpiechu. Dopiero na bloku operacyjnym Pan pozwala sobie na powolne, ostrożne gesty. Tylko na bloku Pan jest geniuszem. Przez resztę życia pędzi, przez cały czas, w każdej sprawie. I chociaż wielokrotnie słyszałam, jak się na to uskarża, byłoby mu trudno żyć inaczej.

Ósma trzydzieści. Pan całuje Estelle, która właśnie wyłania się z pokoju w nocnej koszuli. Chłopcy już wyszli.

– Do wieczora – mówi i kilka minut później jest już w samochodzie.

Komórka w zagłębieniu deski rozdzielczej, z włączonym głośnikiem. Świat zewnętrzny lekko przyćmiony przez przyciemnione szyby. Widzę to, nie musząc się nad tym specjalnie skupiać: wyobrażam sobie zapach we wnętrzu, kąciki ust, które miałyby jeszcze smak kawy, jeśli dotknęłabym ich językiem. Pan wyjeżdża z parkingu, pokonuje wąskie zakręty, nie zastanawiając się nad tym specjalnie, myśląc już wyłącznie o dniu, jaki go czeka. Na zewnątrz, przy quai de la Mégisserie, różowym i jasnym od słońca, przechodzący przez pasy dziękują mu krótkim skinieniem głowy – to niesamowite, ale prawie go nie widzą, dostrzegają zaledwie cień za przyciemnioną przednią szybą. Gdyby mnie się zdarzyło, że Pan zrobiłby mi łaskę i przepuścił przez ulicę, pewnie stanęłabym schwytna w światła jego samochodu, jak zwierzątko, i patrzyłabym na niego bez końca.

Za piętnaście dziewiąta: w korkach Pan gotuje się ze złości. Omawia z Estelle ostatnie sprawy związane z wakacjami, bez wielkiego entuzjazmu, bo do wakacji jest dla niego jeszcze bardzo daleko. Dziś trzy operacje i Bóg wie, ile konsultacji; Pan ma pełną głowę, pełną, aż trzeszczy. Nie ma miejsca na myśli o wypoczynku czy o słońcu z żoną. I nie ma miejsca dla mnie.

Za pięć dziewiąta. Pan parkuje przed ogrodzeniem kliniki. Gdy tylko wysiada z samochodu, łapie go kolega, który opowiadając mu o różnych sprawach, odprowadza go aż na blok. W szatni, gdzie przebiera się w strój chirurga, Pan zostawia teczkę, portfel, komórkę i mnie, wszystko zamknięte w szafce.

Pan operuje. Pan jest dorosły. Pan jest odpowiedzialny.

Ponieważ ja nie, wracam po cichutku do łóżka. Moja młodsza siostra

przewraca się i mruczy:

– Co ty wyprawiasz?

– Nic, nie mogłam spać.

Louise już pewnie zasnęła. Zapach jej snu unosi się nad nami; w salonie jest całkiem ciemno. Za kilka minut wstanie babcia; jeśli do tej pory nie znajdę zapomnienia, to będzie kicha. Ale jak to zrobić, mój Boże? Nienawiść do Pana działa na mnie jak środek pobudzający.

Ponieważ już wkurzyłam Louise, wierząc się jak opętana, postanawiam wycofać się z godnością. Wdrapuję się na pierwsze piętro, gdzie śpią Alice i Lucy w wilgotnej błękitnej atmosferze. Wciskam się do łóżka siostry, która posuwa się, chrapiąc. W kompletnym i dotkliwym rozgoryczeniu (lub, co trudniej przyznać: w nieskończonym smutku) jedyna nadzieja, która kołysze mnie do snu, to palenie. Chcę palić i rechotać jak żaba, z oczami czerwonymi jak królik, z ciężkimi powiekami, z wyschniętymi ustami. Od czasów istnienia Pana to szczęście, że istnieje trawka, bo pomaga mi uśmierzyć jego brak.

5 Paryskie przedsiębiorstwo transportu publicznego, którego znakiem firmowym jest kolor zielony (przyp. tłum.).

Sierpień

Wtorek.

Od tygodnia jestem w Berlinie, w towarzystwie tych wszystkich cudnych i kochanych dziewczyn. Wśród nich jest legendarna już Lucy, którą powitałam potężnym, męskim klepinięciem w plecy – mogłam wybrać to albo najdelikatniejsze i niewysłowione pieszczoty, trzeba było podjąć decyzję.

Pierwszego dnia paliło słońce, a ja wtajemniczałam Małe w sztukę palenia fajek. Leżałyśmy w Monbijoupark, w białej, z przenośnymi głośnikami przy uszach. Patrzyłam na nie po kolei, myśląc, ile czasu trzeba, żeby nie chciały już nigdy się stąd ruszyć. Po pięciu minutach, ułożone w gwiazdę na miękkiej trawie, wyraźnie przestały walczyć. A nie mówiłam?

Podczas partii tarota Lucy podwędziła mi *Pana* – więc wszystko, co o niej napisałam, przestało być tajemnicą: wciąż czytała i nieustannie trzeba jej było przypominać, żeby grała i jaki kolor był zgłoszony. Ze ściśniętym żołądkiem starałam się domyślić, co też mogło się dzieć w jej ślicznej główce, za wielkimi ciemnymi oczami. Czy wydawało jej się, że czyta powieść, czy jednak pamiętnik moich udreńczonych seksualnych wyobrażeń, w których Pan i ona rządzą niepodzielnie? Ściśle tajne; spokojnie odłożyła zeszyt, nie mówiąc ani słowa, tak jakby nie miało sensu godzinami debatować o tym, dlaczego kiedy ona jest w pobliżu, nie myślę już o Panu, tylko o niej, dlaczego jego kutas nie robi już na mnie takiego wrażenia, jak myśl o jej nagim ciele.

Czwartek.

Jeśli mam taką straszną chęć na seks, to bez wątplenia dlatego, że Zylberstein i Landauer dzwonią do mnie na zmianę i nawijają ponurym głosem lekarza, który pyta o samopoczucie pacjentkę na diecie. Od dziesięciu dni, od kiedy jestem na wygnaniu, zadowolam się moimi paluszkami wysmarowanymi atramentem, i oto coś, co zdaje się sprawiać im poważny problem z ego – ponieważ, gdy tylko kończę rozmowę z Landauerem, dzwoni do mnie Octave, żeby się upewnić, że powiedziano mu prawdę: Ellie Becker wyjechała na cały miesiąc bez mężczyzny. Niezły numer.

Mogłabym, dla urody zdania, podkreślić bardziej jeszcze niuans: bez mężczyzny. Ale mieszanie Lucy do całego tego seksualnego cyrku,

utrwalanie jej imienia w pamięci tych chłopców i prezentowanie roszczeń, które nie mają, jak na razie, uzasadnionej podstawy, to byłoby zbyt wiele. Bałam się że przyniesie mi to pecha, więc udałam, że godnie niosę swój krzyż, zapewniając z absolutnym spokojem, że chwilowy post zrobi mi dobrze.

Ale nie byłam o tym przekonana.

A w każdym razie mówienie o poście nie ma żadnego sensu, ponieważ od mojego sławetnego przyjazdu do Berlina nie straciłam ani jednej okazji, żeby sobie zrobić dobrze w moim małym niewygodnym łóżku – to efekt przytulanki, zważywszy, że mimo podróży, mimo zmian miejsca zamieszkania i wywracania do góry nogami przyzwyczajęń, świat, w który zanurzam się na dziesięć minut co wieczór, się nie zmienia. Główni bohaterowie i ich pozycja pozostają ci sami: Pan, Lucy. I ja pośrodku, wykazująca dobrą wolę, godząca się na wszelkie wypaczenia, niemożliwe czy niewypowiedziane.

Dołączyłam do dziewczyn w Viktoriaparku, przy Mehringdamm. Było tak ciepło, że rozłożyłyśmy się na trawniku w kostiumach kąpielowych, zanurzone w dobrym zapachu trawy i smaku miodowego piwa, którego nie można znaleźć nigdzie indziej. Przypadkiem, który nie zasługuje na to miano, kiedy otwierałam oczy, widziałam Lucy ponad moimi wystającymi kośćmi biodrowymi.

Kiedy stamtąd wyszłyśmy, na Kreuzbergstrasse odkryłyśmy coś w rodzaju coffee-shopu sprytnie przebranego za sklep turystyczny. Sprzedawca nie miał trawy (rzecz jasna), ale sprzedał nam kilkanaście magicznych nasionek. Teraz, kiedy to piszę, drepczemy raczej, niż idziemy w stronę Wedding, i mam w torbie coś, co pozwoli nam spędzić bardzo dobry lub bardzo zły wieczór.

Czy już mówiłam, że Pan był silniejszy niż wszystkie dragi? Żaden syntetyczny raj nie był w stanie utrzymać go z dala od moich myśli. Razem z dziewczynami zrobiłyśmy takie kino, żeby wziąć te nasionka, że byłam skupiona już tylko na nich, na tym, jak strasznie je kochałam. Łaziłyśmy między salonem a dużym zacienionym podwórkiem, bo było nam niedobrze. Lucy prowadziła pochód, szurając nogami, z ręką na brzuchu. Mówiła niewiele. Zatrzymywała się w połowie zdania, gdy nieprzyjemna fala w żołądku uniemożliwiała nam wszelki wysiłek. Na początku było nas cztery, siedziałyśmy koło stojaków rowerowych – reszta postanowiła się położyć. Lucy paliła fajkę, udając, że dzielnie znosi to niekończące się cierpienie, a ja starałam się jakoś zapomnieć o złym samopoczuciu i podtrzymywałam morale ekipy na względnym poziomie

partiami gry w słówka dla przedszkolaków: Alice z siostrzanej solidarności wydawała z siebie długie bolesne rechoty, a potem znów chowała głowę w ramiona. Flora siedziała po turecku na trawniku i obgryzała paznokcie, patrząc w pustkę. Ale w tej ciszy nie było nic niepokojącego; to był czas na wspólne przeżywanie bólu, skurczów mięśni ud, szybkiego oddechu i wściekłej chęci wyrzygania całej duszy. Trochę się bałam, że zacznę rozpatrywać hipotezę, że ten durny sprzedawca mnie oszukał, ale nagle zrobiło się pięknie i ciepło, powietrze zaczęło inaczej pachnieć i klęska stała się niemożliwa. Czekałam.

– Hej, w górę serca! – wydarłam się wystarczająco głośno, żeby dotarło to do mnie samej – i natychmiast skurcz żołądka odebrał mi głos.

Alice postanowiła wstać, żeby zapalić papierosa, opierając się o ścianę.

– Ile czasu minęło, od kiedy wzięłyśmy te nasionka? – zapytała głośno.

– Prawie godzina – odpowiedziała Flora lakonicznym tonem i też wstała z fajką w dziobie. – Poproszę ognia.

Lucy wyciągnęła złociste ramię, trzymając zapalniczkę.

– Myślisz, że to jeszcze długo potrwa? – usłyszałam pytanie zza chmury dymu.

– Paw? Wydaje mi się, że już niedługo powinno przestać nas mdlić.

Tak naprawdę nie miałam pojęcia. Na razie cieszyłam się, że udało mi się zatrzymać zawartość żołądka na miejscu. Ewentualność takich mdłości przez osiem godzin nie przyszła mi nawet do głowy – to by było tragiczne.

– Czujecie się już dziwnie? – rzuciła Flo po cichu.

– Trudno powiedzieć – odpowiedziała Lucy. – Koszmarnie mnie łamie w biodrach. W biodrach! To mi się nigdy nie zdarzyło.

– Ja się czuję dziwnie – rzuciłam, robiąc dziwaczny grymas.

– Ty to przede wszystkim masz na full wytrzeszczone oczy – dodała Alice, pochylając się nade mną i prawie dotykając mnie swoją blond główką. Przypatrzyła się moim źrenicom swoimi źrenicami tak czarnymi, że osłabiłyby Lovecrafta.

– Przyganiał kocioł garnkowi – mruknęłam, rzucając się w kierunku przeszklonych drzwi, żeby obejrzeć swoje oczy.

– Gorzej byśmy się miały, gdyby teraz przyjechały gliny – zaśmiała się Alice, intensywnie analizując swoje odbicie.

Nie mogąc powstrzymać czkawki ze śmiechu, zdałam sobie sprawę, że nie mogę też przestać się uśmiechać. Jakaś trucizna zawarta

w nasionkach zmuszała mięśnie mojej twarzy do takiego skurczu.

Pięć minut później ryczałyśmy ze śmiechu na wewnętrznym podwórku, leciutkie jak piórka, bo nasze żołądki wróciły wreszcie do normy. Żeby podkreślić, jak bardzo lepiej się poczułyśmy, Alice albo ja zasugerowałyśmy, żeby nastawić muzykę, ale wredna lokatorka z piątego piętra zagroziła nam z balkonu, że wezwie policję. Zwiałyśmy więc jak łobuziaki do mieszkania, próbując równocześnie pokonać drzwi we cztery (na ramieniu została mi po tym dość elegancka szrama i czasem jej dotykam, żeby powrócił do mnie cień tamtego bólu – tamtej euforii). Clémence wyszła z pokoju, gdzie ucięła sobie drzemkę, żeby opanować mdłości, potem Claire i Anne-Lise, i wreszcie Hermance, która wystawiła nos, gdy usłyszała, że łkamy ze śmiechu. Tę scenę będę widziała przez całe życie: dziesięć minut po swoim triumfalnym wejściu, kiedy wtulone w siebie na kanapie jak miot kociaków opisywałyśmy sobie nawzajem to nieznane uczucie niezmaconego niczym szczęścia, Hermance nagle podskoczyła jak sprężyna, z twarzą ukrytą w drobnych dłoniach. Przekonane, że zrobiła sobie krzywdę, Clémence i Alice wyprostowały się jak surykatki, piszcząc „Hermi, Hermi, Hermi!” – a ja, kurwa, nie mogłam przestać się śmiać! Hermance wydała z siebie krzyk nie do opisania, przesunęła ręce na wstrząsany spazmami brzuch, a Flo, widząc łzy, rozpuszczając jej tusz do rzęs, wrzasnęła:

– Ale ona płacze! Hermi płacze!

I rzeczywiście płakała w najlepsze, ale z radości. Zrozumiwałyśmy to ostatecznie, kiedy nieco zaniepokojona Lucy zaczęła głaskać ją po ręce, a ona wyczkała:

– Nie wiem, dlaczego płaczę! Nawet nie wiem, czy płaczę! Wszystko jest świetne, wszystko, wszystko, wszystko! To miasto jest świetne, wy jesteście świetne, muzyka jest świetna!

Broda zaczęła jej się gwałtownie trząść i piskliwym głosem przypominającym dźwięk małych skrzypeczek, dodała:

– To mi łamie serce!

I łkając coraz bardziej, nalała sobie jeszcze jedną szklankę ponczu.

Przez siedem godzin – tyle trwał nasz wieczór – przeżyłyśmy parę podobnie uroczych chwil. To zresztą jedyne wyraźne wspomnienia, jakie zachowałam: Alice, ogarnięta niewyjaśnionym bezwładem, nie była w stanie utrzymać talerza spaghetti i nie próbując nawet się powstrzymać, wywaliła sobie wszystko na sukienkę. Śmiejąc się. Później, siedząc po turecku w wiklinowym fotelu między dwiema kanapami, zaczęłam szukać dla każdej z tych małych opisu z domu pani Tellier. Najważniejszym

celem dyskusji było znaleźć typ kobiety odpowiadający każdej z nich, tak jak w burdelu u Maupassanta można było znaleźć Piękność Jasnowłosa, Piękną Żydówkę i Różę Klaczkę. Ale widząc te buzie, te ciała tak różne od siebie, te włosy, których nie sposób pomylić ani opisać, straciłam koncept. Olałam argumenty, jakich użyłaby burdelmama, żeby przyciągnąć klienta, bo nagle wydało mi się, że jestem jedynym klientem, jedynym, który jest w stanie zobaczyć ich piękno. Dziewczyny były o tysiące mil ponad niską zwierzęcą chuć, łatwą do zaspokojenia. Zawarcie ich wszystkich w jednym typie kobiety wydało mi się zbrodnią obrazy majestatu. Rozmawiałyśmy o zmysłowości, o szczególnej i osobistej aurze seksualnej – rozmawiałyśmy o tym nawet zbyt wiele. Długie, umięśnione kończyny dyskretnie układały się na poduszkach, ociężałe powieki opadały na ciemne źrenice, a wszystkie te członkinie uroczego stadka kolejno poddawały się z przyjemnością pochlebstwom i pieścizotom najbardziej barokowych słów z mojego repertuaru. Grzeczny język wymagał ode mnie nie lada poświęcenia – bo na przykład Flory nie mogłam opisać inaczej niż za pomocą zmyślonego obrazu, jak leży w wielkim satynowym łożu, z otwartymi ustami i dłońmi zaciśniętymi na gigantycznej poduszce. Nie umiałam opisać wystarczająco eleganckimi słowami zadziwiającego wdzięku jej buzi, w mojej wizji omdlewała w ramionach absolutnie przypadkowego mężczyzny.

– Flora nie przypomina nikogo innego – zakończyłam głosem lepkiem jak karmel, podwijając nogi.

– Teraz Lucy! – oznajmiła Clémence.

Lucy ma oczy, które po prostu pachną seksem i zjem ją na surowo, kiedy tylko odwrócicie się plecami, pomyślałam, patrząc na wyżej wymienioną, siedzącą w kucki przy niskim stoliku i czekającą na swoją ocenę z półśmiechem sfinksa, ze świadomością trudności, jakie mogę mieć. Przybierając odpowiednią minę (choć bez wątplenia mogła być wyłącznie obsceniczna), westchnęłam:

– Lucy... Lucy to Lucy. Dobrze wiecie, że jej nie da się opisać.

Wyraźnie usatysfakcjonowana, nie pozbywając się uśmiechu, który nawet się powiększał, spuściła oczy.

Zadowolona z efektu, założyłam nogę na nogę i zaraz ją zdjęłam, bo poczułam gwałtowny przyływ gorąca w okolicach ud.

Jeszcze później poszłyśmy we dwie na huśtawkę na skwerek, który dzielił ulicę na dwie części. Bujałam się zbyt wysoko i zdawało mi się, że wchłonie mnie to niebo dosłownie utkane gwiazdami, które świeciły mocniej niż zwykle. Moje za bardzo rozszerzone, spłoszone źrenice

tworzyły aureole wokół każdego światełka. Widziałam świat malowany akwarelami; zdawało mi się, że pode mną są kilometry powietrza, Lucy obserwowała moje wznoszenie, piszcząc z zachwytu. Zamykanie oczu, gdy prawo grawitacji gwałtownie odrzucało mnie w tył, powodowało euforyczne mdłości, a upojenie zawrotami głowy i z niczym nieporównywalne uczucie wolności prawie równało się z orgazmem. Włosy spadały mi gwałtownie na czoło i wypuszczałam oddech z pulsowaniem w dole brzucha, za moimi zamkniętymi powiekami imię Pana mrugało jak neon.

Pan.

* * *

No, niech mi ktoś wytłumaczy, co tu robił Pan. Dlaczego, nawet tak zaabsorbowana naszymi bezsensownymi spacerami, naszymi durnymi gramami w słówka, dlaczego nie zauważyłam, że pozwoliłam Lucy zająć jego miejsce? W którym dokładnie momencie wieczoru to się wydarzyło?

Wydaje mi się, że byliśmy jeszcze w mieszkaniu. Tak, jestem tego pewna. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego byłam w kostiumie kąpielowym. Kiedy dyskusja sięgała zenitu, z wielkim żalem wygramoliłam się z fotela, żeby zrobić siusiu. Rzut oka w lustro; ten rodzaj mętnego spojrzenia nie zostawiłby mi cienia szansy w oczach rodziców. Moje odbicie mnie zafascynowało. Na stojąco, nagle nie zwracając uwagi na nadciągającą eksplozję pęcherza, poruszałam rękami, przyglądając się z powagą trasie, jaką przemierzały, a potem pogłaskałam się po policzkach. To było zabawne, nawet bardzo zabawne! Młoda kobieta bardzo podobna do mnie, naprzeciwko mnie, w takim samym czarnym kostiumie, z tak samo rozczochranymi włosami, z takim samym niezbornym uśmiechem. Słyszałam nieustający odgłos czegoś jakby skrzypienie.

Odeszłam z żalem od lustra i usiadłam ciężko na sedesie. I kiedy zaspokajałam tę ludzką potrzebę, mrużąc do własnych myśli, drzwi się uchyliły. Z pewnością był to tylko niewielki przeciąg – ale ta oczywistość dotarła do mnie dopiero kilka godzin później, bo w tym dokładnie momencie, bez jakiegokolwiek lęku czy najmniejszego poczucia nierealności, byłam pewna, że oto pojawił się Pan. Bo, w sumie, dlaczego nie? Skoro mogłam mieć najbardziej nieprawdopodobne halucynacje świata, dlaczego nie miałyby się pojawić choćby najmniejsza dotycząca mojego największego problemu? Ja, z kostiumem zwiniętym w kostkach, siedząca na tronie goła jak święty turecki, z pociemniałymi oczami utkwionymi w wejściu – inaczej mówiąc, w Panu, który stał nieruchomo

w drzwiach. Pan, wbijając w moje ciało wzrok jak harpun, zbliżał się powoli, z uśmiechem ponurym i przyzwalającym zarazem. Każdym mrugnięciem rzęs mówił: To ja, moja laleczko, ja i mój kutas, który nigdy nie przestał dla ciebie stawać, dla ciebie na przykład w tej pozycji, dla ciebie, kiedy siusiasz twoją różowiutką wilgotną szparką, bo przecież bez wątpienia jesteś wilgotna – jeśli masz takie halucynacje, to dlatego, że od nich wilgotniejesz, nieprawdaż? Przyznaj, moja słodka suczko: na początku myśl o tym, żebym cię zobaczył, brzydziła cię, ale kiedy się nad tym zastanawiasz, podnieca cię to tak samo jak mnie, prawda? Oto teren, na którym Lucy nie będzie mogła mnie pokonać (a tak naprawdę może? Ellie?), twoje nowe pomysły, żeby robić przede mną siusiu, są wyciągnięte nie wiadomo skąd. Ona by nie zrozumiała. Na to jest za młoda – a ja, Boże, ja jestem w wieku, w którym nic już nie szokuje. Najgorsze perwersje, o których mogłabyś pomyśleć, mnie nie zaskoczą, bo ja je znam jak zły szeląg, poza tym, Ellie, poza tym zawsze podejrzewałem, że rozmaite świństwa lęgną się w tobie jak robactwo. Więc powiedz mi: naprawdę myślałaś, że uda ci się zapomnieć o mnie przez to lato? Jakieś żarty. Jestem tu i teraz i będziemy się nieźle bawić.

Uśmiechałam się uśmiechem suki do uchylonych drzwi, w których nie było nikogo. Pan pochylał się nade mną, żeby dotknąć mnie swoimi palcami, kiedy Alice kopnęła w drzwi jak pijak. Pan znikł jak bańka mydlana, a ja potrząsnęłam głową, kompletnie oszołomiona.

– Pośpiesz się, bo ja też muszę! – wrzasnęła pijackim głosem.

Później poszłyśmy spać. Flora i Alice zarezerwowały mi łóżko w swoim małym pokoju. Postanowiłam sprawić sobie orgazm, jaki zagłusza się, gryząc poduszkę, kiedy za zamkniętymi powiekami znów pojawił mi się Pan, rzucając spojrzenia jak wąż, cały w uśmiechach, które były jak klapsy wymierzane całą dłonią, z miną, jakby chciał powiedzieć: „Gdzież to się zatrzymaliśmy?”

Tu, Panie. Właśnie tu.

Poniedziałek.

Pan powrócił na swoje miejsce, z bezkompromisowością urażonego kochanka, w małym, dyskretnym berlińskim muzeum, na wystawie czarno-białej fotografii erotycznej. Szybko pędziłam korytarzem w nadziei, że zgubię grupę turystów, kiedy je zobaczyłam. Zobaczyłam, nie zauważyłam. Nie od razu.

„Aubrey Beardsley do *Salomé* Oscara Wilde’a” – przeczytałam od niechcienia, zanim moje neurony połączyły się z ponaddźwiękową prędkością, i przypomniałam sobie mejle, które do mnie pisał, a w jednym

z nich wspominał o tej sztuce, o tych ilustracjach. Miałam wrażenie, że zaraz zacznę płakać lub krzyczeć, tak bardzo chciałam go zobaczyć, na środku tego muzeum, pod nosem strażników, w tej kościelnej ciszy.

Nocą naszła mnie podstępna myśl. Rano, kiedy dzień dopiero różowiał, wysłałam mu esemesa.

RYSUNKI BEARDSLEYA DO SALOMÉ, NA WYSTAWIE. CUDOWNE.

I największa niespodzianka, jakiej mogłam się spodziewać się na równi z wystrzałem z armaty. Pan kilka minut później mi odpisał.

W JAKIM MUZEUM?

W BERLINIE.

WIDZIAŁAŚ VON BAYROSA I KOKOSCHKE?

Bóg jeden wie, dlaczego Pan w temacie Sztuki nagle okazał się nie do pobicia. Cały mój dzień zamienił się w jedną wielką konwersację, w rytmie U-Bahnu i posiłków jedzonych przy Facebooku. Pan wyjaśniał mi wszystko bardzo uczenie, oburzony białymi plamami w moim wykształceniu. Jakiś czas wcześniej wysłałam mu długi gorący list, okraszony na zakończenie propozycją spotkania w poniedziałek, 14 września. I teraz, słuchając Rolling Stonesów, w drodze do Catherine, zapytałam go:

– A dostałeś mój list?

To okazało się najwyraźniej znakomitym przykładem do mojej teorii na temat Jednej Wiadomości Za Dużo, bo Pan tajemniczo zamilkł.

Zanim pojęłam ten fenomen, torturowałam umysł, próbując zgadnąć, co w moich listach mogło zadziwić, urazić czy przestraszyć Pana do tego stopnia, że zerwał ze mną kontakt. Nie miałam przecież wrażenia, że byłam nachalna, opowiadając mu o tych dniach, kiedy pisałam. Ale

w końcu zrozumiałam: czasami, pchany przez Bóg raczy wiedzieć jaką pokusę, Pan postanawiał mi odpowiedzieć. Ta wymiana listów mogła się rozciągnąć na dwie, może trzy wiadomości, wysyłane w powolnym rytmie, ale rzadko sięgała dalej, bo w pewnym momencie (który tylko Pan mógł wybrać), jedna z moich wiadomości poniesionych entuzjazmem uderzyła w ścianę – to była właśnie Jedna Wiadomość Za Dużo. Nikt oprócz Pana nie wie, kiedy i dlaczego to następowało – ale wraz z upływem czasu i doświadczeniem, dość dokładnie orientowałam się, kiedy wkraczam w ślepą uliczkę. Banaly odrzucał w pierwszej kolejności. Natrętne awanse, także te, które ze zbyt dużym naciskiem żądały daty, konkretnego, chronologicznego punktu odniesienia, nie przykuwały uwagi Pana zbyt długo. Dodajmy też jeszcze inny, całkiem niepojęty element: Pan wbrew wszelkim oczekiwaniom, z prawie komicznym grubiaństwem potrafił też odwrócić się do mnie plecami w połowie gorącej dyskusji, kiedy zaczynałam się ślinić przy klawiaturze telefonu. Czyż nie zostawił w ten sposób nieotwartego mejla pełnego zdjęć mojej pupy? Ja na jego miejscu dałabym sobie w twarz.

Wydaje się jednak, że można przywyknąć do wszystkiego, bo w końcu zgodziłam się na tę koncepcję fragmentarycznej komunikacji, prowadzonej nieprzewidywalnymi impulsami tego człowieka.

Przyjechałam więc do mojej berlińskiej ciotki z milczącym telefonem. Akurat spała – więc z wściekłości, że znowu wpakowałam się w ślepą uliczkę, zapisałam dziesięć stron *Pana*, wypalając swój dzienny limit lucky strike'ów.

Dwie godziny później postać tytułowa objawiła się w esemesie:

KIEDY GO WYSŁAŁAŚ?

Ja (frenetycznie):

**TYDZIEŃ TEMU. TO DZIWNIE, JEDEN Z MOICH PRZYJACIÓŁ
DOSTAŁ SWÓJ LIST WCZORAJ, A WYSŁAŁAM GO PÓŹNIEJ.**

Pan (warcząc):

JAK TO? JAKI LIST, JAKI PRZYJACIEL? WYSYŁASZ TEN SAM LIST WSZYSTKIM SWOIM... PRZYJACIOŁOM?

Ja (wybuchnąwszy śmiechem, wywołanym tą bezczelnością):

MAM PRAWO WYSYLAĆ LISTY, DO KOGO MI SIĘ PODOBA, I NIE PIEPRZĘ SIĘ ZE WSZYSTKIMI MOIMI PRZYJACIOŁMI! SKĄD CI SIĘ WZIAŁ TEN DZIWACZNY POMYSŁ TEGO SAMEGO LISTU W WIELU EGZEMPLARZACH?

Dostałeś tę swoją O Jedną Wiadomość Za Dużo, pomyślałam trzy godziny później, gdy opychałam się muffinami, oglądając niemiecką wersję *Żaru młodości* (zawód i oczekiwanie prowadzą do infantylnych zachowań przekraczających wszelkie granice).

– Głupi, pieprzony Pan – klęłam potem w U-Bahnie.

Napisałam do Babette:

MUSZĘ SOBIE ZNALEŹĆ FAJNEGO PANA, A NIE TAKIEGO TANDETNEGO PANA JAK TEN.

Ale zaraz dodałam:

KŁOPOT POLEGA NA TYM, ŻE PAN JEST TYLKO JEDEN.

A potem, na Mehringdamm, zupełnie nie w porę, zadzwonił do mnie. W połowie podróży wyskoczyłam z wagonu jak królik, znalazłam miejsce na pustej ławce, przepuściłam dwa pociągi w odstępie siedmiu minut, chociaż miałam być w domu dokładnie o dwudziestej pierwszej. Ale musiałam idealnie słyszeć ten jego piękny, głęboki, pieszczotliwy głos, który przenika sukienki i rozsznurowuje wysokie botki. Spędziłam miesiąc bez tego głosu i kłamstwem byłoby, gdybym napisała, tylko dla urody sformułowania, „nie pamiętałam już, że to może być takie cudne”.

Pamiętałam wszystko, żaden szczegół nie wyparował mi z głowy.

Pamiętałam z koszmarną dokładnością, że Pan przez telefon wydał mi się tak strasznie, tak obrzydliwie podniecający. Nie byłam zaskoczona; raczej

przejęta. Po pięciu minutach zdałam sobie sprawę, że zaczęłam się ocierać o tę ławkę na oczach wszystkich. Zwłaszcza śmiech Pana prowokował mnie do obleśnych uśmiechów, a powalała mnie chęć wypróbowania moich najlepszych żartów, żeby dostać jeszcze więcej i więcej tego świeżego i otwartego śmiechu, eksplodującego w słuchawce jak orgazm. Pan chciał przyjechać do Berlina. Rozkazujący ton, którym powiedział „zabierz mnie”, wymazywał te kilka miesięcy, przez które nieustannie mi uciekał. Jak zwykle Pan mówił do mnie tak, jakbyśmy dopiero wyszli z łóżka. Sama myśl, żeby go zapytać o te ostatnie wykręty, była nie na miejscu.

– To cud boski, że cię słyszę! – wykrzyknęłam, a Pan, bez żadnych starań z mojej strony, zaczął mi opowiadać o zmyślonym kongresie w Poczdamie, o przedłużonym weekendzie ręka w rękę, z blantem w zębach, w najbardziej uroczym mieście świata, ze mną w roli duchowego przewodnika po Berlinie. Pan opowiadał, bez szczegółów, o tych nocach, które przejdą w dni i znów zmieniają się w wieczory, gdy będziemy leżeli nago na zmiętym łóżku w naszym hotelu na Friedrichshain. A ja, siedząc w centrum tego miasta, otoczona dobrym, ciepłym zapachem U-Bahnu, nie śmiałam nawet wyobrazić sobie jego ramienia przy moim, bo bałam się, że zacznę krzyczeć. Cudownie było o tym myśleć. Przekonywałam sama siebie, że jakimś cudem to się może zdarzyć, jeśli tylko Pan będzie mógł – jeśli tylko Pan będzie chciał.

– Ładnie dziś wyglądasz? – zapytał.

– Nie bardzo.

Wybuchnął śmiechem.

– Dlaczego?

– Nie wiem, mam brudną kitkę, podarte jeansy... nie jestem w szczytowej formie.

– Kłamiesz... – odpowiedział. – Przejrzyj się w oknie w metrze. Widzisz się?

– Tak.

Zobaczyłam odbicie mojej purpurowej twarzy i nóg, które prezentowały się znakomicie nawet w najkoszmarniejszych tenisówkach. Wyglądałam na zakochaną; a w każdym razie to właśnie musieli myśleć inni pasażerowie, słysząc melodię mojego szczebiotu. Wyglądałam chorobliwie, ale o tym wiedziałam tylko ja.

– Przed chwilą przeczytałem raz jeszcze twoją wiadomość i pomyślałem o zdjęciach Bellmera, nie wiem, czy go znasz. Hansa Bellmera.

– Oczywiście. Lalki.

– Jest zwłaszcza jedna, która skojarzyła mi się z tobą, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Nie miałem pojęcia, jak wyglądasz, widziałem tylko twoje różowe ciało spod przykrycia. Różowe jak lalki Bellmera.

– Nigdy mi tego nie powiedziałaś – rzuciłam, starając się nie dać mu poznać, jak bardzo chciałam więcej, o wiele więcej tych zdań, tych pieszczotliwych słów.

– Kiedy wracasz z Berlina?

– Trzeciego.

Przygryzłam policzek na kilka sekund, a potem, dobra, to było silniejsze ode mnie, zapytałam:

– Widzimy się po moim powrocie?

– Tak – odpowiedział Pan niskim głosem, a całe ciało nagle wydało mi się lżejsze, bez powodu, bez sensu, tak jakby Pan nie mógł już się wycofać, i płynęłam, płynęłam, choć kapryśna sieć właśnie nas rozłączyła, płynęłam w rytm *Honky Tonk Women* i aż do Steglitz nie dotknęłam ziemi.

Kiedy znalazłam się w łóżku, tak jakby te szczególne okoliczności wymagały równie nieortodoksyjnego zachowania, wpakowałam sobie rączkę od szczotki do włosów i szybko znalazłam się na skraju nerwowego płaczu. Ponieważ Pana nie było pod ręką, trzeba było przynajmniej załatać wyrwę, jaką zrobił, a wrażenia, jakich doznałam, były tak samo nieuchwytnie, jak on sam.

Czwartek.

Wiele razy po powrocie z Berlina płakałam w łóżku z tęsknoty. Najczęściej tęskniłam za zapachem ulic, powietrza zmieszanego z kwiatowym pyłkiem, za zielonymi wodami Szprewy i zapaszkami tych wszystkich straganów ustawionych wzdłuż chodników. Tęskniłam za ludźmi. Za nieustanną euforią. Tęskniłam za samotną włóczęgą, kiedy nie musiałam być zakładnikiem spotkań z żadnymi ludźmi. Ale teraz, kiedy czekałam na Pana, Pana, który znajdował się nie dalej niż kilkanaście kilometrów ode mnie, tęsknota miała zupełnie inny smak. Dwa dni temu, z powodu przekłętego stacjonarnego telefonu, o mało nie doszło do katastrofy. I z powodu mojej głupoty – myśl o niej jeszcze odbiera mi oddech. Co mnie naszło, żeby zadzwonić do niego z tego numeru, którego nie znał? Schowałam się w pokoju i na sekretarce nagrałam mu wiadomość, podkreślając, żeby pod żadnym pretekstem nie oddzwaniał do mnie na ten numer. Powód: to był telefon mojego wuja, który natychmiast zwęszyłby coś podejrzanego. Ale oczywiście zapomniałam, że Pan nie ma

nigdy czasu czy też cierpliwości, żeby odsłuchać swoją pocztę, gdzie zawsze jest ze trzydzieści prastarych wiadomości. Kwadrans później, kiedy dawno zapomniałam już o kolejnej próbie złapania Pana, odezwał się przeraźliwy dzwonek telefonu. Pisałam przy biurku. Pierwszy dzwonek: nad głową usłyszałam galopowanie i moja siostra podbiegła do słuchawki. Drugi dzwonek: w sekundę zrozumiałam, co się stanie, jeśli osoba, która dzwoni, jakimś cudem będzie tą, o której myślę, i zerwałam się, wywracając półkę pełną bielizny i wrzeszcząc: „To do mnie!” odstrasającym tonem. Telefon sparzył mnie w ucho.

– Dzień dobry – powiedział Pan. – Ktoś do mnie dzwonił, ale nie znam tego numeru.

– To ja – uśmiechnęłam się, a serce biło mi z całych sił.

– Kto?

– Ja, Ellie. Odsłuchuj czasem swoją sekretarkę, mówiłam ci, żebyś tu do mnie nie dzwonił! Jestem u Philippe’a!

Ale Pan już mnie nie słuchał, zajęty powtarzaniem mojego imienia najweselszym tonem, jaki w życiu słyszałam, tak jakbym swoim rozwlekłym nagraniem rozjaśniła jego dzień.

– Jak się miewasz, moja laleczko? Tak się cieszę, że cię słyszę!

– W porządku, a ty?

– Praca, jak zwykle, nic nowego. Jesteś w Paryżu?

– Wróciłam wczoraj. Dostałeś mój list?

– Nie, nadal nie. To niewiarygodna historia. O czym mi w nim pisałaś?

Zwinięta na łóżku, w pozycji embrionalnej, z całych sił ścisnęłam udami wolną rękę.

– O mnóstwie różnych rzeczy. Opowiadałam ci o Berlinie i o tym, że od miesiąca nie spałam z żadnym facetem. Za długo, by opowiadać przez telefon.

– Wiem. Kiedy się widzimy?

– Myślałam o czternastym.

– Daleko do tego czternastego.

Pan nie ma pojęcia, jak prawdziwe są czasem jego słowa, jak tną i ranią. Co najmniej dziesięć nocy musi minąć, zanim się zobaczymy.

Księga III

You are the last drink I never should have drunk
You are the body hidden in a trunk
You are the habit I can't seem to kick
You are my secrets on the front page every week

You are the car I never should have bought
You are the dream I never should have caught
You are the cut that makes me hide my face
You are the party that makes me feel my age

You're like a car crash I can see but I just can't avoid
Like a plane I've been told I never should board
Like a film that's so bad but I gotta stay till the end
Let me tell you now – it's lucky for you that we're friends.

Pulp, *Like a Friend*

Wrzesień

To, co wiem o Panu, w gruncie rzeczy ogranicza się do zdania, które on często powtarza, nie zdając sobie sprawy z jego znakomitej rzeczowości: „Byłoby genialnie, gdybym miał czas”.

Gdyby miał czas, prowadzilibyśmy długie telefoniczne rozmowy. Pilibyśmy kawę na tarasie. Być może poszlibyśmy na kolację do tej włoskiej restauracji, którą Pan uważa za najlepszą w Paryżu. Wymyślałby seminaria na prowincji, jak to z pewnością robił dla innej, dla innych. W sferze wyobraźni prowadzilibyśmy tak samo burzliwy tryb życia, jak każdy żonaty mężczyzna ze swoją kochanką; i jeśli nie miałam do tego prawa, to nie z powodu braku czasu, jak zapewniał nieznoszącym sprzeciwu tonem – w końcu doszłam do wniosku, że po prostu nie jestem tego warta. Tak długo, jak mnie pieprzył, a ja niczego nie czułam, poważnie rozważałam tę hipotezę. Ale które z nas dwojga było bardziej żałosne? On, który zniżał się, żeby mnie brać, czy ja, która zniżałam się, żeby jęczeć? Bez problemu mogłam policzyć pocałunki i słowa, którymi mnie obdarzył przed penetracją (to słowo w tej chwili z pewnością nie zasługuje na dużą literę), i liczyłam minuty, które dzieliły nas od momentu, kiedy on się spuści, żebyśmy wreszcie mogli porozmawiać.

W ten wtorkowy poranek we wrześniu poczułam, że pojawiają się w mnie pierwsze odruchy rewolty. Kiedy się nad tym zastanawiam, to mogło zacząć się wcześniej. Gdyby było we mnie choćby parę deko woli, spędziłabym wakacje, obrzydzając go sobie tak, jak człowiek odmawia sobie skręcenia kolejnego jointa, ani przez sekundę nie tracąc z pola widzenia skutków ubocznych, rozczarowania, ogłupienia, utraty orientacji, krótko mówiąc, totalny chaos w zamian za kilka sekund euforii. A ja nabrałam złego nawyku zbierania wspomnień jak relikwii, robienia z tego człowieka bohatera, a z jego ramion – raję; tymczasem Pan był tylko facetem i to ja sama uczyniłam z jego ramion to, czym były. Nic się w nim nie zmieniło; nachylając się nade mną, Pan obrzucał mnie wulgarnymi słowami i wydawał obsceniczne dyrektywy, ale we mnie nie było już tego podniecenia i zażenowania.

– Pieść się – szeptał, a ja miałam ochotę odpowiedzieć mu, że mnie wkurwia. Że i tak nie będę miała orgazmu. I że może zrobić tak jak ja, jeśli potrzebuje obleśnych doznań: może zamknąć oczy i wyświetlać sobie filmy, w których będę miała szczuplejsze uda, mniej wyszukaną

moralność, bardziej wilgotną cipkę.

Ale Pan pieprzył spokojnie. Pogoń za orgazmem, która nigdy nie była u niego systematyczna, pochłaniała go do szaleństwa. I czułam, że jeśli przytula mnie z taką siłą, to przede wszystkim dlatego, że chce uniknąć mojego spojrzenia. Albo żebym nie mogła mu niczego zarzucić. W końcu to ja podjęłam decyzję, prawda? JA zażądałam pieprzenia. Więc się pieprzyliśmy.

Przypomniało mi się, jak dwa dni wcześniej, rozmawiając z Panem przez telefon, relacjonowałam mu rozmowę, podczas której moje przyjaciółki wzięły jego stronę, ciepło wspierając jego zachciankę, żeby zobaczyć, jak się pieszczę. Główny argument Inès był następujący: „Ma czterdzieści pięć lat i zrozumiał, że może nie da rady sam cię zaspokoić”. Pan – byłam tego pewna – przybrał wojowniczą postawę i odpowiedział nieprawdopodobnie pretensjonalnie wyzywającym tonem:

– Powiedz jej, że jeśli będzie chciała, mogę ją zaspokajać przez całą noc!

Zaczniij może od tego, żebyś mnie zaspokoił!, pomyślałam wtedy bardzo jasno, rozdarła między chęcią spotkania się z nim jak najszybciej i rozczarowaniem, które zaczęło się pojawiać gdzieś na granicy mojej świadomości.

Ale Panu odpowiedziałam, udając rozbawienie:

– Nie, nie, nie będziesz nikogo zaspokajał!

I ostatecznie skrupulatnie mnie posłuchał.

Po seksie Pan rzucał spojrzenia, jakie inni kładliby na jeszcze ciepłych zwłokach. Nogi miałam rozłożone w poprzek łóżka i czułam się jak lalka połamana na kawałki, którą on obserwował i szczegółowo badał, zafascynowany tym, do jakiego stanu ją doprowadził. Po wewnętrznej stronie uda miałam ślady zębów. Kiedy zrobiłam pierwszy ruch, żeby przewrócić się na plecy, Pan chwycił mnie i ścisnął długim uściskiem, który nie wzmacniał się i nie słabł. Chciał mi tym bez wątpienia okazać niezgrabną, wymuszoną czułość, do której mężczyźni czują się czasem zobowiązani po seksie. A ja, czując jego ramię na swojej szyi i drugie na brzuchu, myślałam o wężu, który dusi swoją ofiarę, uprzednio ją pokąsawszy.

Kilka minut później leżałam mu na plecach i przyglądałam się naszym odbiciom w lustrze przytwierdzonym do ściany po prawej stronie. Walczyłam z moją obsesją – jak mogło mi się kiedykolwiek, choć przez chwilę, wydawać, że uda mi się ujarzmić tego mężczyznę? Pan miał smukłe mięśnie, które wydawały się idealnie przystosowane zarówno do

nagłej ucieczki, jak i do przejęcia kontroli nad zdobyczą; tymczasem wystarczyło rzucić okiem na mnie, żeby zrozumieć, że jestem z tych, które są zwinne i przebiegłe tylko w alkowie. I które, po zejściu z tego niezwykłego ringu, mają świadomość, że ich pulchne członki będą wiecznym hamulcem.

– Pieprzyłaś się w Berlinie? – zapytał mnie nagle Pan.

– Wprost przeciwnie, mój Boże, to lato, to był bardzo dotkliwy seksualny ugór – odpowiedziałam, zsuwając się z jego pleców.

– Nic nie robiłaś z tymi wszystkimi facetami?

– Żaden z nich nie przyjechał do Berlina.

Pan przełożył mi rękę przez piersi i odwrócił twarz w moją stronę. W zagłębieniu policzka odcisnął mu się dołek jak załazek uśmiechu, który zaraz się pojawi.

– To prawda, teraz sobie przypominam twoją historię ze szczotką do włosów.

– Mówiłam wyraźnie, że nie chcę już nigdy więcej słyszeć o tej historii.

– A przecież ta historia jest zabawna.

Usiłując za wszelką cenę znaleźć temat, który odciągnie myśli Pana do tej idiotycznej wizji szczotki do włosów w mojej cipce, powiedziałam:

– Zylberstein, Atlan, Landauer to faceci, z którymi chętnie się pieprzę, ale nie do tego stopnia, żeby ich mieć na karku przez dwa dni bez przerwy.

– Powiedz mi... Zylberstein, Atlan, Landauer...

– Wiem. Wszyscy moi aktualni amanci to Żydzi. Bóg raczy wiedzieć dlaczego.

Bóg raczy także wiedzieć, dlaczego nie mogłam się powstrzymać i dodałam:

– Żydzi i lekarze.

Tu Pan zrobił minę, którą mógł przybrać mój ojciec na wieść o jakiejś mojej gafie: usta zjechały mu na jeden policzek, a z jego pięknych wzgardliwych nozdrzy wydostało się wieloznaczne sapnięcie.

– To źle.

– Co takiego?

– Pieprzyć się tylko z doktorami.

– Ale... ja ich nie wybieram. To samo tak wyszło. Spotkałam jednego, potem drugiego, potem następnego – ponieważ oni wszyscy się znają...

Pan nic już nie powiedział, tak jakby to wytłumaczenie generalnie

mu wystarczało. Ale zmarszczka, którą nadal widziałam przy jego ustach, wskazywała, że ta nowa teoria nie była może aż tak naciągana: powieściopisarka może być przecież dziwką karierowiczką, którą podnieca prestiż i która kolekcjonuje doktorów według znanego scenariusza. I chociaż ta teoria mocno śmierdziała, naprawdę nie miałam siły się bronić.

Moje trzy tomy *Pana* starają się wyglądać skromnie pod poduszką. Postać tytułowa przegląda je z nieprzeniknioną miną, a ja patrzę na niego podniecona i ledwo żywa z niepokoju; jego oczy z elegancją pożądlivością przesuwają się wzdłuż linijek – bardzo szybko. Serce bije mi bezwstydnie, nieprzytomnie. Po każdym paragrafie jestem gotowa rzucić się i wyrwać mu zeszyt. W okolicach ostatniego rozdziału (tego, rzecz jasna, który w wielu wymiarach traktuje o jego żonie i jego małżeństwie), szare źrenice zwalniają bieg, zatrzymują się na jakimś słowie, a może zdaniu, które ten tajemniczy umysł naprzeciw mnie uznaje za godne uwagi. Już jestem nieżywa. Bardzo powoli Pan unosi głowę, a twarde pytanie wypada z jego pięknych, mięsistych warg, zbyt spokojnie, żeby mnie nie zaniepokoić:

– Co ty wiesz o tym, że żona mnie zdradza?

– Nic – odpowiadam natychmiast. Jestem martwa ze strachu, Boże, przerażona. – To tylko przypuszczenie. Ale wydaje mi się, że to możliwe, co nie?

Widząc, że Pan przegląda raz jeszcze cały ten fragment, uznając widocznie, że to zaskakujący postulat, tchórzliwie śpieszę dodać:

– Ale to nie ja tak twierdzę. Wkładam to w usta jednej z postaci.

I łapiąc oddech, dodaję:

– W każdym razie, widzisz przecież, że zmieniłam wszystkie imiona, twoje także.

Pan, który powoli przewraca strony, pozostaje niewzruszony. Więc dodaję obłudnie:

– Zmieniłam nawet imię twojej żony.

– Chciałbym jednak, żebyś mi wyjaśniła, co do tego wszystkiego ma moja żona.

– Ależ... mnóstwo! Nie wyobrażasz sobie, ile rzeczy wplątanych jest w tę historię. Oczywiście, że mówienie o twojej żonie ma sens, olbrzymi sens. Mimo że niczego o niej nie wiem. Zwłaszcza że niczego o niej nie wiem. To zresztą przez cały czas powtarzam w *Panu*.

Nie słuchając mnie wcale, zabiera się za rozszyfrowywanie wewnętrznej strony okładek, które od zawsze służą mi za notes. Gryzmołę

tam rozmaite zgrabne sformułowania, myśli jeszcze bez uzasadnienia, redakcyjne projekty. Cała plątanina zdań niezrozumiałych dla nikogo poza mną, nie licząc kilku oświadczeń Pana, ujętych przezornie w cudzysłowy, obsceniczności, które mruczał mi na ucho w któryś z naszych wtorkowych poranków i o których bałam się zapomnieć (próżna obawa, skoro jestem prawie pewna, że za pięćdziesiąt lat będą równie gwałtownie dźwięczeć w mojej pamięci starszej pani). „Pieść cipkę”. Te i inne słowa rzucone na chybił trafił, które zamierzam wykorzystać: „Członek Pana w spodniach. Pan, gdy się onanizuje. Jaja Pana?”. Tak, ze znakiem zapytania, bo po wielu stronach rozważań na temat jego dolnych partii zdałam sobie sprawę, że nie mam żadnych wizualnych wspomnień na temat jego bardzo konkretnej pary jaj – dziwna sprawa.

Wyobrażam sobie bez trudu zimne niezrozumienie, może nawet obawę przed tymi bezładnymi notatkami, które mówią tylko o nim. Słowo „Pan” zapisałam tysiące razy, na tysiąc sposobów: mój zeszyt przypomina pokoje psychopaty, ze ścianami obklejonymi zdjęciami ofiar, artykułów z gazet, kosmyków włosów. On wchodzi do tej kryjówki z przestraczem i rezerwą i dostrzega, że wiele miesięcy po chlubnych czasach naszej historii odtworzyłam szczegóły dotyczące jego, dotyczące nas, których on być może w ogóle nie zapamiętał. To, co można uznać za patologię, jest jedynym sposobem, jaki znalazłam, żeby napisać książkę choć trochę obiektywną na temat, który absolutnie nie jest obiektywny, używając wielu dokładnych cytatów. Jest to także metoda, by zachować go przy życiu, bo rana zadana przez tego człowieka nie chce się zagoić, nawet gdy go przy mnie nie ma. Obserwuję żałośnie, jak wciąga moje sekrety, wnika do mojego różowo-czarnego świata jeszcze małej dziewczynki i prawie burzy mnie już osąd, jaki wkrótce przedstawi.

Zamykając ostatni tom, marszczy brwi i wydaje długie, długie westchnienie faceta, którego postawiono przed faktem dokonanym.

– Jak ja się nazywam w twojej książce?

– Pan. Przecież dobrze wiesz.

– Jak zawód mi wymyśliłaś?

– Chirurg. Mówiłam ci, że tego nie mogę zmienić. To ty.

I znowu Pan wydaje skonsternowane sapnięcie, mrucząc jakby do siebie:

– Wszyscy będą wiedzieli.

Gdybym się posłuchała, wykrzyczałabym to ledwie słyszalne zdanie:

– Nie jesteś jedynym chirurgiem w Paryżu.

– Jestem jedynym, który kojarzy się z literaturą erotyczną.

– No to co? Chcesz, żebym zrobiła z Pana sprzedawcę pączków, który czyta San Antonia?

Pan uśmiecha się pod nosem, co odrobinę osłabia to nieznośne napięcie.

Widziałam, że czytając te dwie strony, Pan nie tylko się bał: pojął właśnie, że ta genialna koncepcja, żeby napisać książkę o naszej historii, tak czy inaczej obraca się przeciwko niemu. Rzecz jasna, to go wkurza. Nie można jednak niczego odczytać z jego nieprzeniknionej twarzy. Patrząc na niego spod rzęs, rzucam:

– Nienawidzisz mnie.

– Ja cię nienawidzę? – podskakuje i wygląda, jakby był naprawdę wstrząśnięty, jakby to było takie zaskakujące, że mógłby czasami co najmniej mnie nienawidzić. – Dlaczego miałbym cię nienawidzić, koteczku?

– Nic, co robię, nic, co ci pokazuję, nie jest dobre.

– Przeciwnie, wszystko, co robisz, jest dobre.

– Myślisz, że chcę cię wpakować w gówno?

– Nie pakujesz mnie w gówno – odpowiada. – Po prostu nie chcę nikogo zranić. Rozumiesz?

– Ja też nie. Mam tak samo wiele do stracenia.

– Ja nie mam nic do stracenia! Nie trzeba krzywdzić ludzi. Dlatego musisz zmienić imiona.

– Tak będzie.

Dyskretnie odsuwam zeszyty na brzeg łóżka. Zostaje Pan i ja. I nasze ciała, które już nie do końca się rozpoznają. Z brodą wciśniętą w dołek jego pachy, nie słucham już tego ukochanego głosu, który streszcza mi ostatnio przeczytaną książkę. Rozmyślałam o nas w ciszy. Pan jest cały do mnie przytulony, a jednak kilometry stąd. Jego atak na potencjalny brak ostrożności w mojej książce to w gruncie rzeczy tylko szczegół: on tu jest, w tym łóżku, ja też w nim jestem, ale my – to abstrakcyjne, ale jakże rozpoznawalne pojęcie – najwyraźniej zmarnowaliśmy swoją szansę.

– Muszę iść – oświadcza za dziesięć jedenasta, a więc pół godziny po swoim triumfalnym przybyciu.

– Kpisz sobie?

Podskakuję na brzegu łóżka, patrząc na niego z niedowierzaniem.

– Teraz? Dopiero przyszedłeś!

– Wiem, ale cóż poradzę? To wszystko, co mogłem zrobić. O mały włos, a w ogóle bym nie przyszedł.

Pół godziny. To wszystko, co dostałam za fatygę. Robię minkę jak

dziecko, co jakoś wzrusza Pana, bo jęczy, jeszcze nagi, klęcząc w chaosie zmiętej pościeli:

– Nie patrz tak na mnie. Wiesz dobrze, że gdybym mógł zachować się inaczej, zrobiłbym to.

– Właśnie, że nie. Nie wiem. Tylko wydaje mi się, że coś wiem.

– Więc wiedz. Po prostu nie mam wyboru.

Zaczynam więc z goryczą w głosie:

– Nie zaszczycałeś mnie ostatnio przesadnie swoim zainteresowaniem.

– Kiedy?

– Na przykład w ostatni weekend.

Ponieważ udaje, że nie rozumie, zajęty poszukiwaniem swoich bokserek, kontynuuję:

– Pamiętam, jak widywaliśmy się na początku. Miałeś tak samo dużo pracy, tak samo brakowało ci czasu, ale jakoś sobie radziłeś, żeby go znaleźć. Przez cały czas dzwoniłeś do mnie, wysyłałeś mi esemesy. A teraz niebył. Do ostatniej chwili nie miałam pojęcia, czy przyjdiesz.

– Zrobiłem, co mogłem. Na wszystko brak mi czasu, nawet nie umiesz sobie tego wyobrazić. To straszne. Czternaście godzin pracy dziennie, wiesz, jak jest.

– Ale to się przecież nie zmieniło. Odkąd cię znam, zawsze się spieszysz, nie o tym mówię.

– Teraz jest po prostu gorzej.

Pan przez chwilę się zastanawiał z bokserkami w ręku.

– Kiedy się spotkaliśmy pierwszy raz?

– Zaczęło się w maju – odpowiadam żałośnie, nie mogąc na niego patrzeć i jednocześnie walczyć z myślą, która właśnie mnie tknęła: Pan przeniknął mnie jak duch.

– W maju... tak, to wtedy musiał być kryzys. Miałem mniej pracy.

Pan i jego piękne oczy nawykłe do kłamstwa bezczelnie patrzą w moje. Znam tę zimną krew; kłamię przecież identycznie jak on, ale Pan o tym nie wie, wyobraża sobie, że tylko on ma patent na podstępny i nikt inny tego nie potrafi.

Zapalam połówkę jointa, zdecydowana jakoś przetrwać tę pełną zażenowania ciszę. Pracowicie wypuszczam dym.

– Nie ufasz mi, co?

Ten pomysł, żeby wywrócić do góry nogami jego życie jednym ruchem ręki, jak stół pełen dymiących półmisków, wydaje mi się, przyćpanej, bardziej niż zabawny. Słowo lub dwa wystarczą, żeby Pan

wzbudził fizyczny wstręt swojej żony, zraził do siebie dzieci, skompromitował się w pracy i stał się pośmiewiskiem swoich przyjaciół. Ja mam dwadzieścia lat, nie pełnię żadnej społecznej funkcji, jestem tylko niezgrabnym zawiązkiem kobiety – a mam tę władzę. To tak, jakby mieć olbrzymią spluwę; czasem mam straszną ochotę wystrzelić, ale świadomość obywatelska, grzeczność czy, bo ja wiem, moralność zdejmują mi palec ze spustu.

Pan kuca, żeby znaleźć ostatnią skarpetkę, z twarzą odwróconą do mnie.

– Nie, to nie jest tak, że ci nie ufam.

– Nigdy mi tego nie powiesz, ale ja to widzę. Boisz się *Pana* jak zarazy.

– Jeśli zmienisz wszystko, co może być czytelne dla ludzi, którzy nas znają, nie wiem, czego miałbym się obawiać. Kurwa, przeciwnie! To twoja pierwsza powieść! Zawsze cię zachęcałem do pisania!

– To prawda.

– Mówię po prostu, że mamy jeszcze chwilę, zanim cię wydadzą w trzydziestu tysiącach egzemplarzy. Jest czas, żeby zamaskować postacie.

– Trzydzieści tysięcy egzemplarzy to trochę sporo – zauważam, patrząc w próżnię.

Muszę wyglądać na dość urażoną, bo Pan przerywa na chwilę swoje poszukiwania, żeby mnie pogłodzić po kolanach.

– Wierz mi, jesteś stworzona, żeby pisać. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Wiedziałem to od chwili, kiedy przeczytałem twój tekst w „Rozpuście”.

– Och, *à propos*...

Rzucam się na swoją rozbebeszoną torbę, z której wystaje różowa okładka jedyne egzemplarza, jaki mi pozostał. Pan z szerokim uśmiechem chwytając kajecik z obszerną dedykacją, otwiera i zamyka przejrzystą okładkę, oglądając szczegółowo każdą stronę jak znawca.

– To piękne! – woła i tylko za te dwa słowa, powtarzane w kółko, oddałabym życie.

Dlaczego tyle wagi przywiązuję do aprobaty Pana, skoro obiektywizm wyraźnie nie występuje w jego psychice? Wszystkie komplementy, jakie mi prawili, były uprzednio wyważone, przemyślane, sformatowane, i nie mówię nawet o pochlebstwach, od których skręcam się podczas seksu, a które w większości powstają z wyrzutu spermy do mózgu i odchodzą w zapomnienie, kiedy tylko ów napływ ustaje. Wiedziałam to zawsze; ale nic, żaden przejaw mojej inteligencji nigdy nie

pozwoił mi złączyć tego w całość. Pan mówi „To piękne” i nagle cały świat jaśnieje.

– Napisałam ci superdedykację.

Gdy tylu innych widziało tylko słowa chuj i cipa, pan zobaczył Lucie – i ją zrozumiał. Oddaję więc ten egzemplarz w nader zręczne ręce. Panu C.S., Ellie Becker

Piękne usta rozchylają się, ukazując rząd wspaniałych zębów.

– To dla mnie? – pyta mimo wszystko Pan z zadziwiająco nieśmiałą miną.

– Dla ciebie. Przecież ci to obiecałam.

– Cudne jest to dziełko. Dziękuję.

Wyobrażam już sobie swoje miejsce w bibliotece na wyspie Saint-Louis, obok nieprzyzwoitych książek, w których Pan chowa moje listy. Ludzie nie domyślają się nawet, jakie orgie odbywają się w tym pokoju, który wydaje mi się mieć wielkość buduaru i zamku jednocześnie. Wszystkie największe księgi wymieniają tam między sobą swój kurz i tłuste zapachy stronic, tysiące idei walczą tam i nachodzą na siebie – a od tego wieczoru ja też tam będę, ze swoją okładeczką w różowym jak wagina kolorze, która pachnie jeszcze drukiem i spokojnymi marzeniami nastolatków.

Ale jest już jedenasta i Pan musi iść, najszybciej jak się da. Te kilka minut, jakie nam zostały, są już przeznaczone na szukanie jego ubrań, rozrzuconych po całym pokoju (nie przypominam sobie aż takiego tornada, kiedy przyszedł).

– Proszę, nie rób takiej smutnej miny.

– Nie jestem smutna. To po prostu za krótko.

– Wiem, dla mnie też.

Odwracając z żalem oczy, czołgam się i przysiadam na skraju podestu, udając, że szukam czegoś w komputerze. Pan wiąże starannie buty, z poważną miną, jak wszyscy faceci, i od razu można sobie wyobrazić, że tak musieli wyglądać na podwórku w podstawówce, kiedy mieli dwanaście lat. A potem, z taką samą miną, prostuje się, bierze swoje słoneczne okulary i słuchając mojej paplaniny, rozgląda się po kątach pokoju, patrzy na okolice opuszczonego łóżka, na zagniecenia pościeli. Wiem, co powie, kończąc swoje bezskuteczne poszukiwanie drobiazgów, które podstępnie mogły wymknąć się mu z kieszeni.

– Sprawdzisz jeszcze po mnie?

Kultowe zdanie Pana po każdym z naszych spotkań, a dopiero teraz sobie je przypomniałam.

– Sprawdzę.

– Dzięki.

Powietrze, które drgnęło od jego kroków, jest lodowato zimne, prawie tak samo, jak powietrze na zewnątrz. I równocześnie unosi zapachy tak poetyckie – mój zapach na jego drogim ubraniu – że aż przymykam oczy w bolesnym omdleniu. Trzeba było miesięcy, żebyśmy wreszcie zamknęli się z Panem gdzieś na godzinkę i będzie trzeba dwa razy więcej czasu, żeby podobna operacja znów się udała. Ta myśl już mnie męczy.

– Miałaś wczoraj gości? – pyta, trącając czubkiem buta torbę z japońskiej restauracji.

– Koleżanki.

– Jakie koleżanki? Babette i Inès? – ryzykuje Pan.

– Moją siostrę i nasze koleżanki. Lucy, Florę, Clémence.

– Wiedzą, co tu robisz?

Zaniepokojone brwi Pana wyglądają prawie karykaturalnie.

– Tak.

– Wiedzą, kim jestem?

Milknę na chwilę, przygnieciona. Jak Pan mógł mieć nadzieję, że o niczym nie powiem swoim przyjaciółkom? Ja. Dziewczyna. Bełkoczę:

– No... oczywiście, że tak!

– Znają moje prawdziwe imię?

Jeśli ta oczywistość nie rzuciła się Panu w oczy, tłumaczenie będzie jeszcze jednym trudnym do przejścia momentem, bezsensownym, czymś w rodzaju potyczki, z której z pewnością wyjdę pokonana. Więc kłamię starannie:

– Nie. Nazywają cię Pan.

Połowiczne kłamstwo: rzeczywiście tak go nazywają, po części dlatego, że ja sama, zestresowana dwiema wyszukаныmi sylabami jego imienia, przestałam go używać, przestawiając się na imię książkowej postaci.

– Uważaj. Nie masz pojęcia, jak się roznoszą takie plotki.

– Znam swoje kumpelki. Nie ma żadnego związku między nimi a ludźmi, z jakimi ty się zadajesz.

Pan wydaje bardzo długie, zduszone westchnienie.

– No, tego nie możesz wiedzieć. To jest Paryż.

– Zaufaj mi!!!

W imię czego, mógłby się zastanowić Pan przez kilka sekund. Nie poruszałibyśmy bolesnego tematu zaufania, gdybym potrafiła zamknąć dziób. Mimo to pochyla się i przeciągle całuje mnie w czoło.

– Muszę iść.

Rzucam mu przesywające, mam nadzieję, spojrzenie.

– No to idź.

Pan odchodzi.

– Chcesz się ze mną znowu spotkać?

– Oczywiście.

A potem, ponieważ nie spuszczam z niego wzroku, całkiem nieruchomego zresztą, dodaje:

– Kiedy się poznaliśmy, koniunktura była taka, że miałem mniej pracy. Teraz kryzys się skończył, albo coś w tym rodzaju, i biznes zaczyna się kręcić. Generalnie, na szczęście... – Rozmarzone spojrzenie przebiega od mojej szyi do bioder. – Ale czasami na nieszczęście.

Lubieżność, która płonęła na twarzy Pana, ustąpiła miejsca zimnej chirurgicznej przenikliwości.

– Ale tak musi być.

Potrząsam głową bez gniewu i bez radości.

– Daj chociaż całusa – jęczy Pan, tak jakbym kiedykolwiek miała serce pozbawić go pocałunku.

Jego usta straciły już część tęsknej miękkości. Wszystko należy już teraz do żony i kliniki. Wolę więc nadstawić mu brzusek, mrużąc:

– Zadzwoń do mnie.

– Zadzwonię.

Wiem, że czuje się prawie niezręcznie, składając mi taką obietnicę po tylu dezercjach. Zupełnie jak moja siostra, na której babcia wymuszała zapewnienie, że wyśle jej pocztówkę z wakacji: wszyscy wiedzą z góry, że dwuminutowy telefon to w naszej skali będzie bardzo wiele, że nawet trzy słowa na pocztówce są nie do osiągnięcia. Sama babcia wiedziała doskonale, że nie ma nadziei na jakikolwiek pisemny znak z naszych wakacji, ale uśmiechała się i wybaczała nam z góry, znajdując dowolne wytłumaczenia dla tego tępego egoizmu, którego litość i miłość nie potrafią przełamać. Jeśli ta sytuacja da się metaforycznie przełożyć na nas, na mnie i Pana, to uznałam, że mój niewdzięczny wnuczek przyszedł zrobić dobry uczynek, a potem dostać prezenty. Tym lepiej, jeśli biedaczek czuje się winny, schodząc po schodach. To niewielka cena za wszystko, czego nie powiedziałam i nie zrobiłam.

Nie mam odwagi patrzeć, jak odchodzi, wracam do łóżka, kulę się pod prześcieradłami, przed lustrem. Staram się zasnąć, ale ani na minutę nie mogę przestać myśleć o Panu, słowami, które odbierają sen. To znaczy – dokładnie rzecz biorąc – że nie znajduję słów! Nie udaje mi się nazwać

tych gorących scen, które zwykle kołyszą mnie do snu. To, co oddziela fantazje od rzeczywistości, ten okrutny rozdźwięk, cenzuruje wszystkie te marzenia, którym mogłam się oddać.

Przyglądam się sobie uważnie, z niedopałkiem jointa w dłoni. Odrobina popiołu spada na pościel, gdzie jest jeszcze zapach Pana, nieuchwytny, ukryty w załamaniach, skąd zawsze będzie się wymykać. To ugryzienie w udo, które uznałam za hołd, to delikatne otarcie na brzuchu, które będzie moją pamiątką, są tylko wyrazem jego podniecenia, które miało w dupie moje podniecenie. Nie minęły jeszcze dwie minuty od jego wyjścia, a ja już mam straszliwe poczucie tęsknoty, niemożliwe do zrjonalizowania, i wszystkie błagania świata, wszystkie prośby łamiące serce nie zmiękczą Pana, nie zdobędą dla mnie pięciu minut w jego rozkładzie dnia, aż do chwili, kiedy nagła potrzeba pieprzenia nie chwyci go za gardło.

Wiem już, co powiem Babette przez telefon. Ten facet to potwór. Ten facet mnie nie kocha, nigdy mnie nie kochał. To bydlak najgorszego sortu, który do ostatniej chwili nie chce mi powiedzieć, czy przyjdzie, czy nie. Przychodzi spóźniony, wychodzi wcześniej, a jeszcze skarży się, wyrzuca mi prawie te pięćdziesiąt sześć minut, jakie spędziliśmy razem, i mam wrażenie, że ukradłam mu tę niecałą godzinę, kładąc nóż na gardle. Ten facet pojawia się nadęty od komplementów, jakimi go obsypałam tego lata, od nadziei, jakie w nim złożyłam, od fantazji, w których uznałam za stosowne dać mu najważniejszą rolę, staje przede mną ważny jak cholera i przelatuje mnie, zanim zdążę zwilgotnieć, kpi sobie z tego, że chciałabym porozmawiać. Piszę o tym facecie książkę, a on widzi we mnie żywe zagrożenie, gotowe zniszczyć mu małżeństwo i życie, niebezpieczeństwo na dwóch łapach, na nieszczęście literacko zdolne, które mści się na nim podle, a on spieprza, czyniąc mi afront i coś tam obiecując. Pozwala mi zapłacić za pokój, a ja mu to wszystko wybaczam. Wszystko, Babette. Jestem zakochana.

Październik

– Halo?

– Tak, to ja.

– Kto, ja?

– No... ja!

Marszczę nos jak stała bywalczyni hotelu Martinez⁶, która miałaby się poniżyć, podając nazwisko.

– Kto? Przepraszam, ale nie słyszę.

– Ellie! – szepczę poirytowana.

– Ellie?

– Tak!

Szmer po drugiej stronie słuchawki. Słysząc zelówki Pana, które elegancko stukają po szpitalnej posadzce.

– Przepraszam, nie zrozumiałem. Kto mówi?

Ton jest twardy. Takiego nie znałam. Zraniona powtarzam:

– Ellie. Nie słyszysz mnie?

– Dobrze, proszę posłuchać, jestem w klinice, bardzo źle słysząc i mam co innego do roboty, niż godzinami wisieć na telefonie, więc kto mówi?

– ELLIE!

– Jaka Ellie?

– Becker. Ellie Becker! – postanawiam wyjaśnić, mieniąc się wszystkimi kolorami ze wstydu. Teraz już jestem tak wściekła, że cały dzień zamieni mi się w piekło.

Prawdziwe upokorzenie to nie jest sukienka przez nieuwagę wciśnięta w majtki czy upadek ze schodów w metrze. To sytuacja, kiedy mężczyzna, o którym piszesz książkę, nie odróżnia cię od tysięcy innych.

– Ellie Becker – powtarza Pan radykalnie innym głosem, słodkim jak karmel. – Dzień dobry. Jak się masz?

– Znasz wiele Ellie? – pytam śmiertelnie urażona.

Pan śmieje się, a ten śmiech jest jak policzek wymierzony w trakcie seksu.

⁶ Znany hotel w Cannes (przyp. tłum.).

Listopad

Piątek. Pamiętam to doskonale. Chociaż byłam dość dumna, że udało mi się wynegocjować spotkanie z Panem, równocześnie nienawidziłam sama siebie. Nie miałam żadnej konkretnej potrzeby, żeby się z nim zobaczyć, nic pilnego. Sama tego chciałam: esemesy przesuwające spotkanie o dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści minut, oczekiwanie na mrozie na rue François-Miron. Byłam jak ci palacze, którzy po sześciu miesiącach męczącego odwyku pozwalają sobie na wypalenie jednej fajki, po tym przestępstwie wyrzucają niedopałek i z przepalonym oddechem i śmierdzącymi włosami gorzko żałują przelotnego wspomnienia tego występku. Nigdy nie powinni byli przestać palić. Poczucie winy jest wystarczająco dużym ciężarem, by wyzbyć się jakiegokolwiek przymusu.

Babette, do której zadzwoniłam, by przestać myśleć o sinych kolanach, wydała przeciągłe westchnienie.

– Gdzie jesteś?

– Ja... na dworze. Czekam na Pana.

– Na dworze? Jest plus trzy, do cholery!

– Jeśli wejdziesz do kawiarni, nie będę mogła palić.

– A od kiedy nie możesz sobie odmówić fajki?

– Od kiedy znam Pana. Sterczę tu już pół godziny. Niepokoję się, więc palę jedną fajkę co pięć minut, to sobie możesz policzyć.

– Spóźnia się czy wystawił cię do wiatru?

– Kiedy wyjeżdżał, zadzwonili do niego ze szpitala. Babette, ale to ja zaproponowałam, że zaczekam.

Dyskretnie pociągnęłam nosem.

– Mam doła.

– To naprawdę niefart z tym telefonem ze szpitala – zgrzytnęła zębami Babette.

– Aha. Kiepsko wyszło.

– A konkretnie to na co czekasz? Jestem pewna, że pogada z tobą przez dziesięć minut na rogu i zniknie jak gówno w przeręblu.

Tu właśnie była granica tolerancji Babette. Granicę Valentine poznałam w czerwcu, a teraz moja najlepsza przyjaciółka przestała to znosić. Moje podpory padały jedna za drugą.

– Muszę się z nim zobaczyć. Wiesz dobrze.

– I jak przyjdzie i napluje ci w twarz, to mu podziękujesz.

– Babette, co ja ci zrobiłam? – wyjąkałam, zaskoczona zniewagą, której się zupełnie nie spodziewałam.

– Nic, Ellie... dlaczego się tak uparłaś? Nie sądzisz, że dawno już wyszłaś z etapu żałoby?

– Z jakiego etapu żałoby?

– Znakomicie rozumiem, że są jakieś konwencje, taki moment, w którym nawet wypada żałować i robić głupstwa, ale teraz wygląda, że ci się to podoba. Naprawdę, ten facet nie jest wart ośmiu miesięcy twojego życia. To nie ma sensu.

– Wiem. Ale muszę z nim porozmawiać. Potrzebuję odpowiedzi.

– Jakich odpowiedzi?

– Do mojej książki. Nie chcę napisać niesprawiedliwej książki.

– Niesprawiedliwa książka. A to dobre. Już sam trud, jaki sobie zadajesz, żeby napisać tę książkę, zwalnia cię do końca życia z jakichkolwiek obowiązków wobec niego.

– Dobra, ale...

– I naprawdę sądzisz, że jak tylko się z nim spotkasz, będziesz jeszcze miała ochotę zadawać mu te pytania? Przecież wiesz, że pytania go tylko wkurwią!

– A więc zakładasz, że zaliczę same wtopy?

– Założę się, że już wyglądasz jak milion dolarów.

Rzut oka na całość. Sukienka, pas do pończoch, podkolanówki i dziurkowane trampki Bensimon. Wyluzowany milion dolarów. Pan to świetnie zrozumie.

– Absolutnie nie.

– Nie masz głosu dziewczynki, która włożyła majtki ze Snoopym. Ani głosu studentki, która była dziś rano na uczelni.

Umęczona wrzasnęłam:

– Dobra, cholera!

I rozłączyłam się. Humor miałam podły. Bogu dzięki, w trakcie tej krótkiej rozmowy Pan wyznaczył mi spotkanie na parkingu Vinci Pont-Marie, za pięć minut. Na TYM parkingu. Najbardziej szatańskie miejsce na spotkanie.

Rozgorączkowana, usiadłam na brudnych schodach. Serce waliło mi jak młotem, prawie zagłuszając łagodną muzykę typową dla miejsc, gdzie nikt nie spędza tyle czasu, żeby muzyka była mu niezbędna. Nikt oprócz mnie. I Pana. Gdy z pochyloną głową zawiązywałam sznurowadła, zauważyłam po mojej prawej stronie jakiś gwałtowny ruch, szcęk elektrycznego zamka w drzwiach, podmuch nagle poruszonego powietrza.

Podniosłam oczy. Pan, Pan, Pan tam był, patrzył na moje ciało tym ukochanym, pełnym akceptacji wzrokiem. Otworzył przede mną drzwi jak przed pacjentką i kiedy otarłam się o niego, żeby przejść, poczułam, że przestrzeń między nami zadrżała, zawrzała od mojego lęklivego i winnego pożądania tego mężczyzny.

– Mówiłaś, że masz jakieś pytania?

– Do *Pana*. Są punkty, które chciałam wyjaśnić, rzeczy, których nie zrozumiałam.

– Na przykład co? Patrz na mnie.

Przez kilka tysięcznych części sekundy patrzę mu w oczy i natychmiast żałuję tej śmiałości. A potem zaczynam wyrzucać z siebie z prędkością karabinu maszynowego:

– Nie rozumiem, dlaczego przestaliśmy się widywać, i chociaż próbowałeś mi to wytłumaczyć, niczego nie ogarniam – dlaczego w żaden sposób się ze mną nie kontaktujesz, a przecież to ewidentne, że możemy sobie wiele dać, dlaczego...

– Wolniej, wolniej – przerywa mi Pan. – Za szybko mówisz!

Przygryzam dolną wargę, na próżno starając się złapać oddech.

– Jesteś zestresowana, że mnie widzisz?

– To bardzo pretensjonalny tekst.

– Mnie też to zestresowało. Pokaż mi puls.

Nim udaje mi się wykonać najmniejszy znak protestu, Pan łapie mój nadgarstek i przytrzymuje go palcami. Podnosząc oczy w górę, zmęczona, lecz uśmiechnięta, piszczę:

– Mój puls ma się bardzo dobrze.

– Jest przyspieszony – odpowiada Pan prawie pod nosem. – Jak mój.

– Wcale nie jest przyspieszony – rzucam i szybkim gestem wrywam dłoń, która drży jak szalona.

Ale choć staram się być maksymalnie oschła, łatwo wpadam w pułapkę postanowień, żeby niczego, zupełnie niczego nie ukrywać przed Panem. Nawet tego, co kryje mi się w środku. Robię się mokra. Lubię, jak Pan jest taki natrętny, w taki elegancki sposób, jak odczytuje wszystko, czego bym mu nigdy nie powiedziała. Ciepło skłania mnie do zdjęcia płaszcz, a on natychmiast wytrzeszcza oczy na widok mojego dekoltu. A właściwie koronki, która go zastępuje.

– Zwariowałaś, że tak chodzisz po ulicy! To jest niebezpieczne!

– Na ulicy zapinam płaszcz. Jak każdy normalny człowiek.

– W tej sukience masz piersi na wierzchu – zauważa Pan tonem, w którym słycać i uczucia ojcowskie, i zaciekawienie, a jego palce

ostrożnie chwytają mój sterczący sutek.

– Co robisz?

Uśmiecha się, nie patrząc na mnie, nie przejmując się niezwykłą agresywnością, z jaką mu się przeciwstawiam.

– Czy to cię zdekoncentruje, jeśli popieszczę cię trochę, kiedy będziemy rozmawiali?

– Po co to robisz, jeśli nie możemy się już pieprzyć? Wyobrażasz sobie, w jakim stanie wracam potem do domu?

– A ja? Popatrz!

Opuszczam oczy i bardzo wyraźnie widzę erekcję przez jego gustowne spodnie od garnituru. Co by to było, o Boże, gdyby tak rozpiąć mu suwak? Tylko tyle. Z fiutem na wierzchu Pan byłby innym mężczyzną. Przestałby co dwie minuty patrzeć na zegarek, a ta gilotyna nad nami znikłaby natychmiast. Powiew zimnego powietrza na tej delikatnej skórze przypomniałby mu, że moje ciało może być schronieniem. Ale z upływem czasu oduczyłam się zarzucać mu bezczelność i złe maniery – i jeśli dziś Pan ma erekcję, to poprzez jego spodnie cały świat staje przeciwko nam. Zmieszana odwracam wzrok.

– Co mam ci powiedzieć? Patrz, jaki ty jesteś. Dokąd nas prowadzą te męki Tantala?

– Jakie męki? To normalne, że cię pragnę. Spójrz na mnie.

Pan ujmuje palcami mój podbródek i ponieważ posyłam mu nieśmiertelne spojrzenie zranionej sarenki, uśmiecha się coraz szerzej, pokazując fascynujące zęby drapieżnika.

– Jaka ty jesteś piękna – rzuca wreszcie. – Można by rzec, że jeszcze wypiękniałaś.

Odpowiadam gorzko:

– Nie jestem pewna, czy mi się to na coś zda.

– Ellie, to nie jest tak, że ja się nie chcę z tobą spotykać. Oczywiście, że chcę. Ale nie mogę.

I patrząc mi w oczy, Pan wyśpiewuje, skanduje swoją wieczną litanię:

– Wiesz, że to nas unieszczęśliwi. Gdybym tylko miał czas, byłbym z tobą ciągle. Mam ochotę cię widzieć bez przerwy, rozmawiać z tobą, brać cię w ramiona. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż rozmowa o literaturze przy kieliszku. Znam niewielu ludzi, z którymi mógłbym rozmawiać o książkach tak jak z tobą.

Patrzy na kierownicę i kiwa głową, zmieszany.

– Czy nie moglibyśmy mieć ze sobą relacji całkiem nieseksualnej?

Wybucham zaskoczonym śmiechem, który brzmi jak szczeknięcie.

– Spójrz na siebie! Spójrz na swoje spodnie! Myślisz, że naprawdę bylibyśmy zdolni do takich rzeczy?

– Im dłużej na ciebie patrzę, tym bardziej się utwierdzam w przekonaniu, że nie, nie jestem do tego zdolny – przyznaje Pan żałośnie.

– Nie. Jesteśmy w sytuacji bez wyjścia.

Krzyżuję nogi, wściekła i skonsternowana. Całe to oczekiwanie było tylko po to! Pan chciał się głośno zastanowić, czy jesteśmy wystarczająco rozsądni, by przebywać ze sobą i nie wyobrażać sobie, że jesteśmy razem w łóżku. A przecież wieki temu właśnie dla Pana porzuciłam rozsądek. Ciekawe zresztą, jak wyglądałoby moje życie, gdyby mi go zostało choć trochę. Co bym z niego zbudowała.

– Nie mogę się z tobą widywać – kontynuuje – bo ucierpiałoby na tym dziewięćdziesiąt procent mojego życia. Mam rodzinę, pracę, musiałbym mieć co najmniej jeszcze jedno życie, żeby dać ci w nim miejsce, na jakie zasługujesz.

– A... jak to robią ci wszyscy inni żonaci mężczyźni, którzy zdradzają żony?

Pan zdusił sardoniczny rechocik.

– Prosta sprawa! Spotykają się raz w tygodniu w hotelu, rozbierają się, opowiadając sobie o wydarzeniach minionego tygodnia, pieprzą się, a potem wychodzą, ona może zapyta „Jak tam twoja żona?”, „Dziękuję, dobrze”, i tyle. Widzisz, to proste. Ale nie chciałybyś tego.

– A my? Co robiliśmy, jeśli nie to, co właśnie opisałeś?

– My nie byliśmy tacy – odpowiada Pan, potrząsając głową, wyraźnie oburzony tą hipotezą.

– Bzdura. Ostatnim razem w Szesnastce było dokładnie tak.

Spoglądam na niego smutno.

– Przyszedłeś, pieprzyliśmy się, rozmawialiśmy pół godzinki, a potem wyszedłeś.

– Myślisz, że to było tylko to? Naprawdę?

– Piszę o tobie powieść. Gdyby to była tak prosta historia, narysowałabym komiks.

Pan nieco przesadnie się raduje, wyobrażając sobie siebie w książce. Teraz jestem już pewna: jeśli ta historia była tak skomplikowana od samego początku aż do tego, co wygląda na koniec, to częściowo dlatego, że on nie umie odróżnić rzeczywistości od fikcji. Życie, jakie wiodą literaccy kochankowie, wydaje mu się zbyt piękne, zbyt podniecające, by wtlaczać je w ramy codzienności. Ale to, co jest heroiczne czy

romantyczne w powieści Stendhala, dla takich ludzi jak ja, którzy wyłącznie i po prostu żyją, jest jedynie długim cierpieniem.

Pan, który nie ukrywa, że patrzy na moje podwiązki – wydaje się wręcz, że chce, żebym to widziała – mówi:

– Fajne szmatki masz na sobie.

Z kokieteryjną wstydlivością, jakiej nauczyłam się w kontaktach ze wszystkimi tymi mężczyznami, którzy mi nie odpowiadali, bo mogli być chirurgami, żonatymi, czterdziestoletnimi, namiętymi lub zboczonymi, ale nigdy wszystkim tym naraz, obciążam sukienkę na udach. Czuję, że Pan się uśmiecha.

– Pokaż – mówi i ta przepiękna ręka nurkuje pod mój płaszcz.

Gdy sunie w stronę mojego brzucha, zginam się do przodu, stanowczo chcąc zabronić mu dostępu tak długo, jak to się po ludzku da wytrzymać, przyciskając kolana, żeby go powstrzymać. Pan nachyla się nade mną i gorąco-lodowatym, paraliżującym głosem szepcze:

– Nie ruszaj się. Nie bój się.

Cofam się trochę przed tą pieśczęcią, oczy i oddech mam jak królik schwytyany za uszy.

– Chciałem tylko dotknąć twojej piersi. Nie bój się.

Duża dłoń przybiera właściwy kształt i wielkość, otula mnie tak czule i gorąco, że moje majtki z rozcięciem natychmiast stają się mokre. Czuję bardzo wyraźnie, jak moja pierś drży i podskakuje w jego dłoni, mój sutek w jego palcach krzyczy: tak tak tak. A potem Pan zjeżdża ręką wzdłuż mojego brzucha i wślizguje się pomiędzy moje uda. Spinam się i odsuwam; on się wycofuje z uśmiechem na ustach.

– Nie bój się – powtarza, głaszcząc mnie po policzku rasowymi palcami, lekkimi mimo ciężaru złotej obrączki.

– Nie boję się ciebie – mówię na jednym oddechu, a w zimnym jak krypta wnętrzu jego samochodu mój oddech zmienia się w ciężką parę, ciężką od strachu, tak się go boję.

– Pocałuj mnie w usta.

Pan niepostrzeżenie nadstawia mi swoje ciężkie usta, usta, które są wyzwaniem, by uznać go za najbardziej pociągającego, najwspanialszego na ziemi; wcielenie uroku.

– Dlaczego, na Boga, miałabym zrobić coś takiego?

– Po przyjacielsku – precyzuje Pan, i ponieważ parskam śmiechem, on też się do mnie przyłącza.

– Po przyjacielsku? Kpisz sobie ze mnie?

– Nie jesteśmy przyjaciółmi?

Uprzedzając moją reakcję, Pan odpowiada za mnie:

– Jesteśmy przyjaciółmi. Pocałuj mnie.

Ponieważ zupełnie nie wiem, jak się bronić, jakie znaleźć argumenty przeciwko pocałunkowi, na który mam taką ochotę, przyciskam swoje małe spierzchnięte usta do olbrzymich, przyjaznych ust Pana. Nie na długo, może na pół sekundy. Ta półsekunda pozwala mi przypomnieć sobie czasy, kiedy pocałunki Pana były na porządku dziennym, nie podlegały analizie i nie wywoływały takiego oporu. Ale ja nigdy nie całuję w usta przyjaciół. Teraz zrozumiałam dlaczego: albo jest się przyjacielem, albo kochankiem – a kiedy jesteśmy kochankami i wrogami, jak Pan i ja, kończymy ze złamanym sercem.

– Łatwiej by mi było, gdybyś miała męża albo chociaż prawdziwego chłopaka.

Nie śmiem powiedzieć Panu o Édouardzie. Ani o tych wszystkich, którzy mogliby zająć jego miejsce, gdybym tylko dała im szansę.

– Gdybyś miał dla mnie choć trochę serca, skłamałbyś!

Powiedziałbyś, że nie chcesz mnie już nigdy widzieć!

– Nie mogę tego zrobić – odpowiada, potrząsając głową. – To moja wada, nie potrafię kłamać w takich sprawach.

Jego wielkie szare oczy nigdy nie dostarczą mi odpowiedzi, chociaż rozpaczliwie jej szukam; mur nie do przebicia dzieli mnie od myśli Pana. Mogłabym się tym zadowolić, ale już widzę, jak idę nabrzeżem w stronę metra, a wszystkie hipotezy wirują mi w głowie jak w bębnie pralki. Unoszę brodę z tandetną dumą, której mi wstyd.

– Przysięgnij.

– Co mam ci przysiąc?

– Przysięgnij, że nie mówisz tego tylko po to, żebym za tobą latała.

Pan nie zmienia wyrazu twarzy, a jego nieruchome oczy są bezczelnie wbite w moje.

– Ale ja nie chcę, żebyś za mną latała!

– Nie?

– Oczywiście, że nie. Sytuacja jest i bez tego wystarczająco bolesna.

Rzuca okiem na zegarek, czuję, że się niecierpliwi. Pan musi odejść, Pan zaraz odjedzie i do następnego razu będę się przeklinała, że niczego nie zrobiłam, niczego więcej nie powiedziałam, że nie próbowałam go zatrzymać. Już teraz fala tłumu niepostrzeżenie przyciąga jego wzrok. Wewnątrz Pan jest już bez wątpienia w tym tłumie, a jego wysoka sylwetka i kosztowne ubrania wtapiają się w przeciętność pozostałych. Być może Pan jest już w ramionach swojej żony. Świat nas rozdziela, więc

robię krok w tył, w stronę nabrzeża. On też odsuwa się ode mnie, kładzie mi rękę na twarzy, czule chwyta mój nos w dwa palce, mówiąc:

- Jesteś piękna, Ellie.
- Żegnaj więc – rzucam z najsmutniejszym spojrzeniem świata.
- Dlaczego „żegnaj”? – odpowiada Pan.

Zamiast odpowiedzi, uśmiecham się i odchodzę tyłem, tak daleko, aż widzę już tylko fragment jedwabnego lazurowego szalika tego mężczyzny, wsunięty za postawiony kołnierz płaszcza od Lanvina. Tam, gdzie ludzie widzą tylko połączenie szlachetnych tkanin i materii, ja odgaduję Pana, jego zapach, a pod zapachem perfum zapach jego skóry. Nie wahałam jej od miesięcy, ale znam ją na pamięć, jak katechizm.

Kiedy drepczę w stronę metra, z sercem zwieszonym do połowy masztu, Pan dzwoni do mnie i jego głos towarzyszy mi przez kilka kroków.

- Masz już jakieś zakończenie książki?
- Jeszcze nie.
- Koniec musi być gwałtowny – zauważa Pan.
- Wiem, właśnie się nad tym zastanawiam.

Przewidziałam już koniec i choć nie jest szczególnie gwałtowny ani spektakularny, ustanawia między nami coś w rodzaju równowagi – cokolwiek to może oznaczać w tym kontekście. Ale nie zamierzam się wysilać, żeby mu wyjaśnić, dlaczego chcę, żebyśmy byli kwita. „Kwita? Jak to kwita?” – zapytałby Pan. W miłości nie ma rachunków do wyrównania. I co miałabym mu na to odpowiedzieć? Jak mogłabym mu powiedzieć, przez telefon, w dwie minuty trzydzieści sekund, że miłość nigdy nie jest tak jednostronnie obowiązująca? Albo że mając dwadzieścia lat, jeszcze liczę punkty w naszych potyczkach, tak jak liczę kochanków? Pan by się obraził i znikłoby tych kilka wątpliwości, które pozwoliły mi go zobaczyć dziś wieczorem.

- Jedno z nas powinno umrzeć – sugeruje, a ja staram się nie zaśmiać, krytykując to rozwiązanie.
- Wiesz, ja piszę prawdziwą historię. A nie prawdziwą powieść.
- Wiem, wiem, ale jak chcesz, żeby nikt nie umarł? Potrzebujesz mocnego pomysłu. Ellie mogłaby pewnego dnia dowiedzieć się, że Pan nie żyje.

Zwolniłam, żeby w spokoju nacieszyć się głosem Pana i jego chęcią rozmowy o moim wielkim dziele. Dopiero kilka tygodni później zrozumiałam, że wiedział już, ile jest rzeczywistości i fikcji na tych trzystu stronach, którymi się tak chełpiłam. I pominąwszy wszelkie względy

literackie, pominawszy fakt, że Pan był świadom mojego oddania, i pominawszy nawet ten względny chłód, jaki mi okazywał, nie różniliśmy się w niczym od postaci z książki. Potrzebne było gwałtowne, nieodwracalne zakończenie. Bez zdecydowanego i definitywnego rozłamu mogliśmy tak trwać wiecznie, rok za rokiem. A na pewno ja. Absolutnie nie nużył mnie ten łagodny bieg, w którym nieustannie wpadałam na Pana, tak jak bawiące się dzieci: zdarzało mu się nie zwracać na mnie wcale uwagi, innym razem się odwracał, dostrzegał mnie, poświęcał pięć minut swojego czasu, żeby pogłaskać mnie po głowie – i zanim się z nim nie zderzyłam, nie było sposobu, żebym się dowiedziała, jak zareaguje tego dnia. Chciałam to wiedzieć, regularnie sprawdzać, czy ta godna pogardy władza – podniecanie go – była nadal skuteczna. Oczywiście fascynowało mnie to. I oczywiście Pan też się dobrze bawił, tak samo, jeśli nie lepiej niż ja. Usunięcie go z książki nie usunęłoby go naprawdę. A nawet przewidywałam raczej przeciwny skutek: przybita swoją zbrodnią popędziłabym do kliniki, poczekałabym, aż wyjdzie na dziedziniec, który łączy jego gabinet z blokiem operacyjnym i bez słowa rzuciłabym się na niego, tylko po to, żeby poczuć jego ciepło, bicie jego serca przy moim policzku, to życie w nim. Banalnie, nie było skuteczniejszej metody, żeby wrócić do punktu wyjścia, jak zabić Pana. Mój Boże, będę sobie z tym kiedyś musiała poradzić.

Przypomniałam sobie wówczas to zdanie, które mu się wymknęło (choć czy można powiedzieć, że cokolwiek się Panu wymyka?), gdy rozmawialiśmy przez telefon kilka dni wcześniej:

– Pewnego dnia umrę. I wtedy oczywiście będę żałował, że nie mogłem spędzić więcej czasu z tobą.

To prawda, że przedtem nigdy nie myślałam o tym w ten sposób: Pan kiedyś umrze. Tak będzie się musiało stać. Gdy to nastąpi, będę już niewątpliwie w pewnym wieku, takim jak Pan teraz, albo i starsza. Jakiś mąż, jakieś dzieci, jakieś życie. Dałby Bóg, żeby Pan jakoś z tego wyszedł. Dałby Bóg, żebym dowiedziała się tego z ostatnich stron gazet. Dałby Bóg, żebym nie dowiedziała się wcale.

Styczeń

OK, powiedziałam, że wychodzę. Stanik, pończochy, sukienka, płaszcz. Buty. Majtki są za daleko. Jeśli zbliżę się tak bardzo do łóżka, on się obudzi i – kurwa – będzie chciał wiedzieć, dlaczego wychodzę. Nie mogę wymyślić żadnej grzecznej odpowiedzi, nie teraz.

Wtorek, dwunasta trzydzieści i wracam do domu – a przynajmniej tak sędzę.

Drzwi ważą trzy tony i jest na nich napisane Olivier Destelles. Jeśli tym razem mogę sobie zaufać, to już ostatni raz czytam to nazwisko, ostatni raz dotykam tej klamki, ostatni raz oglądam jego gębę, ostatni raz widzę swoją gębę w lustrze w jego windzie.

Mam tysiąc przesiadek po drodze do domu, i teraz siedzę przy oknie w autobusie między Balard i Dwunastką, dzielnicą, z której mam nadzieję wreszcie jakoś dotrzeć do domu. To będzie trudne, ale włączyłam tempomat w chwili, gdy zaczęłam bieg w mieszkaniu Destelles'a. Nie jestem pewna, czy w ogóle spałam. On chrapał. W łóżku dyskretnie włączyłam iPod'a i słuchałam *Atom Heart Mother*. Nie ruszało mnie to już prawie wcale, ale stworzyłam całkiem, jak mi się zdaje, niezłą teorię dotyczącą paraleli między Pink Floydami i Wagnerem. To prawdopodobnie jedyna interesująca teoria, którą ostatnio wygenerowałam, i obiecałam sobie, że ją zapiszę, ale gdybym się za to zabrała właśnie teraz, wyszłoby beznadziejnie. Jest mi trudno nawet ładnie zbierać słowa w zdania – a teraz, tego ranka, w tym autobusie, w tym stanie, wydaje się to zupełnie niemożliwe. Bardzo chciałabym przypomnieć sobie smaki tego lata, które na wiele godzin przykuwały mnie do stołu, ale natchnienie zwiewa w podskokach, gdy tylko siadam przed kartką papieru. A poza tym za dużo imprezuję. Za dużo palę. *Za dużo dziwek, za dużo wiosłowania*⁷. Za dużo wódki z lodem. Za dużo facetów. Zbyt wiele dni, które zaczynają się o szesnastej. Za dużo snu. Można by rzec, że staram się osiągnąć stan, który uniemożliwi wszelką produktywność.

Czasami myślę o tym, wracając do domu po imprezach jak ta. Z głową opartą o szybę autobusu, skostniała z zimna: tonę. Nieustające poszukiwanie Pana, które wydawało mi się sensowne i całkiem wyważone, zamieniło się w totalną klęskę. Moja matka dość często mi to sugeruje, nawet moi przyjaciele mi to w końcu powiedzieli, ale ja to czuję

dopiero w takich chwilach. Od kilku tygodni jestem już głęboko przekonana, że doszłam do dna, ale jakaś część mnie wyraźnie nie chce tego zrozumieć, bo kontynuuję ten bieg, jakbym czekała, że zdarzy się coś jeszcze gorszego niż te bezsenne poranki, gorszego niż to jednostajne znużenie i wstręt do ludzi w metrze, którym wracam. A tymczasem, na pierwszy rzut oka wydaje się, że nie może być gorzej. Ten RER& będzie jechał do mnie co najmniej dwadzieścia jeden minut – co mam zrobić, żeby to wytrzymać? Strasznie chce mi się spać i zeszywniały mi wszystkie członki, jest mi za zimno i za gorąco, nieruchoma pozycja na krzeselku jest torturą, ale gdybym się położyła, zaczęłabym chyba krzyczeć. Nigdzie nie będzie mi dobrze, ale przynajmniej, przez litość, niech ci ludzie znikną, żebym znalazła się sama gdzieś, gdzie będę mogła zwinąć się wygodnie na kilka godzin, jak pies. Trzęsę się cała z powodu nagłej i niemożliwej do zaspokojenia chęci bycia gdzieś indziej, cokolwiek tylko to słowo może oznaczać. Mogłabym uciec w lekturę i muzykę, ale nie mam nic do czytania, a Pulp w moich słuchawkach jest jak boskie symfonie Beethovena masakrowane na infoliniach. Przeleciało już sześć piosenek, a ja nie byłam w stanie ich słuchać ani docenić – wiem tylko, że *Bar Italia* zawsze będzie mi przypominał Oliviera Destelles'a, jego imprezy i te godziny, kiedy brutalny rozpad mojego życia wydawał mi się bardziej nieuchronny niż kiedykolwiek wcześniej.

W tej piosence jest wszystko. Histeryczne brzmienie syntezatora i nieco zbyt mocny głos Jarvisa Cockera, który ledwie zauważalnie gubi rytm; bardzo wysoki gwizd i powrót, jakby wracała rozbryzgująca się fala, absolutnie orgazmiczna. Słuchanie go w takim stanie, jaki on sam opisuje, sprawia, że czuję się mniej samotnie. Ale gdy tylko sytuacja normalnieje, ta muzyka przypomina mi cały mój niepokój. Nie jestem pewna, czy mogłabym wytrzymać te trzy minuty czterdzieści cztery sekundy, a przecież to dzięki takiemu cudowi jak ten utwór uwielbiam słowa do szaleństwa. Uważam, że to niesamowite umieć do tego stopnia wywołać chęć rzygania i tańczenia jednocześnie. Kurwa. Całkowite zrozumienie tej piosenki, genialna ostrość słów, doprowadzają mnie prawie do płaczu. I któż powraca na swoim czarnym rumaku, gdy tylko robię jedno z tych odkryć, które odbierają oddech? Któż to nagle wynurza się z prawie zapomnienia, gdzie zesłały go te wszystkie miesiące i cała ta nieobecność? Dlatego, że jest być może jedyną osobą na świecie, której widok mogłabym teraz znieść – z którą udałoby mi się zapomnieć choćby na chwilę, że dziś, dokładnie o tej porze, wszystko wygląda tak strasznie źle. Pan wziąłby mnie w ramiona i tym razem jego przechwałki, że wszystko

wie, że wszystko już robił, zanim mnie poznał, przestałyby mnie denerwować i przyniosłyby ukojenie. Mogłabym mówić bez przerwy: „Źle mi, źle mi”, aż by mi się polepszyło albo aż padłabym ze zmęczenia, i wiem, że Pan by to zrozumiał. Widząc, jak bardzo żałuję, nie rzuciłby żadnego przykrego komentarza. Pan dobrze wie, ile kosztuje zainteresowanie. Opowiedziałabym mu o *Barze Italia* i jego piekielnym rytmie, niemożliwym do ujarznienia – on głaskałby mnie uspokajająco po włosach, i przeszyłby nas ten sam dreszcz szczęścia przy ostatniej zwrotce, co przy *Cipie Ireny*.

Mam powyżej uszu pisanie w trybie warunkowym.

Myślałam o nim wczoraj kilka razy. Padał gęsty śnieg i wychodziłam z Le Baron uczepiona ramienia Oliviera Destelles'a; to znaczy dawałam się wlec. Była czwarta, a Paryż wyglądał na pusty i brudny, ale gdybym patrzyła tylko w niebo, mogłabym się poczuć jak w reklamie Chanel z Estelle Warren. Nigdy nie byłam w takim stanie, w porywach było mi równie dobrze, jak źle. Dyszałam tak, jakbym miała umrzeć, każde słowo dzieliło mi się na trzy sylaby. O mało się nie zlałam, więc zatrzymałam się na środku ulicy, za zaśnieżonym samochodem; ale gdy tylko kucnęłam ze spuszczonej majtkami, spojrzałam na Oliviera rozpaczliwie, pytając go, dlaczego nie mogę zrobić siusiu, dlaczego, dlaczego? A on spokojnie, ze wzrokiem, który w takiej sytuacji powinien być wzrokiem Pana, tłumaczył, że to normalne. Że wysiusiam się później. Mówił to wszystko w dziwnie wyuzdany sposób, który mnie i brzydził, i podniecał, bo chociaż nie miałam ochoty ani na niego, ani na pieprzenie, to jak powietrza potrzebowałam mocnej, megamocnej sceny *à la Madame Edwarda*. Siedziałam prawie gołym tyłkiem na śniegu, w czarnej pelerynie, z podniesionym kapturem, przyznajcie, że paralela była kusząca.

Olivier prowadził nas w stronę swojego samochodu, ale co trzy kroki zatrzymywałam się, by mu zadać jakieś durne, fałszywie głębokie pytanie albo żądać dotrzymania obietnic, których tak naprawdę wcale nie potrzebowałam – czy on mnie rozumiał? To był mój dylemat.

Streszczałam mu swoje życie z najbardziej intymnymi szczegółami, chwiejąc się przy jego ramieniu, przekonana, że mimo tego wszystkiego, co mnie od niego oddalało, co mnie w nim drażniło, Olivier rozumiał mnie lepiej niż wszyscy inni. Czasami z odrazy, jaką we mnie wzbudzał, nieruchomiałam na kilka sekund, zafascynowana tą sytuacją. Euforia przemieniała wszystkie moje zawody i niechęci w kosmiczne doświadczenia: to, że znałam trochę ten rodzaj mężczyzn i ten rodzaj

perwersji, niezdrowo mnie cieszyło, było jak upadek i ostry zawrót głowy zarazem. Za zakrętem jakiejś ulicy oparłam się plecami o ścianę kamienicy, z rozstawionymi nogami, sukienką zadartą powyżej cipki – namawiając Destelles’a, żeby mnie wylizał, tu i teraz. Nie sposób opisać, co miał w oczach, kiedy mi mówił nie; uśmiechał się. Podobało mi się to. Podobałby mi się nawet najbardziej świński, najbardziej niezwykły numer.

Kiedy przechodziliśmy koło przystanku autobusowego, wszystko się zmieniło. W połowie zdania na skrajnie osobisty temat, kiedy mówiłam do niego jak do mojego alter ego, nagle straciłam wszelką motywację, wszelką chęć do rozmowy i wszelką chęć do tego, żeby być z tym facetem. Widziałam, jak ludzie na nas patrzą, na mnie, z buzią piętnastolatki, z zaciśniętymi szczękami, w za wysokich szpilkach, na Oliviera w garniturze, długim płaszczu, wyglądającego tak, że mógłby być moim ojcem. I diabłem. Zastanawiałam się, co mi przyszło do głowy, żeby opowiadać mu o takich rzeczach. Znudzenie nagle o mało nie zabiło mnie na środku ulicy. I kiedy byłam u kresu sił, gwałtowny skok adrenaliny podrzucił mnie do góry, a potem znowu zaczęłam wyjawiać mu wszystkie swoje sekrety, jak nic nieznaczące plotki, sapiąc przy tym jak dziwka, której się dosiada. Poczułam się jak w negatywie, kiedy Olivier wyszeptał mi w samochodzie:

– Jesteśmy stworzeni dla siebie. Wie pani o tym dobrze, Ellie.

(Bo zwykliśmy mówić do siebie w trzeciej osobie – jak w harlequinie).

Uśmiechnęłam się nieszczerze i pomyślałam Pan Pan Pan, tak mocno, że z pewnością niespodziewanie obudził się w środku nocy. Wierzę w taki rodzaj intuicji. Wierzę i jestem pewna, bo wkrótce potem wszystko stało się nie do wytrzymania – tak jakby mnie widział na klęczkach na kanapie Oliviera, kryjącą ziewanie żalonym „Taak”, zbyt naćpaną, żeby się podniecić, z oczkiem na pończosze i z drugą pończochą zwiniętą w kostce. Jakby było mało mojemu zbuntowanemu superego, każdy z moich gestów przechodził w wyobraźni przez cenzurę Pana, który wzdychał: „Ellie, co ty tu robisz? Nieważne, że ten facet to zboczeniec i kula u nogi, która specjalnie ciągnie cię na dno, nieważne, że jesteś tak groźnie nakrecona jak szczur w małej klatce, który za chwilę odgryzie sobie łapy – najgorsze jest to, że nie da się na to patrzeć. Można by cię umieścić na stronie dla wykolejeńców, z podpisem »mała naćpana dziwka daje się pieprzyć na wszystkie sposoby« – a komentarze brzmiałyby »biedna laska« albo »żenada«. Naprawdę się o ciebie martwię, Ellie. Czy nie mówiłem ci, w twoje urodziny, w samochodzie, żebyś na siebie

uważała? A ty mi odpowiedziałaś, podnosząc swoją śliczną bródkę: »Nie wiem, dlaczego się martwisz, skoro do mnie nie dzwonisz i się nie widzimy«. Upierałaś się jak osioł, tak jakbyś nie rozumiała, a przecież świetnie rozumiesz; i to dlatego się martwię. Bo czułem, że nadchodzą takie sceny, których pożałujesz, a żal jest najgorszy ze wszystkiego. Czułem od ciebie zapach faceta, który nie umie cię dotykać, a którego ty nawet nie masz ochoty nauczyć. Widziałem, jak poskoczyłaś, kiedy nazwałem cię Moją Miłością, tak jakby to było całkiem niepojęte, że mimo wszystko mogę cię ciągle kochać. Mówiłem ci o tym wzroku zabijanego zwierzęcia, o tych twoich maślanych oczach, kiedy pieprzę cię w tyłek, a ty przestajesz się ruszać – a teraz robisz dla niego te swoje słodkie oczy, pozwalasz temu dupkowi wiercić się na tobie i szeptać ci do ucha paskudne słówka, nazywać cię Kochaniem, chociaż aż cię od tego skręca i odsuwasz policzki najdalej jak potrafisz – i jak on może tego nie zauważać, co, Ellie? Jakim cudem nie dostrzega twojego usztywnionego karku i tego, że z trudem znosisz każdy jego pocałunek? Nienawidzisz go tak bardzo, że powinien to czuć, ty byś to poczuła, prawda? Czy on myśli po prostu, że jesteś naćpana? Czy można być tak głupim? Mam inny pomysł: a może właśnie teraz zrozumiał, jak bardzo go nienawidzisz, ale ma to w dupie? Tak długo, jak nie wrzaśniesz, by przestał, będzie grał w tę twoją grę i odpowiadał na wszystkie te twoje udawane krzyki, na wszystkie twoje podrabiane spazmy. A ty nie jesteś z tych, które wrzeszczą. Grzecznie czekasz, aż to się skończy, a potem opiszesz, że był żaloszny, upokarzający, wkurwiający. Wypróbujesz wszystkich facetów, zanim to zrozumiesz, ale jedno jest pewne, Ellie, nie masz czego szukać w tym świecie, gdzie pieprzy się dziewczynę, dopóki jest jeszcze w stanie wydawać jakiegokolwiek dźwięki. Powinnaś stąd wiać, nawet jeśli nie masz dokąd pójść, ale wolałbym wiedzieć, że włóczysz się po ulicach o piątej rano na syberyjskim mrozie, niż że leżysz w ciepłe pod tą grubą świnia. Ty, w gruncie rzeczy, też byś to wolała».

Ostatnia zniewaga, której nie dostrzegłam wcześniej, a która powinna obnażyć te wszystkie błędne decyzje: Olivier Destelles używał Habit Rouge. Więc pomyślałam, że albo on natychmiast przestanie, albo ja padnę trupem na miejscu. To ultimatum trwało przez ułamek sekundy, ale nigdy go nie zapomnę.

Mam przy sobie to przepiękne i niedatowane wydanie *Kwiatów zła*, które ofiarował mi na moje dwudzieste pierwsze urodziny. Nie mogłam przez to zamknąć torebki cały wieczór. Nikt nie rozumiał, dlaczego chodziłam z taką starą książką (nikt też nie rozumiał, dlaczego chodziłam

z takim starym facetem – ale o to nikt nie zapytał). Wewnątrz jest mały kawałek papieru, który niezręcznie rozwijam. „Ofiarowane przez C.S., 14.12.2009”. Zazwyczaj chowam prezenty od Pana w stertach skotłowanych ciuchów, ale ostatnio moja matka postanowiła zrobić porządki i mało brakowało, a znalazłaby tę karteczkę, na której nazwisko zdradziecko zapisane było w całości, bez ogródek, jak wyzwanie. Oboje wiemy, co prawda, że łączy nas już tylko ten śliczny papierek – i z tego zresztą powodu wszędzie go ze sobą noszę. Dlatego nawet skulona na łóżku jak embrion, w domu, który właśnie się budzi i wychodzi do pracy, mam go obok siebie, na wysokości twarzy. I teraz, mimo odoru alkoholu i szczękościsku, wspominam tę grudniową środę w jego samochodzie. Dziesięć minut. Nie tak wiele do wspomnienia, ale to jedyny moment, kiedy moje serce ostatnio biło – znaczy, z miłości.

Postanowiłam nie opisywać tych banalnych, prawie przypadkowych telefonów i spotkań z Panem. Bez wątpienia za kilka miesięcy nie będę już pamiętać niczego z tych ostatnich zdarzeń, oprócz może dwóch czy trzech rzeczy, dlatego zanim zasnę, chcę je zanotować:

Mam teraz dwie bardzo piękne książki w mojej biblioteczce.

Nawet jeśli nie czuję już tej wścieklej chęci przynależenia do niego, ciągle czuję potrzebę rozmowy z nim. A rozmowa z nim grozi mi ponownym zakochaniem.

Po zastanowieniu dopuszczam myśl, że Pan mnie także kocha i że ten związek jest jak sztuka Racine’a, w której wszystko dzieli kochanków. Ale w tym konkretnym przypadku nie dodaje to urody głównemu wątkowi: jego czarny samochód zastąpił hotele z wtorkowych poranków, widzujemy się przez kwadrans na parkingu albo na poboczu, a Pan nawet nie zdejmuje ciemnych okularów. Ja uparcie noszę podwiązki, żeby je widział. Wprowadziłam sarkazm do naszych rozmów, a on go nie pojmuje, obraża się o nic, napastliwie porusza tematy, od których staram się wykręcać. Wbrew wszelkiej logice nie chce przyznać, że kochankowie nie mogą żyć z dala od siebie dłużej niż dzień – a więc, że my to coś innego. To coś nie jest przesadnie radosne, ale hej, to wszystko, co mam.

Dobra, wydaje mi się, że znalazłam dobrą alegorię – zapomnijcie o wszystkich głupotach, które napisałam wcześniej: można by rzec, że to zbyt długa kreskówka, ze zmęczoną myszą, która ledwie porusza tyłkiem przed wielkim, spasionym kotem. Są skazani na dalszy bieg, bo życie byłoby po prostu zbyt dziwne bez tego niekończącego się pościgu.

7 Cytat z listu Flauberta do Maupassanta (przyp. tłum.).

8 Szybka kolej podmiejska (przyp. tłum.).

Marzec

Pan wsunął mi powoli palec w pupę i jak skulony zwierzak, którego ktoś drażni, skurczyłam się gwałtownie wokół niego, ze spontanicznością, która mnie zawstydziła.

– Tak, kochanie – kołysał mnie Pan niemal rozczulonym głosem, podczas gdy coraz mniej dyskretnie ocierałam się o szorstkie prześcieradło (połączenie było – mój Boże – nie do wytrzymania). – Tak, moje kochanie.

Myśl, że mogłoby zobaczyć, jak bardzo jestem ciężka, nabrzmiała i że nie mogę już powstrzymać tego przyczajonego wybuchu, który rozpoczynał się pod moimi pośladkami, z pomiętym prześcieradłem, które otwierało mnie jak kwiat piwonii, wzbudzała we mnie konwulsyjne zgrzytanie zębami. Istnieje z pewnością moment, kiedy to lepkie podniecenie staje się nie do zniesienia.

– Twoja cipeczka – powiedział Pan niskim, bardzo spokojnym głosem. – Kochanie, jaka piękna jest twoja cipka. I mokra dokładnie tak jak lubię.

– Och, włóż mi palce – miauknęłam w odpowiedzi omdlałym głosem aktorki z pornosu, drżąc z dumy (taaak, mówię jak na pornotaśmie!).

Ale dłoń, która osuwała się, by spełnić moje życzenie, nie mogła się oprzeć, żeby po drodze nie wymierzyć mi klapsa – klapsa, który poraził pośladek jak prąd.

– Włożę ci coś lepszego niż palce. Bądź cierpliwa.

Nie potrafię przypomnieć sobie dokładnie, co stało się potem. Bez wątpienia ugryzłam poduszkę, w najwyższym stopniu podrażniona i tym pofałdowanym prześcieradłem, i palcem Pana w mojej pupie, do którego wkrótce dołączył język; w tej pozycji nagle poczułam się skrajnie zalotna.

A potem, konsekwentnie, zaczął mnie literalnie pożerać, zadzierając mi pośladki do góry, i robił to, starannie i wyjątkowo okrutnie omijając moją cipkę – mimo że walczyłam, wykręcając się w jego stronę, Pan nigdy nie dotykał mnie bardziej niż zaledwie czubkiem podbródka. Wydawało mi się, że cała jestem jednym, wielkim, drżącym z oczekiwania, nadmiernie wybrzuszonym kawaleczkiem skóry. I chociaż jeszcze kilka miesięcy wcześniej (co w mojej głowie trwało tysiąclecia) odezwanie się do Pana w czasie, kiedy lizał mi tyłek, było czymś absolutnie niemożliwym, potrzeba – której nie sposób zdefiniować – była tak straszna i tak silna, że z dygoczącymi pod jego nosem pośladkami wydusiłam:

– No, zrób coś!

– Co na przykład?

Cofnęłam się na poduszkę, zastanawiając się, jak zdecydować, co mogłoby mi sprawić przyjemność. Jego palce czy usta? A może nawet członek? Jak, na Boga, miałam wybrać? Wielość odpowiedzi na pytanie Pana wywoływała zawrót głowy, a jego podstępny język, czasem długi i aksamitny, innym razem twardy i natrętny, skutecznie gmatwał mi myśli. Zmarszczyłam brwi i wymamrotałam zamotana w prześcieradła:

– Zrób coś z moją cipką!

I nie wiadomo jakim cudem odzyskując resztkę równowagi, dokończyłam:

– Wkurza mnie, że specjalnie jej nie dotykasz.

Natychmiast oderwał ode mnie twarz. Zza półksiężyców moich pośladków patrzyłam na niego z półprzymkniętymi oczami, blednąc i czerwieniejąc na przemian z podniecenia. Te cudne usta nabrały nieznaney mi jeszcze krągłości, nabrzmiały od długiego i starannego przygotowywania mnie do wejścia, i tak zmieniony Pan nabrał cech zwierzęcych – wyglądał jak niebezpieczna bestia, której przerwano ucztę. Zamierzałam wydać mu jakąś dyrektywę cienkim, niepewnym głosikiem, gdy dwiema zdecydowanymi dłońmi obrócił mnie na plecy jak żuczka, a określenie zwierzę nie wystarczyłoby, żeby opisać, do czego podobny był Pan klęczący przed moimi szeroko rozwartymi nogami, z wyprężonym, twardym członkiem wzniesionym w kierunku brzucha, wyłaniającym się z gąszczu ciemnych włosów. Jakież twarde było spojrzenie, które wycelował w mój brzuch, zmuszony do bezwstydu, przytrzymany jego dużymi dłońmi. Można by powiedzieć wszystko, poza tym, że to chirurg – bo to było niewyobrażalne, bo każdy instrument w jego rękach byłby teraz niebezpieczny! Śmiercionośny! Oddany mi w całkowitą i bezwzględną niewolę! W rzeczywistości Pan, bez ubrania, był tylko długim, szczupłym ciałem, zarysowanym wokół jego chuja, który sam decydował, jaki gest ma wykonać, jakie działania podjąć, jaki los mi przeznaczyć. Nie było już ani śladu tego opiewanego tysiące razy wyrafinowania, aż do przesady wychwalanego przed moimi przyjaciółkami, opisanego i wymarzonego, i na próżno oczekiwanego od innych: to, co właśnie rodziło się w głowie Pana, było stare jak świat, jak sam świata początek – wargi uniosły mu się w górę i odsłoniły zęby, gdy warknął, wbijając wzrok w moją mokrą szparkę:

– Nie ruszaj się. Daj mi popatrzeć.

I wtedy schwycił zdecydowanie kutasa, nie przestając na mnie

patrzyć – a ja ze wstydu wcisnęłam się w poduszkę, szybko, jak robak. Mogłam się spodziewać wszystkiego, tylko nie tego, że drugą ręką złapie mnie za szyję bez odrobiny delikatności. Z przerażenia moje oczy wołały: „Nie zamierzasz mi chyba tego zrobić, nie chcesz mnie chyba udusić?”.

Bo wystarczyłoby tylko trochę mocniej ścisnąć, żeby jego precyzyjne palce zaczęły zagłębiać się w mojej miękkiej szyi, rozgniatając różowe chrząstki. Popatrzyłam na niego tak znieruchomiła z przerażenia, że Pan kciukiem pogładził mnie po policzku, mrużąc:

– Nie bój się, dziecinko.

Ale serce waliło mi jak oszalałe i oddychałam, jakbym miała zemdleć.

Uścisk stopniowo się rozluźniał i mogłam złapać oddech, z bólem przełykając ślinę. Chuj Pana drgał w jego prawej dłoni, a ja, zawstydzona, leżałam otwarta na oścież, cipką do góry, wyeksponowana przed nim, ze wszystkim na wierzchu. Mój Boże, jak ja wyglądam, pomyślałam, zmuszając się, by patrzeć w tę skupioną nade mną twarz.

Wyglądasz jak kurwa – odpowiedziało mi spojrzenie Pana. Widzę twój tyłek, cipkę, widzę nawet, co masz w środku, i wyglądasz jak kurwa. Dość, by mi stanął jak lanca, kiedy tak patrzę, jak miauczysz w pościeli, oczy ci uciekają, a usta nie wiedzą, co powiedzieć. Tak jakby usta chciały mówić. Tak jakby twoje drugie usta nie mówiły wystarczająco wiele. Możesz się chować, gdzie chcesz, nawet zaciskać nogi, jeśli chcesz, ale wiem, co się między nimi kryje, jaka żarłoczna i chętna dupka, która błaga jak szalona, żeby w nią wsadzić. Posłuchaj tych suchych skowytów, jakie wydajesz, posłuchaj się sama. Leżysz z brzuchem na wierzchu, z rozdziawionym gardłem i zamykasz oczy – jaki to ma sens, Ellie? Dlaczego nie miałbym mieć jednego i drugiego, twojej duszy i dupy? Jakim prawem nakładasz embargo na popieprzone myśli, które galopują w twojej małej blond główce, skoro widzę, że rozmówca o wiele bardziej szczery, niż ty byłaś kiedykolwiek, byłby gotów zabić za moje palce albo mojego fiuta, a może nawet za moje usta? Chcesz dać to komuś innemu? Jakiemuś dupkowi, który nie zrozumie, jaki prezent ofiarowujesz mu, patrząc na niego? Ellie? Ja przelatuję szybko jak wiatr. Za kilka dni będziesz się frenetycznie onanizować, przypominając sobie tę scenę, bo nie będziesz miała odwagi przeżyć jej tu i teraz, kiedy masz okazję odpłynąć tak, że paznokciami rozdrapiasz mi plecy. Będziesz tego żałować i będziesz się kompromitować w zawitych, źle napisanych SMS-ach, z których zrozumie tylko, że za mną tęsknisz. Więc patrz na mnie. Połóż paluszki na swojej mokrej szparce, wyzywając mnie wzrokiem, żebym

znalazł choć jedną tak piękną jak ty sukę na tej ziemi. Połóż je. Dotknij się.

Ale ja się nie dotknęłam, tylko powiedziałam Panu ze złożonymi w ciup, zaślinionymi ustami:

– Wyliż mi cipkę.

Wyliż! Mi! Cipkę!

Pan położył ręce w miejscu, gdzie zaczynają się moje uda, rozkładając je z mokrym dźwiękiem, od którego aż podskoczyłam. Oto co znaczyło otwarcie, prawdziwe otwarcie, bez żadnej miary. Jego kciuki znalazły się u wejścia i powoli przesunęły się wzdłuż moich warg, aż spotkały się w idealnym miejscu, z pewnością, którą można byłoby wyliczyć co do milimetra (ech, ta chirurgiczna dokładność). Poruszyłam nogami jak motyl przybity do tablicy, a Pan, który skrupulatnie śledził zmiany na mojej twarzy, natychmiast złapał mnie wskazującymi środkowym palcem, tak jak chwyta się dziecko za nosek. Nawet przez zamknięte powieki czułam jego nieruchome spojrzenie, przenikliwie nieruchome.

Zagłębiając we mnie dwa palce, otworzył mnie jak brzegi rany, z tą samą uroczystą delikatnością, odkrywając aksamitność skóry, której nikt nigdy nie dostrzega, wygładzając każdą fałdkę – a ja wiłam się jak larwa, próbując wymawiać początki absolutnie niezrozumiałych słów w tym prawie pierwotnym języku miłości.

Zastanawialiśmy się kiedyś z Babette, jakie nieme pytanie zadają nam mężczyźni, żebyśmy im odpowiadały tak tak tak, kiedy się kochamy. Tak jak są pytania retoryczne, tak są i odpowiedzi czysto ozdobne, które nie przysięgają niczego ani niczego szczególnego nie potwierdzają: owo „tak”, które rodzi się w konkretnym momencie, w konkretnym gardle jest totalnym przyzwoleniem – jest Przyzwoleniem samym w sobie, esencją Przyzwolenia. To nie jest „tak” powiedziane palcom czy członkowi, wymienialnym przecież do woli, nawet jeśli są osią obrotu tego ulotnego równoległego świata. To jest globalna akceptacja chwili, rozkoszy, prawdziwego sensu bycia szczęśliwym, ponad to co się dzieje przed tą chwilą łaski i po niej. Nie ma nic innego do powiedzenia, niż „tak”. To jest wykrzyknik, który brzmi najgłośniej, który najlepiej opisuje to kruche, lecz wyjątkowo silne wrażenie całkowitej wolności i bezwarunkowej miłości.

Przypominałam sobie sposób, w jaki Henry Miller opisywał odgłos palca w odbycie, coś w rodzaju mikrodźwięku, takiego jak *squish-squish* – podczas gdy spod mojego brzucha Pan wydobywał mokre bulgotanie,

którego nie mogłam zamaskować jękami, odgłosy ssania bardzo odległe od tego cywilizowanego *squish-squish* z dziewiętnastowiecznego buduaru. Miller nawiązywał do małego zwierzątka, które zmusza się do odpowiedzi, tymczasem Pan zdawał się teraz mieć olbrzymią i kapiącą od śliny mordę, gębę pełną języków, które wszystkie chciały mówić naraz, a potem wpełznąć do mojego gardła – i usłyszałam, jak jęczę:

– Pocałuj mnie.

Pan, nie stawiając najmniejszego oporu (myślał z pewnością, że jestem już całkiem gotowa), pośpiesznie położył usta na moich ustach, całując najpierw niewinnie ciało, które krzyczało szaleńczo. Zdrętwiała, przyglądałam się, nie wierząc swym oczom, głowie tego mężczyzny między moimi udami, tym dłoniom, których każdy palec żłobił dołek w moich pośladkach. Poczułam raczej, niż usłyszałam, jego ciepły oddech.

– Pięknie pachniesz... Jak pięknie pachnie twoja cipka!

Podczas gdy łapałam oddech, powstrzymując nadchodzące skomlenie, Pan zaczął mnie skrupulatnie lizać, najpierw powoli, by każdy centymetr kwadratowy mojego ciała otworzył się pod jego językiem – jakbym była znaczkiem pocztowym! Oto jaki obraz pojawił mi się przed oczyma na kilka sekund, zanim nie zagłębił się we mnie, jakby zamierzał mnie pieprzyć, a to uczucie, że wszedł we mnie tylko trochę, zirytowało mnie tak, że zaczęłam go uderzać udami w uszy w obłądnym rytmie. Unieszkodliwił mnie krótkim pacnięciem w kolana, obrzucił spojrzeniem totalnej dominacji tę nadal upartą, nadal drżącą część mnie. Czułam, jak nabrzmiewam i twardnieję pod jego wargami, sterczę jak mały, mokry sutek w jego zębach, jak ziarenko soczewicy w jego palcach, kiedy kładł usta u mojego wejścia, zdając się niestrudzenie pić, i pić, i pić. W ciągu kilku minut Pan zmienił całą tę torturę, to nieskończone czekanie, te udręki, te upokorzenia, w niezbędną drogę do momentu pozaziemskiej komunii, przekraczając barierę słów i wszystkich innych ludzkich środków wyrazu. Język miłości składa się z dotyku ud, szelestu prześcieradeł, gwałtownych napięć i – rzecz jasna – z tak tak tak.

W chwili, kiedy najmniej się spodziewałam (jęczałam bez przerwy, zatracona w wirze dręczącej rozkoszy), Pan bez jakiegokolwiek przygotowania włożył mi dwa palce w pupę – i mogłam sobie krzyczeć, mój Boże, ryczeć jak osioł, co zresztą chyba zrobiłam. Błogosławię te, które wiedzą; stanowią niewielką grupę czytelników, którzy rozumieją cudowną i obrzydliwą przemoc, którą wtedy poznałam. Szybkość, z jaką otworzyłam się i zamknęłam, skręciła mi wnętrzności – wrzeszczałam ze sparaliżowanymi nogami.

– Będę cię pieprzył w tyłek – wyszeptał Pan. – Będę cię pieprzył w tyłek, Ellie.

– Dlaczego nie od przodu? – wybełkotałam, dławiąc się własnym oddechem.

– Bo to będzie magiczne, mój kutas w twojej małej pupce i nad tym twoja rozdziawiona cipka.

Pan wyprostował się powoli. Jego członek błyszczał w różowawych ciemnościach pokoju (zapomniałam już, jak wyglądają faceci, których chuj jest cały mokry po kilku minutach pieszczot).

– Otwórz ją palcami.

Poddałam się poleceniu, trzymając szeroko otwartą szparę, która wydawała coś w rodzaju wibrującego ultradźwięku. Pan zaczął torować sobie drogę, pokonując czubkiem członka mokry od śliny otwór. Przeszył mnie krótki błysk bólu, kiedy jednym pchnięciem bioder znalazł się już w połowie, szepcząc:

– Już, kochanie... już.

Ledwie miałam czas złapać oddech, a już poczułam jego włoski przy moich pośladkach, i w środku kilkaset metrów rozżarzonego ciała, które mnie wypełniło, byłam pełna do bólu, pełna jak kurwa.

– Masz go, Ellie. W samym środku tyłka.

– Tak, tak, tak...

– Mów do mnie, powiedz, jak ci jest, powiedz, jak ci dobrze, że cię pieprzę w pupę.

– Jest mi dobrze – powtórzyłam, wydając dźwięk jak ciągutka, zmieniając ton po kilkakroć. – Twój kutas jest taki... – zamarłam w totalnym poczuciu skruchy, bo zawiódł mnie język, a Pan nade mną czekał na dobry, możliwie bardzo męski przymiotnik – taki dobry!

– Spójrz na siebie – uśmiechnął się Pan.

W odpowiedzi na gest jego brody rzuciłam okiem, zakłopotana do mdłości obscenicznym wydęciem mojej cipki, która rozpościerała się nonszalancko, wilgotna i karminowoczerwona. Odruchowo chciałam się zasłonić i zaczęłam się pieścić. Pan rozsunął mnie jednym gestem rąk i leżałam tak rozciągnięta na hotelowym łóżku, z udami rozwartymi do bólu, z pełnym brzuchem, a to uczucie wypełnienia miało w sobie tyle samo z ekstazy, co z tortury. Połowa jego boleśnie sztywnego chuja wystawała z mojego tyłka, a potem wbijała się we mnie aż po kraniec, a tuż powyżej moja szparka obłudnie rozwierała się jakby z zaskoczoną miną. I kiedy czułam się jak ostatnia z ostatnich, Pan patrzył na mnie uważnie, o lata świetne od wszelkiego obrzydzenia i zdawał się uważać, że

genialna jest ta dychotomia pomiędzy moim ciałem w konwulsjach a całkiem jeszcze cywilizowaną twarzą, całkiem jeszcze – jak on to mówił przez telefon – pucata. Ale ponieważ rozkosz jakimś cudem wzmagała się, ucywilizowanie traciło grunt pod nogami, znikało z każdą sekundą. Świat pod moimi przymkniętymi powiekami nagle się rozplynał, serce biło mi jeszcze mocniej, nerwy twardniały. Powietrze stawało się coraz bardziej gęste. Wszystko nagle wypiękniało, tak jakbym, nie rezygnując z Pana, była w tym pokoju sama, wolna od jakichkolwiek spojrzeń. Tak jakbym w trakcie seansu masturbacji dostała wystrzelonego z katapulty mężczyznę zdolnego umilić ten rytuał swoim członkiem, umiejącego znaleźć idealne słowa do moich niezbornych jęków. Dokładnie w chwili, kiedy mój brzuch unosił się w gwałtownym skurczu, Pan – który do tej pory na próżno używał wszystkich możliwych metod, żeby mnie przerazić – przyjął najbardziej obsceniczną postawę, jaką potrafił: gwałtownie wycofał z mojej pupy, znieruchomiał jak pomnik, rękami zmuszając mnie do uległości i zaczął długo przyglądać się swojemu dziełu, z członkiem dumnie wzniesionym w stronę brzucha, prawie jakby chciał włożyć go sobie w pępek.

– Przestań! – powiedziałam zduszonym głosem, przerażona surowością tej sytuacji i hipotezą – zdecydowanie zbyt pragmatyczną zważywszy okoliczności, ale jestem przecież tylko dziewczyną – że jestem tak rozwarta, że mogłabym niechcący wessać całe powietrze z tego pokoju.

Ale Pan był tylko mężczyzną i skutki uboczne tego rodzaju praktyk dotykały go lub przeszkadzały mu zbyt mało, żeby odmówić sobie pozostania w tej pozycji, z palcami wciśniętymi w zgięcia moich kolan. Przyglądał się otworom mojej pupy i cipki do woli, podczas gdy ja gotowałam się z zażenowania. A może przeciwnie – był całkowicie pewny, że nie ośmielę się ruszyć palcem ze strachu przed podjęciem najmniejszego ryzyka. Leżałam jak sparaliżowana, tylko moja dłoń trzepotała się niestrudzenie, prawie frenetycznie, żeby nie myśleć o tym, jak muszę wyglądać z tymi wszystkimi wystawionymi na widok publiczny dziurkami. Pisnęłam:

– Pieprz mnie!

– Poczekaj, daj mi jeszcze popatrzeć – powtórzył Pan, który zabawiał się przesuwaniem gorącego czubka chuja między otworami mojego tyłka i cipki.

– Proszę – miauknęłam z nadzieją, że rozczulę go tym słodkim poddaństwem.

– Pieść się jeszcze – rzucił w odpowiedzi.

Tak, jasne, pomyślałam urażona. Ale w tym wszystkim nie ma fiuta.

I ponieważ Pan, zafascynowany, nie mógł się zdobyć na to, by skrócić ten spektakl, jednym rzutem sama nadziałam się na jego kutasa, obejmując z całych sił nogami jego plecy, żeby uniemożliwić mu ucieczkę. Jedna z jego długich rąk, które w równym stopniu uwielbiałam, co się ich bałam, natychmiast rzuciła się na moją szyję.

– Bardzo dobrze – powiedział Pan i gdy unieszkodliwiona wbiłam wytrzeszczone ze zdziwienia oczy w sufit, on wcisnął w moją cipkę Bóg wie ile palców, nie przestając mnie pieprzyć w rytmie... Czyż jest na świecie słowo, oddające to idealne tempo, które udaje im się czasami znaleźć, jakimś cudem, po całych wiekach poszukiwań? Rytm, jaki dokładnie łączy się z każdym skurczem każdej tajemnej śluzówki, przewidując ich częstotliwość. Miałam prawie łzy w oczach.

* * *

– Co z ciebie za suka, Ellie – uśmiechnął się, podczas gdy ja powtarzałam w jakimś absurdalnym ciągu, że już dochodzę.

Moje imię w jego ustach i w tym kontekście brzmiało jak dobrze wymierzony cios cienkim bacikiem. Nie mogłam powstrzymać się wystarczająco długo, ale już sam fakt, że się powstrzymałam, był zwycięstwem nad życiem i nad światem. Dokładnie usłyszałam jego ostatnie, cudowne zdanie, choć zdaje mi się, że wśród moich wrzasków, wśród eksplozji, zagrzmiął głosem, który był jak dwukropek przed słowem orgazm:

– Ależ ty jesteś mokra, kochanie moje...

Przez kolejne sekundy myślałam tylko o tym, żeby zacząć znów oddychać. Byłam jak z waty – czując swoje mokre uda i twardego jeszcze chuja Pana jak przez gęstą mgłę. Zanurzona w poczuciu kompletnego spełnienia, rozwalona na łóżku jak świnia, łapałam dech, jak potrafiłam, nagle nieczuła na wszystkie jego gesty wobec mnie, na nagłą sztywność jego kutasa wśród moich omdlałych śluzówek. Dopiero gdy wbił mi paznokcie w uda, ściskając mnie tak, że miałam siniaki, uchyliłam powieki. Orgazm Pana zaczął się jak podmuch wiatru na powierzchni wody; na moich oczach jego tors, potem szyję przeszła fala drgań, a jego brwi zmarszczyły się nagle jak porażone. Spod na wpół przymkniętych powiek jego ciemnoszare oczy szukały moich. Mój Boże, jaki on jest piękny, pomyślałam bardzo wyraźnie. Nie mogłam się skupić na niczym innym i zafascynowana, rzucałam się na złamanie karku w swoje myśli.

Ten nos o delikatnych, drżących skrzydełkach, który przesuwał się między moimi pośladkami i kolanami. Te usta zawsze rozchylone podczas seksu, ta mięsista dolna warga, wydęta jak śliczny damski tyłeczek. Te nonszalanckie długie rzęsy. Ta skandalicznie gładka skóra, dziewczęca skóra na całkowicie męskim ciele, ta brutalność rysów, ta mocna uroda jego twarzy, kiedy wibrował nad moją twarzą pomiędzy walką a poddaniem. Pan już nie walczył. Patrzył na mnie tak, jakby się mnie chwycił, gdy wysysałam go moją pupą, zafascynowana drzeniem jego warg, jego omdlałymi oczami, które chwilami zapominał otworzyć.

– Już dochodzę – wymamrotał, zgrabnie wplatając palce w moje włosy.

Kocham cię, pomyślałam, a potem odpowiedziałam, głaszcząc go dłonią po policzku:

– Chodź.

Wyskoczył ze mnie, trzymając fiuta ręką, na której podniecenie uwidoczniło żyły, kości, stawy, całą tę królewską architekturę, której istnienia się nie podejrzewa. Nie byłam w stanie zrezygnować ze swojej wygodnej nieruchomości, więc pozwoliłam mu tryskać bez końca na moją cipkę. Księżycowa biel spermy błyszczała jak ślina na wargach nasyconego wreszcie współbiedniaka. Ostatnia kropla wypłynęła jeszcze, zebrałam ją czubkami palców i zaniiosłam do ust, prosząc dziwnie ochrypłym głosem:

– Przytul mnie, dobrze?

Cisza w tym żółtym pokoju była słodka jak popołudniowa drzemka, którą uczynisz sobie z rodzicami, kiedy masz pięć lat. Nie miałam w kołczanie odpowiednich strzał, żeby ją uroczo zburzyć. Więc odezwałam się głosem, który przechodził w szept:

– Nie chcę z tobą rozmawiać o banalnych rzeczach. Tak mało się widzimy, że za każdym razem nienawidzę siebie za te moje opowieści o uczelni, o moich kumplach, o jakichś debilnych sprawach.

– Te debilne sprawy mnie interesują – odparł Pan, a jego ręce skrzyżowane na piersiach nie drgnęły nawet o jotę. – Interesuje mnie wszystko, co ciebie dotyczy.

– Chciałabym porozmawiać z tobą o literaturze. To łączy nas najbardziej. Ale mam ci tyle rzeczy do powiedzenia, tyle pytań w tej kwestii, że chyba się uduszę.

Odwróciłam się, wyczerpana.

– Zostań ze mną choć tyle czasu, żebyśmy mogli porozmawiać o Bataille’u.

– Ellie, ty naprawdę sądzisz, że nawet w dwie czy trzy godziny powiemy sobie wszystko o Bataille’u? Nie da się prowadzić literackich dyskusji tak po prostu. To normalne, że opowiadamy sobie o naszym życiu, takie zwykłe rozmowy są potrzebne.

– Tak, ale jeśli jesteś ze mną tak krótko, te gładkie gadki to wszystko, co nam zostaje.

Ponieważ spuściłam nisko brodę, Pan wstał, gwałtownie chwytając mnie za szyję.

– Wiesz, że moje obowiązki mi ciążyą.

– Wiem.

– Ellie, co możemy zrobić? Chcesz, żebyśmy przestali się widywać?

– Nie wiem. Prawdę mówiąc, od jakiegoś czasu niczego nie wiem.

– Nie chcesz mnie już widzieć?

– Nie wiem!

Schowałam się w poduszkę na kilka sekund, żeby złapać oddech, ukryć irytację.

– Widzisz, utrzymując tę częstotliwość, mierząc nasze spotkania kroplomierzem, spowodowałeś, że nasza historia jest niebanalna.

– I co, to źle?

– To jest broń obosieczna. Wiesz dobrze.

– Nie chciałem, żebyśmy żyli jak ludzie banalni. Oboje zasługujemy na znacznie więcej.

Pan zawsze mówił z taką pewnością siebie, że nie miałam serca, a może odwagi zbyt otwarcie mu się przeciwstawiać. Z ukrytą w jego ramieniu twarzą, na której malowała się rozpacz, kontynuowałam:

– W porządku, ale może wolałabym być trochę mniej nadzwyczajna i widywać cię częściej. Może by mi się podobało spotykać się z tobą co tydzień w hotelu i kiedy byś się rozbierał, pytać cię, jak się miewa twoja żona. Tak byłoby lepiej, niż widzieć cię przez pięć minut co trzy miesiące i nigdy z tobą nie rozmawiać. Może to przerażający banał, ale może nie wszystko jest takie złe. Jeśli ludzie tak robią, z pewnością ma to jakieś zalety.

Wyczułam po drgnięciu jego ust w moich włosach, że Pan się dąsa. Tak wyrażał wzdągnięcie: częścią twarzy i tym, jak odsunął nos od mojej głowy, tak jakby moja trywialność wydzielala niemiły zapach.

– Myślisz, że wydałabyś książkę o historii, którą mógł przeżyć każdy?

– Byłabym znacznie szczęśliwsza, gdybym cię mogła widywać. Wybacz! Ile z trzystu stron tej książki zostało napisanych, bo nie

widywałam się z tobą, a mimo to czułam, że muszę z tobą porozmawiać?

– Wiem, koteczku – westchnął Pan, czule masując moje drobne piersi, tak jakby mógł w ten sposób odepchnąć wszystkie moje skargi.

– Masz to w nosie.

– No, oczywiście, że nie! Dlaczego opowiadasz takie rzeczy?

Gdybym mógł spędzać z tobą więcej czasu...

– Ale nie masz czasu. Nigdy nie masz czasu. Wiem dobrze. Mam dość zdań zaczynających się od „gdyby”.

– Nie, nie mam czasu. Pracuję czternaście godzin na dobę i mam rodzinę.

– Więc dlaczego nie mówisz mi, że to koniec?

– Bo zupełnie nie mam na to ochoty!

Co mnie najbardziej uderzyło właśnie w tym momencie? Czy fakt, że najpierw pomyślałam: „Co za podły egoista?”, czy to, że nie chciał ode mnie odejść? Czy najpierw poczułam ulgę, czy przerażenie? Patrzyłam przed siebie suchymi oczami, nic nie widząc.

– Więc co, wolisz ciągnąć za sobą nieustannie ludzki wrak, który albo płacze, albo się ślini?

– Co mam ci powiedzieć, Ellie? Że nie chcę cię więcej widzieć? Nie mogę cię okłamywać.

– A ja nie mogę tak trwać w nieskończoność.

– Jeśli ci powiem, że to koniec, nic się nie zmieni. Ty nadal będziesz chciała mnie, a ja ciebie.

– Umiem udawać. Zajmę się czymś innym. Mam dwadzieścia jeden lat.

Zbity z tropu Pan zabrał dłoń ogrzaną od moich bioder. Puściłam jego ramię leżące luźno obok mojego i dodałam ciekawym głosem:

– Nie będę ciągle w tobie zakochana, kiedy będę miała czterdzieści pięć lat. Ale jest druga strona medalu: nasza historia jest tak niebanalna, że zapamiętam ją na całe życie.

– No, właśnie, czy tak nie jest lepiej?

– A ty? Kiedy będziesz miał siedemdziesiąt lat, będziesz mnie wspominał. Znaleźliśmy doskonały sposób na unieszczęśliwianie siebie nawzajem.

I po raz pierwszy Pan przytulił mnie, pytając:

– To co robimy?

– Nie wiem – odpowiedziałam.

Chciałam zostawić mu czas na to, żeby zaczął się bać. Chciałam poczuć, że sam zakłada sobie kaganiec, że nie chce pytać mnie o dalsze

szczegóły, o kategoryczną decyzję, że błaga mnie o przerwanie tego oczekiwania nie do wytrzymania. Żeby wiedział, przynajmniej przez kilka sekund. Ale to ja pękłam.

– Nie chcę tak trwać, wiecznie w twoim cieniu. To do niczego nie prowadzi. To mnie unieszczęśliwia.

– Co cię unieszczęśliwia? Tak naprawdę?

Pan pochylił się nade mną, jego długa ręka przesunęła się nerwowo po moim brzuchu, aż do samego końca, z nieprawdopodobnym i niewymuszonym wyczuciem każdej krzywizny, każdej wypukłości. Zamknąwszy oczy, mogłabym pomyśleć, że żyję w cieniu jakiegoś psychiatry szczególnie niestosującego się do zasad.

– Ja...

Przerwałam gwałtownie, załamana. Gdy chciałam coś powiedzieć, poczułam, jakby pięść zaciskała mi się na gardle i wcisnęłam głowę w poduszkę. Pan chwycił mnie palcami za podbródek, ale płakałam – za kilka sekund miałabym już dwa spływające gile pod nosem i zapuchnięte oczy. Naprawdę nie było to nam potrzebne.

– Daj mi spokój! – zaprotekowałam, na próżno mając nadzieję, że złość zakryje łzy i dyskretne jeszcze pociąganie nosem. Nagle jednym jedynym skokiem znalazł się na mnie całym swoim długim, ciepłym ciałem i schwytał moją twarz w dłoń.

– Co się dzieje, koteczku?

– I przestań nazywać mnie koteczkiem. Do wszystkich mówisz koteczku.

– Co cię tak zasmuca?

– Jesteś taki inteligentny, taki wspaniały, i jeszcze nie zgadłeś?

– Wiesz, Ellie, mało cię znam.

Skrepowana, starałam się za wszelką cenę uniknąć jego spojrzenia, w nadziei, że uda mi się ukryć łzy i mokry nos. Ale Pan mówił dalej.

– Nie mam pojęcia, co dzieje się w twojej głowie. Czego oczekujesz od innych, kim chcesz być, czego oczekujesz ode mnie.

– To twoja wina, ja...

– Wiem kochanie, wiem – przerwał mi Pan, całując mnie w czoło.

A potem w czubek nosa.

– Gdybyś dał mi czas, opowiedziałabym ci o sobie wszystko. Mogłeś poznać mnie lepiej niż wszyscy inni – szlochałam jak szalona, a jego pocałunek, który miał mnie uspokoić albo uciszyć, miał smak soli. – Zasmuca mnie, że nigdy nie rozmawiamy przez telefon, że nie odpowiadasz na moje wiadomości, że nigdy nie oddzwoniasz, że dajesz mi

falszywe nadzieje albo wystawiasz mnie do wiatru w ostatniej chwili. To jasne, że w tych warunkach nie możesz zacząć mnie poznawać. W ciągu dziesięciu miesięcy wyczerpującej zabawy w kotka i myszkę nie udało ci się wykombinować jednego głupiego wieczoru, który moglibyśmy spędzić razem, i ty masz czelność mówić, że nie chcesz, żeby się to skończyło!

– Ellie...

– I ja też cię nie znam. Napisałam o tobie książkę, ale równie dobrze wszystko w niej może być nieprawdą, bo wiem o tobie tylko to, co sam mi pokazałeś. W trakcie może sześciu godzin twojego czasu.

Uniosłam brwi z rezygnacją, gestem, o którym Babette mówi: „Tak będziesz wyglądać za dwadzieścia lat”. Tego uniesienia brwi sama nienawidzę.

– To mniej więcej wszystko, co mnie zasmuca. Zasmuca mnie, że cię nie znam i jestem dla ciebie prawie nieznaną. Zasmuca mnie, że to nic dla ciebie nie znaczy.

– Kto ci mówi, że mnie to nie smuci?

– No, właśnie, nikt. Twoje myśli muszę odgadywać w ciemno. Ty mi niczego nie mówisz.

– Przykro mi – powiedział Pan, przytulając nos do mojego nosa. – To, że cię nie znam wystarczająco dobrze, że cię nie widuję, że z tobą nie rozmawiam, to jest dla mnie koszmar.

W sumie zdawałam sobie sprawę z tego, że wystarczy nic nie mówić, zostać wtulona w niego z lepką twarzą, żeby tak już zostało, żeby wszystko trwało dalej, przez kolejne miesiące, na niewątpliwie niezmiennych warunkach, ale ciągle z nadzieją, że uda mi się przyciągnąć jego uwagę, jego względy. Przecież od wielu miesięcy tak właśnie między nami było. Ale nie wiedziałam, czy nawet po roku uda mi się znaleźć miejsce między Panem i jego żoną, w oddzieleniu od innych dziewczyn, na marginesie, w którego kierunku będzie od czasu do czasu rzucał roztargnione spojrzenie, gdy go najdzie ochota. I przy dźwiękach paskudnego bulgotania w żołądku zasugerowałam:

– No więc powiedz, że to koniec.

– Nie mogę zrobić czegoś takiego.

– Jakim ty jesteś egoistą!

Podniosłam się, wycierając nos bez żadnych skrpułów i klęczałam przed Panem, który leżąc, otwierał usta, żeby zaprotestować.

– Po prostu nie chcesz odebrać sobie możliwości pieprzenia mnie, kiedy ci przyjdzie ochota. Może to i ludzkie, ale zrozum, że mnie unieszczęśliwia.

– Wiedziałaś, kiedy zaczęliśmy się widywać, że nie mam czasu. Za każdym razem, gdy się z tobą spotykam, kradnę minuty moim zajęciom, mojej pracy, mojej...

– Nie zaczynaj mi opowiadać o niej.

Ona. Kiedy zaczęłam mówić jak kochanka?

– Nie chcę słyszeć ani słowa o twojej żonie. Zawsze miałam wystarczająco dużo dobrego smaku, żeby nie zaliczać jej do przeszkód, które nie pozwalają nam się widywać, więc nie mów mi o swojej żonie. Nigdy nie miałam najmniejszego zamiaru z nią konkurować.

– Nie chcę, żebyś z nią konkurowała. Ale to także dlatego, że ona istnieje, nie mogę zajmować się tobą bardziej. Z tysiąca innych wybrałem właśnie to życie.

– A może dlatego, że masz wszystko kompletnie w nosie.

Pan nagle się wyprostował, a jego ręka na prześcieradle zeszywniała jak przed orgazmem, ale tym razem to nie zapowiadało niczego dobrego. Jego głos brzmiał jak głos ojca, któremu się postawiłaś i któremu wystarczy jeszcze jeden gest sprzeciwu, żeby nastąpił wybuch.

– Kiedy ty wreszcie przestaniesz uważać, że kpię sobie z ciebie?

– Kiedy zrobisz cokolwiek, co udowodni mi, że jest inaczej – odparłam, powtarzając w myślach, że nie mógłby podnieść na mnie ręki, nawet jeśli posunę się za daleko. – Kiedy znajdziesz w sobie odwagę, by powiedzieć mi, że to koniec, bo obiektywnie nie masz czasu zajmować się mną tak, jak bym chciała.

– Mam do ciebie częściej dzwonić? To jest sedno problemu?

– Ten problem jest jednym wielkim sednem.

Z gulą w gardle zaczęłam zakładać majtki.

– Przez osiem miesięcy czołgałam się u twoich stóp w nadziei, że wreszcie mnie zauważysz, porozmawiasz ze mną jak z dorosłą. Może to ja nie miałam racji, może ty popełniłeś błąd, pozwalając mi na to, ale takie są fakty: nie mogę tak dalej – stwierdziłam.

– Nigdy nie chciałem cię unieszczęśliwić.

– Wiem. Nikt nie chciał nikogo unieszczęśliwić. Nikt nigdy nie chce nikogo unieszczęśliwić, ale to się zdarza.

– Ja nie chcę, żebyśmy przestali się spotykać.

Ten ton dziecka postawionego do kąta wzbudził we mnie ochotę, by rzucić mu się w ramiona. Mogłam go podejrzewać o kręctwo, obłudną manipulację, ale nic mi naprawdę nie dowodziło, że Panu nie jest przykro. Może nawet czuł się tak samo fatalnie jak ja. Ile musiało go kosztować powstrzymanie się od najmniejszego choćby regularnego kontaktu ze

mną? Jak bolesne musiało stać się wymawianie mojego imienia, a nawet powtarzanie go w myśli? Miałam wybór: rzucić mu się w ramiona i znienawidzić siebie za to, albo zostać skulona na kolanach i żałować potem całymi miesiącami, że straciłam taką okazję, żeby poczuć zapach jego perfum, poczuć, jak całe jego ciało tuli się do mojego. Zaciskając pięści, zaśmiałam się, a mój śmiech zabrzmiał jak trzaśnięcie drzwiami. Nie byłam w stanie na niego patrzeć.

– Ja też nie chcę, żebyśmy przestali się spotykać. To chyba ostatnia rzecz, jakiej bym chciała. Myślisz, że jest w moim życiu ktoś, kto rozmawia ze mną o Aragonie czy Mandiarguesie tak jak ty?

– Możemy nadal o tym rozmawiać, bez pieprzenia – zasugerował Pan tonem, który zabrzmiał mi bardzo ucziwie.

– Dobrze wiesz, że to niemożliwe. Potrzeba dotykania cię nadal będzie mnie zżerać. A ty nigdy nie będziesz umiał oprzeć się pokusie dotykania moich nóg pod kawiarnianym stolikiem. Będziemy się widywać tak samo rzadko. Albo nawet jeszcze rzadziej. Ale wystarczająco, żebym stale przypominała sobie, co to znaczy mieć cię dla siebie. To niczego nie zmieni.

– Więc co, Ellie? Przystajemy do siebie dzwonić, rozmawiać ze sobą, pytać, co nowego?

– Ja przestaję do ciebie dzwonić, rozmawiać z tobą, pytać, co u ciebie nowego. Ty po prostu robisz to, co robiłeś do tej pory.

– Mówimy sobie zatem, że to koniec?

Zacisnęłam zęby, wykończona talentem Pana do stawiania mnie pod ścianą, raz za razem, z pełną nieświadomością, jak wiele naiwności straciłam z dala od niego. Może zresztą w ramach prowokacji rzuciłam, z bijącym sercem:

– No tak, to koniec.

A potem dodałam, jakby do siebie:

– Trzeba w końcu podjąć jakąś decyzję.

O mało nie zemdlałam przez cały ten czas, jaki był mi potrzebny, żebym się ubrała. Podkolanówki. Majtki. Sukienka z okrągłym kołnierzykiem. Bensimony. Pan nie spuszczał ze mnie wzroku, od czasu do czasu zdając się pociągać za niewidoczny sznurek, który odwracał moją twarz w jego stronę – aby sprawdzić jego reakcję, ale zwłaszcza dlatego, że miałam świadomość, iż już go nie zobaczę. To było nie do pojęcia. Spokój, z jakim śledził mnie wzrokiem, utwierdzał mnie w głębokim przekonaniu: od początku wiedział, że odejdę. Że już nieco wcześniej w jakimś sensie odeszłam. Że moja spontaniczna ucieczka była poważnie

przemyślana, mniej lub bardziej świadomie. Więc dlaczego, dlaczego tak na mnie patrzył? Dlaczego miałam wrażenie, jakby irytowała go myśl, że mogę mu uciec?

Trzy razy wiązałam włosy, dwiema różnymi gumkami.

Usiadłam na brzegu łóżka, żeby dokładnie zawiązać buty.

Udałam, że wysyłam cztery esemesy.

Zyskiwałam czas. Robiłam wszystko bezmyślnie, jak martwa. Kiedy wreszcie z rękami skrzyżowanymi na kolanach zdałam sobie sprawę, że nie pozostaje mi już nic, jak tylko wyjść, Pan zobaczył, że drzę i szepczę jego imię. Spod spuszczonej głowy, spod włosów zobaczyłam jego rękę, która powoli wyciągała się do mnie, całkiem otwarta i bezbronna.

W ułamku sekundy znikła i nagle poczułam ją we włosach, od czubka głowy aż do połowy pleców. Rzuciłam krótkie spojrzenie na Pana, jakbym chciała zapytać: „I co mam zrobić?”

– Odejdź – odpowiedział bez słowa, co było jeszcze gorsze niż ewentualne „Zostań”.

Błyskawicznie zdałam sobie w pełni sprawę z tragedii, jaka rozgrywała się w tym pokoju. Cóż za gigantyczny i totalny chaos. Setki ludzi zginęły w trzęsieniu ziemi w Chile, oś Ziemi się zmieniła, potem ta historia na Haiti – a mój dramat, jedyne wydarzenie, które było w stanie doprowadzić mnie do łez, to odejście od tego mężczyzny. Osiem głupich miesięcy, ale można by powiedzieć, że to całe moje życie. Oczy musiały mi się zaczerwienić jak w kreskówkach. Dosłownie rzuciłam się na niego, wciskając pyszczek w jego szyję, jęcząc i płacząc wariacko, wycierając połowę łez w jego sztywny, poranny zarost. Pan wbił mi paznokcie w plecy tak mocno, że długo jeszcze miałam po tym ślad – może nawet kilka dni: trzy różowe półksiężycy stały się potem czerwone i brązowe. Kiedy szlochałam cicho, z policzkiem przytulonym do jego policzka, ujął w dłoń moją ociekającą łzami twarz.

– Uważaj na siebie, proszę. I nie zapomnij o mnie.

– Dobrze – obiecałam, pociągając nosem. – Ty też uważaj na siebie...

– Przysięgnij – powiedział Pan, przytulając się nosem do mojego nosa, a w jego szarych oczach była nadal ta pozorna obojętność, którą mogłam odczytywać, jak mi się podobało.

– Przysięgam – pisnęłam, wyrywając mu się.

Czy zdawał sobie choć trochę sprawę z tego, co przeżywałam? Stałam, ale ledwie (i jak, na Boga, mi się to udawało?), a Pan siedział, z widocznym na policzkach śladem moich wilgotnych policzków.

Musiałam coś powiedzieć, bo czułam, że bez tego zaraz ostatecznie zwariuję, więc dodałam, jakby dla siebie:

– I nie zaczynaj mi teraz mówić o wspomnieniach ani o pożegnaniach. Nie wierzę w pożegnania.

– Ja też nie.

– Wiesz – ciągnęłam, a mój podbródek znowu zadrżał – kiedy miałam piętnaście lat, po raz pierwszy nieszczęśliwie się zakochałam. Było mi tak strasznie smutno, że zwiałam z popołudniowych zajęć w szkole. Pamiętam, że poszliśmy z tatą do piekarni po chleb, a ja płakałam jak bóbr. Myślę, że nie za bardzo wiedział, co zrobić, żeby mi było lepiej – o takich rzeczach raczej nie rozmawia się z ojcem – więc powiedział mi: „Zawsze spotykamy znowu tych ludzi, którzy są lub byli dla nas ważni”.

Odwróciłam się, żeby dyskretnie wytrzeć nos kołnierzykiem, i mówiłam dalej:

– To jedyna rzecz, która teraz przychodzi mi do głowy. To idiotyczne zdanie.

– Genialne zdanie – podsumował Pan.

– Może – ustąpiłam, wkładając kurtkę.

Był jeszcze marzec, ale czuło się, że maj szybko nadejdzie. Powietrze pachniało prawie jak rok wcześniej. Kwitnącymi kasztanami, przejrzałymi owocami mango, mieszanką Habit Rouge, kurzu i pasty do podłogi. Niebo mogło być tak samo niebieskie. Czy należało z tego wyciągać jakikolwiek logiczny wniosek, zatoczenie koła, którego nigdy nie udało mi się odszyfrować? W metrze będę miała czas, żeby o tym pomyśleć, bo żaden kawałek, w żadnym iPodzie nie będzie w stanie przyciągnąć mojej uwagi. Wokół mnie będą się toczyć rozmowy, ludzie będą się całowali, śmiali, słuchali Beatlesów, czytali „Cosmopolitan”. Świat będzie się toczył dalej, kurwa mać! Jak to możliwe? Jak prywatne światy mogą się walić bez najmniejszego wpływu na świat globalny?

Schyliłam się, żeby wziąć torbę i marzyłam, żeby zemdleć. Ale to nie takie łatwe.

– Więc nie zobaczę już nigdy twoich majtek? – zapytał Pan tonem, który, prawdę powiedziawszy, nie był ani przesadnie prowokacyjny, ani przesadnie zabawny. Neutralny. I jednocześnie czytelny.

Nigdy więcej. Są takie słowa, które sprawiają, że chcesz się porzygać.

Myślę, że żaden mężczyzna nie jest wart tych majtek, które towarzyszyły mi w moich pierwszych orgiach, w których pędziłam na

pierwsze podrywy, w których pieprzyłam się na pierwszych imprezach. To nie jest kwestia ceny – chociaż wówczas wydawała mi się ogromna: najszlachetniejsze, najpiękniejsze dłonie dotykały gumki jak strun harfy. Najszacowniejsze oczy pożerały moją tłustą skórę pod ich elastyczną koronką. Wilgotniały na spodzie po wielokroć, w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. W Baronie, eskortowane przez Oliviera Destelles'a. Kilka tygodni później, naćpana ecstasy przechadzałam się po mieszkaniu Thomasa Pariente tylko w nich i w apaszcze Hermèsa. Wiele lat wcześniej, kiedy Alexandre zobaczył je chwilę po wyjęciu z kosztownego woreczka od Agent Provocateur, ochrzcił je „majtki zawał serca”. Całe moje życie seksualne było zapisane w ich czarnej, satynowej głębi. Schudłam, przytyłam, znowu schudłam, ale nigdy nie sprawiły mi przykrości i nie stały się ani za luźne, ani za obcisłe. Materiał, jakimś cudem, zaciskał się na mnie. Te majtki należały do mnie, były mną. – Masz – powiedziałam do Pana z chorym uśmiechem. Ledwie znalazły się w jego dłoniach, nie spuszczać ze mnie wzroku, uniósł je do nosa, wdychając wspomnienie mojej cipki z przymrużonymi powiekami, jak wytwórca perfum, który znalazł cudowną esencję. Oto dlaczego kochałam tego mężczyznę – przaprzyczyna, która pociągnęła za sobą wszystko pozostałe: za to skupienie na jego twarzy, kiedy rozchylałam nogi. Za to łakomstwo wszystkich zmysłów.

– Te majtki są stanowczo zbyt piękne, żebyś mi je dawała – zauważył, a jego palce wplątały się w koronki.

– Ta historia też taka była – odpowiedziałam afektowanym tonem, który wydał mi się głupi, tonem aktorki z sitcomu.

Pan uśmiechnął się do mnie.

Kiedy zrobiłam pierwszy krok w stronę drzwi, poczułam się dziwnie lekko jak na kogoś, kto nie zobaczy już więcej Pana. Poruszałam się, jakby powietrze nie miało ciężaru. Podłoga pode mną jęknęła bardzo niedelikatnie: wolałabym wymknąć się bez namacalnego znaku odchodzenia. Czułam na plecach oczy Pana, który po raz ostatni skanował moją sylwetkę bez majtek (ta obietnica nagości wywoływała w nim zawsze efekt kataklizmu), i on, zazwyczaj tak gadatliwy, nie śmiał w żaden sposób zburzyć tej ciszy. Ale może odgadł, że nie zostało już nic do powiedzenia. Że jest taki konieczny ból, jak wtedy, gdy wyrывa się drzazgę, na który nie pomogą żadne słowa.

Otworzyłam drzwi i po raz ostatni stoczyłam krwawą walkę, żeby nie zawrócić. W pokoju i w korytarzu brak dźwięków był identyczny. W środku słyhać było krzyk ciszy, na zewnątrz cisza była żałobna.

Zagryzając wargi, nacisnęłam klamkę, ostatni haust powietrza pełnego Habit Rouge pogłaskał mnie po policzku, i to było wszystko.

To było wszystko.

Wrażenie, że się z czegoś nieźle wybrnęło, jest czymś bardzo nietrwałym. Kiedy ruszyłam, wykładzina wydała mi się miękka, okropną, mdlącą miękkością. Zapach lilii w wazonie był nie do zniesienia, ściany miały zdecydowanie zbyt pomarańczowy kolor. Niczego tak się nie bałam, jak tego, że usłyszę Pana poruszającego się kilka metrów dalej po pokoju. Dźwięku klamki.

Przeskakiwałam po cztery stopnie, przebiegłam przez recepcję jak wiatr, nie mogąc nawet spojrzeć na ten hotel, do którego już nigdy nie miałam powrócić, nigdy, mamrocząc „Dziękuję, do widzenia” głosem, który tak samo jak reszta należał do ducha.

Nawet dziś nie potrafię wymówić nazwy z tego eleganckiego szyldu z Siedemnastki bez mdłości. Wymawiam to słowo i przez dziesięć sekund moi rozmówcy, otaczający świat, muzyka i cisza nieruchomieją i tracą barwy, zaczynają przypominać te analogowe fotografie, które ogląda się z uśmiechem, ale i ukłuciem w sercu.

Było południe na rue des Dames. Stojąc na schodkach, patrzyłam na nieustającą falę szarych przechodniów, nie mogąc złapać tchu. Budynki wydawały mi się zawrotnie wysokie, okna wyglądały jak martwe oczy. Bez większego przekonania wysunęłam do przodu stopę i zesłam ze stopnia. Młody energiczny urzędnik o mało mnie nie rozdeptał, warcząc „przepraszam” tonem, który oznaczał wszystko oprócz przeprosin – a ja skoczyłam jak kot tam, skąd przyszłam, na próg drzwi wejściowych. Miałam wrażenie, że jestem nawalona, niezgrabna jak po trzech kieliszkach. A przede wszystkim sama. Zagubiona. W połowie między jedną a drugą katastrofą: albo wciągnie mnie ten zbity tłum przeciętniaków, albo wrócę do ciepłego, miękkiego hotelu, gdzie czeka na mnie Pan z uśmiechem przypominającym sidła na dzikiego zwierza. Zastanawiałam się często, jak inni ludzie radzili sobie z tą całkowitą utratą punktów orientacyjnych i motywacji; czy strumień świadomości rodził się w ich umysłach, jak w moim, czy może zjawiał się nieproszony.

Jeśli wrócisz do środka, to koniec. Jeśli odejdziesz, na to samo wyjdzie. Więc co pozostaje? Nic. Żadnej chęci na czytanie, pisanie, pieprzenie czy spotykanie się z ludźmi, żadnej chęci na spanie czy samotność, no i co mi, kurwa, zostaje? Czy kiedykolwiek myślałam o tym, że nigdy nie zobaczę Pana? Nie rób tego. Jeśli to zrobisz, zaczniesz krzyczeć. Nie zobaczysz go nigdy, ani w klinice, ani u Philippe’a, ani

w hotelu, ani w jego samochodzie – nigdzie. Żadne miejsce na ziemi nie będzie już waszym wspólnym. Kocham Pana bardziej niż wszystko na świecie. Już go nie zobaczę. Nasze życia od tej pory będą równoległe, ja... ja będę dorastać, a on o tym nie będzie wiedział. Nie będę wiedziała nic o jego życiu. Oczywiście, on o tobie zapomni. Albo gorzej, on o tobie nigdy nie zapomni.

– Aj.

Ty o nim nigdy nie zapomnisz.

Wszystko, co mi zostało, to wspomnienia, ale, mój Boże, niczego już nie pamiętam, mój Boże, zapomniałam nawet jego twarz, jego twarz, która nigdy nie wygląda tak samo na zdjęciach. Mam tylko przebłyski – tak, i wkrótce znikną, jak cała reszta. Nawet jeśli będziesz pisać. Pisanie nigdy nie zatrzymało czasu, który płynie i zabiera wszystko po drodze. Co jest najgorsze? Zapomnieć? Czy wprost przeciwnie? Ale ja nie chcę! Nie chcę zapomnieć! Nie chcę, żeby on o mnie zapomni, o Boże, żeby zapomni mój tyłek albo mój zapach, albo wszystkie esemesy, które mu wysłałam, moje imię i moje żalosne przywiązanie, moje psie przywiązanie do niego, ja – och, w sumie nieważne jest to zapomnienie, przecież już go NIGDY nie zobaczę. Oddychaj. Nie mogę oddychać. Boję się, umieram ze strachu. Z zimna. Ja... usiądź. Nie przewróć się tutaj, przy ludziach. Usiądź i wyjmij fajkę. Trzymaj ją w tych drżących paluszkach. Och, ja już nie chcę być sobą. Chcę się obudzić, kiedy imię Pana zniknie z mojej pamięci RAM, kiedy wspomnienie o nim wywoła na mojej twarzy szczery uśmiech. Czy to kiedyś nastąpi? Czy w ogóle jestem do tego zdolna? Czy będę kiedyś mogła spojrzeć na jego zdjęcie bez poczucia, że dostaję w twarz w zwolnionym tempie? Nie chcę już być sobą. Nie sądzę, że dam radę znieść to cierpienie dłużej niż przez kilka minut. Nieprawda, wiem, że je zniosę – wiem, że normalnie wsiądę do metra, że normalnie znajdę drogę do domu, nawet jeśli będę płakać, nawet jeśli będę się dusić, nawet jeśli będę smarkać przez całą drogę, w sumie jakie to ma znaczenie po tym wszystkim? Chce mi się rzygać. Będę rzygać. Połknij tę masę śliny. Oddychaj, oddychaj. Nie zrób tego błędu i nie zapomnij o oddychaniu.

Jeśli tak dobrze pamiętam tę chwilę, która na początku wydawała się naprawdę krótka, to dlatego, że Pan znalazł mnie opartą o ścianę, na szczycie schodów, które odgradzały mnie od tłumu, z wytrzeszczonymi oczami, z policzkami skąpanymi we łzach, które szczypały mnie jak cytryna, tłumiącą rękami przerażone łkanie. Zauważyłam tylko cień obok własnego cienia, ale olałam to kompletnie. Bałam się tak strasznie i miałam tak ściśnięty brzuch, że niczego nie czułam – ani wstydu, ani

szczególnej potrzeby odzyskania godności. Krzyczałam cichutko. Wszystko było za duże. Nie wyobrażałam sobie, że ktoś pozwoli mi chodzić samej po tak dużym mieście. Że ktoś może mi do tego stopnia zaufać.

Rzuciłam okiem w lewo, odsunawszy z czoła mokry, słony kosmyk, zobaczyłam Pana i jego marynarkę od garnituru, z kieszenią wypchaną moimi majtkami. Nie przestałam krzyczeć. Musiał zdać sobie sprawę w chwili mojej ucieczki przez korytarz, że nogi nie poniosą mnie daleko. To nie było nic takiego; miałam tylko dwadzieścia jeden lat. To wiek, w którym biega się z szybkością, przy której nie czuje się bólu ani zmęczenia; po prostu to cię łapie nagle, na hotelowych schodach, w trakcie szaleńczego biegu.

– Błagam cię, nie płacz – poprosił tak łagodnym głosem, że zrobiło mi się słabo. Opuściłam ręce, żeby coś wykrztusić, Pan sądził, że zamierzam go dotknąć, i zanim coś powiedziałam, wyjął z wewnętrznej kieszeni dużą jedwabną chustkę w kolorze kości słoniowej, która na dole po prawej stronie miała jego inicjały wyhaftowane szarą nicią: C.S.

– Weź – usłyszałam, a pół sekundy później miałam w palcach prawdopodobnie najbardziej aksamitną na świecie rzecz, jaką zrobił człowiek, tkaninę, która była pieśczętą, bez rąk, bez ciała, ale niewątpliwie pieśczętą.

Z wysiłkiem całego swego jestestwa uśmiechnęłam się do Pana, który także się do mnie uśmiechał, kryjąc za maleńkimi zmarszczkami w kącikach oczu cień smutku, którego istnienia do tej pory nie podejrzewałam. Patrzyliśmy na siebie długo, nie zdając sobie sprawy z niczego. A potem moje serce, które jak sądziłam, już było w strzępach, złamało się po raz enty. Ukryłam twarz w chusteczce pachnącej Guerlainem, otworzyłam usta, ale Pan wyglądał już, jakby miał zamiar uciec. Spuścił oczy i zaczął pokonywać po cztery stopnie te dwanaście schodków, które prowadziły na ulicę. Wyciągając szyję do bólu, obserwowałam go przez chwilę, skupiając się na błękicie jego szalika – ale trochę dalej skręcił albo może znikł, jak to on tylko potrafił, i była już tylko Ellie, rue des Dames, Ellie i jego chustka pachnąca Habit Rouge.

– Aj – wyjąkałam jeszcze grobowym głosem.

Czasami wrywasz drzazgę. Czasami wrywasz się z potrzasku. Reszta jest mało ważna. Reszta jest tylko długim procesem odczarowywania, które prowadzi wszystkie małe dziewczynki na brzeg rzeki, gdzie zapominają o bólu, kompromitacji, poświęceniu, udreće – gdzie smutki są mniej dojmujące, a rozkosz mniej intensywna.

fot. © Franck Ferville



EMMA BECKER

w roku 2011, gdy we Francji ukazała się jej pierwsza powieść pt. *Mr.*, czyli *Pan*, miała 22 lata. Dziś, po skończeniu studiów uniwersyteckich, pracuje nad kolejną książką.

„Naturalistyczna i delikatna zarazem powieść lokująca się między wyznaniem Collette i Catherine Millet”.

LE FIGARO

„Zawieszony między zmysłową gorączką i emocjonalną kruchością niezwykle autoportret dwudziestoletniej dziewczyny bezwstydnie poznającej świat”.

EVENING STANDARD

„Emma Becker, podążając od udręk serca do udręk seksualnego uzależnienia, analizuje niebezpieczeństwa namiętności, popisując się przy tym znakomitym stylem”.

GRAZIA



